

Feliks W. Kres

Tarcza Szerni

część 2

Księga Całości tom 6

CZEŚĆ PIERWSZA

Królowa i niewolnica

1.

Talanta na Wyspach Barrierowych była miastem, z którym wiązały Kitarą bardzo szczególne wspomnienia. Przybył tu jako człowiek prawomyślny i praworządny. Młody, zaledwie dziewiętnastoletni, podsetnik straży morskiej, przysłany został z Armektu do służby w eskadrze Floty Rezerwowej Garry i Wysp. Przesłużył aż cztery dni. Nawykły do imperialnych, a więc armektańskich porządków w wojsku, niebacznie stanął w obronie maltretowanych marynarzy – i zanim się obejrzał, był buntownikiem i zbrodniarzem odpowiedzialnym za wyrżnięcie wszystkich oficerów żaglowca i ośmiu czy dziewięciu morskich piechurów, bo tylu siedziało na cumującym w porcie okręcie. To nie było wojsko, jakie znał z Armektu. Dalsze przygody młodzieńca, wiodącego za sobą dwudziestu niemających nic do stracenia, zbuntowanych majtków; brawurowa ucieczka z wyspy; zdobycie słynnej „Kołysanki”; udział w morskiej wojnie rozpętanej przez pirackiego króla, kapitana K.D.Rapisa (także, dziwnym trafem, przed laty będącego żołnierzem straży morskiej) – niezliczone zdarzenia, które uczyniły Kitarą znanym, a nawet sławnym, nastąpiły później. Wszystko jednak zaczęło się w Talancie.

Kitar nie był sentymentalny. Stary majtek, jeden z trzech, którzy przetrwali u jego boku od samego początku, przypomniał mu dawne dzieje. Kapitan uniósł głowę, rozejrzał się dokoła jakby właśnie doń dotarło, że kroczy ulicami Talanty, po czym odpowiedział:

„A! No tak”.

Minął tydzień. „Kołysanka” spokojnie cumowała w porcie, bo jako żaglowiec piracki była nietykalna – miała przecież w nadchodzącej wojnie zasilić flotę kaperską na usługach Wiecznego Cesarstwa... Kapitan codziennie rano wychodził na pokład, ale ani razu nie przyszło mu do głowy zadumać się nad przeszłością. „Gdzie myśmy wtedy stali?... Tutaj... a może tutaj? Jak potoczyłoby się moje życie, gdybym wówczas trzymał głowę zamkniętą?...”. Żadne takie myśli go nie zaprzętały.

Miał w Talancie robotę. Robotę, trzeba dodać, bardzo dobrze płatną.

Ridareta, gdy wspomniał o pieniądzach, zdumiała się.

„Ale... mam ci płacić?” – zapytała niepewnie.

„A nie?” – odpowiedział pytaniem. „Moi chłopcy będą wystawiali skórę na szwank. Co ich obchodzi, że dla ciebie? To nie oni chcą się z tobą zenić, tylko ja. I ja od ciebie, Piękna Ridi, nie wezmę nawet miedziaka. Opłać tylko moją załogę”.

Opłaciła.

Kitar rzeczywiście, bardzo honorowo, nie zamierzał wziąć nawet miedziaka, ale koniec końców wziął równo połowę zapłaty – nikt nie musiał wiedzieć, że wziął. Poza tym jednak, jak najszczerzej, chciał dać narzeczonej prezent zaręczynowy i umyślił sobie, że ucięte głowy dwóch

Przyjętych na pewno jej przypadną do gustu. Zresztą nie ukrywała, że tak.

Opisała mu dom, którego powinien szukać. Taki opis mógł nie wystarczyć, ale Kitar miał na pokładzie kilku chłopców zdjętych z wraku „Kaszalota” Brorroka; dwaj spośród nich towarzyszyli dawnemu dowódcy, gdy – swego czasu – prowadził pertraktacje z Przyjętymi. Wystarczyło obejrzeć wskazany przez nich dom i porównać go z opisem Ridarety, by mieć pewność, że Przyjęci się nie przeprowadzili.

Dom wybornie pasował do opisu.

Siódmego dnia pobytu w Talancie, cierpliwy i ostrożny Kitar, planujący swe działania z iście wojskową akuracnością, wiedział już wszystko, co chciał wiedzieć. Dom należał do zubożałego kamienicznika, mieszkającego z żoną. Nie trzymano służby. Właściciele domu odwiedzani byli – dość rzadko – przez dwóch dorosłych synów, synowe i rozwrzeszczane wnuki. Całe pierwsze piętro zajmowali dwaj cudzoziemscy uczeni, mający na swoje usługi dwóch pachółków, z których jeden zawsze był w porcie (Kitar wiedział, przybycia jakiego żaglowca oczekują Przyjęci) i kilku pomocników – jak się zdawało, najemnych rachmistrzów; pomocnicy nie mieszkali w domu, choć przesiadywali w nim niekiedy aż do późnej nocy. Posiłki dla uczonych sprowadzano z pobliskiej gospody; bardzo rzadko wybierali się tam sami. Prawie nie wychodzili z domu.

Kitarowi najpierw przyszło na myśl, że można by Przyjętych otruć.

Nie był to jednak sposób pewny. Nieryzykowny – i to stanowiło bodaj jedyną jego zaletę. Istniały jednak rozmaite odtrutki, a mędrcy Szerni – jak mówiono – mieli dużą wiedzę medyczną. Może tylko tak powiadano – a może naprawdę mieli. Mogli (kto ich tam wie?...) wygrzebać coś z tych swoich Pasm. Poza tym Kitar nie znał się na truciznach i nie miał pod komendą nikogo, kto znałby się lepiej niż on. Wyszło na to, że topór wbity w czerep, miecz w brzuch, a żeglarski nóż w gardło, załatwią sprawę i szybciej, i pewniej.

Po tygodniu obserwacji, wywiadów i podchodów, kapitan „Kołysanki” wybrał z grona podkomendnych ośmiu chłopca, mających nie tyle twarde mięśnie, co otwarte łby; tylko dwóch dało się nazwać tęgimi rębajłami. Ale nie ruszał przeciw wojownikom i jeśli przewidywał kłopoty, to nie z powodu zaciętego zbrojnego oporu. Raczej należało się liczyć z jakąś niespodzianką, z nie wiadomo czym, a w takiej opresji rozum przydawał się bardziej niż mięśnie.

Zbliżała się północ, gdy siedzieli w przyportowej knajpie, dość powściągliwie sącząc paskudne miejscowe piwo i leniwie pogadując. Czekał ich robota była inna niż zwykle. Nieżeglarska. Abordaż; pukanina z dział; ucieczka przed wrogą eskadrą, nocna zmiana kursu... Sztorm na morzu; wejście na mieliznę... Chleb powszedni, wiadomo. Ciche zarzynanie śpiących w domu ludzi, a do tego Przyjętych – no, to było wyzwanie innej miary. Łatwiejsze, trudniejsze... W każdym razie nowe.

Kitar z grubsza znał rozkład domu. Dwa dni wcześniej przyodział się bardzo porządnie, swój

armektański akcent wyciągnął na wierzch tak mocno, jak tylko mógł, po czym poszedł pytać o możliwość najęcia izby na tydzień albo kilka tygodni. Nie wzbudził żadnych podejrzeń, bo też – obyty, przystojny, o szczerym spojrzeniu i takim samym uśmiechu – w ogóle nie wyglądał na zbója. Gospodarz uprzejmie odmówił, wyjaśniając, że oprócz kilku starych lokatorów ma nowych najemców, którzy wprawdzie zajmują tylko jedno piętro, ale zapłacili za wszystkie puste pomieszczenia, tłumacząc, że do pracy jest im potrzebny spokój. Zaproponował miejsce w drugim domu, należącym do syna, położonym w innej części miasta i ucieszył się, gdy oferta została przyjęta. Kitar najął dwie izby w małej kamieniczce na przedmieściu, dał zaliczkę i poszedł, z lekkim a porozumiewawczym uśmiechem zapowiadając, że wprowadzi się najpewniej za dwa dni, gdy tylko będzie gotowa jego towarzyszka... W domu zajmowanym przez Przyjętych zdążył jednak obejrzeć wiodące na piętro schody, zasuwę przy drzwiach, okiennice i pokoje, w których mieszkał kamienicznik z żoną.

Teraz siedział przy stole w tawernie i uczył się palić fajkę, pożyczoną od marynarza. Może Brorrok wiedział, co mówi, namawiając go, by palił dla zdrowia (musiał wiedzieć, bo inaczej nijak by nie dożył stu sześciu czy siedmiu lat), ale Kitarowi palenie w ogóle nie szło. Na jego żądanie marynarz kupił od oberżysty trochę dobrego (w każdym razie znośnego) tytoniu, bo najtańszy śmierdział nieumytą dziwką, szczurem i mokrą szmatą, ale wydatek zdał się na nic. Kapitan „Kołysanki” miał wrażenie, jakby ktoś go wędził od środka.

– Umrę młodo – zdecydował na koniec, po raz trzeci zaniósłszy się kaszlem. – Sto lat w męczarniach? Ja dziękuję. Powiedz jeszcze, że mam jeść jarzyny, pić tylko mleko... ekhe! khe!... Zabierz to ode mnie.

Marynarze radowali się zabawnymi niepowodzeniami kapitana. Majtek, do którego należała fajka, popisywał się, pykając ją z lubością i znawstwem; swoją drogą tytoń był naprawdę całkiem dobry, o niebo lepszy od wiórów, które popalał zwykle.

– Skąd się wziął zwyczaj palenia tego świństwa?

– No jak, skąd?... Nie wiesz, kapitan? – Marynarz obraził się szczerze. – No przecież, że z Garry! Ojczulo dawał mi fajkę, jeszcze zanim od ziemi odrosłem! No i... o! – Puknął się pięścią w pierś i naprężył solidny mięsień. – Dlatego u nas chłopcy takie mocne, a w tym twoim Armekcie, kapitan...

– No, uważaj – powiedział Kitar i marynarz od razu się zamknął, bo na moment zapomniał, że Armekt przy kapitanie można tylko chwalić. – Chcesz zobaczyć, jakie chłopcy są w Armekcie? To zaraz się spróbujemy.

Kitar był wysoki, dobrze zbudowany, i naprawdę potrafił przyłożyć. Jednak, skądinąd, słuszność miał raczej jego podkomendny. W Armekcie, podobnie jak wszędzie – w Dartanie, w Grombelardzie, czy na Wyspach – ludzie rodzili się różni. Zazwyczaj jednak jasnowłosi Grombelardzcy, choć średniego wzrostu, byli krępi, barczyści, ich kobiety zaś dupiate, niezbyt

urodziwe, za to silne, płodne i zdrowe. Dartańczycy i Dartanki słynęli z urody, Garyjczycy zaś z krzepy – nieco zbyt masywni, tak jak Grombelardczycy, zwykle jednak byli od nich wyżsi. Na tym tle synowie i córki armeckańskich Równin wypadali dość mizernie: przeważnie niewysocy, o raczej drobnej budowie, wydawali się jeszcze mniejsi za sprawą lekko smagłej cery i czarnych włosów. W krainach Szereru podśmiewano się z wąsatych Armektanek; rzeczywiście, dość łatwo tam było spotkać smolistowłosą brunetkę o górnej wardze ocienionej delikatnym lecz wyraźnym puszkiem; opowiadano też rubaszne żarty o ich owłosionych przedramionach i nogach (by nie wspomnieć o całej reszcie, dla żeglarskiej braci najważniejszej) – co nie zawsze mijało się z prawdą, a zwracało uwagę tym bardziej, że w odróżnieniu od Dartanek, Armeckanki nie miały w zwyczaju używać wosku do depilacji; była to moda, która nigdy się w Armeckie nie przyjęła. Krótko mówiąc, zdobywcy Szereru słynęli raczej ze zdrowia i długowieczności niż urody i krzepy. Ale, oczywiście, od wszystkich tych reguł istniały niezliczone wyjątki – i postawny, muskularny, po męsku bardzo urodziwy Kitar, ciemny blondyn o piwnych oczach, Armeckańczyk z dziada pradziada, był tego najlepszym przykładem.

– Pora iść – powiedział, dopijając piwo.

Marynarze dopili swoje.

Wyszli przed tawernę. Przy nożu był tutaj prawie każdy, ale cięższy oręż zwracał uwagę; topory i miecze trzymali więc pod kapotami.

Talanta była miastem małym. O jej znaczeniu decydował port, wokół którego, zwykłą koleją rzeczy, rozłożyły się liczne składy, siedziby przedstawicielstw handlowych, targowiska, tawerny i burdele dla ogromnych rzesz marynarzy. Ponadto, obok portu wojennego, wyrosły – od jakiegoś czasu niezbyt zatłoczone – kwatery dla oficerów i żołnierzy straży morskiej, których, wraz z rzemieślnikami i urzędnikami służącymi przy wojsku, w czasach największej potęgi cesarstwa, było bodaj więcej niż wszystkich niezwiązanych z wojskiem mieszkańców Talanty. Gdyby więc stolicy Wysp Barrierowych odebrano nagle koturny – handel morski i port wojenny – które ją wydzwignęły, skarłałaby w jednej chwili do rozmiarów miasta liczącego tysiąc mieszkańców. I dobrze, jeżeli aż tylu.

Kitar i jego żeglarze odbyli dość długi nocny spacer, przemierzając zaułki dzielnicy portowej, nim zapuścili się w uliczki właściwej Talanty; teraz już czekała ich przechadzka znacznie krótsza.

Człowiek, który w samym środku nocy niegłośnie lecz zdecydowanie dobijał się do okiennicy jednego z uspiomych domów, nie wzbudził niczyjej uwagi; karczmy w mieście otwarte były przez całą noc, wypić zaś i zabarłżyć w którejś z nich lubili nie tylko żeglarze – do mieszczańskich domów też zdarzały się późne powroty... Jednakże gospodarz kamienicy, którego obudzono we własnej sypialni, nie spodziewał się żadnych odwiedzin. Kołatanie nie milkło, więc kamienicznik wstał z łóżka. Odpaliwszy świecę od innej, zwanej „lichwiarzem” lub „błędny ognikiem” –

wolno płonącej i prawie niedającej światła, której zadaniem było tylko przechowywać płomień – zbliżył się do zamkniętego okna.

– Kto tam? – zapytał.

– No, nareszcie – usłyszał w odpowiedzi męski głos, skażony wyraźnym armektańskim akcentem; pobrzmiwało w nim zniecierpliwienie. – Ułożyłem się wczoraj z twoim synem, panie, w sprawie najmu dwóch izb. Zapłaciłem. Właśnie odmówiono mi do nich wstępu, twój syn chyba mnie nie poznał, wasza godność. Przeszedłem poskarżyć się i zażądać pomocy. To ty, panie, wskazałeś mi tamten dom. Mam teraz spać na ulicy?

Uchyliwszy lekko okiennicę, kamienicznik poznał mężczyznę.

– Ale... co opowiadasz, wasza godność?... – wymamrotał, strapiiony. – Odmówiono ci wstępu?... Już otwieram, poczekaj chwilę, panie...

Zamknął okno i podążył ku drzwiom.

– Śpij – powiedział po drodze, pochwycając pytające spojrzenie obudzonej żony.

Po chwili stał w otwartych drzwiach. Poirytowany przybysz za progiem spoglądał wyczekująco.

– Mówisz, wasza...

– To też sprawka twojego syna, panie? – przerwał Armektańczyk, pokazując palcem mroczne wnętrze domu za plecami gospodarza, który obejrzał się z najwyższym zdumieniem.

Kitar objął szyję nieszczęśnika przedramieniem i ścisnął – a ścisnąć potrafił. Jeden z jego żeglarzy oderwał się od ściany przy drzwiach i zręcznie wyjął świecę z osłabłej dłoni duszonego. Niedługo potem Kitar, ustrojony w szlafmycę zdjętą z głowy kamienicznika, znalazł się przy łóżku, w którym leżała gospodyni. Uniosła pytające spojrzenie, mrużąc oczy od blasku świecy – i zarobiła drewnianą pałką w ciemność. Kitar zdjął szmaty, którymi był owinięty oręż, sprawdził, czy mimowolnie nie zabił kobieciny, a upewniwszy się, że nie, wrócił do sieni, gdzie czekali jego piraci.

– Połóżcie go na łóżku obok żony – polecił, zdejmując szlafmycę i wskazując nieprzytomnego.

Wkrótce ostrożnie weszli po skrzypiących schodach na górę. Drzwi do Przyjętych były zamknięte. Wzruszywszy ramionami, kapitan „Kołysanki” sprawdził, że otwierają się do środka, po czym odszedł na bok i unosząc świecę dał znak marynarzowi – był to jeden z tych dwóch, których siła nie leżała w rozumie. Kitar widział zasuwę przy drzwiach na dole i wątpił, żeby na piętrze były mocniejsze skoble. Wielkie i grube chłopisko nabrało rozpędu, grzmotnęło barkiem w drzwi, poprawiło – i wleciało do środka. Ośmiu ludzi wskoczyło zaraz za nim i rozbiegło się po izbach, szukając mieszkańców.

W pokoju z wyrwanymi drzwiami spał pacholek. Obudzony włamaniem, wrzeszczał wniebogłosy, ale zamilkł rąbnięty mieczem w łeb, toporkiem w bark, a potem jeszcze raz w łeb

porwanym z podłogi zydlem. W kiepskim świetle nie było widać efektu, więc trzymający zydel marynarz sumiennie, na wszelki wypadek, jeszcze cztery czy pięć razy zamasyście grzmotnął, biorąc zamach znad głowy, po czym musiał przestać, bo od zydla odpadło siedzenie. Zapłonął oliwny kaganek, a potem świece na stole, sprawiedliwie obdzielane ogniem przez kapitana, który na koniec rozejrzał się i zapalił jeszcze dwie inne, osadzone w lichtarzu na ścianie. Z dalszych izb dobiegały wrzaski, ryki, odgłosy uderzeń i jakieś inne hałasy.

– Jeden! – tubalnie zawołał któryś z marynarzy i w następnej chwili u stóp Kitara wylądował trup jakiegoś dziadka z siwymi włosami; w każdym razie takie były na tej połówce głowy, która jeszcze wieńczyła porąbany korpus.

– I drugi! – wrzaśnięto zaraz potem. – Nikogo więcej, kapitan!

Niemłody nagi mężczyzna, słusznego wzrostu i postury, którego nie tyle wrzucono, co wepchnięto do oświetlonej izby, z brzuchem przebitym kilkoma sztychami, miał ponadto rozrąbany bark i przecięte gardło, w którym bulgotała wymieszana z oddechem krew. Po obu stronach szyi sikały dwie czerwone strużki. Nie wiadomo jakim cudem człowiek ten jeszcze trzymał się na nogach. Zatoczył się i uderzył plecami o ścianę, po czym zaczął się po niej zsuwać na podłogę. Kitar dobył miecza, sumiennie pchnął go w pierś, ale nie trafił w serce, więc wziął zamach, zamierzając rozrąbać czaszkę. Lecz w tej samej chwili charkoczący i rżący Przyjęty uczynił ruch, jakby strząsał wodę z mokrych dłoni. Ostrze sięgnęło celu i ze szczękiem zjechało po krzywiznie głowy, nawet jej nie drasnąwszy.

Zaraz potem Kitar stracił połowę ludzi.

Kamienna kula o takich rozmiarach, że dorosły mężczyzna nie objąłby jej ramionami, pojawiła się w powietrzu i runęła na podłogę, zarwała ją, po czym zniknęła, z hukiem spadając niżej. Przewrócił się stół i rozsypały wyrzucone z kandelabra świece. Druga kula, taka sama i podobnie zjawiająca się znikąd, pomknęła poziomo, uderzając nie w podłogę, a w ścianę – i w tle niezmiernego łomotu rozbrzmiał ochryply krzyk miażdżonych ludzi. Zataczając płaski łuk, unosząc się nad podłogą, szybował już następny monumentalny pocisk; przemknął obok twarzy Kitara tak blisko, że rozszerzone źrenice Armeктаńczyka dojrzały chropowatą i nierówną powierzchnię jasnoszarego kamienia. Kapitanowi „Kołysanki” wydało się, że śmiertelnie poraniony mężczyzna pod ścianą odzyskuje siły, już nie osuwa się ku podłodze, a prostuje. Nie sikała krew z tętnic, gardło chyba zasklepiło się, zniknęły rany na tułowiu... Trafiwszy nogą w dziurę, którą wyrwała w podłodze pierwsza z kamiennych kul, Kitar stracił równowagę i upadł. Płonęły jakieś karty i rulony, które spadły z przewróconego stołu, dając migotliwe światło, więc kapitan „Kołysanki” nie był pewien, co właściwie widzi... Kamiennie kule nieustannie, jedna za drugą, pojawiały się pod powałą i pchane niewidzialną siłą rozwalały ściany, za którymi darli się masakrowani żeglarze, po czym chyba mknęły dalej, wstrząsając całym domem, prawdopodobnie rozbijając mury; było jasne, że chałupa lada chwila cała się rozleci. Dwaj żeglarze, przewróceni

tak samo jak ich wódz, pełzną po obrzeżach roztrzaskanej podłogi, próbowali uniknąć zetknięcia z kamiennymi bryłami, a zarazem zbliżyć się do zastygłego pod ścianą, nieruchomego, a jednak straszego wroga. Okazało się jednak, że Przyjęty nie do końca kontroluje rozpetany żywioł – może było to niemożliwe, a może po prostu półprzytomny człowiek kontrolować go nie był w stanie?... Jedna z kul raptownie zmieniła kierunek lotu, o włos mijając tego, kto powołał ją do istnienia. Huknąwszy w ścianę tuż obok, przełamała ją i nieomal łagodnie potoczyła się po podłodze, jednak Przyjęty stracił oparcie za plecami. Z niepojętą żywotnością zaczął się podnosić, lecz Kitar już stanął na nogi i trzymał w ręku kawał złamanej belki, która odpadła od sufitu – gdyby nie wściekłość, zawziętość i pospolity strach, pytanie, czy w ogóle dźwignąłby coś takiego...? Obróciwszy się wokół własnej osi, krzyknął z wysiłku, grzmotnął przeciwnika i wypuścił z rąk belkę, której dłużej utrzymać nie był w stanie. Nie wyrządził wrogowi żadnej krzywdy, nie połamał gnatów, niemniej Przyjęty poleciał w bok. Byłby spadł przez dziurę w podłodze, lecz zatrzymał się na blacie przewróconego stołu, wokół którego płonęły dokumenty, zanurzone w płamie oliwy do kaganków – i tylko dzięki zrządzeniu losu Kitar zwyciężył w tej niezwykłej walce. Czymkolwiek naprawdę była „kamienna skóra” nakładana przez matematyka Szerni, zetknięta z ogniem, w jednej chwili stanęła w płomieniach. Nie wiadomo, czy posiadacz owej niepokonanej zbroi w ogóle wiedział, jak bardzo jest wrażliwa na ogień; w mgnieniu oka przemieniony w błękitno-czerwoną kulę – bo spowijające go płomienie podbarwione były właśnie błękitem – wyjął z bólu, miotał się po izbie. Równie głośno darł gębę Kitar, cofający się ku drzwiom, a potem czekający przy nich na ocalałych podkomendnych. W dalszych izbach, zburzonych przez kamienne kule, właśnie waliły się sufity, rozpadały ściany – tam nie było już kogo ratować. Dwaj żeglarze wyskoczyli z izby i raczej spadli niżli zbiegli na dół po przekrzywionych schodach. Zdyszany Kitar jeszcze przez długą chwilę patrzył na konającego wroga. Żywcem pieczony w swojej „zbroi” Przyjęty pozbył się jej chyba, bo płomień zgasł, ustępując miejsca dymowi, w którym czuć było obrzydliwy swąd przypalonego mięsa. Od sufitu odpadła kolejna belka i kapitan „Kołysanki” mógłby przysiąc, że usłyszał chrupnięcie łamanych żeber, gdy uderzyła w czarny, częściowo zwęglony korpus próbującego dokąś pełzną człowieka. Sufit zaczął się walić naprawdę; Kitar wybiegł i wylądował na parterze razem ze schodami, które odpadły od rozchwianej ściany. Potłukł się, ale na szczęście nie połamał. Nie czekając już na nic, wrzasnął na marynarzy i pobiegli, zostawiając za plecami walącą się kamienicę, z ruin której buchały dym i kurzawa. Pod rozbitą ścianą leżała wielka kamienna kula. Ciemna ulica budziła się, mrugając światłami w oknach, trzaskając otwieranymi okiennicami. Rozbrzmiewały krzyki mieszkańców, tonące w hałasie rozpadającego się w gruzy domu.

* * *

Rano na miejscu niezwykłego zdarzenia kręciło się paru żołnierzy, jacyś niepozorni ludzie –

pewnie urzędnicy Trybunału – a dokoła stało mnóstwo gapiów. Jedni odchodzili; na ich miejsce przybywali nowi, bo wieść o zdumiewającym zawaleniu się kamienicy, w której przecież nie wybuchła beczka z prochem, w mgnieniu oka obiegała całe miasto. Oglądano zagrzebane w gruzach wielkie kule z szarego kamienia, pokazywano je sobie, dociekano i zgadywano skąd się wzięły. Jakiś mężczyzna, wypytywany przez żołnierzy, wycierał nos i wilgotne oczy rękawem – Kitar domyślił się, że to drugi syn właściciela domu, nie ten, którego znał. Obok lamentował niekompletnie odziany człowiek – być może jedyny mieszkaniec, któremu udało się uciec. Z ruin, częściowo spalonych, wydobywano ciała. Kapitan „Kołysanki” stał w tłumie gapiów i czekał. Niewiele ryzykował; nawet gdyby jakimś cudem ktoś w nim rozpoznał człowieka dobijającego się nocą do zamkniętego okna – nic by mu nie zrobiono. W Talancie, wojennym porcie, którego nazwę każdy pirat zawsze wymawiał z nienawiścią, było teraz bezpiecznie jak w domu. Wieczne Cesarstwo upadło tak nisko, a potrzebowało pirackich okrętów tak bardzo, że nikt tutaj nie był równie bezpieczny, jak kapitan okrętu spod czarnego żagla. Pokazałby palcem swoją „Kołysankę” i gończy urzędnik Trybunału odwróciłby się plecami, mamrocząc coś pod nosem – przeprosiny albo przekleństwa. Marynarze z „Kołysanki” musieliby chyba metodycznie zacząć palić miasto, dom po domu, by cesarscy wojacy wzięli się do roboty. Zrujnowana, należąca do „nikogo”, kamieniczka?... Obchodziła cesarskich akurat tyle, co zadżgany o północy w porcie pachół, nie wiadomo komu służący.

Pewnie wypatrywał przybycia jakiegoś okrętu.

Wydobyto zmasakrowanego, nadpalonego trupa starca o siwych włosach. Potem zaczęto znosić ciała marynarzy, co ich stojącemu w tłumie komendantowi było bardzo nie w smak. Patrzył na swoich żołnierzy i naprawdę szczerze żałował, że nie może im sprawić uczciwego morskiego pochówku. Dowódca powinien dopilnować takich spraw; był to winien swoim podkomendnym.

Znaleziono jeszcze kilka ciał, między nimi właściciele kamienicy – pozostałe dwa należały chyba do najemców izb, którzy mieszkali nad Przyjętymi.

Kitar czekał, czekał – i się nie doczekał.

W nocy izba płonęła. Być może konający Przyjęty spalił się niemal doszczętnie, a to, co zostało, przykryły gruzy. Najpewniej tak właśnie było. Ale Kitar lubił wierzyć tylko własnym oczom. Siwowłosa staruszek bez wątpienia był jednym z uczonych – Ridareta miała więc o jednego wroga mniej. Ale ten drugi...

Szerń Szernią, Pasma Pasmami. Kitarowi nie chciało się wierzyć, by Przyjęty – porąbany, popalony, miażdżony całymi spadającymi nań piętrami domu – wyszedł żywy z opresji. Niemniej jednak, trupa nie widział, a w zamian był wcześniej świadkiem, jak na ciele wroga zasklepiały się rany. Śmiertelne rany. Z czystym sumieniem mógł więc sobie teraz powiedzieć: „Chyba go zabiliśmy”.

Ale coś mu mówiło, że nie.

2.

Przyjęta obudziła się z krzykiem. Leczący popękane zebra Gotah wciąż potrzebował opieki – tymczasem to jemu przyszło opiekować się roztrzęsioną, z dnia na dzień tracącą siły żoną, z której zawieszona nad światem potęga uczyniła sobie żywą zabawkę.

Przyjęta zdradziła swego agarskiego sojusznika, któremu zawdzięczała ocalenie męża. Posłuszna rozkazowi pirackiego księcia, uciekła, zabierając Gotaha z pokładu przeklętego okrętu – ale nie wróciła na Agary, choć Raladan tego chyba od niej oczekiwał. Obiecała mu wyjaśnienia, powiedziała: „Zaopiekuję się twoją córką; zakończę tę niedorzeczną wojnę” – i uciekła. Porwała rannego, cudem odzyskanego męża daleko, jak najdalej... W bezpieczne miejsce. Do domu. Do pięknego, cichego domu w Dartanie. Nie docierała tutaj słona bryza morska; nie było przeklętych kobiet-Rubinów, morskich rozbójników, ani noszących groźne nazwy żaglowców...

Ale, niestety, nie było też spokoju.

Zgodnie z Dartańskim obyczajem małżeństwo Przyjętych zajmowało dwie położone obok siebie sypialnie. Zwłókłszy się z łóżka, Gotah pokuśtykał do drzwi, otworzył je i znalazł się w sypialni Kesy. Obudzona krzykiem chorej pani służka, stale obecna u jej wezglowia, podawała właśnie pucharek napełniony wodą. Drżącymi dłońmi Przyjęta uniosła go do ust, rozlewając trochę wody na poduszkę.

– Idź – powiedział Gotah do niewolnicy. – Wrócisz, kiedy wyjdę.

Dziewczyna oddaliła się posłusznie.

Skrzywiony z bólu Przyjęty ostrożnie usiadł na brzegu posłania. W półmroku – bo płonęły tylko dwie świece – niewyraźnie rysowała się blada twarz i błyszczące gorączką oczy Kesy. Nie oszczędzono jej niczego. Walczyła z Pasmami Szerni, które wciąż wracały, próbując uczynić ją boginią; zmagła się z rozterkami, a do tego jeszcze była po prostu chora. Przeziębiona.

– Jak długo to ma trwać? – zapytał Gotah. – Co mam zrobić, powiedz? Tak bardzo chcę ci pomóc... i tak bardzo nie umiem.

– Ja... próbuję... – odrzekła półprzytomnie, bo nie rozbudziła się do końca, a gorączka przeszkadzała zebrać myśli. Ale już dochodziła do siebie. Była naprawdę silna; zawsze w końcu udawało jej się skupić, odszukać sens i znaczenie słów męża. Nieprawda, że nie pomagał. Sama... pozbawiona wsparcia... nie umiała się zmusić do niczego. Odruchowo tylko stawiała nowe mury, zapory... Broniła się przed klątwą wszechmocy.

– Rozmawiajmy – poprosiła po raz nie wiadomo który w ciągu minionych kilku dni. – Rozmowa to... zewnętrzne myślenie.

A jednak milczeli, bo niewiele było do powiedzenia. Już dawno wszystko sobie wyjaśnili.

Dwoje Przyjętych nie potrzebowało wielu słów, żeby się porozumieć.

Wszechmoc kosztowała. Nie mogła współistnieć ze świadomością. To dlatego Szerń była martwa i bezrozumna, podlegająca jedynie prawom matematyczno-przyrodniczym, nie zaś porywom serca i nakazom rozumu. Martwa potęga rozpostarta nad setkami mil ładu, obojętna i zimna, nieczuła, mogła zawrzeć w sobie dowolnie wielką moc, powoływać do istnienia światy zamieszkane przez rozumne istoty – bo nie znała bólu, przerażenia, rozpaczy, nie wiedziała co to miłość i nienawiść, nie miała żadnych rozterek. Szerń była tylko rzeczą.

Kesa nie.

Wiedziała już, dlaczego Największy Kraf, żywa część Szerni wyłoniona z nieożywionej potęgi, trwał w wiekuistym uspieniu, swego rodzaju półśmierci, budząc się raz na wiele tysięcy lat, by w chwili krótkiej jak okamgnienie powołać do noszenia rozumu kolejny zwierzęcy gatunek. *Kraf* – czyli: nie-czuwający... Był nim właśnie dlatego, że wszechmoc nie mogła trwale współistnieć ze świadomością. Obumrzeć musiało jedno albo drugie.

Gdy obumierała świadomość, powstawała kolejna martwa i bezrozumna siła, podobna do Szerni. W coś takiego nieuchronnie przemieniali się wszyscy bogowie wszechświata.

Lah'egri, odnaleziona część Szerni, symbolizowała kiedyś treści Pasm. Ale nie wolno jej było do nich sięgnąć. Teraz, uzyskawszy przyzwolenie, sięgnęła kilkakrotnie. Bardzo, bardzo głęboko – nie tak jak Moldorn, który lekko dotykał Szerni, wyskubując z niej drobne okruszki. Dla ratowania męża Przyjęta brutalnie wtargnęła w treści wielu Pasm, zmuszając je do udzielenia jej pomocy. Ale całą duszą sprzęgła się z nimi. Naruszyła Równowagę i mogła ją przywrócić tylko na dwa sposoby: umierając i stapiając się z treściami Szerni, albo budując nowy ład. Odzyskując spokój. Własny.

Jedna myśląca, obdarzona świadomością istota; jedna dusza. Tyle wystarczyło, by pomieścić potęgę, która – pozbawiona świadomości – rozpościerać się musiała nad setkami mil ładu...

Dusza Przyjętej przypominała naczynie, które połączono z innym. Rozpętana w tym naczyniu burza owocowała wahaniami poziomu cieczy w drugim. Należało unicestwić pierwsze naczynie – albo uspokoić burzącą się w nim ciecz.

Kesa próbowała uczynić to drugie. Ale zużywała wszystkie siły, broniąc się przed wiedzą, której udzielała jej Szerń. Wszechmoc... Nie, to było zbyt wielkie słowo... Prawdziwa wszechmoc, pozwalająca gasić i zapalać gwiazdy, na pewno nie istniała, a jeżeli nawet, to nie pod malutkim niebem Szereru. Ale nadludzka potęga? Tak. Szerń próbowała uczynić ją boginią.

Przyjęta chciała zostać sobą. Śmiertelniczką.

„Pamiętasz, jak mówiłam, że mogę zrobić właściwą rzecz we właściwej chwili?” – przypomniała mężowi. „Słusznie obawiałam się skutków. Tamtej nocy bardzo czegoś chciałam i... dowiedziałam się o twoim losie. A wtedy wyszarpnęłam z Szerni wszystko, co mi było potrzebne... i sto razy więcej rzeczy zbędnych, ale jakoś widocznie... Wszystko to jest ze sobą

połączone. Posiadłam ogromną wiedzę o sprawach, które mnie... które nas w ogóle nie dotyczą. Nie chciałam tego. Chciałam tylko ratować męża. Nie wiedziałam, że będzie to możliwe dopiero po przerwaniu wielkiej tamy, utrzymującej całe jezioro. Szerń przygniotła mnie tak, jakby mówiła »Chcesz ratować męża? Proszę bardzo; już możesz«. A teraz muszę... uspokoić się. Znaleźć w tym wszystkim sens. Rozmawiaj ze mną. Przekonuj. Nie pomożesz mi w żaden inny sposób... ale to dużo. Dużo». Teraz znowu chciała rozmawiać.

– Mów ze mną – żądała. – Rozmawiajmy, proszę.

Gotah smutno pokręcił głową.

– Wszystko już powiedziałem. Nie umiem cię przekonać. Może się mylę, błędzę... a może...

– Powtórz stare argumenty, wymyśl nowe! – domagała się, zamykając oczy i przykładając dłoń do rozpalonego czoła. – Rób to przez cały czas... bo niedługo przestanę cię rozumieć. Rozmawiaj ze mną! Gdzie jest słuszość? Przy kim racja? Ja muszę wiedzieć, muszę mieć pewność... odzyskać spokój, równowagę. Chcesz, żebym zamieniła się w rzecz?... Mów: czy postępowałam słusznie? Czy mogłam postąpić inaczej?

Gotah milczał. Już na te pytania odpowiadał, a przynajmniej próbował.

Kesa podjęła głośnym szeptem, gorączkowo:

– Tylko popatrz: kierowani szlachetnymi intencjami ludzie wyruszają do walki o wielką, wielką sprawę... Czworo Przyjętych próbuje odsunąć od całego swego świata groźbę unicestwienia. Ceną ma być życie jednej małej piratki, zbrodniarki i okrutnicy. Wybór oczywisty. Ale kilka miesięcy później już nic nie jest oczywiste. Działania tych czworga Przyjętych przybliżyły do świata wizję katastrofy, zamiast ją oddalić. To ja zachwiałam Szernią, której Pasma uginają się teraz pod naciskiem Wstęg Aleru; nie wiadomo, jaki będzie tego skutek. To ty sprawiłeś, że Riolata spotkała się z Delarą. Czy teraz runie Feren?... Zaczne intencje i jak zwykle... oplakane efekty poczynań. Rosną długi zaciągnięte przez szlachetnych zbawców świata wobec niegodziwców. Żyjesz, bo pirat, opiekun dziewczyny, którą chciałeś zabić i która się przed tym bronila, znalazł w sercu litość dla obcej kobiety, twojej żony. Nikt nigdy nie uczynił dla nas więcej. Ty jednak dla niego takiej samej litości nie znalazłeś. Wciąż polujemy na jego córkę; po Bezmiarach pływa okręt, którego kapitan za garść złota przyrzekł nam przywieźć jej głowę. Mało tego: ta dziewczyna, okrutnica, morderczyni... niczemu właściwie nie jest winna. Skrzywdzony dzieciak, któremu uczyniono coś nieludzko podłego. Najdosłowniej nieludzko... bo przecież mówimy o przedmiocie albo co najwyżej zjawisku. Odebrano jej życie i zaraz oddano, ale razem z niezmywalnym piętnem, z obrzydliwą klątwą. Ona... zmagala się i nadal zмага z czymś, czemu nie sprostaliby, być może, ścigający ją, szlachetni Przyjęci. Na pewno nie sprostaliby Przyjęta – słaba, samolubna kobieta, gotowa poświęcić wszystko... wielkie i szczytne cele... ideały... Wszystko dla małej, prywatnej sprawy: ocalenia jednego, bliskiego jej człowieka. Ta Przyjęta mogłaby mordować... torturować... Zbawczyni Szereru. To jest dobre? To jest

sprawiedliwe? Taki świat chcemy ocalić i zachować? A niech szczerze.

– A jednak, Keso, tak właśnie jest – rzekł ze smutkiem, bo szczerze podzielał niektóre rozterki żony, tyle tylko że od spokoju jego sumienia bardzo niewiele zależało.

– Co? Co „tak jest”? – pytała niecierpliwie i bez mała gniewnie. – Co to znaczy: „tak jest”?

– Nie istnieją światy idealne; nic nie wiemy, jakoby istniały. Niepodobieństwem jest nawet stworzenie modelu takiego świata, matematycznego bądź filozoficznego... wszystko jedno, jakiego. Dotykamy tu problemów, od których chciałem się odżegnać raz na zawsze, bo to nawet nie jest ćwiczenie umysłu; raczej jego zamulanie. Czy nieistnienie jest lepsze od istnienia? Czy wolno powoływać na świat dziecko, które, nie istniejąc, na razie niczego nie żałuje ani nie pragnie, wkrótce zaś może pragnąć i żałować wszystkiego? Gdyby prawdą było, że najgorsze istnienie jest lepsze od nieistnienia, to nikt nigdy nie zginąłby z własnej ręki. Odgradzeni od samobójstwa strachem, instynktem przetrwania, mamy w sobie czasem dość rozpacz, by przełamać wszystkie bariery. Gdyby tego strachu i tego instynktu nie było, zaraz wyszłoby na jaw, jak „wspaniałym” darem jest świadome życie. Ale ja mam... mam w pogardzie te problemy, Keso. Bo dotyczą wyłącznie światów wydumanych, bytów wydumanych, istot wydumanych... To pustosłowie i bełkot odwołujący się do nie wiadomo czego, a my przecież istniejemy realnie, tu i teraz.

– Tak, za sprawą martwego, ale za to wszechmocnego truchła, które sporządziło nasz świat zupełnie tak samo, jak spadający z urwiska kamień robi w ziemi dziurę. Zwykle prawo przyrody, które opisać można za pomocą wzorów i liczb... Nienawidzę tego czegoś. Ja nie jestem kamieniem, nie jestem Szernią i nie mogę istnieć ani działać tak jak one. Bezmyślnie i beznamiętnie. Tak jakbym spadała z urwiska, miała zaś za zadanie wybić w ziemi dziurę albo odbić się od niej, jeśli będzie twarda i skalista.

– Ale nikt tego od ciebie nie żąda. Bezmyślność? Przecież... Posłuchaj mnie, Keso – rzekł powoli i dobitnie Gotah, bo przyszło mu naraz do głowy, że pozwolił się sprowadzić żonie na manowce; poszedł za nią jak cielę na sznurku i nigdy nie powie nic mądrego, skoro przyjął tok rozumowania półprzytomnej, rozdygotanej kobiety. – Posłuchaj naprawdę uważnie. Otóż rzecz w tym, że żądasz niemożliwego. Chcesz odpowiedzi? To umieraj, bo nie dostaniesz. Nikt nie rozstrzygnie wszystkich twoich wątpliwości i rozterek. Ani twoich, ani żadnych innych tej miary. Przyszło nam żyć w świecie pełnym sprzeczności i jedyne, co może uczynić istota prawdziwie rozumna, to pogodzić się z tym. Rozstrzygnięcie, że to jest dobre, to złe, to jedynie słuszne, a tamto niesłuszne, należy pozostawić głupcom. Nieszczęśnikom, którzy muszą poukładać sobie świat, bo w normalnym, niepoukładanym, jest im niewygodnie. I nędznikom szukającym usprawiedliwień dla swych czynów. Szerni ma reguły, którym podlega – ty masz rozum, którego używasz, i porywy serca, za którymi idziesz. Przecież wiemy, że jedno i drugie, myśli i uczucia, to właśnie odbicie reguł, którym podlegają Pasma Szerni.

– Tak, Prawa Całości.

– Prawa Całości. Pomyśl, co to znaczy. Kierując się rozumem i sercem, zawierając przy tym różne kompromisy, zrobiliśmy to, co zrobiliśmy. Pozostaliśmy wierni swoim przekonaniom, wierni sobie. Nie sprzeniewierzyliśmy się niczemu, nie zostały złamane żadne prawa. Złamałibyśmy je wówczas, gdybyśmy dobrowolnie działali wbrew uczuciom i wbrew rozumowi.

– Właśnie usprawiedliwiłeś, najdroższy, każdego kto wtargnie do naszego domu, by zgwałcić i zabić twoją żonę, ukraść zaś kosztowności – zadrwiła gorzko. – Skoro rozum temu komuś podpowiada, że w ten sposób wyjdzie na swoje, chętkę zaś na piękną Kesę miał od dawna...

– Tak – uciął Gotah.

– Co: tak?

– Usprawiedliwiam.

I Kesa zrozumiała, co próbuje wytłumaczyć jej mąż.

Milczała przez długą, długą chwilę.

– Chyba... słusznie – powiedziała niemal bezgłośnie, lekko marszcząc wspaniałe brwi i wpatrując się gdzieś, w głąb mrocznego pokoju.

– Ty zaś zechciej usprawiedliwić mnie – dodał (zgoła niepotrzebnie) Gotah – gdy na widok włamywacza, idąc za głosem serca i rozumu, roztrzaskam mu głowę kandelabrem. Czy zgodzisz się, byśmy takiego zdarzenia nie rozpatrywali w kategoriach dobra i zła, słuszności bądź jej braku, a tylko widzieli w tym potwierdzenie reguły przyrodniczo-matematycznej, jedno z Praw Równowagi?

Rozpłakała się nagle, ale i szczerze uśmiechnęła przez łzy – po raz pierwszy od dłuższego czasu.

– Jesteś mądry i bardzo cię kocham – powiedziała, rozmazując łzę na policzku.

– Przyrodniczo i matematycznie – rzekł z dobrodusznym sarkazmem, dotykając ustami drugiej łzy i powstrzymał się od okrzyku, bo nieludzko przy tym zaboląły go żebra. – Ani słusznie, ani niesłusznie.

Maskując ból i wysiłek, stanął obok łóżka.

– Próbujesz złapać równowagę, nieustannie skacząc po rozchybotanych kamieniach. – Gotah był poczciwie nieznośny ze swoją skłonnością gaduły do szukania wciąż nowych przybliżeń i mnożenia uroczych przypowieści. – A tymczasem tracisz tylko siły. Stań na twardym gruncie i dopiero wtedy przyjrzyj się kamieniom, oceń, które są rozchybotane, które nie... Śpij, a przed zaśnięciem pomyśl, co powinniśmy robić dalej. Pomarż sobie o tym do poduszki.

– Ale tego, co zrobiliśmy, nie można przecież unieważnić.

– Nie ma takiej potrzeby. To, co zrobiliśmy dotąd, jest ogromnie ważne, bo czegoś nas nauczyło, zarazem zaś nieważne o tyle, że już się nie odstanie. Znacznie większą

odpowiedzialność, Keso, ponosimy za to, co jeszcze zrobimy, niż za to, co już uczyniliśmy. Myślenie o przyszłości jest... konstruktywne. A więc myśl o niej, bo jesteś mądra i od twoich decyzji bardzo dużo zależy. Rano powiesz mi, co wymyśliłaś. A wtedy chętnie posprzeczam się z tobą.

* * *

Jednak do następnej poważnej rozmowy doszło dopiero trzy dni później.

W przestronnym ogrodzie upał nie doskwierał. Piaszczyste alejki wiły się w cieniu drzew, opasywały kilka małych sadzawek, kładły się wzdłuż równych żywopłotów. Ładny dom, piękny ogród, pracowita i wierna służba...

Po błękitnym niebie wolniutko przemieszczały się białe obłoki. Kesa leżała na trawie przy sadzawce, patrzyła na chmury i bawiła się wrzucaniem kamyczków do wody. Miała na sobie lekką domową sukienkę z białego jedwabiu, rozciętą tu i ówdzie, spiętą złotym motylem na piersiach i przepasaną łańcuszkiem – była to szatka podobna trochę do noszonych przez niewolnice, chociaż, oczywiście, o wiele staranniej i szykowniej wykonana. Patrzący na żonę Gotah poczuł się śmieszny – bo sentymentalny. Gdy zobaczył ją po raz pierwszy, miała na sobie strój bardzo podobny... Teraz zrobiło mu się ciepło koło serca.

Nie słyszała, jak nadchodził. Nie chciał jej przestraszyć, więc cichutko kaszłał. Obejrzała się przez ramię.

– O... tak – powiedziała z nieoczekiwaną powagą. – Popatrz na ten ogród i tam dalej, na ściany naszego domu... Widzisz? To teraz usiądź tutaj, obok mnie. Właśnie myślałam o domu, ogrodzie, służbie... Zdążyłam jeszcze pomyśleć o tobie i od razu przyszedłeś. Mam wszystko. I już nigdy tego nie zostawię.

– Ani ja – rzekł Gotah, z niejakim trudem lokując wciąż obolałe ciało na trawie.

Delikatnie dotknął palcem ciemnej brwi żony. Przesunął wzdłuż wygiętej linii.

– Będę tu tak z tobą siedział i siedział – dorzucił. – Choćby do końca życia.

– Naprawdę? Czy tak tylko sobie mówisz? – zapytała wciąż z tą samą powagą.

Zdziwił się.

– A ty?

– Ja mówiłam poważnie.

– Hm... – mruknął pod nosem i spoważniał tak samo jak ona, bo zrozumiał, co miała na myśli. – Wiem, że masz dosyć przygód, ale...

– Nie chcę słyszeć żadnego „ale”. Rzucam wszystko, zostawiam. Uciekam. Tutaj jest mój dom, moje schronienie. Wychodząc z niego, krzywdzę siebie i innych. Gorzej, bo nie jestem zwykłą kobietą, lecz Przyjętą. Mogę skrzywdzić... po prostu cały świat. Naruszyłam równowagę Szerni – mówiła cicho i spokojnie, ale bardzo stanowczo. – Wygląda na to, że nic się nie stało,

ale może wystarczyło tylko trochę mocniej poruszyć Pasmami, żeby...

– Keso...

Uparła się.

– Nie. Już dosyć tego. Niemądrej zabawy w ratowanie świata. Gdy przyjdzie tu jakiś zbawiciel, zaraz mi go pokaż, a najlepiej od razu rozkaż spuścić psy. Będzie to akt miłosierdzia, bo Szerń wprawdzie zostawiła mnie w spokoju... ale wiem i pamiętam dość dużo, żeby nasz gość miał się z pyszna. Lepiej niech ucieka przed psami.

Choć Gotah zdołał zrobić wyłom w murze, to jednak walny szturm do twierdzy Kesa przypuścić musiała sama. I wygrała – ale poniosła straty. Jak to w bitwie.

Postradała całą odwagę.

Roześmiała się nagle, bo był to dzień, gdy kolejno ziszczało się wszystko, o czym mówiła, albo nawet tylko myślała. Wielkie kosmate zwierzę, zziąbane, z ociekającym śliną ozorem wywieszonym z pyska, wypadło właśnie zza żywoplotu i radośnie rzuciło się na panią, której tak długo, tak straszliwie długo nie było w domu... Zbyt długo dla wiernego psiego serca.

A od kilku dni znowu była!

Kesa lubiła psy. Mieli trzy; nazywały się Pancierz, Wełna i Grombelard. Psisko łączywie napiło się z sadzawki i znowu skoczyło na Kesę. Przygnieciona do ziemi, śmiejąc się i broniąc tyle o ile, Przyjęta pozwoliła Grombelardowi „ucałować się” w nos i policzek. Miała po tym mokrą całą twarz.

– A... fu! – powiedział Gotah, który też lubił psy, jednakże bez przesady. – Najpierw on, potem ja... Leżeć! Grombelard, leżeć!

Grombelard słuchał swego pana tak, jak wszystkie psy swoich panów... jeśli oprócz tego miały panie. Pognał alejką z powrotem, uradowany gwizdaniem pachółka, który opiekował się całą sforą. Pachół, hah! Ten to był bardzo mądry, rzucał patyk! Nie to, co Gotah. Gbur, którego nie można pocałować.

– Sam widzisz – rzekła, wycierając twarz, i Gotah zrozumiał, że znajduje się na przegranej pozycji. Skoro argumentu mógł dostarczyć nawet uśliniony Grombelard.

– Dobrze – powiedział sucho, bo potrafił rozpoznać babskie „Nie i już!”. – Niech tak będzie. Grunt, że wyzdrowiałaś. Nie leż na gołej ziemi, ciągle pokaszujesz – napomniął.

Podniósł się i ruszył do domu.

– Ale... – powiedziała. – Ty... nie gniewasz się?

Gotah stanął. I może po raz pierwszy w życiu odezwał się do żony ostrym tonem:

– Nie, Przyjęta, nie gniewam się. Rozumiem i poniekąd przyjmuję do wiadomości twoje argumenty. Podzielam punkt widzenia, ależ tak. Tyle tylko że po Bezmiarach wciąż pływa opłacony przez nas łowca głów. W Talancie czekają nasi towarzysze, jeśli nawet nie przyjaciele. Gdzie indziej czeka na ciebie wódz pirackiej floty i księżę pirackich wysp, któremu coś

obiecałaś...

– Ale...

– ...i jeśli połowa z tego, co o nim mówią, jest prawdą, to ten człowiek pewnego dnia znajdzie ten dom, ten ogród, twoje psy i ciebie. I czekają na mnie... uśmiejesz się... moi żołnierze. Ludzie, których wynająłem za pieniądze, którzy mnie bronili, a teraz jęczą w niewoli. Nie wiem, ilu z nich żyje, może już tylko jeden albo dwóch; to obojętne. Nie, już nie będę zbawiał świata. Idę tylko załatwić te sprawy. A potem wrócę do tego domu, tego ogrodu, tych psów... Przede wszystkim do ciebie, Keso.

Poszedł w stronę domu.

3.

Ktokolwiek był na dworze cesarzowej w Kirlanie, a następnie przyjechał do Rollayny i porównał go z dworem władczyni Dartanu, ten już wiedział, gdzie mieści się stolica Szereru. Ktoś taki bez kłopotu mógł udawać jasnowidza-wróżbitę, wyrokując o zdarzeniach i zmianach mających nastąpić w ciągu najbliższych pięciu lub dziesięciu lat. Dwory obu monarchii były bardzo podobne, a zarazem tak różne, jak to tylko możliwe. Tu i tam w świetnych wnętrzach przelewał się stubarwny tłum domowników, urzędników, petentów – ale były to różne tłumy. W Dartanie wszyscy czegoś chcieli, o coś zabiegali, na setki uczciwych i nieuczciwych sposobów budowali swoją przyszłość, kariery, pożąдали stanowisk, zaszczytów, próbowali wkraść się w łaski osobistości znamienitszych od siebie, a zazdrośnie strzegli przywilejów przed mniej znamienitymi. Tymczasem w Armeckie królował nastrój wyczekiwania. Wszyscy wszystko odkładali na później; pałac Najgodniejszej Cesarzowej przypominał dom, którego mieszkańcy gotowi są do podróży, lada chwila mają wyjść za próg, niczego więc już nie robią, bo nie warto. Najpierw podróż – potem wszystko inne.

Nie o podróż jednak chodziło, lecz o wojnę. Być może najważniejszą w armeckańskich dziejach.

W Dartanie nikt o wojnie nie myślał. Było jasne, że wkrótce nastąpi, ale liczyło się tylko to, co potem. Dartańczyk Czystej Krwi żył już kiedyś pod panowaniem Kirlanu; teraz miał własną władczynię w Rollaynie, ale gdyby znowu miała ją zastąpić armeckańska cesarzowa... No cóż. Należało to brać pod uwagę i postępować roztropnie – tylko tyle. Patrzono daleko w przyszłość.

Armeckańczycy próbowali uratować i zachować przeszłość.

Szczupły mężczyzna o chłopięcej twarzy, w której nikt nie doliczyłby się trzydziestu jeden lat, widział te wszystkie różnice. Był armeckańskim wtrętem w dartańską rzeczywistość. Mijając nielicznych halabardników, szedł pustym korytarzem jednego z wieżowych skrzydeł pałacu, podczas gdy w środkowej parterowej części przelewały się tłumy. Z tysiąca obecnych w tym domu ludzi był jedynym, który nie miał nic do zrobienia, nie załatwiał żadnej sprawy, za nic nie odpowiadał, niczego nie planował, ani nawet nie pożywał. Jego przeszłość unieważniono, przyszłość zaś wpisano w zimne mury tego domu.

Armeckański książę, brat cesarzowej, noszący w Dartanie tytuł Jego Królewskiej Wysokości.

Nikt. „Małżonek”, częściej jednak „Książę Zajączek”. Łagodnie przepędzany z kąta w kąt przez służbę. Grzecznie powstrzymywany przez pałacowe strażę przed wchodzeniem do tych, to znów innych pokoi. „Z rozkazu królowej”. Bywało, że Książę Zajączek musiał szukać okrężnej drogi do własnej sypialni, bo sąsiadowała z sypialnią jego królewskiej małżonki, najkrótszą drogę zaś zagradzały pokojeienne, w których królowa Ezena – bywało, że do późnej nocy –

podejmowała gości, prowadząc trudne negocjacje, załatwiając sprawy państwowe... Jego Królewska Wysokość Książę Zajączek nie mógł ni z tego, ni z owego rozpraszać monarchini i jej wysoko postawionych gości spacerami z komnaty do komnaty.

A może miałby ochotę trochę pospieszować na rzecz najgodniejszej siostry w Kirlanie?...

W olbrzymim pałacu dartańskich władców znalazł tylko jedną istotę, która miała dlań coś więcej niż grzeczną obojętność. Uśmiech, plotkę, krótką rozmowę o niczym... Cichy, łagodny mężczyzna, mający w żyłach najszlachetniejszą krew Szereru, ukradkiem i wstydliwie zakochał się chłopięcą miłością w niewolnicy, która umiała w nim dostrzec człowieka. Nie Armektańczyka, nie małżonka królowej i na pewno nie Księcia Zajączka. Widziała i potrafiła zrozumieć urodzonego na stopniach cesarskiego tronu, a jednak zupełnie zwyczajnego, przedwcześnie owdowiałego i nieszczęśliwie ożenionego po raz drugi, łagodnego człowieka, dla którego w świecie pod Pasmami Szerni nigdzie nie było miejsca.

Książę Awenor, noszący to samo dumne imię, co surowy i władczy cesarz-ojciec, szedł pustym i zimnym korytarzem, tęskniąc do króciutkiej, zdawkowej rozmowy z uśmiechniętą Czarną Perłą królowej, śliczną Hayną, która udała się w podróż i nieprędko miała wrócić do Rollayny.

Na szczęście istniał w tych murach jeszcze jeden maleńki okruszek ciepła. Różowa drobina, której istnienie nadało życiu księcia Awenora sens. Sens o wiele dlań głębszy niż próba przypiecztowania sojuszu dwóch mocarstw.

Miał już kiedyś taką małą gwiazdkę – ale zgasła.

Wymoszczona puchową pościelą kołyska stała w niszy pod oknem, przez które wlewało się żółte światło słońca. Na widok wchodzącego do komnaty Małżonka mamka i starsza piastunka wstały i pokłoniły się. Piastunka położyła palec na wargach, przestrzegając tym gestem, że maleńki następca tronu śpi. Obie kobiety uśmiechnęły się, gdy jego królewska wysokość z wielką ostrożnością podszedł na palcach. Były mu życzliwe; widziały codzienną troskę i najszczerzą ojcowską miłość, zupełnie oderwaną od planów dynastycznych, trosk o stabilność państwa... Awenor schylił się nad kołyską, tłumiąc śmiech. Pięciomiesięczne stworzenie, rozkopane, w króciutkiej do pępka koszuli, wygrzewało się w promieniach słońca, z maleńkimi pięściami zaciśniętymi na wysokości skroni. Książę Zajączek, nieskłonny do sprzeczek, uległy, postawił jednak na swoim, gdy poszło o opiekę nad synem. Nie pozwalał go przegrzewać, co było nagminne w Dartanie. Przy ładnej pogodzie maleńki Lewin stale przebywał pod gołym niebem, odziany tylko w lekkie szatki i czapkę dla ochrony przed słońcem; spocone, okryte kołderkami po same oczy dartańskie niemowlaki mogły tylko zazdrościć następcy tronu rozsądnego ojca Armektańczyka. A ojciec ten miał dla synka coś jeszcze, mianowicie delikatny i opiekuńczy dotyk ramion, szorstki męski policzek przytknięty do gładkiego policzka dziecięcego... Narażał się na śmieszność – bo dartański magnat opiekę nad dziećmi bez reszty

pozostawiał kobietom. Syn zaczynał dlań istnieć dopiero po osiągnięciu „małej pełnoletności”, a więc wieku dziewięciu lat. Jako *aldey* – mały mężczyzna – przechodził pod władzę rodziciela, który miał go odtąd wdrażać do dwóch rzeczy: mordowania zwierząt i ludzi. Bo tylko dwa zajęcia, tak naprawdę, były godne dartańskiego magnata-rycerza, mianowicie polowanie i wojaczka, a z jej braku – orężne turnieje.

Armektańska tradycja była tu jeszcze surowsza. Jednocześnie jednak, w Armeckie nie wstydzono się kochać dzieci. Podczas gdy w rycerskim Dartanie uważano to za rzecz plebejską, a w najlepszym razie – kobiecą.

Królowa Ezena – o pochodzeniu której krążyły najróżniejsze opowieści – będąc wcieleniem królowej Rollayny, tak jak ona miała w żyłach przynajmniej połowę armektańskiej krwi. Najprawdopodobniej była nieślubnym dzieckiem starego władcy Puszczy Bukowej, księcia K.B.I.Lewina, który uciekł się do prawnego wybiegu, jakim było poślubienie własnej córki, o istnieniu której nikt nie wiedział... Tylko w ten sposób mógł przekazać jej majątek, pozycję, monogramy rodu i skierować na drogę do tronu. Tak mówiono.

Jednakże, nawet jeśli królowa rzeczywiście była półkrwi Armektanką, to – zupełnie po dartańsku – powiła nie syna, a dziedzica królewskiej korony. Zapewniła ciągłość dynastii i była głęboko przekonana, że na tym na razie jej rola się kończy. Dla dziecka spłodzonego z należycie urodzonym, ale niekochanym i lekceważonym mężczyzną, nie miała zbyt wiele cierpliwości i czasu. Kochała je, oczywiście że kochała, ale... Może za parę lat... Książę musiał przecież starannie się wyuczyć królewskiego rzemiosła, do którego został przeznaczony, a któż miał go uczyć, jak nie matka?

Należało jeszcze dać mu brata, by żadne przykre zrzędzenie losu nie pokrzyżowało planów dynastycznych.

– Jadł?

– O... jak niedźwiedz. – Młoda kobieta uśmiechnęła się, chyba odruchowo przykładając dłoń do piersi.

Była to dobra wiadomość, bo rano mały książę popłakiwał i nie miał apetytu.

– Jego malutka królewska wysokość gotów jest zagłodzić swoją mleczną siostrę – dodała z żartobliwym wyrzutem mamka, spoglądając ku drugiej kołysce.

– Nie pozwolimy na to – zapewnił Awenor, spoglądając na rumianą twarz dziewczynki śpiącej równie głęboko, jak chłopiec. – Czy nie trzeba ci... pomocy?

– Nie, naprawdę – odparła zarumieniona. – Pozwoliłam sobie zażartować, wasza królewska...

– Jednak, gdyby to przestały być żarty, nakazuję ci natychmiast powiedzieć mi o tym. Ani ty, Yalmo, ani twoje dzieci nigdy nie zaznacie głodu, masz na to moje słowo – rzekł poważnie. – Przyjdź do mnie zawsze i z najbardziej błahym zmartwieniem. Karmisz mojego syna. Nigdy ci nie powiem, że nie mam dla ciebie czasu.

– Dziękuję, wasza wysokość – powiedziała szczerze dziewczyna, unosząc wzrok i spoglądając na Awenora ładnymi, osadzonymi w miłej choć pospolitej twarzy, oczyma.

– Mam... prośbę – rzekł Awenor, prostując się i spoglądając na kobiety. – Gdy moja królewska małżonka przyjdzie pocałować syna na dobranoc, nie mówcie... nie wspominajcie, że rano brakło mu apetytu. Oczywiście, jeżeli zapyta – dodał pośpiesznie – trzeba powiedzieć prawdę.

Starszej piastunce takie „intrygi” nie bardzo się podobały. Ale Yalma powiedziała:

– Tak, wasza wysokość. Księżę na pewno nie jest chory, po prostu chciał pokapryścić.

– Tak myślę.

Gdyby wyszło na jaw, że następca tronu rano nie jadł, przez cały następny dzień byłby dręczony przez medyków i jakieś stare kwoki, gotowe go „przemierzać”, obwiązywać nóżki, ugniatać brzuch i zwilżać wnętrze ust paluchami umaczanymi w nie wiadomo czym. Awenor uważał, że są to praktyki, którym można poddać zbrodniarza w lochach Trybunału, ale nie biedne dziecko, które ośmieliło się przez chwilę nie mieć apetytu.

Księżę Awenor, nie budząc syna, delikatnie pocałował go w czoło, skinął w odpowiedzi na ukłon kobiet i wyszedł.

* * *

Zgodnie ze starym obyczajem, na królewskim dworze załatwianiu spraw państwowych poświęcone były parzyste dni tygodnia – w nieparzyste dartańscy władcy odpoczywali. Był to podział sztuczny i nieprzestrzegany; w rzeczywistości dni parzyste służyły po prostu oficjalnym audiencjom i głośnym ceremoniom, nieparzyste zaś załatwianiu spraw bardziej dyskretnych, nienagłaśnianych. Prowadziło to do absurdów. Delegacja stołecznych sprzedawców wody z petycją, z której przyjęcia albo odrzucenia nic nie wynikało, mogła liczyć na posłuchanie w sali tronowej i sycić oczy widokiem królewskiej purpury oraz korony na skroniach monarchini. Następnego zaś dnia asystował królowej przy śniadaniu wielki pan z prowincji, oglądający jej wygodną domową szatkę i splecione w zwykły warkocz włosy, a na koniec unoszący lekko poplamiony winem, trochę krzywo napisany dokument, z którego wynikało, że cech kupców bławatnych z jego miasta ma wyłączność na dostawy sukna dla przybocznych królewskich chorągwi – czyli czterech tysięcy jeźdźców i tyluż okrytych kropierzami koni – a oddziałom tym towarzyszyły przecież odpowiednie służby... Krótko mówiąc, w parzyste dni królowa z wielką pompą przyjmowała tych, których musiała przyjąć, w nieparzyste zaś tych tylko, których przyjąć chciała.

Niepewna siebie, wyraźnie skępowana kobieta z dalekiego Seyenu prosiła o prolongatę spłaty długu – była to prośba skierowana nie tyle do monarchini, co księżnej Sey Aye, pani Dobrego Znak, najbogatszej kobiety Szereru. Jej królewska wysokość dobrze się bawiła,

wiedziała bowiem, że prosząca jest matką powszechnie znanego utracjusza, który mógł przehulać i przepić każdą ilość złota. Zarazem jednak była w swoich stronach bardzo wpływową osobą. Królowa – czy też raczej pani Dobrego Znak – chciała sobie obejrzeć dłużniczkę i z tego tylko powodu nie zostawiła sprawy swojemu skarbnikowi. Przyjęła magnatkę w pokojach Pierwszej Perły, bo akurat tam przebywała.

Świetnie urodzona, ale trochę dzika prowincjuszka stała przed obliczem ubranej w ciężkie brokaty, siedzącej na miękkim krześle, korpulentnej, ale bardzo pięknej pani, która niedbale opierała bosc stopy na nagich plecach niewolnicy. Rozmawiała z nią ta ostatnia. Głos brzmiał trochę niewyraźnie, bo leżąca miała policzek wsparty na przedramieniu i nie unosiła głowy.

– Wasza wysokość... Przecież zdajesz sobie sprawę, że te pieniądze przepadły raz na zawsze. Twój syn nie inwestował ich, lecz wydał na dziwki i przepił. Kolejna prolongata? Poproś raczej, pani, o umorzenie długu. Po spełnieniu pewnych warunków... nie będzie to niemożliwe.

Niewolnica, szczególnie o takim statusie, zawsze miała prawo mówić w imieniu swojej pani. Niemniej, jeśli ta pani była obecna przy rozmowie, świadczyło to o jawnym lekceważeniu rozmówcy. Cała sytuacja była zresztą niezmiernie upokarzająca. Nieszczęsna dłużniczka miała coraz bardziej czerwone policzki.

– A o jakich warunkach mówimy?

– O orzeczeniu się przez twego syna, pani, pewnego urzędu... Wasza księżęca wysokość wiesz przecież, o czym mówię?

Tytuł zabrzmiał trochę lekceważąco – bo też takich księżąt, uhonorowanych tytułami nie wiadomo za co, biegalo po Dartanie całe mnóstwo. Staroksiężęcą koronę nosili na swych skroniach tylko właściciele Puszczy Bukowej, władcy Dobrego Znak.

Petentka uniosła nieco wzrok, lecz napotkała obojętny uśmiech i trochę nieobecne spojrzenie siedzącej.

– A więc pospolity handel – powiedziała z godnością.

– Zamiast pospolitego niepłacenia długów... Tak.

Zaległo krótkie milczenie.

– Ja... powinnam to przemyśleć.

– Oczywiście.

Już nic więcej nie było do powiedzenia. Zdruzgotana dłużniczka pokłoniła się i wyszła. Ezena parsknęła śmiechem.

– Trochę niżej – poleciła. – Mmm... O, tak.

Zręczne palce stóp Perły ugniaty jej obolały kręgosłup. Królowa wstrzymała oddech, a potem zamruczała z błogością.

– Ozłocę cię za to, mmm...

– O nie, tylko nie to – powiedziała z niechęcią Perła, odgarniając nieco fałdy swej

brokatowej sukni i przesuując stopę ku łądzwiom leżącej. – Wysił się i wymyśl coś innego. Mam tyle pieniędzy, że już nie wiem, co z nimi robić.

– A co się zwykle robi z pieniędzmi?

– Wydaje się je. Ale ja nie mam na co. Jestem niewolnicą. Nie mogę mieć domów, dóbr ziemskich, własnych niewolnic, niczego z czym się wiąże spisany akt własności. A sukni i klejnotów mam tyle, że już zaczynam je gubić.

– Gubisz suknie?...

– Przecież nie na korytarzach. Ale od dawna nie wiem, ile w ogóle ich mam. Ani gdzie.

– Niewdzięcznica.

– Ja? To ty nie potrafisz się odwdzięczyć!

Lekko pchnięta nogą Ezena leniwie przetoczyła się na grzbiet, rozsypując na kobiercu granatowoczarne włosy. Przeciągnęła się i znowu roześmiała. Miała na sobie leciutką domową szatkę: czerwoną sukienkę bez pleców, związaną na piersiach kremowożółtą wstążką.

– Dobrze, Anesso – powiedziała. – Wymyślę coś specjalnie dla ciebie. Ale pod jednym warunkiem: przestań wreszcie tyć! A jeszcze lepiej: schudnij!

Perła szczerze się obraziła.

– Próbowałam.

Jeśli tak było w istocie, to skończyło się na dobrych chęciach. Piękna blondynka z najlepszej hodowli Szereru była, jak to się mówi, kobietą co najmniej przy kości.

Skądinąd, stanowiło to widomy dowód jej siły i władzy, jaką miała nad swoją panią. Gruba z obżarstwa i lenistwa Perła – tak beztrósco popsuty najdroższy bibelot Szereru – to był widok zgoła niespotykany. Na coś podobnego mogła sobie pozwolić... królowa, władczyni. I to silna władczyni. Nikt inny. Gdyby w jakimś magnackim pałacyku powitała gości tak zaniedbana niewolnica, odebrano by to jako kpinę, afront, wyraz lekceważenia. Właściciela nie mogło reprezentować byle co. To dlatego biedna prowincjuszka pomyliła królową z niewolnicą. Było przecież zupełnie niemożliwe, by władczynię Dartanu reprezentowała gruba Perła.

Jednak królowa Ezena do rozmów z możnymi panami królestwa mogłaby oddelegować nawet konia. Nikt nie śmiałby szepnąć drugiemu, że coś tu jest nie w porządku.

Stało za nią nie tylko wiele świetnych Domów, którym miniona wojna przydała znaczenia i blasku. Miała poparcie, jakiego nigdy nie uzyskał żaden dartański władca: została pokochana przez lud. Była to w Złotym Dartanie lekceważona, niedostrzegana, a nawet nieprzeczuwana siła, która okrzepła pod rządami zdobywców z Kirlanu. Pierwsza Prowincja Wiecznego Cesarstwa pozostawała nią zbyt długo, by nic się nie zmieniło w świadomości milionów prostych ludzi. Okazało się, że nie ma już powrotu do sytuacji sprzed wieków. W prywatnych dobrach nadal siedzieli ciemni półniewolnicy – ale tylko tam. W przejętych przez dartańskie państwo majątkach Wiecznego Cesarstwa wszystko wyglądało inaczej, żyli w nich mający swoje prawa wolni ludzie,

których powinnością było składanie daniny bądź płacenie podatków – i niewiele więcej. Królowa nie mogła i nie chciała odebrać tym ludziom przywilejów, do których przywykli. Utrzymała wszystkie i w mgnieniu oka stworzyła dartański naród, który stał za nią murem. Te chłopskie i mieszczańskie masy jeszcze niedawno należały do „ludów Szereru”, miały mówiącego obcym językiem władcę, siedzącego w dalekim Kirlanie... Przemienieni w poddanych własnej królowej, poczuli się Dartańczykami.

Koczownicze armektańskie plemiona, nim stworzyły księstwa, a później potężne królestwo, nieustannie się zwalczały, ale określiły swą tożsamość przede wszystkim w odniesieniu do potworów z ziem Aleru; prawdziwym „obcym” był podobny do zwierzęcia Alerczyk, nie zaś *arm* – czyli człowiek. Bardzo krótka stąd wiodła droga do wyłonienia *arm eini*, prawdziwego człowieka, człowieka Czystej Krwi, broniącego Armektu – Kraju Ludzi. Nie był nim przybysz z dalekiego południa, który nigdy nie widział półzwierzęcych alerskich hord. Armektański naród powstał wcześniej niż królestwo zwane Armektem, potem zaś to królestwo pokazało podbitym ludom coś nowego i nieznanego, nieobecnego w świadomości kmiecia, dla którego świat kończył się za miedzą, a jedynym panem był „dobry dostojny pan rycerz z wielgaśnego zamku wedle boru”.

Teraz jednak bardzo wielu nosicieli świetnych nazwisk nie umiało się pogodzić z taką nową-starą rzeczywistością. Z Królestwem Dartanu, w którym niewiele się zmieniło oprócz nazwy i siedzącej na tronie osoby. To nadal przypominało prowincję Wiecznego Cesarstwa, urządzoną na armektańską modłę.

Jakimikolwiek ścieżkami biegły myśli pięknej grubaski w brokatakach, dotarły do tego właśnie miejsca.

– Przyjmiesz ją jutro? – zapytała.

– Kogo? A, tę... jej księżęcą wysokość panią B.Rasalenę?

– Mhm. Stroisz sobie żarty z takich ludzi, ale to oni cię mają obronić przed zakusami Armektanki.

– O nie, nie – powiedziała królowa, poważniejąc. – To ja ich obronię przed nią. Są bezpieczni tak długo, jak długo mieszkam w tym pałacu. Kirlan nie zapomni, ile Domów stanęło po mojej stronie podczas minionej wojny. I gotów jest wystawić rachunki.

– Mylisz się, Ezenko. Twoja władza jest władzą strachu, tu masz rację. Wiedzą, że cofając swoje poparcie dla ciebie, zdają się na łaskę Kirlanu. Ale już niedługo przyjdzie komuś do głowy, że wycofanie poparcia powinno nastąpić warunkowo. Przehandlują cię za obietnicę bezkarności. I Armekt podbije Dartan po raz drugi w ten sam sposób, w jaki zrobił to po raz pierwszy. Rękami dartańskich rycerzy.

– Przesadzasz.

– Nie, wasza wysokość. – Gdy Anessa mówiła „wasza wysokość”, to oznaczało, że rozmowa

jest skończona... albo przeciwnie: prawdziwa rozmowa dopiero się zaczyna. – Nie przesadzam. Te ręce dartańskich rycerzy nie muszą być zaciśnięte na mieczach. Wystarczy, że będą założone na piersiach. Zapomniałaś już, co było trzy lata temu?... Chłopi, rybacy i mieszczychy, oni wszyscy mogą czuć się Dartańczykami, a nawet rdzennymi Dartami. Ale dartański rycerz nikim się nie czuje. Tylko sobą, nosicielem swoich rodowych monogramów, spadkobiercą chwały swego Domu. Przyspiesz tę wojnę! Na razie nie musisz się opierać na kopiach swoich wasali, masz dość żyjącego z żołdu wojska, by Armekt rozpadł się pod jego uderzeniem. Ale to się zmieni.

– Mówisz i mówisz.

– A ty zacznij mnie wreszcie słuchać. Cesarzowa Werena jest taka sama, jak ty: uparta baba nie bojąca się niczego, a najmniej stojących przed nią problemów. Rozwiąże je po kolei. Zanim się obejrzyysz, będzie miała armię, która rozniesie twoje wierne chorągwie; wystarczy, że największe Domy dartańskie zachowają bierność. Dzisiaj to się nie uda, rycerstwo musiałoby czynnie poprzeć Kirlan, by sprowadzić na ciebie klęskę. Nikt tu jeszcze nie jest gotów na coś podobnego. Ale za kilka lat?

– Nie wydam jutro wojny Armektowi, Perło – powiedziała sucho Ezena, wciąż leżąc na podłodze, niemniej przetaczając się na bok i podpierając głowę ręką. – Najpierw musi wypowiedzieć posłuszeństwo Garra. Dartan nie ma floty, o czym wiesz równie dobrze, jak ja. I na razie nie będzie jej miał, bo za pieniądze mogę kupić bardzo wiele: okręty, broń... Ale nie doświadczone załogi na pokładach. Sto okrętów obsadzonych przez lądowe szczury do niczego mi się nie przyda. Zresztą, nie kupię stu okrętów, co najwyżej mogę je zbudować. A to potrwa.

– No tak, ale wysokie rody garyjskie właśnie się pożarły między sobą i powstanie tego lata nie wybuchnie. Zresztą oni tam oglądają się na ciebie tak samo, jak ty na nich: woleliby wszczać swoją ruchawkę po wybuchu wojny na kontynencie. Dogadaj się z nimi wreszcie i udercie razem: ty tutaj, oni u siebie.

– A ty znowu swoje: dogadaj się z nimi i dogadaj... Z kim, z Garyjczykami? – zapytała ostro królowa. – Znowu mam ci tłumaczyć, kto to jest Garyjczyk? To ktoś, kto kopniakiem wyrzuci z wody wszystkie nasze statki handlowe, jak tylko rozpanoszy się na swojej wyspie. Nie chcę, żeby wygrali. Chcę tylko, żeby zatopili chociaż pół armeckańskiej floty, a swoją stracili całą. Wtedy, jako lojalna wasalka, pošlę Werenie tyle wojska, ile tylko zażąda, i mam nadzieję, że gdy wrócą z wojny, to pod niebem Szereru nie będzie już nikogo, kto do swoich dzieci mówi po garyjsku... Jeśli miałabym mieć za sąsiada niepodległe garyjskie królestwo – powiedziała Ezena, wskazując kciukiem za siebie – to już chyba wolałabym do śmierci odnawiać hołd lenny u stóp mojej dobrej armeckańskiej pani, Najgodniejszej Cesarzowej Wereny

– Gdy rozpadnie się Wieczne Cesarstwo, Garyjczycy i tak odzyskają niepodległość.

– Ale ja już nie będę miała wroga w Kirlanie. Może odzyskają niepodległość, ale bardzo

kruchą po dopiero co przegranej wojnie. Wyspiarska niepodległość bez floty?... Natomiast jeśli teraz wygrają, to potem już tylko będą patrzeć, jak dwie baby na kontynencie garściami wydzierają sobie czarne kudły.

Perła wzruszyła ramionami.

– Rób jak chcesz. Nie znam się na wojnie, od tego masz Yokesa, Enewena i wszystkich pozostałych wodzów. Ale znam się na ludziach. Stroisz sobie żarty z zadłużonej prowincjuszki, która dzięki jednej rozmowie mogłaby zostać twoją sojuzniczką, a zostanie wrogiem. Bo nigdy nie zapomni, jak ją dzisiaj upokorzyła dartańska królowa, dla kaprysu udająca swoją własną Perłę.

– Nikogo nie udawałam.

– Nie wyprowadziłaś jej z błędu.

– Gdzie była, gdy rozmawiałam z rycerskimi rodami królestwa? Chyba powinna wiedzieć, jak wyglądam?

– Gdzie była? Wydaje mi się, że w domu. Hołd składał ci jej pierworodny syn, głowa rodu. I wdzięczyłaś się do tej miernoty, bo ci zależało na poparciu.

– Wdzięczy... Ale bezczelna! – powiedziała z groźnym zdumieniem Ezena, jakby dopiero przed chwilą to odkryła.

Pierwsza Perła nie zamierzała uciekać, chociaż zrobiliby to każdy na jej miejscu.

– Dzisiaj, zamiast tego pętaka, przyszła do ciebie mająca kłopot matka. To nie ona wyrzuciła w błoto twoje pieniądze. Ma syna hulakę, którego jednak kocha, bo jest matką, więc odkurzyła najlepszą suknię, z której wszyscy tutaj się śmieją, zebrała całą odwagę i przyszła prosić. Napraw jutro to, co zepsułaś. Przepróż ją i pomóż w kłopotcie.

– No... chyba sobie żartujesz?

– Nie, wasza wysokość. To kobieta, a do tego matka – powtórzyła Anessa. – Pozwalaj sobie na psie figle z mężczyznami, ale nie z kobietami. To ty nie wiesz, że nie znamy się na żartach?

Ezena popadła w zadumę.

– Hm. Może i masz rację – powiedziała po długiej chwili. – Dobrze, przepróż ją... chyba. Odroczę jej termin spłaty długu i umorzę zaległe odsetki.

– Przypomnieć ci jutro, żebyś ją przyjęła?

– Przypomnij.

– Skoro tak, to chodź – łaskawie powiedziała Anessa. – Wyleczę do końca twój kręgosłup.

Śmiejąc się, Ezena podpełzła na czworakach do krzesła i legła u stóp swojej Perły, wystawiając ku niej obolałe plecy.

– Śniła mi się Hayna – powiedziały równocześnie.

Parsknęły śmiechem. Ale królowa niemal natychmiast spoważniała. Bo wiedziała coś, o czym jej Pierwsza Perła nie miała najmniejszego pojęcia.

- Nie, nie, czekaj – powiedziała. – No czekaj, nie depcz mnie przez chwilę... Co ci się śniło?
– Jakieś... głupstwa – odparła rozbawiona Anessa. – Co ty, wierzysz w sny?..
– Nie. Ale co ci się śniło?
– Że Hayna została czyjąś niewolnicą, nie twoją. Dostała rozkaz, żeby mnie zamordować i...
– Rzeczywiście głupstwa – mruknęła Ezena. – No? Rób, co miałaś robić.

Perła usłuchała.

- A tobie się śniło...?

– Że upiła się i wpadła do rzeki – powiedziała królowa, chociaż śniło się jej, że Hayna została czyjąś niewolnicą i dostała rozkaz zamordowania Anessy. – Wierzysz w sny? – zakpiła.

- W takie? Nie.

Sporo później, idąc już do swoich pokoi, królowa powiedziała:

- A, byłabym zapomniała... Każ odszukać Vasanevę. Niech do mnie przyjdzie. Zaraz.

* * *

W Rollaynie koty nie były rzadkością, ale na dworze królowej przebywał stale tylko jeden. Jej godność K.N.Vasaneva osiągnęła pozycję, jakiej mógł jej pozazdrościć każdy. Zauszniczka monarchini miała do niej dostęp o dowolnej porze dnia i nocy. Mogła niemal tyle, co Anessa; na pewno więcej niż którykolwiek z wysokich rangą dworzan. Złodziejka i wywiadowczyni nosząca tytuł Powiernicy Królowej zaliczała się do grona jej doradców – ci zaś nie byli figurantami, bo do Rady Królewskiej Ezena wybrała tylko takie osoby, którym naprawdę ufała. Na wielu dworach – historycznych i istniejących – „doradcą” zostawało się w nagrodę, był to tytuł-wyróżnienie i niewiele więcej. Ale nie u królowej Ezeny. Jeśli już ktoś był doradcą, to doradzał, a ona słuchała.

– Zlekceważyłam to i zupełnie nie wiem dlaczego – powiedziała Ezena. – Teraz, gdy o tym myślę, mam uczucie, jakby coś mnie odwodziło od rozpamiętywania tego snu. Powiedziałam Anessie, że śniła mi się Hayna, bo chciałam po prostu zmienić temat, zażartować sobie... już nie wiem, co chciałam, wszystko jedno. W każdym razie, dopiero kiedy Anessa jednocześnie ze mną powiedziała to samo, poczułam że coś jest nie tak. Wiem, lubisz Szerń akurat tak samo jak ja. Ale słuchaj, co mówię, i radź, bo oprócz Przyjętych tylko my dwie wiemy wszystko o Trzech Siostrach, Ferenie i tym... tym czymś, co może go rozbić. Dwie Siostry mają takie same sny na temat trzeciej. Co to znaczy? Że Hayna naprawdę będzie chciała zabić Anessę? A potem może Rollaynę, hm? Zupełnie tak jak w legendzie. Co to znaczy?

– Nie jestem Przyjętą, królowo, i nie wiem, co to znaczy. Mam sprawdzić? – spytała z kocią zwięzłością Vasaneva.

Lubiła wylegiwać się na stołach. Wyciągnięta, opierała się teraz grzbietem o krawędź koszyka z jabłkami, uchem zaś dotykała krawędzi srebrnego pucharka.

– Oczywiście, że masz sprawdzić, ale ja chcę wiedzieć już teraz, czego się spodziewać. A jeśli Hayna naprawdę będzie chciała zabić Anesę?

– To zabije – skwitowała Vasaneva.

– Co mówisz?

Ezena dość dobrze znała koty i potrafiła z nimi rozmawiać, jednak czasem ludzka natura brała górę. Vasaneva lubiła królową i umiała się nagiąć... niekiedy.

– Jeśli Hayna zechce kogoś zabić, to zabije – powtórzyła cierpliwie.

– Chyba jednak trochę przeceniasz swoją przyjaciółkę.

– Nie przyjaźnię się z Hayną. Szanuję ją.

– Anessa jest moja – krótko powiedziała królowa. – Życzę sobie, żeby żyła. Więc ma żyć.

– Przecież nie jest naprawdę twoją siostrą, królowo. Ani Hayna – powiedziała Vasaneva, która pamiętała wyjaśnienia udzielone przez Gotaha. – Legendarne Trzy Siostry też nimi nie były. To tylko tak się nazywa.

– I co z tego? Ja nie mówię, że mam siostrę, tylko że Anessa jest moja. Gdy skończymy rozmawiać, idź... no, nie wiem. Idź GDZIEŚ i zarządz COŚ. Nie obchodzi mnie, co. Mamy być bezpieczne, Anessa i ja. Jeśli będzie to kosztować milion, to go wydaj. Oczywiście na Anesę. Na mnie nawet cztery miliony.

– Werk.

Było to skrzyżowane z pomrukiem kocie słowo o twierdzącym, niemniej bardzo szerokim znaczeniu. Teraz mogło znaczyć zarówno: „Świetnie, doskonale!”, jak też: „Usłyszałam”.

Ezena wzięła ze stołu pucharek, z oburzeniem odczepiła przylepiony do krawędzi biały koci włos, po czym upiła łyk wina i usiadła na krześle przy oknie.

– Chcę wiedzieć, co myślisz.

– Nic.

Królowa patrzyła w milczeniu. Vasaneva obraziła się, ale doszła do wniosku, że tym razem jednak nie warto. Ezena mogła ją trzepnąć w białe ucho, albo nawet za ogon powlec w poprzek stołu.

Potrafiła.

– Więc, co myślisz?

– Że Hayna nie jest człowiekiem ani kotem, tylko psem – powiedziała kocica, dodając jeszcze jeden głos do tyleż silnego, co zgodnego chóru, bo niemal wszyscy znający Haynę widzieli w niej po prostu wierną sukę królowej. – Jeśli jutro umrzesz, ona zwinie się na twoim grobie w kłębek i będzie cicho skomleć, aż zdechnie.

Bardzo obszerna wypowiedź. Jak na kota.

– Wiem, że jest mi wierna, ale... co to ma do rzeczy?

– To, że nie wydaj czterech milionów, ani nawet jednej sztuki srebra. Nie ma takiego

szaleństwa, ani takiej ilości trunków, które skłoniłyby Haynę, żeby podniosła na ciebie rękę. Nawet zarażona wścieklizną, pokąsa wszystkich oprócz ciebie.

– A Anesę?

– To co innego.

– Więc masz wydać ten milion na Anesę i dołożyć moje cztery, skoro ja ich nie potrzebuję!

– z irytacją w głosie rzekła Ezena. – Co w ciebie dzisiaj wstąpiło? Pytam o coś i nie mogę się doczekać odpowiedzi!

– Nie słuchasz odpowiedzi. Idę sobie.

– Co takiego?...

– Idę. Jesteś królową, a ja twoją złodziejką. Nie wypada mi słuchać, kiedy pytasz o jakieś bzdury. Poślij po mnie, jak już sobie wszystko poukładasz.

Ezena rzuciła kielichem – tak przynajmniej, jakby mogła trafić. Vasaneva patrzyła na lecące ku niej naczynie, a kiedy przyszła pora, zniknęła ze stołu. Srebro zderzyło się z blatem i głośno zrobiło: „głłą!”.

– Myślisz, że wszystko ci wolno?... Wyjdz. Wrócisz, kiedy cię wezwę.

– Werk.

Ezena została sama.

Posiedziała, porozmyślała. Wstała i podeszła do okna.

– Werk, że „wszystko mi wolno”?... Werk, że „tak, już wychodzę”, czy werk, że „wrócę, kiedy mnie wezwiesz”? – próbowała przedrzeźniać ochryply głos kocicy.

Pomyślała jeszcze trochę, podniosła kielich i napełniła go. Upiła łyk wina, znów popatrzyła w okno. Wino było naprawdę dobre, więc pochwaliła je:

– Werk.

4.

Bardzo niewiele brakowało, by Raladan znalazł się w naprawdę poważnych opałach.

Niezrozumiałe zniknięcie Przyjętego i tajemniczej kobiety, której twarz – Cichy byłby przysiągł – już gdzieś widział, wprawiły zastępcę Ślepej Foki Ridi w, oględnie mówiąc, podły nastrój. Najuprzejmiej poprosił o wyjaśnienia.

„A kto ty właściwie jesteś, he?” – zapytał Raladana. „Coś mi tutaj naprawdę śmierdzi. A może ty też jesteś Przyjęty, co? Wy umiecie się zmieniać tak, że nikt nie pozna”.

Raladan niewzruszenie siedział za stołem, spoglądając na groźnie stojącego w drzwiach kajuty oficera i towarzyszących mu niemiłych drabów.

„Nie wygaduj bzdur, tylko znajdź mi wreszcie Ridaretę” – powiedział. „Zrobiłem, co zrobiłem. To sprawa między mną a moją córką”.

„Znaczy, wiedziałeś, że ten tutaj da drapaka?”.

„Pewnie, że wiedziałem. Ale nie jestem żadnym Przyjętym”.

„I co mi jeszcze powiesz?”.

„A co tylko chcesz. Gdybym był Przyjętym, to uciekłbym razem z nim. Nie bądź durniem, Mevevie Cichy” – po raz drugi zmitygował go Raladan. „Nawet Przyjęci nie są tacy głupi, żeby udawać kogoś, kogo dobrze znacie, a potem siedzieć i czekać, aż wszystko się wyda. Wtedy, na Ostatnim Przylądku, kiedy zabraliście mnie i Ridi na pokład... Pamiętasz, co powiedziałem?”.

Mniej więcej przed dwoma laty Raladan uciekł z twierdzy więziennej w Londzie. Bardzo mu pomogła załoga „Zgniętego Trupa” i, koniec końców, wrócił na Agary na pokładzie okrętu córki, który zabrał ich oboje z Ostatniego Przylądka.

Mevev gapił się i namyślał.

„No... pamiętam” – odrzekł wreszcie, powściągając krzywy uśmiezek. „I co, niby, powiedziałaś?...”.

„Powiedziałem: zesrałem się. Przez tydzień żarłem takie świństwa, że aż dziura w dupie mnie bolała. Wlazłem na pokład i jak przełaziłem przez nadburcie... poszło. Ty wtedy zaczęłaś coś, że: »No, dobra...«, a ja na to: »Zesrałem się«. Było tak, czy nie było?”.

Majtkowie za plecami Meveva rechotali. Kilku z nich dobrze pamiętało opisywane zdarzenie, bo też kto by zapomniał taką pyszną historię? Cichy także uśmiechnął się troszeczkę wyraźniej.

„Jaki Przyjęty może o tym wiedzieć?” – podsumował Raladan. „Dałem uciec waszemu jeńcowi, bo miałem powody. Wytłumaczę się przed Ridaretą, a ona, jak będzie chciała, to wam wszystko powie. Tylko znajdźcie mi ją wreszcie”.

Od tamtej rozmowy minęło parę dni. Mevev na tyle dobrze znał Raladana, że w końcu

przestał powątpiewać w jego tożsamość – agarski książę każdym słowem potwierdzał, że naprawdę nim jest. A jednak Cichemu ciągle coś nie pasowało. Raladan nie przyplął na „Delarze”, bo nigdzie jej nie było. No więc, skąd się wziął? Musiał mieć konszachty z Przyjętymi, zresztą sam się przyznał, że pozwolił jeńcowi uciec.

Przede wszystkim – gdzie, na Szerń, przepadła kapitana?

Bo ciągle jeszcze jej nie znaleziono.

Pożegnali się z załogami sprzymierzonych okrętów; ich kapitanowie zrobili już to, za co wzięli pieniądze, i trzeba by im zapłacić znowu, żeby zostali dłużej. Ale po co? Stu pięćdziesięciu chłopców ze „Zgniłego Trupa” zupełnie wystarczało do prowadzenia poszukiwań. Wątpliwe, by czterystu chłopca zrobiło to szybciej i lepiej. Zwłaszcza że poszukiwania już po dwóch dniach przemieniły się w czekanie. Ile można szukać wiatru w polu? Ślepa Ridi umiała jeździć konno. Jeśli umyśliła sobie, że przepadnie, nikomu nie mówiąc słowa, to na pewno zdobyła wierzchowca i mogła już być gdziekolwiek. W Armeckie albo Dartanie.

Wyszło na jaw, że zabrała ze sobą trzech chłopaków. Nie było ich na pokładzie ani między poległymi.

Dobrze zrobiła. Przeprowadzili ją po sześciu dniach. Rozchichotana, próbowała coś tłumaczyć, ale bezskutecznie, bo co chwila dławiła się śmiechem. Odpoczywała, próbowała coś powiedzieć – i znów przerywała w pół słowa. Z głową, niby, wszystko miała w porządku: zdziwiona i uradowana uściskała Raladana, machnęła ręką Cichemu, posłała załodze soczystego buziaka z ręki... Było z nią dobrze do chwili, gdy próbowała coś powiedzieć. Nie skończyła bodaj jednego słowa. I żadnego nie napisała, bo na widok pierwszej postawionej litery, prychnęła na kartę kropelkami śliny, usmarkała się i gotowa była ze śmiechu spaść ze stolka.

Wszyscy rechotali razem z nią, bo było to zaraźliwe. Okręt przypominał przytułek dla pomyleńców.

Opowieść towarzyszących Foce żeglarzy była krótka, prosta, nieciekawa: na rozkaz kapitany odcięli od gałęzi powieszoną za nogi wojowniczkę i ponieśli. Szli i szli, aż doszli do lasu, a po drodze zabrali z mijanej wioski tyle jedzenia, ile tylko mogli. W głębi lasu, w największym gąszczu, zbudowali dwa szałas – mieszkali w jednym; kapitana i półżywa wojowniczka w drugim. Nocami dobiegało z drugiego szałasza szlochanie, a czasem takie jęki i stękania, jakby obie kobity, no... migdały się, albo coś. Aż jednego ranka kapitana obudziła ich, rozchichotana, kiwnęła ręką – i wrócili. Po drodze, gdy tylko chciała coś powiedzieć, to od razu zaczynała się śmiać. W każdym razie czas był najwyższy wracać, bo już nie mieli co jeść.

Nic więcej marynarze nie wiedzieli. Nie umieli nawet powiedzieć, czy zabrana wojowniczka umarła, wydobrzała i poszła sobie, a może została w szałasie... Wszystkie odpowiedzi znała Ślepa Ridi.

Było coś jeszcze: Foce wygoiły się odniesione w bitwie rany. Rzecz dziwna, bo ostatnio

zdrowiała nie szybciej niż każdy inny człowiek. Wyglądało, że tak już zostanie. Ale okazało się, że nie.

* * *

Wciąż kotwiczyli w zatoce. Ridi nie była w stanie określić, dokąd chce płynąć, a Raladan nie miał żadnego dobrego pomysłu. Powinien właściwie wracać na Agary, ale oznaczało to rozstanie z córką, której... no, jednak coś dolegało. Żywił nadzieję, że jej przejdzie za dzień albo dwa. Bo jeżeli nie... Sytuacja była tak głupia, że aż warta śmiechu – zresztą najdosłowniej. Dziwaczna. Majtkowie śmiali się razem z Ridi, potem spoglądali po sobie i wzruszali ramionami; oficerowie mieli dość wszystkiego. Raladan próbował porozumieć się z córką na zasadzie: „ja mówię, a ty kiwasz albo kręcisz głową” – w odpowiedzi zdołała wykrztusić coś, co od biedy brzmiało jak: „przejdzie!”. Nagabywana, już tylko machała ręką, że niby „potem, później...”. Nie tylko nie mogła, ale jeszcze nie chciała mówić. Tak wyglądała prawda.

Ridarecie czasem odbijało. Ale jednak trochę inaczej. Teraz najwyraźniej wszystko rozumiała, wiedziała, gdzie jest i kim jest, wszystkich poznawała... Zostawiona w spokoju, zachowywała się zupełnie normalnie. I nieodmiennie parskała śmiechem przy każdej próbie nawiązania rozmowy.

Aż wreszcie przemówiła. Wczesnym rankiem. Wszyscy jeszcze spali.

Do kapitańskiej kajuty wstawiono dodatkowe wyrko, sklecone z paru desek; jego książęca wysokość nie miał wielkich wymagań. Trochę tylko trzeszczało i skrzypiało, a po kilku dniach nawet bardziej niż trochę. Okrętowy cieśla był na miarę reszty załogi; cud, że ten żaglowiec jeszcze pływał. Raladan przez sen przekręcił się na drugi bok i obudziło go głośne skrzypienie pod biodrem. Trochę nieprzytomnie popatrzył na Ridaretę. Siedziała przy stole, w zamyśleniu spoglądając na pokład przez otwarte drzwi. Miała na sobie żeglarskie portki, a wyżej tylko opasujący piersi i zawiązany na supeł pas brudnego, poplamionego czymś i postrzępionego płótna, wydarty chyba ze starego prześcieradła. Dochodziła do tego, rzecz jasna, niebywała ilość ukochanych bransolet, pierścieni, kolczyków i naszyjników, pośród których to precjozów królowało ciężkie złote kółko wpięte w przegrodę nosową. Zaczął się przyzwyczajać; najwyraźniej na tym okręcie tak wyglądał normalny kapitański strój, bo nikt nie zwracał na niego uwagi.

Okrętowe dziwki, których było tu ze dwadzieścia, łąziły zresztą ubrane tak samo albo i gorzej, bo niektóre miały tylko portki. No i żadna, co zrozumiałe, nie dźwigała tyłu klejnotów; w zamian prawie wszystkie były wytatuowane – tej jednej rzeczy sobie oszczędziła Piękna Ridi. Raladan nawet wiedział dlaczego: otóż Rubin nijak nie chciał przyjąć tatuaży do wiadomości, rozpuszczał je bez śladu, likwidując tak jak wszystkie inne skazy. Ridareta miała kiedyś barwny, wielki i niebywale kosztowny tatuaż na plecach. Nic z niego nie zostało.

Do kajuty zaglądało wczesne słońce. Ślepa Ridi nie dostrzegła, że Raladan uniósł się na łokciu, bo ku pryczy zwróconą miała lewą stronę twarzy. By zobaczyć cokolwiek, musiałaby obrócić całą głowę; brak oka był jednak poważnym kalectwem.

Przyglądał jej się z namysłem. Miała brudną szyję, rozczochrane i pozlepiane w strąki kudły, a pazury u rąk tak zadbane, że na ich widok przeraziłby się nawet kret. Z jakichś powodów Raladanowi utkwily w pamięci dłonie jasnowłosej syreny, z którą przed tygodniem wypełzał z wody na brzeg; nawet jego służebne „perelki” nie miały podobnie wypielęgowanych rąk. Już zapomniał, że można mieć paznokcie z różowobiałej masy perłowej, długie, równiutko zaokrąglone... Kiedyś widywał takie stale – u Alidy. To nie były pazury marynarza; o nie.

Raladan przemierzył kawał świata, a może i cały świat. Był pilotem u schludnego Brorroka; służył pod kapitanem K.D.Rapisem, Armektańczykiem Czystej Krwi. Bywał w najdroższych niewolniczych hodowlach, w bogatych domach, a nawet pałacach. Ożenił się z półkrwi Garyjką wysokiego rodu. I nie podzielał marynarskiej wiary, że zdrowy człowiek koniecznie musi cuchnąć; odziewał się porządnie i czysto, a szaflik z wodą i przybory do mycia nie kojarzyły mu się czymś niegodnym mężczyzny. Teraz patrzył na córkę i przyszło mu do głowy, że stary Brorrok miał rację. Piękna Ridi?... Może i piękna. Tylko, dziecko, umyłaś się czasem...

W Aheli nigdy tak nie wyglądała. Nawet gdy szła do tawerny uchlać się z marynarzami. Co się z nią porobiło na tym przeklętym okręcie?...

Prycza zatrzeszczała po raz drugi. Ridareta obróciła głowę i uśmiechnęła się spod swej ciemnozielonej, kryjącej wybite oko przepaski.

– Nie śpisz? Zostało z wczoraj trochę zimnego mięsa. – Pokazała stojącą na stole miskę z resztkami. – Zjedz. Rozbudź się porządnie. Mam dużo do opowiadania.

Z miejsca wyzbył się resztek senności.

– Uch, nareszcie – skwitował.

– Sayl, Mevev! – powiedziała głośno przez ramię. – Wstawać chłopcy! Wynocha na pokład!

Oficerowie obudzili się.

– Wszystko wam opowiem – obiecała po chwili, gdy do rozbudzonych mężczyzn dotarło, że ich kapitana odzyskała mowę. – Ale teraz muszę pomówić z Raladanem. Wynocha na pokład, no już!

Gdy ją mijali, wlepiła Saylowi przyjacielskiego klapsa w tyłek; była w pogodnym nastroju. Potem w zamyśleniu patrzyła na Raladana, wciągającego koszulę i spódnicę. O czymś jej to przypomniało.

– Czekał, ja też się ubiorę... – mruknęła. – Zapominam, wiesz? Ze nie lubisz, jak chodzę tak ubrana. Dlaczego ja ci się nigdy nie podobam? Wszyscy chcą, żebym chodziła nago, tylko ty jeden zawsze robisz miny. Chyba mam co pokazać?

Oczywiście, że miała co pokazać, niczego jej nie brakło. Prócz oka – no trudno – i rozumu.

Może to tutaj tkwił problem.

– Nie gniewaj się. Jutro włożę suknię – obiecała, trochę odęta. – W sukniach się czuję najlepiej, ale na okręcie jest w tym niewygodnie. I gorąco; teraz takie upały – tłumaczyła.

Znalazła coś, co być może było koszulą. Raladan wzuł buty; przytupnął i ruszył ku drzwiom.

– Gdzie idziesz?

– Podnieść poziom morza.

Została sama. Na krótko.

– Jest taka stara, bardzo stara legenda, chyba dartańska – powiedziała, gdy wrócił. – Ale znają ją wszędzie. O trzech siostrach-czarodziejkach, które zostały przysłane przez Szerń. Słyszałeś ją?

Wzmiankę o zimnym mięsie Raladan potraktował poważnie. Ridareta Ridaretą; ciekawość ciekawością... Przede wszystkim rano należało dobrze zjeść. Więc siedział przy stole i jadł.

– A skąd, nie słyszałem – powiedział z pełną gębą, bo czego jak czego, ale bezmyślności swojej córki naprawdę miał czasem dosyć. Nie głupoty, bo właściwie nie była aż tak głupia, jak można by sądzić po stroju. Właśnie bezmyślności. – Moja karawela nazywa się „Delara”, a poprzednia nazywała się „Seila”. Legenda o Trzech Siostrach? Pierwsze słyszę.

– Czyli... no tak, znasz ją. To dobrze. One znowu tu są.

– Czekaj... Kto i gdzie?

– Trzy Siostry. Tutaj, w Szererze. W Dartanie. Kiedyś Riolata zrobiła jednej z nich to, co mi. Delara nie była zawistnicą, ale wielu rzeczy zazdrościła starszym siostrom – opowiadała ze swoim nienagannym garyjskim akcentem, co jakiś czas „łamiąc rozmowę”, bo tak to sobie kiedyś nazwał w myślach. Nawet jeśli nie była zbyt bystra, to jednak odebrała staranne wychowanie, potem jednak zasób słów topniał jej z roku na rok, aż nagle, w jakiejś krótkiej rozmowie, z ust garyjskiej damy padało starannie wymodulowane: „Raladanie, ależ ja tej możliwości nie wykluczam!”. I dalej „ple, ple, ple, hi, hi, powiedz, że jestem ładna”...

Opadały mu wtedy ręce.

– Były starsze od niej – ciągnęła – piękniejsze, mądrzejsze, miały władzę, a ona nie. Rollayna była królową, ale rządziła razem z Seilą, stale pytała ją o radę, słuchała... A Delara była tylko wojowniczką. I zdobyła klejnot, którego potem już nie umiała się pozbyć. Tak jak mój ojciec Rapis... Pamiętasz? Nie opowiadam ci teraz żadnej legendy. Tak było.

– Tak jak mówisz?

– Zupełnie tak. Ja to wiem. Pamiętam.

– Mhm – skwitował, jakby chodziło o rzecz oczywistą. Ale nie był głupi i domyślał się, skąd Ridareta „pamięta” takie rzeczy. To nie ona przecież pamiętała, tylko to, co w niej siedziało. – I co dalej?

– Delara zazdrościła siostrom, ale kochała je. Potem jednak omal nie zabiła Seili. Mniejsza

o to. Pamiętasz, jak mówiłam ci o Kesie, tej pięknej blondynce, która przypląnęła do Aheli?

– Bardzo dobrze pamiętam – spokojnie rzekł Raladan, odgryzając kolejny kęs mięsiwa. – Tak dobrze, jakbym dopiero co ją widział... I co z nią?

– Okłamała mnie. Feren, ten mur, który Szerń zbudowała...

– Tak, tak, wiem.

– To nie ten garbaty grajek, którego znasz, jest symbolem Ferenu, tylko właśnie Trzy Siostry.

– O co chodzi z tymi symbolami, Rido? – W Aheli Ridareta powtórzyła mu to, czego dowiedziała się od Kesy, ale po pewnym czasie uznał, że jednak zbyt mało rozumie. – A Kule Ferenu? To nie one są symbolami tego... muru, który zbudowały Pasma Szerni?

– Nie. Zapomniałeś, co mówił Tamenath?

Dowiedział się właśnie, że Ridareta pamięta coś z tego, co mówił Tamenath.

– To są zwinięte w kłębek Smugi, czyli to, z czego zrobiony jest Feren – wytłumaczyła. – Takie, no wiesz, cegły. One jakby... spadają czasem na Szerer, kiedy Odrzucone Pasma wyszczerbiają mur. To są prawdziwe kawałki Pasm Szerni, jedyne, jakich można dotknąć i zobaczyć. Rubiny po zetknięciu z nimi tracą swoje... swoje... właściwości. Można powiedzieć, że giną. Tylko ja... to znaczy: tylko MÓJ Rubin mógłby chyba pokonać Kulę. Dlatego że jest największy. To jest Królowa Riolata, przecież wiesz.

– Wiem i nie wiem. – Raladan beznadziejnie gubił się we wszystkim, co dotyczyło Szerni. Ridareta zresztą też się gubiła, przynajmniej do niedawna, bo teraz przemawiała doń tak, jakby była jakąś Przyjętą. – Czy to musi być takie poplątane?

– A jakie by miało być?

Patrzył i patrzył, z coraz głębszym namysłem. Dokładnie tak samo przed paroma laty, i na takie samo pytanie, odpowiedział mu *lah'agar* Tamenath.

„A jakie by miało być?” – zdziwił się Przyjęty. „Gdyby nie było Szerni, to na pewno wymyślono by coś w tym rodzaju, i to byłoby proste jak kij, bo wymyślone specjalnie po to, żeby uporządkować świat. Ale Szerń jest prawdziwa. Nikt jej nie wymyślił, żeby dać sobie odpowiedź na jakieś tam pytanie, na przykład: »Skąd się wziąłem?«, albo »Co mam robić, żeby było dobrze?«. Jest prawdziwa, naprawdę potężna i dlatego taka, jak mówisz, trudna. Zagmatwana”.

Raladan zaczął się zastanawiać, czy jego córca, jeśli ją trochę przycisnąć, nie zaśpiewa mu teraz czegoś podobnego. Coś tam chyba naprawdę wiedziała. Od niedawna.

– Dobrze. I Riolata chce...?

– Żebyśmy zniszczyła żywy symbol Ferenu. Pozabijała wszystkie Trzy Siostry.

– Gdzie są te Trzy Siostry?

– W Rollaynie. To Ezena, królowa Dartanu, Anessa, jej Pierwsza Perła i Hayna, komendantka straży pałacowej. Rollayna, Seila, Delara.

Raladan nie dziwił się byle czemu, bo widział w życiu tyle zdumiewających rzeczy, że gdyby

zawsze otwierał przy tym gębę, to już by mu się nie domykała. Ale teraz zaprzestał na chwilę żucia mięsa, chociaż mu tak bardzo smakowało.

– Kesa mówiła, że od tego może rozpaść się cały Szerer – tłumaczyła tymczasem Ridareta. – Szerń właśnie toczy wojnę i jeśli straci równowagę, może zostać pokonana. Spadnie już nie jedno, ale bardzo dużo Pasm, a pozostałe zostaną wyparte znad naszego nieba przez Aler.

– Więc co zrobisz?

– Nie zabiję żadnej z Sióstr, chociaż Riolataomal mnie nie rozniosła, gdy powiedziałam jej „nie”. Wymęczyła mnie tak, że się wściekłam i skatowałam sukę. Skoro nie wie, co jej wolno, będzie chodzić na jeszcze krótszej smyczy. Co prawda, ja też będę musiała dawać jej w nagrodę większe przysmaki, niż dawałam... No i chyba częściej. Da się zrobić. – Przygryzła wargę i rozdęła nozdrza, lekko rozbawiona. – Ona bardzo ładnie dziękuje.

Raladan wiedział jak ładnie.

– Nie chcę, żeby rozpadł się świat – dorzuciła. – Nie podoba mi się, ale innego nie mam. Zrobiłam na złość Riolacie. Ten głupiec, którego kazałam skopać Nellsowi... Ale przecież jeszcze ci nie mówiłam! – zmytygowała się. – Na pewno już wiesz, że złapałam Przyjętego? Nells go skopał na śmierć. W każdym razie ta baba w męskiej skórce kpiła sobie ze mnie i pytała, czy na pewno radzę sobie z Riolata. Tralala. Dureń jeden.

– Czekaj, Rido... O Przyjętym wiem. To później.

Zastanawiał się przez chwilę.

– Śmiałaś się, jakbyś...

– Jakbym – potwierdziła.

Urwał.

– Nie powiesz, dlaczego?

– Mogę powiedzieć. Wszystko było śmieszne. I dlatego właśnie się śmiałam.

– Uważasz, że to normalne?

– Tak. A ty co uważasz? Że jak niby wyglądają moje kłótnie z suką, co? – zapytała nieoczekiwanie ostro. – Co ty w ogóle o mnie wiesz?

– Nie było cię przez tydzień. Zabrałaś trzech marynarzy i ranną komendantkę żołnierzy, których...

– Haynę. Delarę – przerwała z roztargnieniem.

– Ta dziewczyna to Delara?

– Poznałam ją i... Nie umiem wytłumaczyć. Z Pasmami Szerni jest tak, że jak coś wiesz... no to wiesz. Możesz sobie zgadywać, ile ci się podoba, ale gdy już się czegoś dowiesz, to masz od razu wszystko.

– Czyli co? – ciężko zapytał Raladan, bo rozmów o Szerni miał dosyć, zarazem jednak wiedział, że tę rozmowę dokończyć muszą.

Zastanowiła się.

– Zobacz – powiedziała po chwili, zadowolona. – Gdybyś trzymał w ręku wiele kluczy do jakichś drzwi, a ja bym zgadywała, i mówiła na przykład: „Ten?”. Na takie zgadywanie Szerń odpowiada: „Może i ten”. Nawet jeśli wskażesz właściwy. Szerń pozna, kiedy wiesz, a kiedy tylko zgadujesz. Dopóki zgadujesz, nie dostaniesz klucza. Ale jeśli znasz go i na pewno wiesz, który to jest, to Szerń od razu ci go daje. I drzwi są otwarte.

Coś bardzo podobnego powiedziała niedawno Kesa. „Nie mogę zgadywać, muszę wiedzieć. Domysły nie zmuszają Szerni do dania mi odpowiedzi...”

– Poznałam Delarę – ciągnęła Ridareta – i od razu otworzyły się drzwi. Suka też jest kawałkiem Szerni... albo symbolem kawałka, obojętne. Czasem coś jej wyrwę, powiem „wiem!”, i ona od razu musi dać mi wszystko. To jest tylko rzecz, Raladan. To nie myśli. Myślę ja. Za nią i za siebie. Nawet jeżeli nie zjadłam wszystkich rozumów, to i tak jestem tysiąc razy mądrzejsza od jakiegokolwiek rzeczy. Prawda, że tak? Byłyśmy kiedyś głupie! – dodała ni przypiął, ni przyłatał. – Ja i moje córeczki. W ogóle nie umiałyśmy tym rządzić... Wiesz, że one mogły wiedzieć wszystko to, co ja? Do momentu, aż je urodziłam, miałyśmy przecież w sobie jedną i tę samą sukę... Zresztą suka też nie mogła się w nas ułożyć, było jej niewygodnie. Nawet bała się dzielić dalej, na następne suczki.

– Poczekaj, Rido... Nie możemy mówić o wszystkim jednocześnie. Więc ta komendantka dartańskich żołnierzy to na pewno Delara?

– Tak. Uratowałam ją. Myślałam, że nie dam rady... Suka tak się wściekła, że zaczęła mnie gryźć.

– Uratowałaś Delarę? W jaki sposób? Tak jak kiedyś tego dzieciaka na rynku?

Przed kilkoma laty trzyletni gówniarz wypadł przez okno na ulicę. Wypadek, jakich wiele – ale nie każdy nieupilnowany szkrab lądował z roztrzaskaną głową u stóp agarskiej księżniczki. Wydawało się, że Ślepa Ridi dostała ataku szału. Zabrała dzieciaka do pałacu, siłą wrywając go matce. Tylko Raladan widział, jak... przekazywała mu własne tchnienie, w każdym razie tak to wyglądało. Ale wycierpiała przy tym nieziemskie katusze, bo uwięzione w niej moce czerwonego klejnotu broniły się przed wrywaniem z nich kawałków treści. Chłopiec przeżył, choć nie miał prawa.

„Nikommu ani słowa...” – powiedziała wtedy przez łyzy, wciąż jeszcze zwinięta w kłębek na posadzce. „Nie mogę ratować każdego... Oddaj dzieciaka matce. I zrujnuj tę szmatę, każ jej odebrać wszystko, ostatniego miedziaka... Powiedz, że tyle kosztowało lekarstwo, które całe zużyłeś. Niech nauczy się pilnować swoje dzieci. Ma prawdziwe dzieci... i pozwala im wypadać przez okno”.

– Ją też tak uratowałaś? – powtórzył pytanie Raladan.

– Inaczej – odparła z ociąganiem. – Miałam karmić symbol Ferenu czystą mocą Rubinu?...

Wymyśliłam coś innego, ale nie powiem ci co.

– Dlaczego?

– Bo to śmieszne i głupie.

– Tak jak chichotanie z niczego?

– No dobrze, narzygałam na nią i karmiłam piersią... Dowiedziałeś się?

Przekrzywił głowę. I zgađła, co sobie pomyślał.

– Wcale nie oszalałam i nie zmyślam. Wyrwałam suce, co trzeba, wymieszałam i... i wyrzygałam się czymś szarym, nie wiem czym. Zalepiłam rany. Goiły się od tego. A pokarm mam do tej pory, chcesz spróbować, czy to na pewno jest mleko? Bo moim zdaniem nie całkiem, smakuje trochę inaczej albo... nie wiem. Jest dziwne.

Sięgnęła pod koszulę, wydobyla pierś i wprawnie ścisnęła palcami. Zobaczył w powietrzu cienką jak włos strużkę, a potem wąż kropelek biegnących w poprzek stołu. Nacisnęła raz jeszcze i spojrzała pytająco.

– Hm? – mruknęła.

– Widzę.

– Wydoić więcej?

– Powiedziałem: widzę.

– Czyli nie oszalałam – podsumowała, dziwnie zamyślona, strząsając z palców białozółtą kroplę, a następnie upychając nedorzecznie ciężką kulę, która nijak nie chciała wleźć z powrotem pod resztki koszuli, a cóż dopiero pod sławetną szmatę wydartą z prześcieradła; w końcu wlaźła. – Suka może wyleczyć każde rany, nie tylko moje. Moje to ona... musi wyleczyć. A innych nie chce. Teraz bolało mnie trochę mniej, bo nie wyrzygałam z Rubinu niczego, trochę go tylko skopałam. Przyrządziłam... no, takie eliksiry, jak w bajce. Ale nawet kiedy tylko zmuszasz sukę do zrobienia czegośkolwiek, co nie jest jej potrzebne... – urwała nagle i zbuntowała się. Wstała, okrążyła stół i usiadła na drugim stołku. Odchyliła się i oparła o ścianę, kładąc nogi na stole. Założyła ręce na piersi.

– Co jest? – zapytał Raladan.

Odpowiedziała w sposób, który nieboszczykowi Brorrokowi na pewno wydałby się niechlujny.

– No, ale co jest? – powtórzył.

– Nic nie jest. Przecież ja ci wiele razy chciałam o tym wszystkim opowiedzieć. Ale ty zawsze uciekasz. Co ty o mnie w ogóle wiesz? – powtórzyła. – Nic nie wiesz. Że mam w sobie Rubin, tak? Nawet Mevev wie więcej od ciebie. Raz mi mówisz: „Chcę wreszcie zrozumieć, co z tobą jest, Rido”, a kiedy indziej krzyczysz na mnie, że mogłabym się powstrzymać i nie robić przy tobie tego albo tamtego. Tak jak teraz. Wyjmuję pierś i pokazuję ci... no, prawdziwe cuda, których sama za bardzo nie rozumiem, a ty prawie że się gorszysz. Co ty, dziecko jesteś? Dla

zabawy ci to pokazuję? Zabawę to ja sobie urządzę z moimi chłopcami, a od ciebie oczekuję czegoś innego. Rady. Bo wygląda na to, że noszę w cyckach eliksir zdrowia, może mogę mieć go już zawsze, i co? Głupie i śmieszne, wiem. Ale dla ciebie nic z tego nie wynika? – pytała. – Bo dla głupiej Ridi wynika tyle, że skoro pozbiierała się po tym śmiertelnie ranna wojowniczką, to może naprawdę warto wydoić mnie parę razy jak krowę i zawieźć parę dzbanków tego na Agary, dla jakichś małych zdechłaków, którym nie pomoże żaden medyk i żadna babka-zielarka. Niechby dzięki temu tylko kilkoro prawdziwych, żywych dzieciaków pobiegło jeszcze zbierać poziomki... Ale ty potrafisz najwyżej powiedzieć: „Widziałem, schowaj to już!”. Czego ty właściwie chcesz? Mam ci wszystko dokładnie tłumaczyć czy nie?

Raladan nie przerywał. Wylała swoje żale i miała, niestety, sporo racji. Chciał trzymać się jak najdalej od... skłonności i umiejętności swojej przybranej córki. Przez kilkanaście lat uparcie próbował rzeczy niemożliwej: poznać jej problemy, reguły współistnienia z Rubinem, zrozumieć ją – ale z daleka, na dystans.

A co do dzieci... Z wielką troską potrafiła je oddzielić od idących na rzeź rodziców; nie widziała żadnej sprzeczności w lubieniu dzieci i czynieniu ich sierotami. Nie miał głowy do roztrząsania takich głupot, jak rojenia Ridarety-uzdrowicielki.

W zamian nagle zapytał o coś, o co nigdy nie chciał zapytać... Wyszło samo:

– Dlaczego nie pomogłaś Alidzie?

Milczała przez bardzo krótką chwilę. Kopnęła miskę z resztkami, tak że spadła mu na kolana.

– Zaraz wyrznię cię w pysk – powiedziała. – A chociaż poprosiłaś? Zapytałaś?... Próbowałam! Omal od tego nie zdechłam... Pozatykać dziury i posklejać gnaty to co innego, to nawet wojskowy chirurg potrafi. Ale ona była chora, nieprzytomna... Nawet nie wiem, co właściwie jej było. Może gdybym wcześniej wróciła na Agary... Chociaż parę dni wcześniej, kiedy mogła mówić... Może dzisiaj umiałabym jej pomóc, ale wtedy... nie umiałam... – tłumaczyła urywanie, z żalem.

– Nie wiedziałem.

– Ty nigdy o niczym nie wiesz. Delara – rzuciła sucho. – Mówiłam o Delarze. Właściwie to nie ja pamiętam tamte wydarzenia, tylko suka – wyjaśniła, potwierdzając to, co wcześniej sam pomyślał. – Bo to ona kiedyś kręciła Delarą. Wiem o wszystkim, co się wtedy wydarzyło, i dlatego dzisiaj tak się mądrzę.

Otrzymał wytłumaczenie, skąd się wzięła obszerna wiedza Ridarety.

– Wciąż nie mogę zrozumieć kilku rzeczy. Przyniosłem ci Kulę Ferenu i omal nie spaliłaś...

– Rubin – przerwała.

– Mmm... tak. I Rubin omal nie spalił całej twierdzy. A teraz ratowałaś coś... kogoś, kto jest symbolem Ferenu...

– Kule i Rubiny to coś zupełnie innego niż Trzy Siostry i Ridareta. Tamte są przedmiotami,

a Siostry i ja nie. My myślimy i decydujemy. Raz na wiele setek lat – tłumaczyła – pojawia się żywy i myślący symbol Ferenu. I po raz pierwszy pojawił się ktoś, kto jest żywym Rubinem. Prawie.

– I co teraz z Delarą? – zapytał.

– Wyzdrowieje. Kazałam jej zabić Seilę. Anesę.

– Pierwszą Perłę królowej Dartanu? – Raladan po raz kolejny zaczął się zastanawiać, czy umysł Ridarety nie doznał żadnego uszczerbku, choćby podczas nagłego „przypominania sobie” zdarzeń sprzed stuleci.

– A kto może to zrobić łatwiej niż jej przyjaciółka i dowódczyni gwardii pałacowej?

– No dobrze, ale jeśli nawet... Zabić? Przecież dopiero co słyszałem...

– Słyszałeś, słyszałeś... A myślałeś? Ja nie mogę ich zabić, a dokładnie: Riolata nie może. Przecież to jest właśnie ta matematyka Szerni. – Znowu była (albo próbowała być) Przyjęta. – Riolata mordująca Trzy Siostry jest tym samym, co Odrzucone Pasma rozbijające Feren. Ale inny powód zniknięcia Trzech Sióstr? To nic nie oznacza, Raladan. Są śmiertelne. Wiadomo, że umrą. Przecież Feren od tego nie zniknie. Delara zabije Seilę, a jak jej się nie uda, to zostanie pochwycona i stracona. Właśnie uratowałam świat. Kogo nie mogę zabić, Raladan? Kogo suka NA PEWNO nie zabije, nawet gdyby mnie ogłupiła, zmusiła do czegoś i zerwała się ze smyczy? Kogo, no kogo na pewno nie można zabić?

Pokiwał głową.

– Martwego.

– Właśnie. Załatwiłam sprawę raz na zawsze. Chociaż raz w życiu zła Ridareta zrobiła coś naprawdę dobrego – powiedziała z prawdziwie szczerą wiarą.

– No nie, czekaj... Zginie jedna, może nawet dwie. A trzecia, najważniejsza?

– Jeśli nawet ją kiedyś zabiję, to będzie znaczyło tylko tyle, że rozpadła się jedna trzecia Ferenu. Pozostałe symbole Ferenu będą martwe, więc Riolata nie zabije ich, bo to niemożliwe.

Raladan myślał i myślał. Wreszcie znowu pokiwał głową.

– Matematyka, mówisz...

Podniósł się, wyszedł zza stołu i przez chwilę grzebał w kłopotach wrzuconych do skrzynki pod ścianą. Przyniósł naddartą kartę i ołowiany rysik. Mozolnie zaczął bazgrać. Wreszcie pokazał kartę Ridarecie.

– Tam leżą tablice deklinacji słonecznych, tablice matematyczne i przyrządy nawigacyjne – powiedział. – Każdy dowódca okrętu ma jakieś, choćby blade, pojęcie o matematyce. Każdy, tylko nie ty. Pytanie zresztą, Rido, czy tu w ogóle jest potrzebna znajomość matematyki? Może wystarczy po prostu odrobina zdrowego rozsądku. Chwila zastanowienia.

– Co mi tu napisałeś?

– Policzyłem to samo na dwa różne sposoby... Jeden sposób jest dłuższy, drugi krótszy, a oba

tak samo pewne. Wynik identyczny. Oszukała cię.

Ridareta niepewnie patrzyła na liczby i symbole.

– Ale... kto? – zapytała.

– Riolata albo, jak mówisz, suka. Tak jak powiedziałaś, Rubin to tylko rzecz. Albo raczej siła, która faktycznie nie myśli, potrafi jednak zmierzać do celu. Cięży ku czemuś, choćby i nieświadomie; tak pewnie powiedziała by Tamenath.

Gdyby jednoręki Przyjęty mógł się przekonać, jak wielki wpływ wywarł na dwoje zwykłych awanturników... Nigdy go nie słuchali, a jeśli nawet, to nie rozumieli, zwłaszcza Ridareta. Tak uważał. A po latach okazywało się, że nawet na najbardziej nieurodzajnej glebie potrafi zakiełkować jakieś ziarno. Tych dwoje wiedziało o prawach Szerni więcej niż wszyscy mieszkańcy Agarów razem wzięci.

– Wątpię – ciągnął Raladan – żebyś musiała wykończyć Trzy Siostry osobiście. Jeśli to naprawdę jest matematyka albo coś do niej podobnego... jakieś niewzruszone prawa... Brawo, Rido, rozwiązałaś równanie. Na swój sposób, ale wynik się zgadza.

– Nic nie rozumiesz, wszystko pokręciłeś! – zawołała.

– Ja pokręciłem? Zleciłaś zabójstwo, będziesz więc sprawczynią. To po pierwsze. A po drugie, skoro to takie proste, że wystarczy zabić jedną z Trzech Sióstr i Rubin przestanie mieć ochotę na następne, to dlaczego właściwie Delara ciągle żyje? Trzeba było pozwolić jej umrzeć. Czy to ty ją śmiertelnie raniłaś?

– Nie chciałam, żeby umarła! Suka chciała! Ja nie!

– I postawiłaś na swoim. A wtedy Rubin, skoro nie mógł rozwiązać równania w prosty sposób – Raladan wziął kartkę ze stołu – poszukał innego sposobu. Rido... Posłuchaj mnie uważnie. No, słuchaj! – powtórzył z naciskiem, bo aż ją roztrzęsło. – Twój plan nie trzyma się kupy. To stek bzdur. Nie znam się na Szerni, ale dwa dodać dwa to zawsze będzie cztery; i tak samo jeden dodać trzy... Rozumiesz, co do ciebie mówię? Oszukała cię! Lada dzień Feren zacznie się rozpadać z twojego powodu.

* * *

Oba szalasy były puste. A do tego zrujnowane, i to tak, jakby srożył się w nich niedźwiedź.

Raladan oglądał miejsce, w którym poszukiwana przez załogę Ridareta przesiedziała kilka dni. Nie dostrzegł nic ciekawego.

Marynarze łazili tu i tam. Był wśród nich mały pokurcz, przed laty kłusownik. Szukał tropów, lub udawał, że szuka. Ale nie znalazł żadnych.

Ridareta opierała się o drzewo przy strumyku. Raladan stanął pod drugim.

– Jaka była, kiedy ją zostawiłaś? Zdrowa?

– Prawie. Ale słaba – odpowiedziała krótko.

– Mogła chodzić?

– Z trudem. Ale mogła.

Z zatkniętymi za pas dłońmi kołysał się na obcasach. Miał taki obyczaj, gdy myślał.

– Opowiedz mi o niej – rzekł po zastanowieniu. – Zaszło tutaj coś, o czym warto wiedzieć? Powiedziała ci o czymś? Co zamierza zrobić, dokąd iść? Jak w ogóle wyglądała ta wasza... znajomość? – wypytywał.

– Po co ci to wszystko?

– Nie bądź głupia. Wybieram się do Rollyny – oznajmił. – Może wiesz coś, co może mi się przydać?

– Nie.

– Siedziałyście tu przez parę dni. Rzygałaś na nią, pięknie, to już wiem. A poza tym? O niczym nie rozmawiałyście, nic nie robiłyście?

– Prawie że nic.

Czekał.

– Łasiła się do mnie. Podlizywała jak najpodlejsza niewolnica. No to pobawiłam się nią.

– Pobawiłaś?...

Wzruszyła ramionami.

– Tresowałam... Kazałam, żeby sobie robiła różne rzeczy.

Wydeła usta i patrzyła nań tak długo, aż zrezygnował z dalszego wypytywania. Czymkolwiek były „różne rzeczy”, już nie wątpił, że Ridareta poniżyła i udręczyła zniewoloną brankę na najwymyślniejsze sposoby. Szkoda tylko, że dla niego nic z tego nie wynikało.

Wytłumaczyła sobie jego milczenie opacznie. Kiepsko się ostatnio rozumieli.

– Nie za bardzo mogłam się powstrzymać – powiedziała usprawiedliwiającym tonem – bo jeśli nie chciałam jej zabić, to suka musiała coś dostać na pocieszenie. Żeby nie kąsała mnie za bardzo. Kogo miałam jej dać do gryzienia? Marynarzy? A zresztą nie miałam humoru; jestem w ciąży, od jakichś pięciu tygodni. Nawet już trochę widać, nie zauważyłeś?... I to idzie tak szybko, jak zawsze, czyli urodzę gdzieś tak za dwa miesiące. Wszystko zaczyna być jak dawniej; może znowu nauczę się podpałać coś albo... Na razie nic nie umiem. Mówię, bo kiedyś pytałeś.

– Te twoje humory i ciąży... – urwał, bo nie chciał znowu zbywać jej problemów byle czym.

– Skoro nie możesz poronić od naparów z ziół, to dlaczego nie pójdziesz do jakiejś wiejskiej babki?

Nie doceniła jego starań. Przekrzywiła głowę i popatrzyła z litością.

– A myślisz, że nie próbowałam? Wyrwie ze mnie wszystko, tylko nie to co trzeba. A boleć będzie tak, że tego to już nawet ja nie wytrzymam. Suka umie się bronić i mścić, ona przecież chce, żeby było dużo Rubinków. Ja już nawet próbowałam sama otworzyć sobie brzuch, ale omal nie zabiłam Nellsa i...

– Wracamy i podnosisz kotwicę – zdecydował. – Wyszadzisz mnie w Dartanie, na wysokości Rollayny. Nie minęło zbyt wiele czasu i nawet jeśli zdobyła konia, to chyba nie ma pieniędzy, żeby co chwila kupować świeżego, a kradzieże to nie taka prosta sprawa dla kogoś, kto nigdy tego nie robił. Mogę ją jeszcze wyprzedzić. Masz w załodze kogoś, kogo można zabrać do wielkiego miasta, tak żeby nie przyniósł wstydu? Mądrego chłopaka o nie całkiem zakazanej gębie?

Podumała chwilę.

– Znajdzie się. Zresztą Dartńczyk; będziesz miał tłumacza. I mogę ci dać jeszcze dziewczynę, Garyjkę. Dziwka, ale dobrze zna Kinen, czyli chyba rozgarnięta. – Ślepa Ridi nigdy nie zdołała się nauczyć bodaj słowa w obcym języku. – Na dodatek taka, co nosiła naprawdę ładne suknie. Droga dziwka, nie dla każdego. Tyle tylko że pewnego razu...

– Lepiej już zamknij się, Rido – powiedział. – Żadnych dziwek i w ogóle żadnych kobiet. Czy w ogóle w Szererze są jeszcze jacyś mężczyźni? Na jednym tronie królowa, na drugim cesarzowa. Trzy Siostry i kobieta-Rubin. Dlaczego to nie mogli być Trzej Bracia?... Już ja widzę, jak wy to urządzicie. Jeśli ty nie rozwalisz Szerni, to Dartanka i Armektanka rozwalą przynajmniej Szerer. Wracajmy na okręt.

– Dobrze – powiedziała z niezwykłą pokorą.

– A ty dokąd popłyniesz? Jak już mnie wysadzisz na brzeg?

– Do Nin Aye, tak jak umówiłam się z Kitarem.

– Nie przeszło ci jeszcze?

– Mnie nie. Ale...

Lekko przygryzła wargę.

– Ale boisz się, że jemu przeszło?

Skrzywiła usta i smutno skinęła głową.

– Jestem głupia, przeklęta i nigdy nic mi się nie udaje.

5.

Kolorowe – byle nie czerwone – a najczęściej czarne maski, wąskie i szerokie, od kilku lat noszono w wielkich miastach Dartanu tak powszechnie, że aż trudno było wyjść z domu i nie spotkać nikogo z zasłoniętą twarzą. Stało się to niemal modą. Szczególnie w stolicy, mieście w którym biło serce królestwa będącego wcześniej najbogatszą prowincją imperium, każdy kto stał wyżej od przekupnia, miał coś do ukrycia. Plotki mogły przemienić się w chłoszczące różgi, a sprawdzone wieści w śmiercionośny oręż. Pijani mężczyźni w gospodzie, prawiający słodkie słówka córce gospodarza, niekoniecznie chcieli, by w nich rozpoznano szacownych urzędników miejskich; pukający do drzwi domu publicznego chwata nie życzył sobie pokazywać twarzy należącej do oficera halabardników królowej; dwie damy poprzedzane przez pacholków – także zamaskowanych – śpieszące dokądś o północy, na pewno miały powody do zakrywania twarzy. Nawet w miejscu tak niewinnym, jak miejskie targowisko, nie każdy szastający srebrem człowiek gotów był zdradzić swą tożsamość. Czyjeś oczy mogły poznać zalegającego z czynszami sąsiada, który niemal głodził swą rodzinę, zaniedbywał żonę, a teraz oto kupował kilkanaście łokci drogiego jedwabiu, tasiemki i wstążki do aplikacji, słowem: materiały potrzebne do uszycia wcale bogatej sukni...

Zapadał wieczór. Od trzech lat Rollayna nie zamykała bram miejskich, ale do Dzielnicy Królewskiej po zmierzchu nikogo przypadkowego nie wpuszczano. Mury stolicy miały postać dwóch okręgów, z których mniejszy, wewnętrzny, zamykał w sobie najbogatsze domy, ważne urzędy, a przede wszystkim, oczywiście, świetny pałac dartańskich monarchów. Zewnętrzny mur już od dawna nie miał znaczenia obronnego, obrósł domami, ogrodami – pieszy człowiek mógł bez trudu sforsować go w wielu miejscach. Przedmieścia były otwarte. I to tam skupiała się większa część ludności Rollayny, tam załatwiano liczne nieurzędowe sprawy. Tam najwięcej handlowano, bawiono się i zdradzano.

Zamaskowana kobieta, która idąc z przedmieścia wspięła się po wąskich stopniach na szczyt muru i zeszła po drugiej stronie (był to wygodny skrót łączący obwodnicę zewnętrzną i wewnętrzną), bardzo pilnie wystrzegła się ujawnienia swojej tożsamości. Oprócz zwykłego paska materiału z wycięciami na oczy miała na twarzy zasłonkę z czarnego jedwabiu, którą można było puścić luźno z boku albo podpiąć do górnej części maski; teraz była podpięta. Kobieta – a może dziewczyna, bo sprężystość ruchów i cała sylwetka zdawały się zaświadczać o jej młodym wieku – miała na sobie bardzo prosty i tani mieszczkański przyodziewek; kosztowna tkanina kryjąca twarz w ogóle do tej szatki nie pasowała, bo chyba przewyższała ją wartością. Na ulicach panował jeszcze znaczny ruch; dziewczyna, potrącana przez obojętnych przechodniów, poszła prosto ku jednej z dwóch bram wiodących do Dzielnicy Królewskiej. Zdążyła tuż przed

zmrokiem; dwaj znudzeni żołnierze przechadzali się wzdłuż muru w tę i nazad, popatrywali w niebo, ale nikogo jeszcze nie zatrzymywali.

Dziewczyna przeszła przez bramę.

Rollayna, wymieniana często jako najpiękniejsze miasto Szereru, nie wszędzie jednak wyglądała tak samo. Dzielnica Królewska, wielokrotnie przebudowywana, była koszmarem architektonicznym. Starodartański styl, smukły, strzelisty, ale przy tym wspaniale rozłożysty, bo – jak kazała tradycja – koniecznie parterowy, został tu wyparty przez bękarta. W ciasnocie stolicy, gdzie każdy chciał mieć rezydencję, wznoszono potworki rodem ze złego snu: pałacyki strzelające ku chmurom, z dziedzińcami, na których z trudem mieściła się lektyka, usadowione na podstawach mających najwyżej pięćdziesiąt na pięćdziesiąt kroków, istne wieże pełne spiralnie kręconych schodów, niezliczonych wykuszy, mających wyrwać dla mieszkańców domu dodatkową przestrzeń o rozmiarach kilku łokci, wszechobecnych balkonów i wiszących w powietrzu tarasów. Była to ohyda, która rozlała się, niestety, na cały Dartan, a następnie bez mała cały Szerer. To, co w stolicy było koniecznością, gdzie indziej stało się modą. Zapomniany rycerzyk z prowincji, nie mogący marzyć o domu w stolicy, budował podobny na swych ziemiach, nie rozumiejąc w ogóle, co robi i po co – bo od biedy umiał podpatrywać, jak żyją moiżni tego świata, ale myśleć, niestety, już nie.

Brukowana, świetnie utrzymana ulica, wiodła wzdłuż szeregu takich domów. Kobieta w mieszczańskim przyodziewku mijała je obojętnie, zmierzając tam, gdzie dźwigały się ku niebu potężne wieże pałacu królewskiego, uwiecznione w herbie stolicy. Główna bryła tej największej niewojskowej budowli Szereru (bo dwie stare armektańskie twierdze na północy, Tor i Rewin, wydawały się jednak większe i potężniejsze) była starodartańska, parterowa, jednak skrzydła strzelały w górę, mieszcząc więcej pokoi, korytarzy i komnat niż cesarska rezydencja w Kirlanie. Idąca ulicą dziewczyna, z dziwnym smutkiem w pięknych wilgotnych oczach spoglądała na owe widoczne z daleka skrzydła, jakby zostawiła tam coś, do czego nigdy nie wróci; jakieś dobre, ale już nieziszczalne marzenia, może tylko ciepłe wspomnienie...

Bo tak było.

Na dziedzińcu przed pałacem królewskim na pewno zmieściłoby się sporo więcej niż tylko jedna lektyka... Bywało, wyprawiano tam uczyty. Solidny, chociaż bardzo piękny, po dartańsku otynkowany biały mur, otaczał zarówno dziedziniec, jak i sam pałac, a na koniec ogród – bardzo szczególny, bo zapuszczony, trochę dziki, udający kawałek prawdziwego lasu: szumiały tam dęby i sosny, wznosił się pagórek, otwierało kilka piaszczystych wykrotów. Między paprociami zalegał nie zbierany chrust, a na miękkim mchu spoczywały igły i szyszki... Nie wiadomo, kto wymyślił taki dziwny ogród-nie-ogród, ale pomysł był bardzo dobry. W Rollaynie – szczególnie na przedmieściach – istniały parki i prawdziwe ogrody, lecz kawałeczek lasu mieli dla siebie tylko władcy.

Królowa Ezena, księżna Dobrego Znaku, polany w największej kniei Szereru, bardzo kochała ten las, bo przywoził jej na myśl początek długiej drogi, jaką musiała przebyć, by dotrzeć do komnaty tronowej.

Przed pałacową bramą czuwali pysznie odziani, uzbrojeni w halabardy i miecze wartownicy – to już nie było zwykłe wojsko, jak przed miejskimi bramami. Królewska gwardia uchodziła za najlepiej opłacaną formację Szereru – i powiadano, że służący w niej żołnierze zasługiwali na to. Wywodzili swój rodowód z osobistej straży władców Dobrego Znaku; odkąd przyszło im strzec monarchini, pomnożono ich liczbę, ale nie obniżono wymagań, skutkiem czego wciąż było ich za mało. Nie przyjmowano nikogo z niepewnym pochodzeniem i wątpliwymi umiejętnościami; gwardzistą mógł zostać tylko zasłużony żołnierz z określonym stażem, wywodzący się z innych, nie tak elitarnych, oddziałów monarchini.

Najlepsi spośród tych ludzi, wybrani z wybranych, zasłużeni wśród zasłużonych, zostali niedawno stratowani przez zgraję czterystu brudnych drabów. Kilku ciężko rannych przeżyło tę bitwę, by następnie konać z nogami przywiązanymi do gałęzi. Zapłacono za nich po dwadzieścia sztuk złota i pozwolono umrzeć na chłodnej murawie w cieniu drzew, które wcześniej oglądały ich klęskę.

W pałacowej bramie ruch nie zamierał prawie nigdy; może o północy, ale przecież nie wczesnym wieczorem. Zamaskowana kobieta poczekała chwilę, aż dziedziniec opuści większa od innych grupka ludzi (petentów, dworaków; któż to wiedział?...), i zbliżyła się do jednego z wartowników, który przerwał rozmowę z kolegą i spoglądał wyczekująco. Z maską na twarzy – obojętne, jak powszedni to był widok na ulicach dartańskich miast – nikt nie mógł wejść do pałacu. Żołnierz zrobił dwa kroki na spotkanie kobiecie.

– Daj mi tego dotknąć – powiedziała dziwnie zdławionym głosem, wyciągając rękę i muskając palcami mundurową tunikę gwardzisty. – Może to już ostatni raz...

Zaskoczony wartownik otworzył usta, ale nie zdążył nic powiedzieć, bo uprzedziła go słowami:

– Ja i królowa, żołnierzu. Tylko ona lub ja.

Halabardnik zgłupiał do reszty. Nagle zmarszczył brwi, trochę niepewnie uniósł rękę, jakby chciał podrapać się w głowę, odstąpił krok i zapytał:

– Wasza god...? Perło?

– Tak, tylko nikomu ani słowa. Muszę wejść do pałacu, ale nie zdejmę maski. Wiem – uprzedziła wszystkie wątpliwości. – Nie złamię własnego rozkazu... Ma tu przyjść twój dowódca, a jeśli nie on, to jej godność K.N.Vasaneva. Nikt inny. Nie znajdziesz ich, to wróć i mi powiedz.

– Tak, Perło.

Halabardnik znał sylwetkę, włosy, oczy, głos i sposób mówienia Czarnej Perły. Wprawdzie nie widział jej twarzy, ale postawiłby w zakład głowę, że mówiąca nie jest nikim innym. Zresztą

nie zleciła niczego, czego by nie mógł wykonać; wprost przeciwnie. Odwrócił się i powiedział kolegom:

– To do komendanta.

Szybkim krokiem ruszył przez dziedziniec.

Zamaskowana kobieta odsunęła się od bramy, przez którą znowu ktoś wchodził.

Przyszło jej czekać dość długo.

Żołnierz tymczasem nieomal biegiem przemierzał pałacowe korytarze. Odebrany od Czarnej Perły rozkaz nie tylko mógł, ale nawet musiał wykonać, bo pochodził aż z dwóch źródeł. „Gdyby wróciła pani Hayna” – rzekł niedawno komendant Ohegened, kierując swe słowa do oficerów straży pałacowej – „mam być o tym natychmiast powiadomiony. Natychmiast!” – podkreślił.

Oficerowie powtórzyli rozkaz podkomendnym.

Teraz halabardnik, znający znaczenie słowa „natychmiast”, pędził prosto do komendanta, pomijając nawet zwykłą drogę służbową, bo normalnie zameldowałby się u dowódcy wart. Był rad, że niesie dobrą nowinę: Czarna Perła królowej, surowa kiedy trzeba, ale na co dzień uśmiechnięta i łaskawa, a zawsze sprawiedliwa dla żołnierzy i gotowa ich bronić przed każdym, była powszechnie lubiana. Prosty wojak cieszył się, że już wróciła z podróży.

Hayna była pierwszą gwardzistką królowej i jej osobistą przyboczną. Odpowiadała za bezpieczeństwo monarchini, podlegały jej więc zarówno zwykłe przyboczne niewolnice, jak też wojskowy oddział mający akurat służbę w pałacowych koszarach, a na koniec straż pałacowa, choć bezpośrednim przełożonym halabardników był komendant Ohegened, niemłody już Grombelardczyk, żołnierz wierny i zasłużony. Właściwie wyłącznie za jego pośrednictwem Czarna Perła miała prawo rozkazywać pałacowej straży, była to jednak czcza formalność, z reguły nieprzestrzegana, zwłaszcza że surowy wojak Ohegened bardzo dobrze znosił zwierzchnictwo pięknej i mądrej niewolnicy królowej, która ze swej strony okazywała mu uznanie, przyjaźń i szacunek. Jeśli zlecała coś halabardnikom, to nie tyle przywłaszczała sobie jego prawa, co po prostu ujmowała mu pracy – tak to właśnie (bardzo słusznie zresztą) widział i traktował. Niemniej, gdyby kiedyś tych dwoje dowódców wydało sprzeczne rozkazy, pałacowi strażnicy winni byli posłuch swojemu komendantowi – on zaś co najwyżej mógł tłumaczyć się przed królową, dlaczego nie wypełnił polecenia Perły.

N.Ohegened, człowiek o dużych wpływach i znaczeniu, dowodzący raptem pięcioma setkami żołnierzy, a mimo to mający stałe miejsce w radzie wojennej obok wielkich i sławnych wodzów królestwa, nigdy – poza krótkim okresem urlopu – nie miał czasu prywatnego; stale pozostawał na służbie. O każdej porze dnia i nocy musiał być gotów wypełniać obowiązki; nie miał prawa wyjść ze swojej komnaty, nie pozostawiwszy w niej żołnierza, który wiedziałby, gdzie szukać komendanta, gdyby zaszła taka potrzeba. Zdążający od pałacowej bramy gwardzista miał szczęście, bo zastał zwierzchnika u siebie – ale zarazem miał pecha, bo zwierzchnik był akurat

pólnagi i przymierzał się do kadzi z ciepłą wodą. Ładna służka z naręczem kąpielowych prześcieradeł zapowiedziała, a raczej krótko i sucho zameldowała mu podkomendnego, więc wyłonił się z drugiej komnaty, bardzo nierad. Żołnierz zameldował, z czym przyszedł. Komendant przez chwilę milczał.

– Wróć i powiedz Perle, że przyjąłem meldunek. Zaraz będę przy bramie.

– Tak, panie!

Żołnierz wyszedł. Ohegened zwrócił się do niewolnicy.

– Sam się ubiorę. Odszukaj lub każ odszukać jej godność K.N.Vasanewę. Gwardziści służbowi do mnie.

– Tak, panie. – Niewolnica była wdrożona do wojskowych porządków i należało przypuszczać, że wykąpawszy komendanta, powiedziała wyprostowana: „Melduję, wasza godność: jesteś czysty!”.

Zostawiła prześcieradła tam gdzie stała, okręciła się na pięcie i ruszyła prosto do drzwi. Czy z nią sypiał?... Jeśli tak, to na pewno mówiła: „Akt miłosny dobiegł końca, wasza godność! Przystępuję do zasypiania”.

Służbowi gwardziści wartowali na korytarzu przed drzwiami do komnat dowódcy. Niewolnica wyszła, wezwani żołnierze weszli.

– Do warty przy osobie królowej. Powiedz: przyszła. Niech przekażą to jej królewskiej wysokości.

– Tak, panie.

Żołnierz wyszedł.

– Do oficera służbowego – rzekł jego koledze Ohegened. – Ośmiu ludzi w rynsztunku bojowym. Nie paradnym! – podkreślił, bo różne honorowe asysty były w pałacu na porządku dziennym; w poważnej sprawie należało wykluczyć wszelkie pomyłki i nieporozumienia. – Mają czekać przy drzwiach głównych.

– Tak, panie!

Komendant odział się, narzucił na wierzch zielono-granatową mundurową tunikę, z wyhaftowanymi dębowymi liśćmi i czerwoną królewską koroną, przypasał miecz, po czym ruszył korytarzem ku schodom. Mieszkał we wschodnim skrzydle, niewysoko, bo na pierwszym piętrze. Zbiegł po szerokich stopniach, prawie nie dostrzegając czmychającej z drogi służby, jakichś domowników i gości czy petentów... Bogato zdobiona narzuta oficera gwardii królowej robiła wrażenie na każdym, nawet jeśli był to dzikus spoza stolicy, nieznający twarzy komendanta Ohegeneda. Stary wojak skierował się ku wyjściu, dokąd już zmierzali biegiem z naprzeciwka wezwani żołnierze pod bronią.

Stary Grombelardczyk miał do wykonania najobrzydliwsze zadanie, jakie mu kiedykolwiek zlecono.

Nie wierząc własnym uszom i aż uśmiechając się z politowaniem – co zakrawało na beczelność i zuchwalstwo, bo mówiła doń sama królowa – wysłuchał niedawno poronionej historii o spisku, w którym jakoby mogła uczestniczyć... Hayna. Gdy chodziło o służbę królowej, Ohegened gotów był poważnie potraktować wszystko – ale nie takie bzdury. Jedno poprzysiągł sobie w duszy: że jeśli w tych szaleńczych (bo co z tego, że królewskich?...) bredniach jest bodaj okrucieństwo, to nie odnowi swej żołnierskiej przysięgi, wymówi służbę i wyjedzie z Dartanu raz na zawsze. Skoro Hayna mogła zwrócić się przeciwko królowej, to znaczyło, że może każdy. On sam, jego gwardziści, Yokes i jego chorągwie... Wszyscy, zupełnie wszyscy. Ohegened nie zgadzał się na trwanie w takim świecie, gdzie pod nogami nie było nawet najmniejszego kawałka twardego gruntu. Musiał mieć chociaż jedną osobę, której ufa.

Hayna miałaby zdradzić królową?

Gdyby się to potwierdziło, Ohegened nie zdołałby już nigdy zaufać nikomu. Nikomu! Nawet samemu sobie. Bo Hayna był bardziej pewien niż siebie – nie upijała się. Nigdy.

Jednak Czarna Perła właśnie wróciła do pałacu, chociaż miało jej nie być co najmniej przez kilka, a nawet kilkanaście tygodni. Królowa uprzedziła go o takiej możliwości, a to oznaczało, że w niewiarygodnych wieściach, które uzyskała (od kogo? z jakich źródeł?), coś jednak było prawdą.

Robiąc dobrą minę, miał teraz zwabić Czarną Perłę do siebie, otoczyć zbrojną strażą i oddać Vasanevie. Po czym nigdy już nie spojrzeć Haynie prosto w oczy. Bo nie chodziło wcale o to, że z rozkazu królowej miał ją pojmać; Hayna wiedziała, co to rozkaz. Ohegened miał udawać, że nic nie wie, że cieszy się z jej powrotu. Sto razy wolałby stanąć i od razu powiedzieć: „Jesteś podejrzana o udział w spisku i musisz iść ze mną, Perło”.

– Do moich komnat – rozkazał krótko, zwracając się do dowódcy uzbrojonych jak na wojnę gwardzistów. – Czekać w drugim pokoju na rozkazy.

– Tak, panie.

Ohegened wyszedł przed pałac.

Z dziedzińca znoszono właśnie pustą lektykę, z której zapewne przed chwilą wysiadł jakiś umówiony na wieczór gość lub po prostu wracający do domu dworzanin. Trzej ludzie pytali o coś strzegącego bramy wartownika. Odpowiedział, po czym wskazał kierunek. Podziękowali i poszli dobrze oświetloną ulicą wzdłuż pałacowego muru. Komendant straży znalazł się przy bramie i rozejrzał dokoła. W świetle wielkich olejowych zniczy dostrzegł samotną sylwetkę po drugiej stronie ulicy, w cieniu strzelistego budyńca. Ruszył ku niej.

Postąpiła mu naprzeciw.

– O nic nie pytaj – powiedziała, chyba odruchowo dotykając jedwabnej tkaniny na twarzy, jakby chciała sprawdzić, czy ją ma. – Wprowadź mnie do pałacu, muszę się zobaczyć z królową.

– Co tu robisz, Perło? Miałas być w Grombelardzie.

– Owszem. Ale z ruszającej tam wyprawy ocalałam tylko ja. Wprowadź mnie. Nie mogę tego zdjąć – rzekła, po raz drugi dotykając zakrywającego twarz jedwabiu.

– Dlaczego?

– Bo nie mogę.

Po krótkiej chwili dorzuciła:

– Dobrze, daj rękę... No, daj.

Ujęła jego dłoń i wsunęła pod zasłonę. Dotknął palcami policzka.

– Oszczędź mi tego na razie – poprosiła bardzo, bardzo cicho.

Nie wiedział co powiedzieć. Przełknął ślinę.

– Co się stało? – zapytał w końcu. – Powiedz mi, co zaszło. Walczyliście?

– Tak, ale to nieważne. Nic więcej ci teraz nie powiem, bo nie mogę. Nie mogę. Wprowadź mnie do pałacu.

Pomogła mu wypełnić wstrętą misję. Nie chciała o czymś mówić, miała tajemnice. Więc i on mógł jakieś mieć.

– Skoro tak – powiedział – to chodź.

Ruszyli ku bramie.

– Wszystko w porządku – rzekł do wartowników.

– Tak, panie.

Z Czarną Perłą u boku przemierzył dziedziniec. Weszli do pałacu.

Ktoś kiedyś powiedział, że jest to dom przeklęty. Miał rację czy jej nie miał... W każdym razie, była to budowla nieudana. W założeniu piękna, wyglądała na taką jedynie z zewnątrz. Coś wyszło zupełnie na opak, gdzieś popełniono błąd, a raczej wiele, wiele błędów... Wysoko zawieszony sklepienie winny dawać poczucie wolności i przestrzeni; zamiast tego – niedosiężne, niewyraźne, nazbyt płynnie przechodzące w ściany – wywoływały przygnębienie, zniechęcenie. W korytarzach źle rozchodziło się światło, a po dziwacznie rozplanowanych schodach równie trudno było wejść, jak zejść – zbudowano niskie, a za to nadmiernie szerokie stopnie, zbyt wąskie, by uczynić dwa kroki, za szerokie na jeden krok, skutkiem czego tylko karzeł lub wielkolud mógł się po nich poruszać normalnie, wszyscy inni gramolili się, dreptali... Prawie każdy drobiazg był w pałacu nie taki, jak trzeba. Nawet wzory na posadzkach mamyły i męczyły oczy. Może zresztą wynikało to z nadmiaru niedoskonałości; możliwe, że każde z owych błędnych rozwiązań architektonicznych i zdobniczych, przeniesione do innego domu, byłoby raczej ciekawym urozmaicheniem niżli wadą. Lecz zebrane wszystkie w jednym miejscu, czyniły życie niezmiernie uciążliwym, szczerze przykrym.

Ohegened szedł po wzorzystej posadzce, prowadząc za sobą Haynę.

Wszyscy ją tu znali. Maską niewiele mogła pomóc, skoro każdy żołnierz i każdy domownik sto razy widział równo ułożone wokół głowy, kasztanowe włosy królewskiej Czarnej Perły, znał

jej zgrabną sylwetkę i sposób chodzenia... Ale skromny przyodziewek, jaki miała na sobie, zbijał domowników i służbę z tropu. Widywano ją w bogatych sukniach; kiedy indziej nieomal nago – bo zwiewne domowe szatki Pereł, porozcinane ze wszystkich stron, pospinane łańcuszkami i delikatnymi broszami, bardzo niewiele ukrywały; czasem nosiła kolczugę i ściągniętą pasem narzutę wojowniczką... Teraz ktoś przystanął, oglądając się za dziwną mieszczką z jedwabną tkaniną na twarzy, bo byłby przysiągł, że już kiedyś... gdzieś... W grupce stojących pod ścianą ludzi na chwilę ucichły rozmowy; trochę dalej dwaj mężczyźni, marszcząc brwi, przyglądali się towarzysze komendanta Ohegeneda.

– Dokąd mnie prowadzisz? – zapytała.

– Najpierw do siebie – odrzekł krótko. – Do królowej teraz nie wejdiesz.

– Dlaczego?

Byli już na piętrze. Komendant uniknął odpowiedzi, przyspieszając kroku.

– Dlaczego, Ohegened?

– W tej chwili jest... niedostępna – odpowiedział przez ramię.

Nie wysilił się. Dla dowódcy straży pałacowej i osobistej przybocznej o statusie Drugiej Pereł królowa była dostępna zawsze i wszędzie. Po chwili sam zrozumiał, że się nie wysilił... Obejrzał się na towarzyszkę, ale już jej za nim nie było. Biegła korytarzem z powrotem w stronę schodów.

– Straż! – krzyknął. – Zatrzymać ją!

W głównej bryle budowli było pełno halabardników; w skrzydłach trochę mniej. Ale przy schodach stały warty. Żołnierze skoczyli ku uciekinierce. Jacyś pałacowi niewolnicy odbiegli pod ścianę, ale nie dość szybko: potrącając ich, pędził już halabardnik z kolejnego posterunku, za nim zrywał się do biegu następny. Pałacowe straże były rozstawione tak, że każdy wartownik widział dwóch najbliższych kolegów.

Zamaskowana mieszcza przystanęła, bo stało się dla niej jasne, że zaraz zostanie pochwycona – albo zginie. To nie były zbiry, których mogła nad morzem szlachtować swoją włócznie; znała żołnierzy, którzy właśnie ku niej biegli. Z gołymi rękami mogła stawić czoło jednemu, może dwóm. Ale ci ludzie, tutaj, pilnując domu osoby, która nadawała sens ich istnieniu, w ogóle nie znali się na żartach. Sama ich tego uczyła. Każdy gotów był bez namysłu nadziać się na wrogi miecz, byle tylko jednocześnie wbić swój tam, gdzie trzeba.

Zamiast biec dalej ku schodom, rzuciła się w bok, całym ciężarem ciała uderzając ogłupiałego, zastygłego w miejscu dworaka, który poleciał do tyłu i rozbił głowę szybę w wielkim oknie. Mając za sobą pędzących z nastawioną bronią gwardzistów, skoczyła w okno, wygniatając barkiem ołowianą ramkę, w której tkwiły zębate resztki szkła – i wypadła na zewnątrz. Mogło się to skończyć bardzo źle, bo piętro oparte na starodartańskim parterze, dzieliła od ziemi naprawdę spora odległość. Czarna Perła wylądowała w dzikim ogrodzie za domem,

szczęśliwie nie nadziewając się na żadną sosnową gałąź i nie łamiąc kości w płytkim piaszczystym wykrocie, o brzeg którego wyrznęła żebrami, kalecząc się o wystający z ziemi korzeń. Zerwała się i pobiegła w głąb lasu. Stała na krótką chwilę i rozdarła spódnice swojej sukieneczyny, by nie krępowała poruszeń. Z jasnych pałacowych okien na łeb, na szyję, ale bez żadnego wahania, wyskakiwali w ślad za nią pałacowi strażnicy. Ktoś krzychał, przyzywając warty z zewnątrz – nawet zagajniczek za domem królowej zawsze patrolowali gwardziści.

Hayna natknęła się na nich tak niespodziewanie, że tym razem nie mogła uciec. Uderzeniem rozpędzonego ciała zbiła z nóg pierwszego gwardzistę, przetoczyła się po ziemi i wstała, trzymając w rękach wydartą przeciwnikowi halabardę. Zgruchotała kolana drugiemu żołnierzowi i przedłużyła łuk zataczany przez masywne żeleźce, pozwalając, by ciężka broń nabrała nowego pędu; nie straciła przy tym równowagi ani orientacji. Dosięgła trzeciego gwardzistę, tak samo podcinając mu nogi i zrywając ścięgna hakiem halabardy. Ten, którego przewróciła na początku, wstał z mieczem w ręku, rzucił się do przodu i umarł, pchnięty grotem żeleźca w gardło.

Nie umiała walczyć na niby.

Wstrząsnęła nią śmierć żołnierza. Własnego... Wiernego i odważnego.

Zachłysnęła się oddechem; omal nie zapłakała.

Rzuciła halabardę, wyrwała miecz z martwej ręki i pobiegła dalej, zostawiając za sobą dwóch rannych i zabitego.

Mur wokół ogrodu był za wysoki, by mogła go sforsować bez sznura. Między drzewami prześwitywały jasne okna pałacu. Drzewa i zarośla podchodziły pod ściany obu skrzydeł budowli, ale od środkowej części oddzielała je pusta przestrzeń. Pałacowe drzwi wiodące do „lasu” były strzeżone przez wartę.

Hayna знаła w lasu każdy krzaczek; tu nie było gdzie się schować. Lada chwila z pałacu wypaść miało kilkudziesięciu żołnierzy, dołączając do tych, którzy właśnie znaleźli jęczących towarzyszy z patrolu. Potem już tylko krótkie polowanie z nagonką. Osaczona pod murem zwierzyzna.

Przedzierała się do zachodniego skrzydła.

I dojrzała otwarte okno.

Nie było tak jasne, jak większość pozostałych. W komnacie migotało kilka świec, zmieniających ciemność w żółtobrazowy półmrok.

Otwarte okno – w głównej bryle budowli... Po drugiej stronie wolnej przestrzeni. Zawieszona wysoko nad ziemią, chyba wyżej, niż sięgała głową.

Gdzie patrzyli strzegący pałacowych drzwi wartownicy? Czy w stronę wschodniego skrzydła, skąd dochodziły krzyki biegających po lasu strażników?

Przesunęła się na sam skraj lasu. Wielkim łukiem cisnęła miecz ponad korony drzew, licząc, że upadnie gdzieś przy murze. Nie czekała, aż zadzwoni o konary; pobiegła. I nabrała

rozpędu; wypadła na oświetloną przestrzeń niczym sarna, w mgnieniu oka przemierzyła ją, odbiła się od ziemi i skoczyła, ramionami i głową naprzód.

Nikt nie krzyknął, nikt jej nie zauważył. Nikt nie szukał uciekinierki w padającym z pałacowych okien świetle, na otwartej przestrzeni, w miejscu gdzie nie mogła się schować.

Przez szeroko otwarte drzwi wybiegali do ogrodu halabardnicy gwardii.

Hayna bardzo ostrożnie i powoli przymknęła skrzydło okna, przez które wskoczyła do komnaty. Stała przy ścianie, bo inaczej płomienie świec rzuciłyby na okno jej cień. Poza tym ściana... dawała oparcie plecom. Krótkotrwały wysiłek bardzo zmęczył Perłę. Pomimo zbawczego działania ohydnych eliksirów, którymi smarowano ją i karmiono, była jeszcze słaba.

Drżały jej kolana i ręce.

Poznała pokój, w którym się znalazła – i tak samo poznała człowieka, który właśnie do niego wchodził.

Nie zauważył jej.

Zamknął drzwi, odwrócił się i krzyknął zaskoczony, gdy rzuciła mu się do nóg.

– Nic nie mów, wasza wysokość. Nie wydaj mnie – poprosiła.

Oniemiała ze zdumienia, przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

– To ty, Perło?... – zapytał wreszcie.

– Tak, wasza królewska wysokość.

– Co tutaj robisz? Jak się tu dostałaś? Czy nie powinnaś być w Grombelardzie? – pytał trochę chaotycznie. – Przede wszystkim wstań! Co wyprawiasz?

– Klęczę. Bo potrzebuję pomocy. Nikt nie może mnie tutaj znaleźć... a nie chcę podnieść ręki na waszą królewską wysokość.

– Podnieść ręki?...

– Szukają mnie żołnierze straży pałacowej.

– Twoi własni żołnierze?

– To żołnierze królowej, nie moi.

– Co zrobiłaś? I powiedziałem ci: wstań.

– Nie, wasza wysokość, dopóki nie obiecasz, że pozwolisz mi się schować pod łóżkiem, jeśli ktoś zapuka do tych drzwi.

– Skoro to jest warunek, obiecuję – powiedział. – Ale ponieważ nie ma tutaj łóżka, musimy przejść do mojej sypialni. Tam na pewno nikt nie wejdzie, bo nie ma drzwi wiodących na korytarz. Mogłaby najwyżej wejść królowa... ale drzwi łączące nasze sypialnie bardzo rzadko się otwierają. O czym, niestety, wiesz.

Podniósł ją i popchnął ku wejściu do drugiej komnaty.

Kotary w oknach były zasunięte. Na stole obok łoża stał kandelabr dźwigający pięć świec. Książę rozjaśnił je kolejno, odpalając od pojedynczej, zabranej z pokoju dziennego. Zupełnie

odruchowo upewniła się, czy na kotarach nie kładzie się jej cień. Przez chwilę nic nie mówili, dzięki czemu do uszu Małżonka dotarły okrzyki biegających po lasce żołnierzy.

– To z twojego powodu te hałasy? – zapytał.

– Tak.

– Co zrobiłaś?

– Wykonuję... tajną misję na zlecenie królowej – powiedziała. – Wszyscy myślą, że jestem w Grombelardzie, i nikt nie może wiedzieć, że wróciłam do Rollayny. Nikt, nawet komendant Ohegened. Próbowałam skrycie dostać się do pałacu...

– W tym stroju? I z maską na twarzy?

– Nie miałam innego stroju. A maska... Zabiłam żołnierza w ogrodzie. Teraz mnie szukają.

– Zabiłaś żołnierza?...

– Tak.

– Ale przecież nawet, jeśli cię złapią, to nic ci nie grozi!

– Tak, ale moja misja. Legnie w gruzach, wasza królewska wysokość. A jeszcze jej nie zakończyłam.

Książę Awenor milczał. Nie miał pojęcia, o jakiej misji mówi Czarna Perła; nie wiedział, co dzieje się w pałacu, jakie gry się toczą i intrygi... Nigdy nic nie wiedział. O niczym.

Ale za to Hayna wiedziała, że małżonek królowej nic o niczym nie wie... Że jest ostatnią osobą, która dowie się, iż tego dnia wieczera zostanie podana wcześniej. I przyjdzie do stołu, by ujrzyć wstających właśnie z krzesel, sytych biesiadników, wymieniających żarciki z jej królewską wysokością, tryskającą dobrym humorem. Zechce samotnie dojeść zimne resztki albo po prostu pójdzie spać. Głodny.

Siedział na łóżku, spoglądając na stojącą przed nim niewolnicę.

– Na razie nic ci nie grozi. Tutaj możesz odpiąć tę zasłonkę z twarzy; to niewygodne – powiedział, byle coś powiedzieć. – Lubię oglądać twój uśmiech, śliczna Perło.

– Ale już go nigdy nie zobaczysz, panie.

– Co to ma znaczyć?

– Nic, wasza wysokość... Czy mogę tu zostać do chwili, aż uspokoi się zamieszanie? Nikomu o mnie nie powiesz?

– Nawet królowej? Mógłbym... chyba mógłbym ją tutaj sprowadzić.

– Chyba tak, wasza wysokość. A może nie.

– Mógłbym chociaż spróbować.

– Lepiej nie.

Co mógł odrzec?... Perła dobrze wiedziała, co mówi. Książę Zajączek i poufne szepty, intrygi?... Jej królewska wysokość Ezena była gotowa zwrócić się ku niemu, zmierzyć zdziwionym spojrzeniem, po czym głośno, na użytek wszystkich, powiedzieć:

„A cóż to za szepty, wasza królewska wysokość? Czy mamy jakieś tajemnice? Wobec kogo? Naszych najbliższych domowników?”

Wówczas stałby, w ciszy, pośród pięćdziesięciu „najbliższych domowników”, patrzących wyczekująco i próbujących powściągnąć uśmieški.

– Wolałabym poczekać, aż jej królewska wysokość zostanie sama w swojej sypialni. Jeśli nawet mógłbyś ją sprowadzić, to... lepiej, żeby nikt nie wiedział, wasza królewska wysokość, że w ogóle mnie dzisiaj widziałeś. Lepiej dla mnie, dla ciebie, dla królowej... Dla wszystkich, wasza wysokość.

Było oczywiste, że Czarna Perła ma rację.

– Dobrze, Hayno. Zgodzę się z tobą. Ale teraz życzę sobie wiedzieć, co znaczyła ta wzmianka o uśmiechu. – Armektański książę wprawdzie niewiele wiedział, ale nie był głupcem i potrafił rozpoznać chwilę, w której otarł się, coś ważnego. – Dlaczegoż to nie będziesz się uśmiechać?

Przez chwilę nie odpowiadała. Ale było jasne, że tym razem nie zdoła zmienić tematu. Małżonek odniósł wrażenie, że śliczne oczy, widoczne przez otwory w jedwabnej tkaninie, przygasły.

– Dlaczego już nie będę się uśmiechać? Z wielu różnych powodów, ale pierwszy jest taki, że nie mam czym, wasza wysokość – powiedziała wolno, próbując zapanować nad głosem; nie do końca się to udało. – Z mojej twarzy zostało tylko to, co widzisz... Oczy, książę. Nie mam już policzków, podbródka... – Urwała. Zacerpnęła tchu i dokończyła trochę niewyraźnie: – Tam są tylko szramy, blizny... potworność...

Urwała po raz drugi. Uniosła dłoń i dwoma krótkimi ruchami zebrała łzy z dolnych rzęs, każąc im wsiąkać w czarny jedwab. Awenor milczał przerażony.

– Nie każ mi tego pokazywać – poprosiła. – Zapamiętaj mnie taką, jaką... jaka byłam...

Znowu musiała zamilknąć.

– Czyś ty oszalała, dziewczyno? Nie mogę w to uwierzyć... – szepnął, patrząc na mięciutki jedwab czarnej maski. – Co ty mówisz, Hayno?... Zostałaś zraniona w jakiejś walce? Ale są wspaniałe balsamy gojące, jakieś maści... Królowa wezwie najlepszych medyków królestwa, może nawet najlepszych w Szererze! To wszystko się wygoi, a kilka niedużych blizn na twarzy wojowniczkii... choćby nawet nie zniknęły do końca...

Na pewno myślał tak, jak mówił. Dla Armektańczyka wojenna pamiątka na twarzy – choćby i twarzy kobiety – bardzo rzadko była czymś odstręczającym. Wprost przeciwnie: chwalebna skaza pozwalała wydobyc na wierzch i dojrzeć całą pełnię urody, trochę tak jak... sypiący się na męskiej twarzy zarost... Świeże chłopięce policzki na pewno były ładne, ale policzki męskie, chociaż szorstkie, pociemniałe, świadczyły o urodzie dojrzałej. Wojenne piętna tak samo. Spoglądająca na bitewne pola armektańska Arilora – Pani Wojna, ale także: Pani Śmierć – nie

miała gładkiego oblicza. Gładkich twarzy nie miały nawet posągi wojowników i wojowniczek, strzegące wrót cesarskiego pałacu w Kirlanie.

– Nie wiesz, o czym mówisz, wasza wysokość – powiedziała nieco spokojniej niż przed chwilą. – Dziękuję ci... ale już nie wracajmy do tego.

W sąsiedniej komnacie otwarły się drzwi. Jakiś kobiecy głos zapytał:

– Wasza królewska wysokość?

Awenor bez słowa pokazał Haynie łóżko, na którym właśnie siedział. Od razu legła na podłodze i zręcznie pod nie wpełzła.

– Wasza królewska wysokość? – zapytano raz jeszcze.

– Jestem – odpowiedział Małżonek, wychodząc z małym podróżnym zwojem w ręku do dziennej komnaty; bardzo wiele armektańskich dzieł powielono w takiej właśnie postaci, bo były lekkie i wygodne w użyciu. – Zaczytałem się... O co chodzi?

– Żołnierze kogoś szukają – wyjaśniła służka, pokazując kilku zbrojnych na korytarzu.

– Tak? A kogo?

– Wasza królewska wysokość – powiedział dowodzący gwardzistami oficer. – Czy nikt tędy nie biegł? Korytarzem albo...

– Albo z mojej sypialni do komnaty dziennej i z powrotem? – zapytał trochę kpiąco Awenor.

– Nie, nikt nie biegł. A kto powinien biegać po prywatnych pokojach królowej Dartanu i jej męża?

– Nikt nie powinien – przyznał grzecznie oficer. – Gdyby jednak wasza królewska wysokość dostrzegł kogoś, kto robi coś, czego tutaj robić nie powinien... Albo choćby tylko jest dziwacznie ubrany...

– Nie rozumiem nic z tego, co mówisz, wasza godność – rzekł z niejakim zniecierpliwieniem Awenor, lekko unosząc częściowo rozwinięty zwój, na którym widniały równe linijki jakiegoś armektańskiego poematu. – Co to znaczy: „dziwacznie ubrany”? Kogo szukacie?

– Tego nie wolno mi powiedzieć, wasza królewska wysokość – wciąż grzecznie, ale i cokolwiek niechętnie odpowiedział oficer, który wiedział, co i wobec kogo może, a czego na pewno nie. – Gdyby wydarzyło się coś niezwykłego, w imieniu królowej proszę waszą wysokość o posłanie do nas niewolnicy.

– Mam do posług tylko jedną niewolnicę – raczej ze spokojną wymówką, niżli skargą w głosie powiedział książę Awenor. – Gdy ją po was pošlę, proszę mi ją szybko odesłać, bo zostanę w ogóle bez służby.

– To już do mnie nie należy, panie – skończył rozmowę gwardzista, który wyraźnie nie miał ani poczucia humoru, ani wyczucia taktu. – Wasza królewska wysokość – odmeldował się.

– Żołnierzu – odpowiedział Awenor.

Strażnicy poszli.

– Niech nikt nie zawraca mi głowy – rzekł Małzonek do wzorowej służki, która przed chwilą nie wiedziała nawet, czy jej pan jest w swoich komnatach. – Chcę przed snem spokojnie poczytać.

– Tak, wasza wysokość.

– Dziękuję.

– Czy dzisiejszej nocy będę waszej wysokości potrzebna?

– Nie. – Tym razem Awenor nie dodał słówka „dziękuję”. – Prosiłem, by mnie o to nie pytać.

W Dartanie, podobnie jak w Armeckie, niewolnicy mieli status przedmiotów, służących właścicielowi do dowolnych celów. Zwłaszcza w Armeckie nie bardzo dostrzegano różnicę między, powiedzmy, posileniem się a zaspokojeniem „potrzeby kobiecej” albo „męskiej”... Tak był zbudowany i tak działał człowiek – rozumowali synowie i córki Równin. Miłosne uniesienia kochanków lub małżonków były jednym, codzienne potrzeby – sprawą drugą; można było łączyć miłość i cielesność, lecz nie należało ich mylić. Zdrada małżeńska? Owszem, ale przecież nie z przedmiotem albo sługą... W Dartanie może brakowało głębokich uzasadnień (niewolnika uważano za przedmiot, i tyle), ale wszystko inne wyglądało podobnie, tak więc w całym Szererze tylko Garyjczycy mogli dopatrywać się zdrożności w obsłudze pana lub pani przez niewolną służbę. Jego królewska wysokość Awenor z całą pewnością nie był Garyjczykiem – a jednak nie korzystał z usług niewolnicy, choć jako zdrowy i niestary mężczyzna bez wątpienia takowych potrzebował. Problem polegał na tym, że istnieli niewolnicy i niewolnicy; przedmioty i przedmioty... Obsługiwany w nocy z tą samą starannością i szacunkiem co za dnia, armeckański książę poniechał obcowania z obojętną i zimną figurą, wykonaną na kształt kobiety, którą musiałby chyba przetaczać z boku na bok, bądź skłaniać do tego rozkazami (nieładne żołnierskie słówko „rznąć” wydawało się tu jedyne, bo w sam raz odpowiednie dla deski). Był przywiezionym z obcego kraju panem, od którego nic nie zależało, a sługa, jak świat światem, jeśli za coś NAPRAWDĘ nienawidził pana, to właśnie za to. Za marność. Bo niewolnik „nikogo” był niczym. Podczas gdy niewolnica królowej – drugą królową Dartanu.

Być może takie właśnie myśli snuły się po głowie Księcia Zajączka, gdy wrócił do sypialni – bo mogło się wydawać, że zapomniał o schowanej pod łóżkiem wojownicze. Usiadł na krześle pod ścianą. Nieruchomo zapatrzony przed siebie, powoli obracał w dłoniach zwój, na którym spisano *Dwie strofy o Morzu Enivetty*, a płomyki tkwiących w kandelabrze świec zlewały mu się przed oczami. Był panem, który musiał okłamywać własną służbę, podczas gdy najmniejszy dartański prowincjusz mógł powierzyć swym niewolnikom każdy sekret. Chyba że... no, chyba że też miał żonę.

– Wasza wysokość – powiedziała cicho Hayna. – Dziękuję.

Zrobił nieokreślony ruch dłońmi i wzruszył ramionami.

– Nie masz za co – powiedział z tak wyraźną goryczą, że nie mogła nawet udawać, iż jej nie

dostrzegła. – Dzięki tobie mogłem dzisiaj dokonać walecznego czynu: bohatersko okłamałem żołdaka i niewolnicę do posług... Ho, ho! – mruknął. – Niechby się o tym dowiedziano, gdzie trzeba... Sama oceń, jaki jestem nieustraszony.

– Wasza wysokość... To przecież wszystko nieprawda.

– Nieprawda, Hayno? Wykonujesz doniosłą misję dla królowej, może jutro z twojego rozkazu tysiąc ciężkozbrojnych wojowników ruszy na drugi koniec kraju, by puścić z dymem dobra jakiegoś nielojalnego wasala twojej pani. Powiesz: „Ten ma żyć, a ten wisieć!”. Królowa zobaczy cię, gdy wrócisz, i zapyta: „Co tam, Perło? Załatwiłaś sprawę?”, ty zaś jej odpowiesz: „Tak, Ezeno”. Nawet nie zapyta, jak ją załatwiłaś. Może później, przy jakiejś okazji. I pogrozi ci palcem: „No, chyba troszeczkę przesadziłaś...”. Jesteś kopią jej osoby, tą kopią, która się zajmuje knowaniami nielojalnych wasali i podobnymi sprawami. Ty mi mówisz: „Wszystko nieprawda?”. Komu to mówisz, Perło? Księżciu Zajączkowi? Wymarzyłem sobie, że może... pojednam Dartan z Armektem. Przemówię do siostry i do żony. Ojciec... mój wspaniały i mądry ojciec być może też na to liczył. Może nadal liczy?... Nie wiem. Jeśli tak, to powtórzę: jest wspaniały, ale mądry... nie, już nie dodam.

Zawstydził się nagle, bo dotarło doń, że wybrał się ze swymi naiwnymi żalami do dziewczyny, która właśnie jest poszukiwana przez uzbrojone straże, wykonuje jakieś bardzo ważne zadanie, a co gorsza – niedawno została oszpecona i okaleczona, może trwale, nieodwracalnie. Prześliczna dwudziestopięciolatka, roześmiana Czarna Perła, mająca dla każdego czas i dobre słowo. Jedyna w tym pałacu istota szczęśliwa dlatego, że żyje, niemająca żadnych innych pragnień jak to, żeby nigdy nie było jej gorzej... Czy zabrano jej to marzenie?

– Przebacz mi, Hayno – powiedział. – Utyskiwania niezguły.

Wciąż siedząc na krześle, w najprostszym odruchu wziął jej dłoń i pocałował kostki palców.

Nieoczekiwanie, wolno i z odrobiną wahania, przykryła mu ręką policzek. I poczuł drugą rękę, którą objęła jego głowę, łagodnie ją przytulając do ciepłego, a zarazem twardego brzucha.

– Obiecuj, księżę, że nie sięgniesz do mojej maski – powiedziała bardzo, bardzo cicho. – Obiecujesz? Jeśli tak, to... to...

Straciła pewność siebie i nie dokończyła.

Wstał z krzesła, po czym, z mocno bijącym sercem, objął dziewczynę i przytulił, delikatnie całując w kasztanowe włosy. Z ulgą, nieodtrącona, złożyła mu głowę na ramieniu.

– Gdyby wolno mi było pokochać... – mówiła – chciałabym mieć mężczyznę tak szlachetnego jak ty. Nie wolno... ale mimo to spróbuj coś we mnie uratować, resztki czegoś... Właśnie teraz... dobrze? Może zdołasz. Bo jeśli ty nie zdołasz... to już chyba naprawdę nikt...

Poczuł drżenie podbródka na ramieniu i gorącą kropelkę na szyi. Czarna Perła rozplakała się.

Wąski i przytulny korytarz, łączący prywatne pokoje królewskiej pary i kilka innych,

zajmowanych przez najbardziej zaufane i najwyżej stojące w hierarchii sługi – korytarz, na który prawie nikt nie miał wstępu, bo domownicy i dworzanie królowej zamieszkiwali skrzydła – był tej nocy patrolowany przez żołnierzy straży pałacowej.

Jej królewska wysokość nie miała kapryśnego usposobienia; owszem, raz na parę miesięcy zdarzało się, że przez kilka dni była gotowa krzyczeć na każdego. Zły humor monarchini najczęściej wynikał z beczynności – gdy czekała na coś i w żaden sposób nie mogła przyspieszyć biegu wypadków. Wtedy bywała nieznośna. Na co dzień jednak mogła uchodzić za wzór wyrozumiałej i łagodnej pani, stanowczej, ale nigdy złośliwej. Bezwzględnie należało wykonywać polecenia, lecz poza tym – o, naprawdę niezmiernie rzadko ktoś ze służby lub domowników zasługiwał w jej oczach na surową karę, zwykle otrzymywał napomnienie, czasem zaledwie połajankę. Gdyby nie rygor, jaki zaprowadziła w pałacu Czarna Perła, żołnierze mogliby drzemać na warcie. Obudziwszy opartego o ścianę strażnika, królowa powiedziałaaby pewnie: „No wiesz?...”.

Ohegened i Vasaneva oberwali jak nigdy dotąd.

„Głupiec i nieudacznica” – powiedziała Ezena. „Ohegened”.

Stary wojak postąpił krok naprzód i dostał w pysk, aż głowa odskoczyła mu na ramię. Królowa była kobietą słusznego wzrostu, zdrową, najzwyczajniej w świecie silną.

„A ty nawet się do mnie nie zbliżaj” – ostrzegła kocicę – „bo cię rzucę kopniakiem na ścianę. Jeśli cokolwiek (słyszycie? cokolwiek!) wydarzy się dzisiejszej nocy, ptak w parku krzyknie głośniejsz niż zwykle, Anessa kichnie, a ja... nie wiem... znajdę w łóżku krzywo ułożoną poduszkę... Odpowiedcie za to. Oboje. Głupiec i nieudacznica” – powtórzyła. „Teraz wyjdźcie”.

Oficer, który na czele kilkuset zbrojnych wywiódł kiedyś na manowce kilkutysięczną armię, omal jej nie unicestwiając w głuchych borach; najslynniejsza złodziejka Szereru; pięciuset najdzielniejszych żołnierzy Dartanu. To nie wystarczyło do pojmania samotnej nieuzbrojonej kobiety, która niczego się nie spodziewała i szła środkiem pałacowego korytarza.

Otoczona przez nieudolne sługi, bezradna i upokorzona, pozbawiona wszelkiej władzy, bezsilna, już chyba tylko tytułarna królowa Dartanu, poszła do swojej Pierwszej Perły i rzekła:

„Nie będziesz dzisiaj spała. Ani słowa. Nie pytaj, dlaczego, bo nie będę się przed tobą tłumaczyć. Masz nie spać; to wszystko”.

„Tak, wasza królewska wysokość”.

„Masz tu broń?”.

Anessa zaniemówiła.

„Broń?...”.

„Broń, Anesso. Nie rób min, bo kiedyś wymachiwałaś sztyletem tak zręcznie, że omal przez to nie trafiłam do więzienia. Pytam, czy masz tu broń?”.

„Nie, wasza...”.

„To każ sobie przynieść. Od tej chwili ma cię nie odstępować przyboczna”.

„T... tak, wasza królewska...”.

„Dobranoc”.

Ezena wyszła.

Miewała już sny, dziwne sny. Kiedyś. Sny, które właściwie wcale nie były snami, bo raczej objawieniami. Ale teraz... Śniły z Anessą to samo, a jednak nie uwierzyła. Wydała odpowiednie rozkazy, mając jednak poczucie, że jest po prostu śmieszna. Opowiadając o wydumanym spisku, prawie się zaczerwieniła pod spojrzeniem komendanta straży pałacowej, który niemal bez ogródek pytał ją wzrokiem: „Czyś ty, babo, kompletnie oszalała?...”.

Nie znalazła wtedy w sobie dość odwagi, by przywołać go do porządku. Bo rzeczywiście – Hayna? Wkradająca się do pałacu z zamiarem zabicia Anessy?... I co jeszcze?

Historia, którą Gotah-Przyjęty przedstawił Vasanievie, niczego nie wyjaśniała do końca. Ezena miała wrażenie, że nastąpiło dziwne odwrócenie ról. Kiedyś, w Sey Aye, mędrzec Szerni musiał tłumaczyć przestraszonej młodej kobiecie, że od Szerni bardzo niewiele zależy; że wszystko, co zawieszona nad światem potęga miała zrobić, zrobiła już dawno, a teraz Szererem rządzą istoty rozumne, przede wszystkim ludzie. Cztery lata później ta sama kobieta gotowa była tłumaczyć Przyjętemu, że... chyba gdzieś się zagalopował, nadmiernie czymś przejął, wyolbrzymił zagrożenie... Ezena nie знаła opinii Kesya, ale gdyby jej zostały przedstawione – roześmiałyby się głośno, odnajdując w swojej dawnej Perle wyrazicielkę większości własnych myśli i uczuć. Jaka wojna Szerni? Jakie Trzy Siostry? Jaki tam Feren?... Co miała w związku z tym wszystkim robić? Usiąść w swojej komnacie, podeprzeć głowę ręką i czekać, bo przecież lada tydzień, lada rok, może rozlecieć się Feren, a wtedy... oho-ho! Czyli, niby co? Nie wiadomo... bo może i nic.

A poza tym – co właściwie zagrażało władczyni Dartanu? Jakaś... dzika piratka, będąca pół kobietą, pół Przedmiotem? Jak ktoś taki mógł realnie zagrozić królowej, jej Pierwszej Perle i osobistej przybocznej? No tak, prawda: obłąkany człowiek, któremu nie zależało na życiu, mógł być groźny. Jednakże podobne zagrożenia zawsze były wpisane w losy władców i nic na to nie dało się poradzić. Prowadzało się ze sobą przyboczne, wystawiało strażę, opłacało różnych szpicli, mających wyszukiwać i demaskować w zarodku wszelkie spiski. Co jeszcze?

Ale potem pojawiły się sny. Takie jak przed laty, na pewno nie przypadkowe. Trudno było zlekceważyć ostrzeżenie – a przecież zlekceważyła. Poczyniła pewne kroki, jednak bez przekonania.

I oto Hayna właśnie wróciła do Rollayny. Bez zapowiedzi, skrycie przysłała do pałacu. I uciekła, posłyszawszy jedno nieostrożne słowo, rzucone przez dowódcę gwardii pałacowej. Zabiła żołnierza, a kilku poraniła.

Hayna. Druga Perła królowej Dartanu i jej osobista przyboczna.

Ezena nikomu – nikomu! – nie ufała tak bezgranicznie. Oheged był oddany, ale już niemłody. Anessa nieobliczalna i rozkapryszona, Vasaneva zarozumiała. Wodzowie armii próżni. Osobiste niewolnice do posług – głupiutki.

Hayna była mądra, dobra, bezgranicznie wierna. I groźna. Potrafiąca zabijać tak sprawnie, jak żadna inna kobieta w Dartanie, a może i całym Szererze. Najdroższa Czarna Perła, o jakiej Ezena w ogóle słyszała.

Królowa zaczęła się bać. Na Seile-Anessę (a może i Rollaynę-Ezenę?...) polował ktoś, kto znał je obie na wylot, z zamkniętymi oczami mógłby narysować plan królewskiego pałacu i wyliczyć z pamięci wszystkie mocne bądź słabe strony zbrojnych straży. Anessa, ze swoim sztyletem i siedzącą przy łóżku przyboczną, nie zdołałaby nawet pisnąć, gdyby Hayna zjawiała się przed nią. Rację miała nieudacznica Vasaneva, mówiąc: „Jeśli Hayna zechce kogoś zabić, to zabije”.

Pytanie: dlaczego chciała? Czy naprawdę była odbiciem Delary? Niewyraźnym i zamglonym, nieświadomym tego, że nim jest, ale jednak prawdziwym? Dlaczego Delara – kiedyś – chciała zabić Seile? Było wiele odpowiedzi; tyle, ile wersji legendy. Czyli co najmniej dwadzieścia.

Armektańskim zwyczajem królowa sypiała nago; nocną szatkę przywdziewała tylko wtedy, gdy w pałacu robiło się zimno. Rozbierała ją do snu jedna z Pereł Domu – to z kolei był obyczaj dartański – nienawidząca, tak jak wszystkie pozostałe Perły, Anessy i Hayny; w cieniu dwóch pierwszych niewolnic królowej pozostałe, choćby i najdroższe, były zupełnie niewidoczne.

– Dziękuję – powiedziała Ezena. – Położę się sama. Przyślij mi dwie przyboczne.

– Czy tutaj, wasza wysokość? – Perła zdziwiła się, bo w obrębie pałacowych murów królowa zawsze obywatła się bez strażniczek; cóż dopiero we własnej sypialni.

– Jedna ma czuwać pod drzwiami, druga przy moim łóżku – uściśliła Ezena.

– Tak, pani.

Perła wyszła.

Królowa usiadła przed lustrem, sama pozbyła się mocujących kok szpilek, rozczesała włosy i zaplotła warkocz. Położyła się do łóżka. Gdy przyszła przyboczna, zamieniła z nią kilka słów. Potem długo nie mogła zasnąć. Przeszkadzała jej obecność milczącej strażniczki, przeszkadzał natłok myśli, przeszkadzało wszystko. Wierciła się i przewracała z boku na bok.

Już świtało, gdy władczynię Dartanu zbudził odgłos tępego uderzenia. Rozchyliła powieki i ujrzała szkliste oczy przybocznej, która pólleżała na łóżku, a z głowy ściekała jej wąska strużka krwi, plamiąc pościel. Ezena chciała się zerwać, ale powstrzymał ją zimny grot włóczni, przytknięty do nagiego brzucha tuż poniżej miejsca, gdzie łączyły się żebra, tworząc mostek.

– Małżonek królowej ma bardzo twardy sen – powiedziała cicho kobieta, której czarna sylwetka ostro rysowała się na tle poszarzałego okna. – I mnóstwo oręża na ścianach. Jak to

Armektańczyk, Rollayno. A może lepiej: siostrzyczko?...

Pchnęła krótko, zdecydowanie.

Ezena wydała tylko jeden urywany okrzyk.

Hayna puściła włócznię, po czym cofnęła się pod okno.

Drzwi sypialni otwały się i do komnaty wpadła dziewczyna z mieczem w dłoni. Zastygła w progu, patrząc na ukośnie sterczące drzewce włóczni i dwie nieruchome kobiety leżące w zakrwawionej pościeli. Wolno uniosła otępiałe spojrzenie.

– Nie słyszałaś odgłosu uderzenia? – zapytała Hayna. – Nie słyszałaś... Kiedy królowa krzyczy, to znaczy, że jest już za późno. Zabierz drugą i opatrz jej głowę. Jeszcze dzisiaj zgłosicie się obie do chorągwianych taborów. Będziecie służyć przy wojsku. Czy muszę mówić, jako kto?

– Nie, Perło – powiedziała nieswoim głosem dziewczyna.

– Więc zabierz ją teraz i wyjdź.

– Tak, Perło. – Przyboczna nie ośmieliła się szukać potwierdzenia rozkazu w oczach nieruchomej monarchini.

Ezena, oddychając płytko i nierówno, nie mogła oderwać spojrzenia od drobnego skaleczenia pod piersią, będącego dziełem zsuwającego się wzdłuż żeber ostrza włóczni, które zaraz potem przebiło prześcieradło i utkwilo głęboko w sienniku.

– Wasza wysokość – powiedziała Czarna Perła, której nagle załamał się głos. – Przebacz mi to skaleczenie... i wszystko, co zrobiłam. Musiałam ci coś udowodnić. Teraz wezwij strażę. I każ mnie przyprowadzić z powrotem, kiedy już będziesz chciała ze mną mówić.

Ezena milczała, próbując uspokoić oddech; serce ciągle waliło jej tak, że w rytm jego skurczów drżała odsłonięta pierś. Przyboczna niewolnica z wysiłkiem wlokła ku drzwiom nieprzytomną koleżankę, z głowy której wciąż sączyła się krew. I królowa uświadomiła sobie, jak bezbronna jest w istocie bez swojej Czarnej Perły. Orężne strażniczki nawet nie wiedziały, że to właśnie ich dowódczyni jest zagrożeniem, którego się obawia jej królewska wysokość. Pytanie: czy wiedzieli żołnierze ścigający zamaskowaną kobietę?... Nikt tu nie potrafił dopilnować podobnych spraw, bo zawsze to robiła Czarna Perła. Mówiąca każdemu tyle, ile trzeba: nie więcej, ale i nie mniej.

Czy dźwigająca ranną koleżankę nieszczęśnica, która właśnie w haniebny sposób została pozbawiona statusu strażniczki królowej, w ogóle rozumiała, co się stało? Mogła podejrzewać cokolwiek, nawet to, że jej koleżanka oszalała i omal nie zabiła swojej pani, powstrzymała zaś ją Czarna Perła, która nie wiadomo skąd się wzięła...

Przyboczne zniknęły; drzwi zamknięto. Królowa została sama ze swą najwierniejszą niewolnicą.

– Wezwij strażę, wasza wysokość – powtórzyła Hayna.

Ezena ciężko odchyliła głowę na poduszki. Już nie patrzyła na ranę, z której wyciekło parę kropel krwi.

– O nie, nie – powiedziała. – Trzęsą mi się ręce, no dobrze... Ale głupia nie jestem. Udowodniłaś mi, co chciałaś, a ja zrozumiałam. To teraz się wytłumacz.

– Wytłumaczyć się... Ale jak? – zapytała bezradnie Hayna, opierając plecy o ścianę i spoglądając w sufit, bo zbyt często tego dnia wzbierały jej w oczach łzy. – Ona mówiła: „Uważaj, bo mogą się ciebie spodziewać. Feren jest jeden, chociaż tutaj składa się z trzech części”. Ale ja nie uwierzyłam. I przyszłam otwarcie do królowej, żeby jej o wszystkim powiedzieć. A Ohegened mi mówi: „Królowa jest niedostępna”. Co można powiedzieć królowej, która jest niedostępna? Jak ją przekonać? Można już tylko przyjść w nocy, wbić włócznię w jej łóżko i powiedzieć: „Gdybym chciała cię zabić, to już byś nie żyła, pani”.

– Przyszedłaś otwarcie? W mieszczańskim stroju i w masce?...

– Maską? W masce... – Perła roześmiała się, nawet już nie próbując ukrywać drżących w tym śmiechu łez. – Niech zgadnę, wasza wysokość: coś ci się o mnie przyśniło? Ale ja też o czymś śniłam: że pewnego dnia umrę za ciebie... A co? Nie wolno mieć marzeń? Suka królowej; wszyscy tak mówią i myślą... Byłam dumna.

Uniosła dłoń, gotowa chyba przygryźć kostki palców – i dotknęła jedwabiu na twarzy. Zdarła tkaninę jednym ruchem.

– Cztery lub pięć dni... tak wiele, że straciłam rachubę – powiedziała, idąc ku łóżu, a w miarę, jak odchodziła od okna, światło wyławiało z półmroku rysy jej twarzy. – Kobieta? Nie wiem... Coś widziałam, tam coś było... człowiek... albo nie człowiek; nie wiem co...

Zamarłej na łóżku Ezenie rozszerzały się źrenice przerażonych oczu.

– Kilka dni na brzegu urwiska – mówiła Hayna z grymasem bólu na potwornej twarzy. – Ona... to COŚ leczyło mnie i bawiło się mną... To było przekonane, że jestem jego niewolnicą, spełnię każdy rozkaz, zachciankę, zamorduję Anesę... może nawet ciebie, wystarczy mi wydać polecenie. Było tak, jakbym została wepchnięta do przepaści i to COŚ myślało, że spadłam na samo dno, a ja... ja się trzymałam krawędzi. I robiłam wszystko, żeby nie było widać moich połamanych palców, którymi jeszcze się trzymam, bo wtedy... wystarczyłby jeden ruch. Żeby naprawdę spadła i może... przyszła cię zabić. Bałam się oddychać bez rozkazu, żeby nie poznało... żeby nie odkryło, że mam wolę.

Ezena nie była w stanie patrzeć na to, co zostało z dziewczyny, która otrzymała certyfikat Perły nie tylko ze względu na wiedzę i umiejętności, bo także dzięki urodzie. Zasłaniała twarz dłońmi, ledwie słysząc, co Perła do niej mówi. Ale jednak słyszała – i chyba już pojmowała.

Rozdygotanej Haynie coraz bardziej łamał się głos.

– Lizałam jej stopy, bo tak chciała... Albo mówiła: „Nie tutaj, tylko o, trochę niżej”, a ja sobie wykrawałam kawałek mięsa z twarzy w tym miejscu, które pokazała palcem. Lubiła...

lubiło... – Czarna Perła próbowała odchrząknąć, ale chrypka nie minęła. – Lubiło, jak przebijam sobie nożem policzek albo ciało pod dolną wargą i wytykam przez dziurę język... bo to było śmieszne, najśmieszniejsze...

– Przestań...

– Nie, ja... muszę. Wymiotowała mi na twarz, a rany zamykały się od tego i po krótkim czasie nawet nie bolały. Potem... znowu było wszystko od początku. Nabierałam sił, karmiło... karmiła mnie. Kobieta? Nie wiem. Tak, ale jakby bez skóry, cała z czerwonego kamienia... Kiedy indziej zupełnie jak człowiek... a czasem tylko zarys, czerwony kontur w powietrzu... Rubin Córki Błyskawic? Ale ja pamiętam jej... pamiętam MÓJ Rubin, Rollayno. Ja, Delara. Tamten Rubin był martwy. Zwykła rzecz. Trująca, niebezpieczna... Ale tylko rzecz.

Ezena milczała, wciąż ukrywając twarz w dłoniach.

– Gdybym mogła to zabić... Ale raz zabiłam, włócznia przeszła na wylot! Potem bałam się próbować, żeby nie odkryło tajemnicy. Więc powtarzałam sobie: Ezena, Ezena... bo już czasem zapomniałam, po co właściwie to wszystko...

Królowa zerwała się i usiadła na łóżku.

– Przestań! – krzyknęła, zaciskając pięści. – Przestań, bo cię zabiję!... Co mi robisz?! To co ona tobie?!

Zamierzyła się, jakby chciała uderzyć Perłę, ale zamiast tego pochwyciła ją i przytuliła. Rozplakały się obie.

– Ja to wszystko... naprawię – powiedziała ze szlochem Ezena. – Tylko że... nie wiem, jak...

Rozdygotana Hayna dławiła się łzami, przyciskając twarz do jej piersi. Opuściło ją całe zdecydowanie, pękła silna wola, nakazująca doprowadzić do końca najważniejszą sprawę. Zniknęła wojowniczką; pozostała tylko skrzywdzona, oszpecona do końca życia dziewczyna, która wreszcie mogła wyrzucić z siebie cały żal.

6.

Raladan kiepsko jeździł konno, ale potrafił się spieszyć. Wysadzony na dartańskim brzegu, miał przed sobą prostą drogę do Rollayny, mądrego towarzysza u boku i twardo nabitą sakiewkę. Nabył konie, niedługo potem sprzedał, kupując na ich miejsce świeże. Towarzyszący mu Sayl nie pochodził wprawdzie z tych stron, ale jednak czysty dartański brzmiał w jego ustach zrozumiale nawet dla najgłupszego chłopca z prywatnej wioski – dla Raladana, który oprócz garyjskiego posługiwał się tylko Kinenem, co prawda wzbogaconym o znaczny zasób słów z właściwego armektańskiego, drugi oficer Ridarety był więc nieocenionym pomocnikiem.

Zmitrężyli sporo czasu. Dartan, kraj w którym podróże uważano za przypadłość kupców i włóczęgów, słynął z najgorszych dróg w Szererze (oczywiście, jeśli nie liczyć Grombelardu – w Ciężkich Górach nie było żadnych dróg). Jeszcze gorzej miała się sprawa z mostami, których na dodatek sporo w minionej wojnie spalono i nie wszystkie odbudowano. Niewyobrażalnie ciemne chłopstwo, dla którego pół mili od wioski już rozciągał się tylko „wielki kraj”, raz umiało wskazać drogę do brodu, a raz nie; może i kiedyś dziaduś widział „podle dwóch dąbków” jakąś piaskową łachę, ale teraz nie było dąbków, a zwłaszcza piaskowej łachy, o dziadusi nie wspominając... Wobec takiego stanu rzeczy podróż zajęła dwóm jeźdźcom ładne kilka dni. Gdy wreszcie stanęli w Rollaynie na Przedmieściu Kuszników, był wieczór i zdrożeni podróżni zdali sobie sprawę, że stracili właściwie jeszcze jeden dzień. Agarski książę nie znał miejscowych zwyczajów, miał jednak dość wyobraźni, by wystawić sobie, że niewiele wskóra, idąc do pałacu królewskiego o północy. Mógł się udać tam dopiero nazajutrz. Jego irytacja byłaby większa, gdyby wiedział, że tysiąc kroków dalej wiodą na miejski mur schody, dzięki którym właśnie skraca sobie drogę zamaskowana dziewczyna w tanich szatkach mieszczki... Raladan stawiał się w Rollaynie dokładnie tego dnia i o tej samej porze, co Czarna Perła królowej. Ale ona nie była podejrzanym cudzoziemcem, pragnącym uzyskać posłuchanie u potężnej władczyni. Szła prosto do wartownika, któremu wystarczyło przypomnieć parę słów. Tych słów, które słyszał stale, bo w największym skrócie opisywały jego powinności: „Tylko ja i królowa, żołnierzu; ona albo ja”...

Tej nocy nie tylko królowa miała kłopoty z zaśnięciem i nie tylko ona zmagala się z myślami. W średnio drogim zajeździe na przedmieściu dwaj mężczyźni zajmowali wspólną izbę. Sayl pochrapywał (prawdę mówiąc nawet niezbyt dokuczliwie); Raladan leżał, patrzył na słabo widoczną w mroku belkę podtrzymującą powalę i rozmyślał, bo na pirackim żaglowcu myśleć się nie dało, a w podróży tak bolał go odgnieciony tyłek, że nie mógł porządnie się skupić – konie miały naprawdę wyjątkowo wredne pokłady i niepomysłowe olinowanie. Teraz próbował pozbierać całą swoją wiedzę o Szerni i Szererze – a było to zajęcie na co najmniej kilka tygodni,

o czym dowiedział się dopiero wówczas, gdy na dobre ugrzązł w rozmyślaniach. Czegokolwiek dotknął, natychmiast łączyło się z czymś innym: Trzy Siostry nasuwały myśli o Ferenie i Odrzuconych Pasmach, Pasma o Rubinie Córki Błyskawic, Rubin o Ridarecie... W zakamarkach umysłu pobrzmiwały słowa mądrego Tamenatha, dotyczące nie tylko Ridarety, ale także jej córek, jedynych „Rubinków”, jakim dała życie – o ile w ogóle było życiem... Niekończąca się podróż po małym, a jednak skomplikowanym świecie, nad którym wisiała jednorodna, jawna, policzalna, a zarazem tak złożona i tajemnicza potęga. Raladan w ogólnych zarysach widział i rozumiał problem, przed którym właśnie stał, ale... nie miał do niego cierpliwości. Ze wszystkiego, co dotąd powiedziano o Ferenie, Wyklętych Pasmach, równowadze Szerni i Prawach Całości, najbardziej podobały mu się niektóre opinie Tamenatha. Stary mędrzec lubił udawać prostszego i głupszego, niżli był – a może po prostu wiedział, że opis świata, na potrzeby żyjących w nim istot, trzeba choć trochę uprościć. Naigrawał się więc czasem z Szerni, wtrącał cudaczne, wymyślone przez siebie słówka, lekceważył, wyśmiewał, bagatelizował. Może nawet naprawdę wierzył, że jest tak, jak mówi.

„Szerń Szernią, synu, a kostur kosturem. Jak dopadną cię parszywe psy, to potrzebny ci kostur, nie Szerń. Szerń w ogóle jest ci niepotrzebna. Światu tak, ale nie tobie, czy jakiemuś innemu człowiekowi” – tłumaczył kiedyś przy kubku gorzałki, bo choć nie miał „trunkowego problemu”, to wypić i umiał, i lubił. „Widzisz... jakby tu rzecz... Szukać trzeba zawsze najprostszych sposobów i wyjaśnień. Co to znaczy? Ano, od razu wyrzucić wszystko, co niepotrzebne. Zniszczy cię tylko to, w co wierzysz albo czego się boisz. Nie ma tutaj, w Szererze, ani jednej rzeczy, ani jednego zjawiska... Słyszysz, książę? Ani jednego! Nie ma zjawiska wysmrodzonego z tyłka Szerni, którego nie można by pokonać albo oswoić sposobami dostępnymi każdemu. To jest właśnie Prawo Równowagi, pierwsze ze wszystkich Praw Całości. Wszystkie treści Szerni równoważą się, ale i dla dowolnych sił Szerni, na zasadzie fenomenu działających pod niebem Szereru, musi się znaleźć przeciwwaga w zwykłych mechanizmach rządzących tym światem. Mamy tu do czynienia z układem bardzo stabilnym; jego trwałość wynika właśnie z tej stabilności. Światem nie rządzą i nie mogą rządzić Pasma, ich potęga tutaj to zawsze śmierdząca bździna, zwykłe oszustwo, tym większe, im bardziej niezwykle albo straszliwe z pozoru. Pasma mogą wystawić przeciw tobie stutysięczną flotę, ale jeśli się nie przerazisz i podpłyniesz bliżej, to zobaczysz eskadry żaglowców z pergaminu, które już nasiąkają wodą... Rozumiesz, o co mi chodzi? Tutaj, w Szererze, jesteśmy u siebie i do nas należy potęga. Nie do Szerni, Aleru albo innych mocy. Nawet tak starych jak twoje Bezmiary”.

Rozmawiali też o Ridarecie i o nim, Raladanie, synu władcy mórz.

„Z Przepowiedni Całości wynika (i zatrzymaj to, książę, dla siebie), że jedynym powodem twojego istnienia jest dziewczyna, którą uznałeś za córkę. Wygląda na to, że Bezmiary wyłoniły cię wtedy, gdy w pewnym garyjskim domu przyszła na świat dziewczynka, której dano stare

i dumne imię: Ridarethe; trochę szkoda, że nawet Wyspiarze wymawiają je dzisiaj w armecktańskim brzmieniu... Dlaczego się pojawiłeś? Jako tako pojmuję Szern, ale o Bezmiarach nikt nic nie wie... Potraktuj więc to, co powiem, jako przypuszczenia. Takie sobie bajania, w których może tkwi ziarno prawdy. Wygląda na to, Raladanie, że Bezmiary pochłaniają część aktywności Odrzuconych Pasm, zmniejszając w ten sposób nacisk wywierany przez nie na mur Feren. Jeśli tak, to dla żywego symbolu Odrzuconych Pasm musi się znaleźć w Szererze odpowiedź w postaci żywego symbolu Bezmiarów. Ocean powołał do istnienia coś podobnego do Wielkiego Krafa, Nie-Czuwającego boga Szerni; ty widziałeś to COŚ pod postacią Węża Morskiego, ale jakie jest naprawdę – któż to wie? I to COŚ powołało długowieczną, a może nawet nieśmiertelną choć na pewno zniszczalną istotę, będącą symbolem Bezmiarów. Oto kim jesteś, książę, i nic na to nie możesz poradzić. Będziesz jakoś równoważył działania twojej pięknotki i nie zdziwiłbym się wcale, gdybyś otrzymał wsparcie. Możliwe, że niedługo zostanie odkryty w Szererze żywy odpowiednik Feren; drugi kamyczek obciążający tę szalę wagi, na której już leży kamyk-Raladan. Na przeciwnej szali pozostanie twoja córka. Co z tego wyniknie? Nie wiem. Nie potrafię przewidzieć, bo modele Szerni słabo się mają do Odrzuconych Pasm, zaś modelu Bezmiarów nikt dotąd zbudować nie potrafi”.

Sayl pochrapywał; Raladan rozmyślał, wspominał. Przez wiele lat spotykał się z Przyjętym, pił z nim, kiwał głową, słuchał głędzenia – bo jednoręki olbrzym był kimś, komu on i jego córka wiele zawdzięczali. Podczas długich jesiennych miesięcy można było słuchać opowieści Przyjętego równie dobrze, jak historii wędrownego bazarza – i poniekąd tak to traktował. Ridareta powiedziała prawdę: uciekał, stale uciekał. Było mu źle i niewygodnie z wydumanym, niejasnym pochodzeniem, jeszcze bardziej pokręconym przeznaczeniem, jakąś misją... równoważeniem symbolu czegoś tam, dlatego że coś-tam-coś-tam... Wcale nie szukając, znalazł żonę, którą pokochał, i córkę, o jakiej marzył, chociaż nawet nie wiedział, że marzy. Piękną zuchwałą dziewczynę, wyprawiającą na morzach, co jej się podobało. Kogoś, kto rzadko, ale za to szczerze przybiegał doń, zarzucał ręce na szyję i mówił: „Jestem, jaka jestem, ale kocham cię, ojcze, i prawie wszystko ci zawdzięczam”. Takie życie mu wystarczało, nie chciał żadnego innego. I przez wiele lat żył pośród swoich spełnionych marzeń. Zapominał – bo nie chciał pamiętać – o wszystkim, co mówił Tamenath; nie widział – bo nie chciał oglądać – dziwnych rzeczy, które działy się z Ridą. Zresztą... Takie tam dziwne. Podpaliła parę zagłowców, komuś urwała głowę... Wypuściła sobie flaki, obejrzała i z powrotem wepchnęła do brzucha. Świat od tych cudów nie zadrzał.

Ale teraz, niestety, drżał.

Piracki książę myślał, wspominał, szukał wyjaśnień i sposobów. Robił to niechętnie, z odrazą, której był w pełni świadom. Brzydził się Szernią jak niczym innym na świecie (co to za przyjemność mieć do czynienia z czymś, czego się nie rozumie?); zresztą, prawie wszyscy się

brzydzili, więc nie był w tym odosobniony... Dlaczego uciekał od tajemnic córki? No przecież właśnie dlatego. Na pewno nie dlatego, że był gotów zemdleć na widok przywiązanej do masztu dziewczuchy, która dla zabawy kazała się tłuc batem albo przypalać żelazem. Oglądał kiedyś popisy akrobatów – mógłby się pogapić i na dziewczę, co skowyczy z przyjemności pod razami. Niechby sobie robiła, co jej się podoba. Gdyby stała za tym tylko jakaś pokręcona potrzeba, zachcianka (słyszał o takich... dziwakach, którzy lubili, jak ich sponiewierano). Ale za tym, co robiła Ridareta, stała Szerń. Rubin, symbol czegoś tam, Odrzucone Pasma... Nie chciał mieć z tym nic do czynienia.

Uciekał i uciekał... Teraz go wszystko dogoniło. Wszystko naraz.

Zasnął krótko przed świtem i obudził się późnym rankiem. Nie był śpiochem; czuł się wypoczęty. Przeciągnął się, ziewnął. Zbudził towarzysza. W podróżnych sakwach zostało im parę wędzonych ryb, kawał czerstwego chleba, pół bukłaka wina. Mogli się posilić, nie wychodząc z izby.

– Weź srebro – rzekł Raladan, żując jeszcze ostatnie kęsy; zadzwoniła rzucona na stół kieszka.

– Ja nie potrzebuję, zresztą jeszcze mam drugie tyle. Słuchaj.

Sayl skinął głową, że słucha.

– Nie wiem, co będzie; idę do pałacu jak głupi. Zrobią mnie tam od razu naczelnym wodzem swojej floty albo jutro powiesz na haku, wszystko jest tak samo możliwe. Słuchaj.

Sayl skinął głową. Że słucha.

– Jeśli z jakichś powodów nie wrócę, poczekaj dwa lub trzy dni i zabieraj się stąd do Nin Aye. Wrócisz na okręt i pięknie okłamiesz swoją kapitanę. Powiesz, że Raladan coś załatwił, ale nie wiesz co, i odesłał cię.

Mina Sayla mówiła więcej, niż mógłby wyrazić słowami.

– Słuchasz?

– Nie. Mam okłamać kapitanę w czymś, co tyczy się ciebie?

– Masz ją ołgać tak pięknie, jak tylko potrafisz, bo potrzebna mi tutaj jak... Powiesz, że potrzebny mi Kitar, ale nie wiesz do czego. Nakłamiesz jej, nazmyślasz i pójdziesz do Kitara. A Kitarowi powiesz wszystko tak, jak jest. Powiesz mu, że ma mnie wyciągnąć z tego, w co wdepnąłem. Najpierw niech przyśle kogoś tutaj, bo jeśli się wykaraskam, to zostawię wiadomość w tej gospodzie – Raladan dziobnął palcem blat stołu – albo nawet sam będę tu czekał. Jeśli nie, to... Niech Kitar myśli tak długo, aż przyjdzie mu do głowy coś mądrego. Teraz słuchaj, ale naprawdę uważnie, bo właśnie podaję ci sposób na dobranie się do pieniędzy, których sobie nawet nie umiesz wyobrazić. Tylko... no! – Agarski książę znacząco uniósł palec i Sayl pojął, że naprawdę, ale to naprawdę i naprawdę nie powinien się do tych niezmiernych bogactw dobrać. – Jeśli Kitar będzie potrzebował złota, to ma zgłosić się w Aheli do mojej perełki Laseny, dać jej to – Raladan zsunął z palca prostą srebrną obrączkę – i powiedzieć: „ukradłem to Raladanowi”.

Niech nie mówi, że dostał ode mnie, bo Lasena to kobieta, nie pomyśli dwa razy, tylko z miejsca wsadzi mu nóż w brzuch. Ukradł mi to. Zrozumiałeś?

– Tak, panie.

– Czyli sprawę pieniędzy mamy załatwioną – skwitował Raladan. – I jeszcze jedno, może najważniejsze: nie jestem pewien, ale prawdopodobnie mam teraz w Aheli gości, tę kobietę, którą widziałeś ze mną na „Trupie”, i Przyjętego, który uciekł. Niech cię to w ogóle nie obchodzi – ostrzegł. – Powiedz tylko Kitarowi, że tych dwoje ma wobec mnie dług. Niech idzie do nich i powie, że o tym długu wie i pora zacząć spłacać odsetki. To wrogowie, którym wyświadczyłem łaskę, powtórz to Kitarowi, żeby wiedział, na czym stoi. I niech działa tak, jak uzna za najlepsze, mówi co chce, robi co chce i płaci za co chce. Ma nie mieszać do niczego twojej kapitanu, tylko tyle. Słuchaj, Sayl, ja cię zabiję – dodał zupełnie spokojnie. – Jeśli się w czymś pomylisz, coś popłaczesz albo wygadasz, to zabiję cię, i to będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię, gdy już wydam się z tarapatów. Twoja kapitanu pogńiewa się o to na mnie, więc wynajdę jej nowego drugiego oficera. Zrozumieliśmy się?

Wstał i wyspiarskim zwyczajem uściśnął nie dłoń, a przedramię towarzysza; Sayl odwzajemnił uścisk.

Idąc ulicami Rollayny, Raladan rozglądał się dokoła, aż wpadł mu w oczy okazały szyld, na którym coś było napisane (niestety, po dartańsku), a niżej namalowane – obrazek przedstawiał koszulę albo kaftan, do tego jakąś spódnicę. Kupiec miał wszystko co trzeba i po rozsądnych jak na stolicę cenach, więc Raladan zostawił mu trochę srebra, dokładając własne odzienie podróżne, nieco zakurzone, ale nie zniszczone. Wkrótce znowu podążył ulicą, mając na sobie luźną i długą na dartańską modłę, bo sięgającą aż do połowy łydek, granatową spódnicę, wyżej zaś jasnobrązowy kaftan, bardzo porządny, wyszywany białymi nićmi, spod którego wystawały rękawy białej koszuli, bezwstydnie kosztownej, uszytej ze świetnego jedwabiu. Przy biodrze wisiał mu niezły miecz, przypięty do solidnego i ładnego pasa, który to pas mógł śmiało bratać się z butami – agarski książę zawsze żywił dziwną słabość do obuwia, więc to, które miał na nogach, choć nie nowe, nie ubliżało reszcie stroju. Tak mógł wyglądać średnio zamożny Armektańczyk lub Dartańczyk Czystej Krwi; ostatecznie nawet nie żywiący uprzedzeń do kontynentalnej mody Garyjczyk.

Agarski książę wiedział, że warto wyglądać po ludzku.

Warty przed bramą prowadzącą na pałacowy dziedziniec wystawiano głównie dla fasonu – ci żołnierze rzadko kogoś zatrzymywali. Nie wpuściliby na dziedziniec pijaka, przekupnia albo – powiedzmy – kobiety z maską na twarzy, lecz poza tym każdy mógł przejść bez obawy, że skrzyżują mu przed nosem halabardy. Raladan zatrzymał się jednak i zapytał swym bardzo dobrym Kinenem, do kogo winien się zgłosić z ważną wiadomością dla dowódcy straży.

– Właśnie do mnie, wasza godność – odpowiedział w tym samym języku halabardnik. –

A jeszcze lepiej do wartownika stojącego dalej, przy samych drzwiach pałacu. On zanieś wiadomość do dowódcy wart.

Raladan podziękował i przemierzył dziedziniec. Nie był głupcem i wiedział, że wyjdzie – w najlepszym wypadku – na śmiesznego prowincjusza, wypytujac wojaka z halabardą, jak dostać się do królowej. To na pewno nie było takie proste. Uznał, że najłatwiej dopnie swego, poruszając się długimi, zamaszystymi, ale starannie odmierzonymi krokami. Na szczycie płaskich schodów wiodących do drzwi pałacu rzekł więc wartownikowi to samo, co jego koledze przy bramie – i został poprowadzony do niewielkiej izby, pełniacej chyba rolę wartowni; siedziało tam kilku żołnierzy, z których jeden zaraz zmienił kolegę-wartownika, przejął gościa i poprowadził dalej. Spacer zatłoczonym korytarzem był na szczęście krótki. Raladan wkrótce znalazł się w surowej, ale wygodnie urządzonej komnatce, przekazany kolejnemu żołnierzowi, ten zaś otworzył jeszcze jedne drzwi i zameldował: „Wasza godność. Ktoś z ważną wiadomością”.

Raladan stanął przed dowódcą wart. Był to człowiek w średnim wieku, niewysoki i szczupły, przy mieczu, w narzuconej na odzienie granatowo-zielonej tunice, takiej samej jakie nosili żołnierze, jednak o wiele staranniej wykończonej. Oficer zmierzył go spojrzeniem i zapytał:

– Do mnie? Cóż to za wiadomość?

Raladan nie znał dartańskiego ni w ząb, więc mógł się tylko domyślić treści obu pytań.

– Nie rozumiem po dartańsku, wasza godność – rzekł, posługując się Kinenem. – Może być język, w którym mówię, a najlepiej garyjski.

Kinen (albo Keynen, bo tak teraz modnie mówiło się w Dartanie), uproszczony armektański, był właściwie zaledwie szkieletem tego języka i choć ułatwiał porozumiewanie się w granicach Wiecznego Cesarstwa (czyli, jeszcze niedawno, w całym Szererze), to jednak służył głównie do załatwiania spraw najprostszych: można było łatwo dopytać się o drogę, porozumieć z handlarzem, nawet porozmawiać o pogodzie, ale już powiedzieć coś miłego a pomysłowego poznanej przed chwilą narzeczonej, w taki sposób, by nie zerwała zaręczyn, znacznie trudniej. Oficer, niestety, znał armektański, nie Kinen – dobrze więc rozumiał Raladana, zwłaszcza że ów wtrącał, obok podstawowych, także bardziej wyszukane wyrażenia; za to Raladan musiał częściowo zgadywać, co do niego mówiono, bo nie pojmował znaczenia blisko połowy słów, a i w takich drobiazgach, jak stopniowanie określeń, nierzadko był skazany na domysły (w Kinenie były trzy stopnie, w czystym armektańskim siedem, w „wysokich” odmianach – podobno kilkadziesiąt).

– Wasza godność – przerwał żołnierzowi – wiem, jak działa wojsko, i tylko dlatego stawilem się u ciebie. Ale mam sprawę ważną, dotyczącą bezpieczeństwa królowej. Nie domagam się widzenia z jej królewską wysokością, chcę tylko przekazać wiadomość. Jeśli ty ją możesz przekazać, to wystarczy. Jeśli nie, niech to zrobi ktoś inny.

Oficer przyglądał mu się z uwagą. Trudno było przekazywać królowej słowa każdego nieznajomego zgłaszającego się do wartowników. Jakies zażalenia, prośby, podziękowania i nie wiadomo co jeszcze. Wśród tysięcy mieszkańców stolicy zawsze znalazłoby się kilkudziesięciu mniemających, że co jak co, ale – powiedzmy – taki skandal, jak niesprawiedliwe naliczenie podatku od dochodów warsztatu kaletniczego, winien z miejsca być przedstawiony monarchini. A już poparta łzami prośba o lek dla chorego dziecka?...

Jednakże sprawa dotycząca jej bezpieczeństwa? Przybysz mógł być pomyłką, chociaż na takiego nie wyglądał. Z drugiej jednak strony, minionej nocy w pałacu nastąpiły wydarzenia, oględnie mówiąc, niecodzienne i dowódca wart nie mógł o nich nie wiedzieć. Dlatego nie namyślał się długo.

– Co trzeba przekazać jej królewskiej wysokości? – zapytał.

– Czy przekazesz, wasza godność, moje słowa osobiście?

– A co to za różnica?

– Wiadomość dotyczy spraw osobistych jej królewskiej wysokości – spokojnie odparł Raladan. – Gdyby to było możliwe, nie przekazałbym tych słów nikomu i rozmówił się z królową sam na sam. Ale wiem, że nie jest. Dlatego pytam. Powiedz, panie, że jesteś człowiekiem zaufanym, któremu królowa powierzyłaby każdy sekret, a ja ci uwierzę i zdradzę, co mam do powiedzenia. Jeśli nie, skieruj mnie do kogoś, z kim jej wysokość gotowa jest dzielić wszystkie tajemnice.

Sprawa zaczęła przerastać niskiego rangą oficera straży pałacowej. Ale nie był człowiekiem głupim i zdał sobie z tego sprawę. Dziwny gość nie próbował przecież podstępnie dostać się przed oblicze żadnego z wysoko postawionych dworzan, skoro mówił: „Powiedz, że jesteś człowiekiem zaufanym, a ja ci uwierzę...”. Chyba rzeczywiście miał wiadomość, która nie powinna trafić do zbyt wielu uszu. Ale do kogo (na własną, w końcu, odpowiedzialność) powinien skierować tego tajemniczego człowieka? Odpowiedź nasuwała się sama: do naczelnego komendanta straży N.Ohegeneda. Jeśli komendant nie był człowiekiem mogącym poznać każdy sekret związany z bezpieczeństwem królowej, to znaczyło, że takiego człowieka w ogóle nigdzie nie ma.

Oficer wezwał dyżurnego i posłał go do komendanta.

– Przydzielę ci asystę, panie. Rozmówisz się z komendantem straży pałacowej. W sprawach dotyczących bezpieczeństwa jej królewskiej wysokości wyżej stoi już tylko Druga Perła, a potem sama królowa.

Raladan, niemal zawsze opanowany, tym razem nie zdążył ugryźć się w język.

– Czy Druga Perła jest w pałacu? – zapytał.

Żołnierz przyjrzał mu się ze wzmożoną uwagą.

– A dlaczego, panie, o to pytasz?...

– Może powinienes, wasza godność, skierować mnie prosto do niej – przytomnie wybrnął Raladan. – Skoro stoi wyżej od...

– Uważam, że wystarczy komendant straży pałacowej.

Raladan uczynił skąpy gest oznaczający: „Oczywiście; jeżeli tak twierdzisz...”. Nie nadawał się do dworskich gier w słówka; wiedział o tym, ale zapomniał. I więcej tego robić nie powinien. Potrafił rozmawiać o wszystkim i z każdym, ale musiały to być rozmowy podobne do tej, jaką kiedyś przeprowadził z piękną Kesą-Przyjętą. Czy tutaj, w samym sercu dartańskiego państwa, w tłumie dworzan, urzędników, najwyższych oficerów i najdroższych niewolnic było to możliwe? Nie wiedział. Wobec Kesy to nie on był petentem. Teraz wierzył swemu rozumowi, ufał doświadczeniu – ale mógł się zaraz przekonać, że wykuta z tego stopu broń do niczego się tutaj nie przyda. W komnatce stawili się dwaj halabardnicy.

– Prowadzić do komendanta – rzekł krótko oficer, i Raladan, słysząc melodyjne brzmienie dartańskiego, po raz drugi mógł się najwyżej domyślić, co ów rzekł. – Komendant został uprzedzony.

– Tak, panie.

Raladan w asyście żołnierzy poszedł długim korytarzem. Szedł i szedł, bo dom był naprawdę ogromny. Sforsował męczące schody i znalazł się w kolejnym korytarzu. Nie musiał przebijać się przez tłum; halabardnicy bardzo sprawnie torowali drogę, chyba wystarczał sam ich widok. Doprowadzono go do drzwi, przed którymi wartowali żołnierze. Poproszony o miecz, oddał go razem z odpiętą od pasa pochwą.

W dość przestronnej komnacie będącej zarazem salą odpraw komendant nie trzymał osobistych rzeczy; Raladan domyślił się, że właściwe mieszkanie tego wysokiego rangą oficera znajduje się w dalszych pokojach, a może tylko jednym pokoju (czy olbrzymi pałac królewski był aż tak olbrzymi, by każdemu słudze i dworzaninowi zapewnić trzy, cztery komnaty?...). Brodaty, niemłody już mężczyzna w świetnym, kapiącym od złota mundurze powitał go uprzejmie, choć zdawkowo. Posłużył się Kinenem, co oznaczało, że jakoś się dogadają. Raladan krótko przedstawił sprawę.

– Dobrze, panie – powiedział oficer, z namysłem oglądając strój, postawę, a przede wszystkim twarz gościa, znamionującą człowieka nieprzeciętnego, bywałego, chyba nawet (na oko Ohegeneda, który był żołnierzem z krwi i kości) nawykłego do rozkazywania; tak mógłby wyglądać któryś z jego wyższych oficerów, albo nadsetnik, może i tysięcznik armii imperialnej. – Co mam przekazać jej królewskiej wysokości? Uczynię to niezwłocznie, chyba że usłyszę jakieś oczywiste brednie.

Raladan docenił dosadną zwięzłość komendanta, bo to właśnie był język, którym on sam się najlepiej posługiwał.

– Oczywiście, że brednie – odparł. – Dla każdego, kto nie zna wszystkich spraw królowej.

Komendant milczał, patrząc wyczekująco.

– Trzy Siostry – powiedział Raladan. – Feren, Rubin Córki Błyskawic. Równowaga Szerni. Powtórz to, panie, królowej. Tylko tyle. I pozwól mi gdzieś poczekać na odpowiedź. Chyba że sam jej udzielisz i będzie to odpowiedź dorzeczna.

– Od kogo ta wiadomość?

– Królowa będzie wiedziała – beczelnie skłamał Raladan.

Dowódca pałacowej straży miał nieprzeniknioną twarz i Raladan nie odgadł, czy treść „wiadomości” jest dlań jakkolwiek czytelna. Ale to nie miało znaczenia. Ważniejsze, czy była czytelna dla królowej?...

Raladan nie miał pojęcia.

Jeśli jej królewska wysokość wiedziała, że jest odbiciem Rollayny (że nim jest, krążyły pogłoski; pytanie tylko: czy królowa w to wierzyła...?), a ponadto znała podwójną tożsamość swych niewolnic, to mógł oczekiwać, że zażąda dodatkowych wyjaśnień. Ale jeśli było inaczej... Wówczas nie miał nic do powiedzenia. Nawet gdyby został dopuszczony przed oblicze monarchini, to co mógł powiedzieć nic nie wiedzącej o tych sprawach kobiecie? Opowiadać legendy, mamrotać o Delarze, która spotkała przekleństwo z przeszłości i wybiera się właśnie zabić swoją siostrę; a Feren, otóż Feren, wasza królewska wysokość...

Wiedziała o wszystkim albo nie. Jeśli nie wiedziała, mógł wracać. A wcześniej tłumaczyć się gęsto, dlaczego i w jakim celu zawraca głowę władczyni mocarstwa.

– Powtórzę to królowej – rzekł komendant. – Zaczekaj tutaj, panie.

Raladan został sam – jeśli nie liczyć dwóch żołnierzy, którzy mu dotrzymywali towarzystwa. Nie byli rozmowni, on też nie.

Czekał długo. Naprawdę dosyć długo.

Komendant wrócił i stanął przy drzwiach. Patrzył z głębokim namysłem.

Drzwi nie zamknął. Przepuściły dwóch żołnierzy oraz przystojną, roslą kobietę o bardzo niezwykłych włosach – bo wysoko upięty warkocz miał głęboką granatową barwę – i jeszcze dziwniejszych oczach, z których jedno było zielone, drugie czarne. Piękna pani nosiła na głowie delikatny złoty diadem; podobnie złote były dodatki do odsłaniającej ramiona, lekkiej ciemnoczerwonej sukni – szaty raczej domowej, bo na pewno nie ceremonialnej. Towarzyszący Raladanowi żołnierze oddali honory bronią.

– Królowa – najkrócej jak można i chyba zupełnie niezgodnie z dworskim obyczajem rzekł komendant.

Raladan pokłonił się.

– Słucham – powiedziała po armektańsku jej królewska wysokość.

Posławszy swą wiadomość, Raladan nie wiedział, jaki wywrze skutek, ale takiego zupełnie nie oczekiwał. Sądził raczej, że – w najlepszym wypadku – zostanie wezwany do królowej.

Tymczasem to ona przyszła i było w tym coś... gwałtownego. Zdecydowanego. Tak mógłby postąpić on sam, gdyby mu doniesiono o pojawieniu się jakiegoś palącego problemu; odłożyłby inne zajęcia i powiedział: „Dobrze, już idę”. Jak wtedy, gdy w nocy obudziła go służka, mówiąc: „Panie, ktoś przyszedł”. Dla niewielu istot na świecie miał jakikolwiek respekt – teraz jednak stał przed kimś, kto mógł zrobić właściwie cokolwiek. Przed osobą, z którą w całym Szererze równać się mogła najwyżej cesarzowa resztek Wiecznego Cesarstwa. I poczuł... lekki podskórny dreszcz, bo przez całe życie miał słabość do takich właśnie kobiet. Silnych, zdecydowanych, wiedzących czego chcą. Władczych. Taka była, bądź bywała, Alida.

Aż się zdziwił, że w królowej Ezenie tak szybko dostrzegł kobietę.

Jej obuwie kryła długa suknia, jednak królowa na pewno chodziła na koturnach – rzecz obojętna o tyle, że nawet boso byłaby wysoka. Postawna i... zdrowa – bo z jakiegoś powodu to słowo się od razu narzucało. Miała wyraźnie rysujące się pod suknią duże, może troszkę za ciężkie piersi, szerokie okrągłe biodra, jakby stworzone do rodzenia dzieci, tak samo szerokie ramiona, a uda zapewne jak koń... Duża, silna kobieta, a jednak – właśnie bardzo kobieca. Przystojna i proporcjonalnie zbudowana.

Nie mógł stać i oglądać królowej.

– Wasza królewska wysokość – powiedział – czy gdyby zjawił się przed tobą człowiek z wiadomością, że Delara znów znalazła Rubin Córki Błyskawic, nie oparła się jego sile i być może wkrótce tutaj dotrze, by zagrozić swoim siostram... Czy ktoś taki byłby dobrze zrozumiany? Czy też raczej wzięty za szaleńca?

– Może mógłby mówić dalej. Najpierw jednak powinien się przedstawić.

– Nie uczyni tego. Chyba że zostanie zmuszony.

– O... – rzekła niechętnie królowa. – Ależ to da się zrobić.

– Wasza wysokość, powiedziałem: zmuszony. A to przecież nie znaczy: przestraszony. Więc nie strasz mnie, pani, tylko zmuś.

Na chwilę zaległa cisza.

– No i usadził babę, bardzo pięknie – skonstatowała Ezena. – Mów, przybyszu, co masz powiedzieć.

Raladan znał słówko „usadził”, choć nie należało do Kinenu, i nie zdołał powściągnąć uśmiechu. Zaimponowała mu ta władczyni, potrafiąca wobec obcego zakpić z samej siebie. Była naprawdę silna i dobrze o tym wiedziała.

– Wasza wysokość, mam dużo do powiedzenia i byłoby mi łatwiej, gdybym wiedział, co mogę pominąć. Ale nie wiem. Przedstawię wszystko jak najkrócej. Przerwij mi lub zażądaj dodatkowych wyjaśnień, jeśli...

– Nie potrzebuję pozwolenia ani zachęty, wasza godność. Teraz słucham.

Raladan powiedział wszystko, co wiedział o Rubinie Córki Błyskawic, Trzech Siostrach,

Ferzenie i zagrożeniu dla równowagi Szerni. Prawił i prawil; sporo tego było... Zataił swoją tożsamość i niektóre szczegóły związane z możliwościami księżniczki Riolaty Ridarety. Na wszelki wypadek (bo może niepotrzebnie) wytłumaczył, co znaczy imię Riolata, bo wydało mu się niepożądane, by królowa, choćby odruchowo powtórzywszy to imię, straciła przytomność z braku tchu. Na koniec przedstawił wydarzenia, jakie nastąpiły nad brzegiem Morza Dartańskiego, i jak najdokładniej wyjaśnił, co, dlaczego i w jaki sposób próbowała osiągnąć Ridareta oraz jaki błąd, jego zdaniem, popełniła w rozmowaniu.

– To wszystko, wasza wysokość – zakończył.

– Brzmi to jak brednie – zauważyła po chwili milczenia.

– Nie, bo nikt tak cierpliwie nie słucha czegoś, co uważa za brednie.

– Nie zgaduj, panie, dlaczego jestem cierpliwa.

– Przepraszam, wasza wysokość.

Raladan nie bał się nikogo i nie potrafiłby wyjaśnić, dlaczego nieustannie wzrasta jego respekt i szacunek dla kobiety w czerwonej sukni.

– Dobrze. Słucham dalej. Może jutro zjawi się tutaj moja Druga Perła z zamiarem popełnienia morderstwa. Co proponujesz, panie, bym zrobiła?

– Co ja proponuję?...

– Właśnie.

– Żebyś kazała ją pochwyć, nie wyrządzając krzywdy. Twoja Perła... została otruta, pani – Raladan znalazł odpowiednie słowo. – Można powiedzieć, że przywrócono moc bardzo starej trucizny, którą miała w żyłach. Ale istnieje odtrutka.

Królowa czekała.

– Jest nią Rubin Córki Błyskawic. Ręczę za księżniczkę Ridarete, wasza królewska wysokość – rzekł bardzo poważnie Raladan. – Jeśli istnieje na świecie ktoś, kto naprawdę nienawidzi Rubinu, to tym kimś jest właśnie księżniczka. Ona zmusi Riolatę, by oddała Delarze wolną wolę.

Królowa Ezena milczała, z namysłem obracając w palcach koniec granatowoczarnego warkocza.

– Ręczysz mi, panie, za księżniczkę. Poręczenie nikogo – zauważyła chłodno. – Człowieka bez imienia. Kapitana jej statku? Gońca?

– Takie poręczenie musi wystarczyć, wasza królewska wysokość.

– Nie – powiedziała jeszcze bardziej chłodno niż przed chwilą. – Nie musi i nie wystarczy.

Raladan poczuł, że sprawy stoją naprawdę kiepsko. Ale był przygotowany na taki obrót sprawy.

– Zapamiętałam nauczkę, więc już nie straszę, a zmuszam. Jeszcze tu jestem, ale właśnie wychodzę, więc szybko do mnie przemów, wasza godność. Gdy wyjdę, zabijcie go – poleciła. –

Szaleniec próbujący zamordować królową.

– Tak, wasza wysokość – powiedział Ohegened.

Postąpiła ku drzwiom.

– No i usadziła pirata, bardzo ładnie – powiedział kpiąco Raladan. – Zechciej odwrócić się, pani, bo nie będę przemawiał do twych kształtnych pleców.

Teraz ona się nie ustrzegła krótkiego błysku w różnobarwnych oczach.

– Nazywam się Raladan, jestem samozwańczym księciem pirackiego księstwa na Agarach, co oznacza: właścicielem siedmiu najlepszych wojennych żaglowców Szereru, a ponadto kimś, z kim liczą się dowódcy kilkudziesięciu innych, również bardzo groźnych okrętów. Księżniczka Riolata Ridareta jest moją przybraną córką.

Jako gospodyni miała prawo odezwać się pierwsza, więc po krótkiej chwili milczenia powitała go:

– Książę.

– Wasza królewska wysokość.

– Zechcesz skorzystać z mojej gościnności.

Pożegnała go skinieniem, spojrzała na komendanta straży i wyszła.

Królowa spacerowała po lasku za domem. Hayna dostrzegła między drzewami błysk czerwonej sukni i odsłoniętych ramion; ruszyła w tamtą stronę. Jej wysokość nigdy się nie pogodziła z wymogami miejscowej mody; niemal wszystkie jej suknie były po dartańsku bogate – lecz zarazem po armektańsku odważne: rozcięte tu albo tam, bez pleców, bez ramion, inne z dekolcami... Różne armektańskie nowinki zawsze były widoczne w Rollaynie, teraz jednak przyjmowały się szybciej.

– Jesteś, dobrze.

Królowa obrzuciła spojrzeniem wojenną szatę Czarnej Perły, zapięte na biodrach pasy podtrzymujące miecz i dwa sztylety, krótko popatrzyła jej w twarz, do połowy zakrytą delikatną zasłonką z czerwonego płótna. Piękne oczy hodowlanej gwardzistki nie straciły urody ani blasku, a niewielka blizna, ukryta w brwi, była prawie niewidoczna. Hayna jeszcze nie odkryła, jak niepokojąca jest nieodgadniona uroda posągowo zbudowanej, kasztanowowłosej wojowniczkii z zasłoniętą twarzą... Ale czy to mogło być pocieszeniem dla nieodwracalnie oszpeconej, tak pięknej niedawno kobiety?

Jej wysokość podjęła przechadzkę. Obie – królowa i niewolnica – były ubrane na czerwono, choć wojenna barwa przybocznej strażniczki miała inną wymowę niż królewska purpura.

Ezena bawiła się szyszką, przerzucając ją z ręki do ręki. Bardzo spokojnie, niemal obojętnie, przedstawiła gwardzistce przebieg rozmowy, która się odbyła przed południem.

– Dlaczego nie posłałaś po mnie, pani? Mogłabym...

Urwała.

– Jednak nie do końca umiesz mi zaufać – powiedziała po chwili.

Królowa popatrzyła z namysłem.

– O nie, Perło – powiedziała. – Wiem, co przeszłaś, ale nie będziesz mnie tym szantażować. Mam pokazać ci twoje miejsce? Jest tutaj, u mego boku. Zajmij je albo idź precz, bo innego miejsca dla ciebie nie widzę.

Rozgoryczona Hayna potrzebowała trochę czasu, by zrozumieć, co właściwie powiedziała jej pani.

– Nie będę ci za nic dziękować, ani tym bardziej przepraszać. Spełniłaś swoje obowiązki i to wszystko; teraz zostań ze mną albo odejdz – rzekła Ezena, po czym odwróciła się niespiesznie i ruszyła w głąb lasu. – Czego oczekujesz, przyboczna? Nagrody? – zapytała jeszcze przez ramię.

Hayna zrozumiała, co mówi do niej pani. Rzuciła się w ślad za nią, wyprzedziła i upadła na kolana.

– Jesteś ze mnie zadowolona?...

– Oczywiście – odparła ze zdziwieniem Ezena, znowu bawiąc się podrzucaniem szyszki. – Ale czy to dla ciebie coś znaczy?...

Pytanie zawisło w powietrzu. Hayna zdobyła się tylko na skinienie głową, opartą o udo królowej.

– Przebacz mi – poprosiła po chwili.

– Mhm. No już, teraz puść mnie i chodźmy. Lubię spacerować, kiedy mówię – przypomniła jej wysokość. – Vasaneva, gdy rozmawiała z Gotahem i Kesą...

Miała dobrą pamięć, potrafiła powtórzyć niemal każde słowo przekazane jej kiedyś przez kocicę. Ale choć mówiła rzeczy ważne, Czarna Perła najpierw prawie nie słuchała. Miała nowy dług do spłacenia. Najpotężniejsza kobieta Szereru jednym zdawkowym „mhm” przebaczyła przyjaciółce i strażniczce, która była gotowa chodzić za nią i na każdym kroku przypominać: „A pamiętasz, co dla ciebie zrobiłam?”. Tymczasem nie zrobiła nic nadzwyczajnego. Tak jak powiedziała królowa, wypełniła tylko swoje obowiązki. Zaszczytne obowiązki żywej tarczy monarchini.

Błagała kiedyś o ten przywilej.

Nagroda, podziękowanie?... Tak, gdyby upiekła dobre ciasto. To do niej nie należało.

– Skoro Gotah, jak twierdzisz, na pewno nie żyje, pozostaje Kesa – ciągnęła królowa. – Miała czekać w En Anelu na wiadomości od męża albo pozostałych towarzyszy. Jeśli jej tam nie znajdziesz, to być może dowiesz się, gdzie szukać. Opowiedz jej wszystko. – Ezena zgubiła szyszkę, więc schyliła się i podniosła drugą. – Żądaj rady, a najlepiej przybycia do Rollayny. Wierzę, że piracki książę jest tym, za kogo się podaje, ale co do reszty jego słów... Wzbudził

moje zaufanie – przyznała i z jakiegoś powodu lekko się zarumieniła na policzkach. – To, co mówił o księżniczce Ridarecie, pokrywa się zresztą z tym, co Vasaneva usłyszała od Gotaha. Księżniczka być może naprawdę nienawidzi siły, która ją trzyma przy życiu. Uważasz, że to możliwe?

– Nie wiem, wasza wysokość – odrzekła Hayna, której bladość była widoczna mimo zasłony na twarzy. – Znęcanie się nade mną sprawiało jej... rozkosz. Nawet nie przyjemność, tylko rozkosz. Taką, jakiej...

– Nie kończ, zrozumiałam. I tak nie ściągnę do siebie tej... tego czegoś, z czym się spotkałaś, jeśli nie będę wiedziała, jakich niebezpieczeństw się spodziewać ani jak się przed nimi uchronić. Jedź do Kesy i dowiedz się wszystkiego.

– Tak, wasza wysokość.

– No to teraz stoi przede mną już ostatnie, ale za to najtrudniejsze zadanie – podsumowała Ezena. – Muszę w końcu rozmówić się z Anessą.

Hayna doszła do siebie na tyle, że uśmiechnęła się lekko i było słycać ten uśmiech, gdy powiedziała:

– Może powinnam iść z tobą? Przecież ona po prostu nawrzeszczy na ciebie, a wcześniej na pewno oberwiesz poduszką. Przez cztery lata milczałaś, że jest Seilą, twoją siostrą... – urwała.

Królowa zdobyła się na kpiący półuśmiech, bo swoją Pierwszą Perłę, błyskotliwą i niezastąpioną powiernicę, kochała niemal bezwarunkowo, ta zaś o tym wiedziała. Rozpieszczona faworytka Anessa – Pierwsza Dziwka Domu, jak półgębkiem, ale za to z nienawiścią nazywano ją w królewskim pałacu – była zdolna do wszystkiego, potrafiła narazić się na karę, ponieść ją i po staremu wrócić do łask monarchini, która bez niej nie wyobrażała sobie życia. Rozmowa przyjaciółek na pewno mogła się skończyć awanturą, o jakiej napomknęła Czarna Perła.

Do Ezeny dotarło, że Hayna nagle zamilkła.

– Nie, Hayno – rzekła z głęboką powagą, przystając. – Seila nie jest moją siostrą. Delara także nie. To dlatego że nie jestem Rollayną, o czym wiesz. Gotah dokładnie mi to kiedyś wytłumaczył i ja tobie także wytłumaczę. Lecz nie dziś. Teraz wystarczy, jeśli mi uwierzysz. Zajęłyśmy... trzy puste miejsca. One czekały właściwie na kogokolwiek, niekoniecznie na nas. Ubrałyśmy się w suknie Rollayny, Delary i Seili, ale nimi nie jesteśmy, nie będziemy i nigdy nie byliśmy. Schyl głowę – poleciła, a gdy Perła spełniła polecenie, delikatnie i naprawdę czule pocałowała ją w czoło. – To na drogę od przyjaciółki, chlebowdawczyni, opiekunki, a zarazem podopiecznej. Ale nie od siostry, Hayno. Nie jesteś Delarą, ani ja Rollayną – powtórzyła. – Trochę tylko je przypominamy. Może coś z tego wynika dla Szerni, ale dla nas nic. Zapamiętaj. A teraz weź wszystko, czego ci trzeba, konie, pieniądze, żołnierzy, i ruszaj do En Anelu. Najlepiej jeszcze dziś.

– Tak, Ezeno.

Królowa z uśmiechem podała jej szyszkę.

– Nie zgub, daj to Kesie – powiedziała, jakby nagle coś jej przyszło do głowy. – Może sobie przypomni lasy wokół Sey Aye.

7.

Szerer był mały dla każdego, kto uciekał; ogromny – kiedy szukało się czegoś albo kogoś. Gotah na nowo odkrył tę prawdę, gdy – jako tako wyleczywszy popękane zębra i odbite wątpia – wyruszył wreszcie w drogę.

Nie miał pojęcia, dokąd jechać.

Rozum podpowiadał: do najbliższego wielkiego portu – a więc do Seyenu – stamtąd zaś na Agary. Człowiek, który uratował mu życie, jego przeklęta córka, a wreszcie wzięci do niewoli żołnierze (było mało prawdopodobne, że choć jeden z nich jeszcze żyje...) – wszystkich tych ludzi należało szukać na Agarach. Jeśli nie tam, to gdziekolwiek, czyli nigdzie.

A może jednak nie?...

Kesa – w bardzo niewyraźnej co prawda i zamglonej wizji – widziała Haynę i słyszała stawiane przez Riolatę pytania. Czy opętana mocą Rubinu piratka mogła wyruszyć do Rollayny? Hayna-Delara nie żyła; za to jedno Przyjęty gotów był dać głowę. Rozmawiał ze Ślepą Foką Ridi, która przede wszystkim była właśnie nią: jednooką piratką, zwierzęciem, bo księżniczką Ridaretą panującą nad siłami Geerkoto chyba tylko w wyobraźni Kesy. Nie umiał wystawić sobie, w jaki sposób to półdzikie stworzenie, szarpane najniższymi instynktami – czego był naocznym i skopanym niemal na śmierć świadkiem – miałoby zapanować nad tym, co beztrzesko nazywało „pokusami”. Piękna Ridi mogła więc pojechać do stolicy. Czy w towarzystwie przybranego ojca? Gotah nie znał tego człowieka; wiedział o nim wyłącznie to, co powiedziała mu żona. Żonie zaś przestał ufać, bo była tylko dobrą, wystraszoną, wierzącą w zacne intencje kobietą. Kimś, kto wzbraniał się przed potępieniem kogokolwiek za cokolwiek. Naprawdę – rację miał Moldorn.

Dokąd więc powinien jechać? Do Rollayny czy na Agary?

Rollayna była bliżej. Znacznie bliżej.

Najpierw jednak Gotah pojechał do En Anelu. Było to ładne, niezbyt duże miasto obwodowe; podział kraju na okręgi i obwody miejskie, choć narzucony przez Armekt, przyjął się w Dartanie bardzo dobrze i bez trudu przetrwał wojnę z Wiecznym Cesarstwem. W En Anelu mogła czekać wiadomość od towarzyszy z Talanty.

Wiadomości nie było. Znudzony pacholek, najpierw przerażony zagadkowym zniknięciem pani, potem uspokoiony przez wysłanego z domu posłańca, próżniaczył się w wygodnym zajeździe, błagając los tylko o to, by mu zesłał jeszcze wiele tygodni wypełnionych drzemkami, posiłkami i nudą; może też drobnymi męskimi przygodami, o których jego pan, a zwłaszcza pani, woleliby nic nie wiedzieć. Gotah uregulował wszystkie należności, zwolnił pokój wynajęty przez Kesę i nakazał odesłać jej bagaże, zostawił pacholekowi nowy trzosik na pokrycie codziennych

wydatków, po czym, rad nierad, ruszył w dalszą drogę.

Tuż pod miastem rozciągały się zabudowania podupadającej, pośledniej hodowli niewolników. Gotah obejrzał obszerny, nieogrodzony podwórzec, na którym kilka nieładnych dziewczyn pod nadzorem starej baby wykonywało jakieś nie wiadomo czemu służące ćwiczenia. Niewolniczym rynkiem Szereru rządziły szczególne prawa, bo wobec braku wojen świeży towar pozyskiwano niemal wyłącznie z szeregów wolnych ludzi, dobrowolnie sprzedających się w niewolę. Nikogo nie wolno było do tego zmuszać, namawiać ani zachęcać; gdyby nie ów przepis, którego złamanie karano bardzo surowo, prywatne wioski w Dartanie zapewne wyludniłyby się na przestrzeni kilku pokoleń... Prawo Wiecznego Cesarstwa było jedno dla wszystkich i nawet najmarniejszy z chłopów mógł zgłosić się do imperialnego wojska, gdy rozpisywano pobór (inna sprawa, że niewielkie miał szanse na przyjęcie w szeregi), a także rozporządzić własnym życiem. Oznaczało to, że wolno popełnić samobójstwo – był to czyn zgodny z prawem i rodziny samobójcy nie śmiały dotknąć żadne szykany – bądź wystawić swoje życie na sprzedaż. Mężczyźni, nawet uciskani i przymierający głodem, prawie nigdy tego nie robili, bo niewola oznaczała dla nich szybką śmierć przy morderczej pracy – na przykład w kopalniach albo kamieniołomach. Zresztą mężczyźni, nawet najdrożsi, od urodzenia hodowani specjalnie do walki zawodnicy, bardzo źle znosili niewolę, o wiele gorzej niż kobiety: chorowali, przygasali, często odbierali sobie życie, a nawet się buntowali, co bywało naprawdę niebezpieczne. Kobiety godziły się na status przedmiotu z mniejszymi oporami i sprzedawały się dość często; zahukana i dzika dartańska dziewczucha jako niewolna służka (a nawet, jeśli była bardzo ładna, prostytutka w którymś z miejskich domów publicznych) niemal zawsze znajdowała lepszy los, niż stałby się jej udziałem w prywatnej wiosce magnackiej. Ale już w Armeckie wyglądało to zupełnie inaczej: niemal każdy (i każda) gotów był tam wstąpić w szeregi legii – prawie nikt nie sprzedawał się w niewolę.

Hodowla pod En Anelem była nią tylko z nazwy, bo w rzeczywistości co najwyżej przedsiębiorstwem „kupno-sprzedaż”; prawie na pewno nie hodowano tam Pereł, ani tym bardziej mężczyzn do walki na arenach, najdroższych niewolników Szereru, przy których ceny najświetniejszych niewolnic wyglądały na wcale przystępne. Ale też żywe wojenne maszyny, z których każda rozdarłaby na sztuki trzy takie wojowniczeki jak Hayna (mijający hodowlę Gotah wspominał ciepłą, uśmiechniętą Czarną Perłę z prawdziwą przykrością i smutkiem), potrafiące zadziwić tłumy na arenach, mogły zdobyć majątek dla swoich właścicieli; złoto zainwestowane w zakup dobrego zawodnika zwracało się szybko. Jednak musiał to być właśnie zawodnik bardzo dobry, który nawet pokonany po wspaniałej walce mógł mieć pewność, że zostanie mu darowane życie – takiego zaś hodowało się przez dwadzieścia lat. Kupowanie byle jakich osiłków, którym łby odlatywały od korpusów w pierwszym starciu, było wyrzucaniem pieniędzy.

Po zwycięskiej wojnie z cesarstwem królowa Ezena ani pomyślała o zrujnowaniu

niewolniczego rynku w Dartanie, dlatego utrzymała wszystkie związane z nim prawa. Hodowle pozostały jedynymi przedsiębiorstwami upoważnionymi do handlu żywym towarem.

Ta pod En Arielem dożywała jednak kresu swych dni. Działo się tak zawsze, gdy wyhodowane niewolnice nie otrzymywały certyfikatów Pereł, a zawodnicy przegrywali na arenach – to drastycznie obniżało prestiż przedsiębiorstwa. Perły prawie zawsze przynosiły straty, ale podnosiły rangę hodowli. Gdy raz została uznana za poślednią, bardzo trudno było podnieść ją z upadku. Wydłużał się łańcuch zaniedbań; ratując nierentowne przedsięwzięcie, albo już tylko próbując odzyskać trochę pieniędzy, właściciel przymykał oczy na zbyt wiele spraw i pograżał się coraz bardziej. Choćby „delikatna kwestia”... Delikatną kwestią nazywano odmowę sprzedaży niewolnicy lub niewolnika. Nabywca zgodnie z prawem i bezkarnie mógł czynić ze swoją własnością, co mu się podobało, więc, na przykład, wolno mu było dla przyjemności masakrować zakupioną dziewczynę, okaleczać ją, wreszcie zabić. Gdy coś takiego wychodziło na jaw, żadna szanująca się hodowla nie sprzedawała oprawcy świeżego towaru; mało tego, posyłała poufną wiadomość do innych. Postępując inaczej, zrujnowałaby swą reputację, a to owocowało brakiem chętnych do sprzedania się w niewolę; jaka dziewczyna, mając do wyboru dwie hodowle, zgłosiłaby się do takiej, z której mogła trafić w ręce zwyrodnialca?

Patrząc na zaniedbane budynki, Gotah zastanawiał się, czy właściciel tej ruiny w ogóle jeszcze przywiązywał wagę do „delikatnej kwestii”. Co najwyżej ustalał bezczelnie wysoką cenę, ale bez skrupułów wyzbywał się wszystkiego, co jeszcze mu pozostało. Żaden inny hodowca nie miał interesu w odkupieniu od niego dwudziestu brzydkich, chorowitych i niemądrych dziewczyn. Nadawały się już tylko na żywe mięso dla jakiegoś popaprańca; zresztą wkrótce, zaniedbane i głodzone, mogły przedstawiać już naprawdę tylko wartość mięsa do karmienia świń albo psów...

I nagle Przyjęty pomyślał, że walcząc o zachowanie równowagi Szerni, wyrzucając tysiące sztuk złota na ogromne przedsięwzięcia, o wielu sprawach zapomniał. Walka w imię naprawy świata była skazana na niepowodzenie, przynosiła więcej szkody niż pożytku – to prawda. Nie dało się naprawić czegoś, co od początku do końca zostało wymyślone i zrobione przez innego majstra; można było tylko sknocić to do reszty. Ale czy na pewno należało się wyrzekać wszystkich ludzkich odruchów, takich jak naturalna u rozumnej istoty skłonność do pochlebiania sobie?... Rzucona żebrakowi moneta nie naprawiała świata, ale pozwalała darczyńcy poczuć się lepszym.

I słusznie. Bo ktoś, komu pochlebiało unoszone w duszy uczucie „jestem szczodry i dobry”, był rzeczywiście lepszy od kogoś, komu to nie pochlebiało.

Gotah zawrócił konia.

Na widok dostatnio odzianego człowieka, dosiadającego bardzo dobrego wierzchowca, stara baba z nieogrodzonego podwórza niemal biegiem rzuciła się ku niemu. Miała na sobie czystą,

całkiem ładną i noszącą resztki dawnej świetności suknię. Gotah powierzył konia wezwanej przez babę niewolnicy, po czym wszedł do budynku i został zaproszony do schludnego pokoju, w którym chyba dobijano targów – nie wiedział, bo pierwszy raz w życiu przekroczył próg hodowli niewolników; całą służbę – a więc jedną przyboczną niewolnicę oraz dwie dziewczyny do prac domowych i posług – jego żona otrzymała w ślubnym podarunku od swej dawnej pani. Leniuchujący w En Anelu pacholek, podobnie jak drugi w domu, byli ludźmi wolnymi. Teraz Gotah chciał kupić sobie niewolnicę i nie wiedział, jak się to robi. Przedstawił więc krótko sprawę, nawet nie mając pojęcia, z kim rozmawia; babsztyl w sukni mógł być kimkolwiek, choćby i wiekową Perłą albo niewolnicą pierwszego sortu, bo podobno takie sterane życiem klejnoty trafiały czasem z powrotem do hodowli, gdzie prowadziły rachunki, pisały bądź czytały listy w czterech głównych językach świata, a przede wszystkim doradzały w sprawach związanych z chowem nowych Pereł. Swoboda i obycie stojącej przed nim starowinki, a także świetny dartański, jakim się posługiwała, czyniły podejrzenie uprawnionym.

– Wasza godność – powiedziała stara Perła (o ile nią była naprawdę) – przecież masz oczy i na pewno widzisz, że hodowla przeżywa... kłopoty. Prawdę mówiąc, prowadzimy wyprzedaż. Nie mam niczego, co byłoby choć podobne do tego, o co pytasz. Chyba tylko ja – dorzuciła z cierpkim humorem. – Miecza już na pewno nie udźwignę, ale sztylet... Przynajmniej wiem, za który koniec trzymać.

Niemal wszystkie domysły Gotaha znalazły potwierdzenie.

– Byłaś Czarną Perłą, pani? – zapytał i dopiero, gdy zaczęła się śmiać, zrozumiał, jak naiwne zadał jej pytanie.

– Przebacz mi, wasza godność – powiedziała, zawstydzona. – Czarną Perłą?... Już niedługo powędruję na spotkanie z Pasmami Szerni, więc biorę je na świadka, że nigdy nawet nie widziałam takiego klejnotu na oczy. Czarna Perła?... Nie, wasza godność. Urodziłam się, by zostać zwykłą Perłą, ale już po pięciu latach okazało się, że, niestety, nic z tego nie będzie. Z wielkim trudem utrzymałam się w gronie dziewczyn pierwszego sortu... Trochę nas uczono, jak bronić pana lub pani, gdyby zaszła taka konieczność, ale jeśli mnie zapytasz, to odpowiem – bo mam swoje lata – że nie obroniłabym wtedy nikogo przed nikim. Nie sprzedam ci, wasza godność, żadnej przybocznej strażniczki, choćby nawet najgorszej, bo nie mam. Trochę brzydkich i chudych dziewczyn, prawie każda ze skazą, jąkała albo wiecznie pryszczata, inne z popsutymi zębami. Mówię, jak jest, bo przecież sam zobaczysz, jeśli zechcesz. W ciągu tygodnia ma zgłosić się ktoś, kto półdarmo weźmie je wszystkie do roboty. Takiej, którą zwykle wykonują mężczyźni – dorzuciła, i to oznaczało, że dziewczyny mają przed sobą może cztery miesiące życia, wypełnionego nieludzką harówką od świtu aż po zmierzch. – Jeśli ten nabywca się nie zgłosi, to po prostu dam im wszystkim akty wyzwolenicze, bo nie stać mnie na dalsze żywienie. Dawno już przejadły więcej, niż są warte. Niech poumierają na własny rachunek,

w zaułkach En Anelu albo gdzieś indziej, bo do swoich wiosek nie trafią. Przynajmniej będą miały szansę coś ukraść, zanim je złapie straż miejska i za karę ześle do kamieniołomów.

Słowa brzmiały bezdusznie, ale ku swojemu zdziwieniu Gotah nie dostrzegł obojętności w oczach rozmówczyni. Stara „perełka” chyba miała serce i najpewniej oddałyby swój towar już nawet nie półdarmo, ale zgoła za symboliczną sztukę srebra – byle tylko poszedł w dobre ręce.

– Każ przyprowadzić je wszystkie, pani.

– Każ?... Muszę iść po nie sama, wasza godność. Możliwe, że jesteś ostatnim, który chce tu kupić cokolwiek. Nikogo już tutaj nie ma, sprzedam dziewczyny, przekażę budynki (bo już nie należą do hodowli, wkrótce zgłosi się nowy właściciel) i wracam do mojego pana, któremu zaczyna się dobrze wieść w handlu zamorskim. Też należy mi się trochę odpoczynku. Będę naprawiała suknie pani, piekła słodkie racuszki, a poza tym leniuchowała.

Wyszła. Niedługo wróciła.

– Zechciej przejść, wasza godność, do następnego pokoju. Tutaj jest zbyt ciasno, a zresztą nie ma podestu.

W sąsiedniej izbie był podest. Kilkanaście nagich kobiet w różnym wieku – bo najstarsza miała co najmniej trzydzieści lat – w równych odstępach ustawiono na podwyższeniu mającym wysokość łokcia. W bardzo dobrym świetle padającym przez duże okna Gotah zobaczył, że niewolnice są zadbane w stopniu, w jakim to było możliwe: wyglądały czysto, miały umyte włosy porządnie zaplecione w warkocze, niepołamane paznokcie, a wszelki zarost usunięty na dartańską modłę. Może były trochę niedożywione, ale nie wynędzniały. Gotah odwrócił się nagle i powiedział niegłośnie:

– Jesteś człowiekiem, perełko.

Stara uśmiechnęła się lekko.

– Nie, wasza godność, tylko rzeczą – odparła odruchowo, po czym nagle zrozumiała, o co mu chodziło, i przestała się uśmiechać. – Chyba tak.

Gotah wiedział już, że zbrojnej strażniczki nie dostanie. Zwrócił się na powrót ku podestom i zapytał:

– Czy któraś zna albo chociaż rozumie Kinen?

Odpowiedziała mu cisza.

– Nie, panie – odrzekła stara.

– Jakikolwiek język? Chociaż kilka słów?

– Nie, panie.

– Przeczyta cokolwiek, chociaż parę liter?

– Każda napisze swoje imię. Ale tak, jakby rysowała zapamiętany wzorek, wasza godność.

– Czy któraś jeździ konno?

Cisza.

– Nie, panie – powiedziała perełka. – Nie potrafią nic.

Jedna z dziewczyn postąpiła pół kroku i pochyliła głowę.

– Mów.

– Jeź-dziłam... na osiołku – powiedziała niewolnica. – To jakby ta-ki mały koń.

Gotah milczał. Dziewczyna, nie unosząc głowy, zerknęła w bok, napotkała jego spojrzenie i znowu zapatrzyła się w podłogę.

– Coś jeszcze? – zapytała nadzorczyńni.

– Ojciec mieli mnie pierwszą. A sios-try z macochą. Rą-bałam drwa, umiem wszystko w obejściu... Umiem pamiętać piosenki. Nie chrapię i je... je-stem zawsze ciepła... – Przesunęła rękami po brzuchu aż do piersi, jakby chciała pokazać, o jakie ciepło chodzi. – Um... umiem...

Zamilkła.

– Czasem jąka się bardziej, czasem mniej – powiedziała stara. – Raczej zacina, niż jąka.

Gotah podszedł i popatrzył na dziewczynę z bliska. Nieładna szeroka twarz była tu i ówdzie poznaczona dziobami po przebytej chorobie. Miał przed sobą zwykłą osiemnastoletnią chłopkę o grubokościstej budowie; dziewczuchę nadającą się najwyżej do prac w polu. Jak to często bywało, ojciec nie pozwolił jej wyjść za mąż, bo bardziej opłacało się ją sprzedać, kiedy podrosły młodsze. Dartański chłop nigdy nie widział tyle srebra na raz, ile mogła mu oddać córka po zgłoszeniu się do hodowli. Mimo że do ręki dostawała tylko skromną zaliczkę, resztę – dopiero gdy ją sprzedano, i to z jakimś zyskiem.

Niemal słyszał przyspieszone bicie serca. Naprawdę słyszał. Było zupełnie cicho.

– Um-iem... – zaczęła raz jeszcze, ale zaraz stało się jasne, że już nic więcej nie powie, i to nie z powodu wady wymowy.

– Umiesz czegoś chcieć i jesteś odważna – dopowiedział. – Sama nie wiesz, jak dużo umiesz. Potrafisz wierzyć, że jesteś coś warta, że dla kogoś może mieć znaczenie to, że jeździsz na osiołku, rąbiesz drwa i pamiętasz piosenki... I masz rację, mądra dziewczyno. Kupię cię.

– Chodź – powiedziała nadzorczyńni.

Gotah nie był tak odważny jak kupiona niewolnica i już nie ośmielił się spojrzeć na te, które pozostawiał z gasnącą w oczach nadzieją, że zawróci i zapyta o coś jeszcze. Nie był bogaczem; może mógłby je wszystkie nabyć, ale nie utrzymać. Do En Anelu, gdzie miała czekać Kesa, powinno wkrótce napłynąć złoto od garyjskiego Przedstawiciela, nie wiedział jednak ile, a tym bardziej nie potrafił ocenić, jak dużo jeszcze wyda, zanim skończy się cała awantura... Tymczasem ani on, ani jego żona nie umieli zarabiać pieniędzy, zaś odsetki od tego, co złożyli w jednym ze stołecznych domów kredytowych, z trudem pokrywały ich potrzeby. Nie mógł otworzyć na rynku w En Anelu kramu z Porzuconymi Przedmiotami.

A zresztą wiedział, że choćby miał środki i wykupił wszystkie nieszczęsnice ze wszystkich hodowli Szereru, to osiągnąłby tylko taki skutek, że podesty zaczęłyby się uginać pod ciężarem

kolejnych; a im więcej by kupował, tym bardziej by się uginały... Tak się kończyły próby naprawiania świata, który działał według ustalonych reguł, a ominąć się ich nie dało. Dobrym intencjom winien zawsze towarzyszyć rozum.

Dziewczyna nazywała się Sema – takie imię, obok jego imienia, wypisano na akcie własności, który otrzymał od wiekowej perełki. Miał odtąd przypisaną do swojej osoby żywą rzecz, z którą mógł zrobić cokolwiek i za której każdy, nawet najdrobniejszy czyn odpowiadał. Gdyby oszalała i zabiła mu żonę, mógłby ją za to żywcem poćwiartować – po czym poszedłby na szafot za zabójstwo żony. Dopełniwszy żmudnych formalności – bo pojawiły się przed nim jakieś księgi, świadectwa, rejestry – i bez żadnych targów uiściwszy zapłatę, Przyjęty wyszedł na podwórzec, dosiadł konia i wyciągnął rękę do wystraszonego stworzenia w kusej białej szatce, które spoglądało nań z dołu, wciąż chyba nie pojmując, co właściwie zaszło.

– Chwyć się i wskocz za mnie. Potem mocno się trzymaj – polecił.

Chwilę później kłusował z powrotem do En Anelu, kurczowo objęty w pasie przez dziewczynę, która pierwszy raz w życiu widziała drogę płynącą pod kopytami wielkiego dartańskiego ogiera pełnej krwi. To na pewno nie był osiołek.

W kłusie trzęsło i dziewczyna wciąż się zsuwała. Zachodziła obawa, że spadnie. Gotah puścił konia galopem, bo do jazdy stępa nie miał cierpliwości, a dla kogoś, kto pierwszy raz siedział na koniu, galop był lepszy niż kłus. Nietrzęsący, równy, płynniejszy.

Migały drzewa przy drodze. Sema omal nie umarła ze strachu.

* * *

W największym składzie towarów, jaki mieścił się przy rynku w En Anelu, było wszystko. I to chyba naprawdę wszystko, bo właściciel wprawdzie nie mógł wyciągnąć kamienicy spod stołu, nie miał rzecznej szkuty, ani nawet kupieckiego wozu, jednak jak najbardziej mógł to wszystko zaproponować, jako że posiadał wcale zgrabne rysunki wymienionych dóbr – nie zaczynał więc rozmowy od niczego. Gotah potrzebował tylko zwykłych rzeczy, z których najdroższą i najbardziej niepokorną był koń. Kupiec z uwagą wysłuchał, na czym polega problem.

– Mam grzecznego muła – rzekł na koniec. – Nieuparty.

– Jadę do stolicy – zaprotestował Gotah.

– Może być jeszcze ładny wałach ebelski, ale to drogi koń.

– Wielkie bydlę – zastanowił się Gotah.

– Ba, dosiadają takich ciężkozbrojni królowej – zarozumiale powiedział kupiec, pragnąc dowieść, że nieobce mu nawet tak światowe sprawy, jak wyposażenie przybocznych chorągwi monarchini. – Gdyby to był ogier, to na pewno bym go nie miał, wasza godność. Wielkie bydlę, mówisz. No, prawda. Ale ebelczyki są odważne, posłuszne, niewybredne. A mój wałaszek

niekapryśny, miękki w pysku, bardzo łatwy w prowadzeniu, poradzi sobie z nim nawet dziecko – wyliczał handlarz. – Prawdziwy ebelczyk wasza godność.

I faktycznie wiedział, co mówi. Gotah znał zalety wierzchowców księżnej Dobrego Znak, bo niejednym tydzień przesiedział w obozach jej wojsk. Większe i silniejsze – oraz trzy razy droższe – były tylko rumaki ciężkozbrojnych (bo w tej akurat sprawie kupiec się pomylił; w chorągwiach królowej wierzchowców ebelskich dosiadali żołnierze zaliczani do średniozbrojnych). Jeźdźcy bardzo chwalili ebelczyki, bo jak żadne inne konie lubiły chodzić w szyku i błyskawicznie się wdrażały do wszelkich manewrów jazdy. O mało co Gotah byłby kupił Semie łagodnego wałacha, ale poszedł z kupcem do nieodległej stajni i szczęśliwie oprzytomniał. Jego własny ogier dartański był nawet wyższy od armeктаńskiego pobratymca – ale pierś?! ale zad, ale grzbiet?!... Gotah trochę jednak zapomniał, o czym mowa; przecież biedny dzieciak nie objąłby potwora udami.

– No nie, panie, jednak go nie wezmę – powiedział, uśmiechając się z politowaniem, które to uczucie kierował sam do siebie. – A ta klacz?

– Młodziutka armektanka. Miła, dobrze ułożona. Niedroga. Ale jednak to już jest koń dla jeźdźca, wasza godność.

– Wezmę ją – powiedział krótko Przyjęty, bo prawda była taka, że nie szukał zwierzęcia na wojnę ani do gonitw, tylko po prostu czegośkolwiek, na czym mogłaby się w podróży utrzymać jego niewolnica; jeśli chciała od razu spaść, to przynajmniej miała do ziemi bliżej niż z grzbietu stojącego obok lądowego wieloryba. Handlarz zaś prowadził zbyt duży interes, by opłacało mu się ukrywać jakieś istotne wady niedrogiemu w końcu konikowi; na pewno nie chciał stracić przez takie coś klienta. – Ile?

Kupiec powiedział. Gotah potargował się i zapłacił.

Więcej niż za niewolnicę.

Wrócili do wielkiej izby wypełnionej wszelkim dobrem, którego oszołomiona dziewczyna nie śmiała nawet z bliska oglądać; stała dokładnie w tym miejscu, w którym pozostawił ją Gotah. Przestraszona, zostawiona sama sobie, nie odpowiadała na pytania i nagabywania kupieckich pomocników. Nie wiedziała, czy wolno jej mówić.

Przyjęty zmitrężył dużo czasu, a miał go zmitrężyć jeszcze więcej, wykładając komuś w trakcie podróży tajniki jazdy konnej, reguły dbania o wierzchowca i chyba wszystkie inne... Bez ceregieli zabrał niewolnicę do kąta, gdzie schowała się za jakimś stelażem, nakazał, by się rozebrała, po czym ubrał ją od nowa w strój podróźny niewiele gorszy od tego, który miał na sobie. Zachwycona dziewczyna z niedowierzaniem dotykała koszuli z gładkiego sukna, to znów grubej i szerokiej spódnicy do jazdy wierzchem, skórzanego kaftana, pasa, wiązanych rzemieniami do łydek trzewików... Te ostatnie sprawiły jej kłopot; kiepskie to było do jazdy konnej, ale w butach z cholewami na pewno by nie wytrzymała – przywykła chodzić boso lub

w drewnianych chodakach, ostatecznie może w jakichś łapciach z łyka.

– Cokolwiek ci daję do ubrania, tego już nigdy nie odbiorę – powiedział tak dobitnie, żeby zrozumiała, bo w szeroko otwartych oczach widział same wątpliwości i pytania. – To wszystko jest twoje, już na zawsze.

Jednak nie od razu uwierzyła. Miała na sobie odzienie warte więcej niż wszystko, co trzymał w chacie jej ojciec.

Dostała jeszcze mały nóż, którego pochwę mogła przypiąć do pasa. Dokupił prowiant, pled, płaszcz, parę drobiazgów, a na koniec podszedł do stojaka, na którym lśniła błękitnoszara stal.

– Rąbałaś drewno... To nie jest siekiera, ale masz – powiedział, podając lekki topór, który mężczyźnie przydałby się głównie do rzucania, lecz dziewczynie pasował w sam raz do obu rąk. – Zawieszisz to przy siodle, zaraz pokażę ci jak. I jeśli ktokolwiek będzie nam chciał zrobić krzywdę... to wyobrazisz sobie, że jest kłodą drewna, dużą kłodą. Chodź. Teraz zjemy coś, a potem jazda. Nie, zaczekaj...

Był żonaty; wiedział już i potrafił to i tamto... W otwartej skrzyneczce wyszukał drewniany grzebień. Kesa lubiła, gdy ją czesał. Teraz rozplótł brązowy warkocz, rozczesał włosy, splótł od nowa, upiął wyżej. Wcisnął grzebyk w dłoń Semy. Dokupił jeszcze jeden drobiazg i zawiesił jej na szyi rzemyczek, podtrzymujący niewielką srebrną lżę.

– To też twoje. Tak samo na zawsze.

Zaprowadził niewolnicę do dużego zwierciadła przy oknie.

– Taka jesteś, patrz. Tak cię wszyscy widzą, tak nas widzą... Nie patrz na mnie, tylko tutaj. I nie rycz.

W tafli odbijało się dwoje podróżnych, należących do tego samego świata. Obok krzepkiego, łysawego mężczyzny z brodą, skrzywionego w wiecznym, lekko kpiącym uśmiechu, stała niewysoka, dostatnio ubrana dziewczyna z drżącymi ustami i zaczerwienionym nosem.

Chciała rzucić mu się do kolan. Chwycił ją i zatrzymał.

– Nie, dziewczyno. Już nigdy przed nikim nie klękaj. Wolno ci tylko przede mną, ale ja sobie tego nie życzę. Chcesz podziękować?

– Tak – szepnęła.

– To po prostu powiedz: dziękuję.

Poczekał.

Zaczerpnęła tchu i powiedziała.

Jakże łatwo było zawiesić na czyichś rzęsach lżę... Wystarczył prosty ubiór podróżny, ozdobiony srebrną kropelką na rzemyku, wartą mniej niż krążek, którym płacił. Ale ta kropelka była już ciepła od palców, które jej bez przerwy dotykały.

Wyszli przed dom. Trzymała swój toporek tak mocno, że było zupełnie jasne, iż zarąbie każdego napastnika. Będzie tłukła do chwili, aż miazga na ziemi przestanie przypominać

człowieka.

Nigdzie, na całe szczęście, nie było widać napastników.

Już im prowadzono dwa konie.

Najpierw powiedli wierzchowce ku gospodzie i Gotah nakarmił towarzyszkę. Sobie też nie odmówił.

Rozsądek nakazywałby spędzić nadchodzącą noc w En Anelu, ale Przyjęty wiedział, jak to się skończy. Porannym wstawaniem, posiłkiem, odpoczynkiem po posiłku... Wyruszyłyby koło południa. Wolał jechać natychmiast, podróżować do zmierzchu i zatrzymać się na nocleg pod gołym niebem. Pierwszy konny przemarsz powinien być zresztą krótki; należało udzielić wstępnych nauk dziewczynie, której przeznaczeniem było zostać co najwyżej niewolną praczką w jakichś magnackich dobrach... Tymczasem została przyboczną Przyjętego.

Przeznaczenie niewolnych praczek... Gotah uśmiechnął się, bo jedną już kiedyś poznał. Została królową. Ta tutaj na pewno nie mogła zajść równie wysoko. Ale służka i przyboczna strażniczka historyka Szerni?... Nieskromnie uważał, że trafiła nieźle.

Jakoś utrzymała się na końskim grzbiecie, choć gdy zsiadła, na pewno bolało ją wszystko. Na biwaku najpierw pokazał, jak trzeba zająć się wierzchowcem. Powiedział, kiedy go poić, a kiedy odmówić wody. Kilkakrotnie powtórzył: „Na postoju najpierw koń, potem człowiek; pamiętaj”. Klacz nie była zdrożona, ale wytarł ją jak najstaranniej.

– W podróży to wystarczy – zakończył, odrzucając na bok wiecheć suchej trawy. – W stajni warto rozejrzeć się za szczotką i zgrzebłem, ale o tym, co w stajni, pomówimy kiedy indziej. Jutro będziesz ją siodłać, jednak co nieco pokażę ci już teraz. Potnik... czaprak... Zawsze nakładaj wyżej, ściągaj niżej... tak? Z włosom, nie pod włos. Nic się pod tym nie może zawieruszyć, żaden patyczek, okruch... nic a nic. Wyglądź wszystkie fałdy, załamania, to musi leżeć równo. Podchodź zawsze z przodu i najlepiej od lewego boku, a jeżeli podchodzisz od tyłu, to łagodnie zawołaj, uprzedź ją, że idziesz. Tak? Bo inaczej może się przestraszyć, zupełnie jak człowiek. Ale człowiek nie połamie ci kości kopniakiem.

Niewolnica chłonęła każde słowo.

Wyjął z juków jabłko, odgryzł kęs, wypluł na rękę.

– Daj jej w taki sposób – pokazał odgryziony kawałek na szeroko otwartej dłoni, po czym podał niewolnicy, sam zaś zaczął chrupać resztę owocu. – Świetnie. Na pewno lubi, kiedy ją poklepać po szyi, albo możesz ją pogłodzić po strzałce... mmm, po tym białym, co ma z przodu, o tak... Wiesz, co to maść konia? Kolor. Ja jeżdżę na dereszu, a twoja klacz jest gniada. Brązowa z czarną grzywą. Polubicie się.

– Jużem ją po-lubiła...

– Nie, Semo. „Już ją polubiłam”, tak powiedz. Już zrobiłam, już przysłam, już zapamiętałam...

Miała bardzo ładne, ciemne gęste brwi, teraz zmarszczone w skupieniu. Ale choćby szukał sto lat, nie znalazłby w tej twarzy nic więcej. Brzydulka.

– Już... ją... polu-bi-łam... – powiedziała starannie, zacinając się bardziej z przejęcia niż z powodu wady wymowy.

– To spokojny kraj, rozpalimy sobie ognisko.

– Umie! Ja rozpalę! – powiedziała tak szybko, że aż się roześmiał i niepotrzebnie ją spieszył.

– I to pewnie lepiej ode mnie – powiedział. – Zbierzmy chrust, rozpalisz ognisko, a ja ci opowiem o świecie. Jeśli tylko czas pozwoli, codziennie będę coś ci opowiadał. Jesteś młoda, rozgarnięta, nauczysz się czytać i pisać, nawet poznasz obce języki... – mówił, schylając się po kolejny patyk. – Zabiorę cię do bezpiecznego domu, gdzie czeka dobra i mądra pani, moja pani. Będziesz jej usługiwać, chodzić po ogrodzie, dbać o kwiaty... Lubisz psy? Będziesz się z nimi bawić, aż wymęczą cię do utraty tchu. A czasami ruszysz ze mną w drogę, tak jak teraz. Przyboczna mojej żony pokaże ci, jak trzeba trzymać miecz, jak się strzela z łuku... Może kiedyś naprawdę mnie obronisz, kto wie? Dzisiaj trudno ci w to uwierzyć, ale... z każdego miejsca, Semo, można dojść prawie wszędzie. Opowiem ci o sławnych dowódczyniach, które znałem albo o których słyszałem. Były takie same jak ty, wyszły z takich wiosek jak twoja, a dzisiaj każdy wojownik, który usłyszy imię Agatra albo Tereza, z szacunkiem pochyla głowę. Ale na razie długa droga przed nami, może niebezpieczna. Tak, na pewno niebezpieczna. Wszystko, o czym mówiłem, musi poczekać, Semo. Na pewno wydaję ci się bardzo mądry, ale czasem jednak bywam głupi. Nawarzyłem piwa i teraz muszę je wypić, a ty będziesz piła razem ze mną. Może nawet... oboje zginiemy? I nie ziści się nic z tego, co ci obiecałem.

Obejrzał się. Nie było jeszcze zupełnie ciemno, więc widział sylwetkę, a nawet rysy twarzy siedzącej na ziemi dziewczyny. Trzymała na kolanach trochę chrustu.

– Ja się nie boję, panie. Ja juzem...

Zamilkła. I zaczęła jeszcze raz, starannie:

– Ja... już... dostałam... wszystko, com sobie wy-marzyła. Przez całe życie, panie, nie było mi tak dobrze, j... jak dziś.

Gotah patrzył i patrzył, bo znowu się czegoś dowiedział. Niby nic nowego... Jak wyglądało dwudziestoletnie życie, którego najlepszym kawałkiem była konna przejażdżka w szorstkim odzieniu podróznym?... Zbieranie chrustu na wieczorne ognisko, karmienie konia jabłkiem i rozmowa z obcym człowiekiem? Zimny dotyk srebrnego świecidełka na szyi. Po które nawet nie schyliłaby się Kesa.

Przyszło mu do głowy coś, co niedawno powiedziała właśnie Kesa, wprawdzie z goryczą i w gniewie.

„To jest świat, jaki chcemy uratować? A niech szejnie!”.

Wrócił do zbierania patyków.

– A może naprawdę niech szcześnie?...

* * *

Łomot narastał i Gotah pomyślał o idących do boju ciężkich chorągwiach Sey Aye. Słońce świeciło prosto w oczy; mrużąc je, Przyjęty cofał konia na pobocze drogi, jednocześnie próbując skłonić do tej samej czynności wierzchowca Semy, którego chwycił krótko przy pysku. Zza zakrętu drogi, spoza drzew, wyłonili się jeźdźcy – silny oddział walił galopem, jakby rzeczywiście szedł do szarży. Gotah chciał osłonić twarz przedramieniem i ocienić oczy, ale wciąż był zajęty wierzchowcami. Podnosząc kłęb kurzawy, jeźdźcy – co najmniej dwudziestu – przewalili się tuż obok, płosząc młodą klaczkę niewolnicy. Sema spadła na ziemię. Gotah zeskoczył z siodła, poskromił oba konie, a widząc, że dziewczynie nic się nie stało, zaczął je uspokajać, poklepując i łagodnie przemawiając. Tętent oddalał się, ale gdzieś w środku obłoku kurzawy rozbrzmiał głośny okrzyk.

– Nic ci nie jest? – upewnił się Przyjęty.

– N... nie...

Kurz opadał. Gotah spoglądał na jeźdźca, zrazu ledwie majającego, potem coraz lepiej widocznego na drodze. Słońce miał teraz za plecami, już nie świeciło mu w oczy – w zamian oślepiło człowieka, który stępa jechał na spotkanie. Przyjęty czuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Zostawił konie i ruszył naprzeciw, a po chwili pobiegł.

Hayna zsunęła się z siodła i tak samo rzuciła się biegiem. Przyjęty pochwycił ją, przytulił i poczuł wilgoć pod powiekami. Nie miał dotąd pojęcia, jak bardzo polubił tę dziewczynę. Od żalu po niej – uciekł. Ale dla nieoczekiwanej radości w jednej chwili otworzył całe serce. I po męsku uronił kilka łez niekłamanego szczęścia.

Perła chyba czuła to samo. Mazała się w sposób zupełnie nieodpowiedni dla srogiej gwardzistki królowej.

– Jakim, jakim cudem?... – zapytał. – Ranili cię śmiertelnie, konałaś powieszona na gałęzi... Widziałem. Uciekłaś? Ale jak?

Powoli nadjeżdżali zatrzymani okrzykiem dowódczym jeźdźcy. Tupały i parskały rozgrzane biegiem wierzchowce; mieniły się zielenią, granatem i czerwienią haftowanych koron świetne narzuty na kolczugach, lśniły otwarte hełmy.

Hayna odsunęła się nieco. Chciał sięgnąć do czerwonej zasłonki, kryjącej dolną część twarzy Perły, ale łagodnie zatrzymała jego dłoń.

– Postój! – zawołała do swoich, ocierając nadgarstkiem oczy. – Rozkulbaczyć konie! Bo to na pewno potrwa... – zakończyła już znacznie ciszej, zwracając się do Przyjętego.

– Semo, zajmij się końmi. Poproś któregoś z żołnierzy o pomoc. Po prostu podejdź i poproś.

Na pewno ci nie odmówi.

Oszołomiona widokiem tylu wspaniałych, orężnych i groźnie wyglądających ludzi, niewolnica tylko skinęła głową. Hayna zerknęła zaciekawiona na przyboczną, której trzeba pomagać przy koniach, i chyba zrozumiała w czym rzecz, bo zachęciła ją do czynu lekkim ruchem głowy, potrafiła zaś uśmiechnąć się oczami. Obecność drugiej kobiety dodawała otuchy; Sema też zdobyła się na uśmiech.

Kilkadziesiąt kroków od drogi wznosił się łagodny pagórek, na którym rosły drzewa rzucające cień. Perła wzięła Przyjętego za rękę i poprowadziła. Usiedli pod wielkim klonem. W milczeniu, najpierw tylko przyglądali się sobie.

– Jadę do Rollayny – rzekł Gotah. – Myślałem, że z bardzo smutną wieścią.

– A tymczasem to ja wcześniej przyniosłam smutną wieść o tobie, wasza godność. Jadę do En Anelu. Powiedzieliście Vasanevie, że tam będzie można znaleźć Kesę. Ciebie... nie szukałam. Ale za to wciąż od nowa układałam sobie, co będę musiała powiedzieć twojej żonie. Królowa ma do niej prośbę, jednak ta prośba... Przecież nie zaczęłabym od prośby.

– Nie zawieszysz żadnych smutnych wieści. Przeciwnie, sama jesteś radosną wieścią. Kesa bardzo teraz potrzebuje dobrych nowin.

– Niestety, nie jestem aż tak radosną nowiną, jak mogłoby się wydawać, wasza godność. Powiem, zanim zapytasz: nie, nie odsłonię twarzy. Już nigdy.

– Nigdy? – niemądrze powtórzył Przyjęty.

– Jest zniszczona – cicho, ale spokojnie powiedziała Perła. – Nieodwracalnie, wasza godność. Rozpoznałeś mnie pod tą szmatką, ale chyba nie rozpoznałbyś bez niej. Pogodziłam się z tym, teraz pogódź się i ty. Kto pierwszy? – zapytała z nagłym ożywieniem. – Kto ma więcej do powiedzenia?

– Chyba jednak ty, Perło – odpowiedział, ale zobaczyła, że jeszcze nie ochłonął.

Poczekala chwilę.

– Już? No to mówię. Wtedy nad morzem... myślałam, że poległeś już wieczorem, kiedy przypuścili na nas atak. Potem dowiedziałam się, że nie. Skopano cię na śmierć jak parszywego psa, tak mi powiedziała.

Przyjęty nie zapytał, kto, bo wiedział. Hayna mówiła, on słuchał. Przerazającej i zdumiewającej historii, w której jednak wszystko łączyło się ze sobą, zazębiało... Wskakiwały na swoje miejsca kolejne klocki układanki. Wyłaniał się obraz opętanej przez Geerkoto pirackiej księżniczki, która – jeśli wierzyć słowom jej przybranego ojca – wbrew wszystkim siłom Szerni i Szereru postanowiła stoczyć walkę, której nie zdołali wygrać Przyjęci. Czy naprawdę było możliwe, że kosztem życia Hayny bądź Anessy chciała raz na zawsze zażegnać grożące Ferenowi niebezpieczeństwo? Zabrała się do tego na najgłupszy z możliwych sposobów... ale właśnie dlatego niemal był gotów uwierzyć w szczerść jej zamiarów. Rozmawiał z nią! Widział

przed sobą niezbyt mądrą, ale za to przeświadczoną o swej władzy nad Rubinem kobietę! Według słów agarskiego księcia znęcała się nad Hayną, bo to był okup, jaki musiała zapłacić za poskromienie sił Rubinu. Płaciła takie okupy często i w podobny sposób – wiedział to od Kesy, która na Agarach próbowała zrozumieć księżniczkę, rozmawiając z nią, pytając i odpowiadając. I było coś jeszcze, bardzo ważna poszlaka wskazująca na szczerą intencję Ridarety: otóż Hayna żyła. A tymczasem, po spotkaniu z Rubinem właściwie nie miała prawa żyć. Tam naprawdę doszło do jakiejś walki, jakiegoś... układu między Ridaretą a Riolatą. Skoro Rubin musiał uciec się do „oszustwa” – zrobił to nie bez powodu. Wybrał do celu drogę okrężną, bo najkrótszą mu zagrodzono.

Słuchał. I patrzył na siedzącą obok, opartą plecami o pień drzewa dziewczynę, która z niejakim wysiłkiem, ale jednak zupełnie po prostu opowiedziała mu przed chwilą o bohaterstwie i lojalności, jakie rzadko oglądał świat. Przez kilka nieskończenie długich dni stawiała czoło czemuś straszemu i niepojętemu, wrywała sobie z twarzy strzępy żywego ciała, spełniała podle zachcianki... Dotąd znał tylko legendy sławiące takie czyny.

– Dlaczego przez tyle lat nie powiedzieliście nam... Seili i Delarze, Anessie i Haynie... – zapytała z żalem. – Dlaczego nie mogliśmy wiedzieć?

Westchnął i pokręcił głową.

– Nie potrafię odpowiedzieć. Mogłyście wiedzieć. Tylko po co? Czasem myślimy, że dla kogoś będzie lepiej, jeśli się o czymś nie dowie. Oszukujemy ciężko chorych, czasem chorzy oszukują swe rodziny... prawda? Przybrana matka boi się zdradzić dziecku, że nie ona je urodziła... I niemal zawsze na końcu staje się jasne, że każdy ma prawo wiedzieć o wszystkim, co go dotyczy. Że ukrywanie przed kimś jego własnych spraw jest co najmniej niewłaściwe, a nieraz podłe.

– Więc... dlaczego?

– Bo jesteśmy niedoskonalimi i są błędy, które powtarzamy. Wydaje się nam, że tym razem na pewno istnieją dobre powody; że poprzednio to było coś innego, inaczej... Królowa powiedziała ci prawdę, Czarna Perło: wcale nie jesteś Delarą, pożyczylaś sobie tylko jej suknię... właśnie tak, jak powiedziała ci w ogrodzie. Królowa jest mądra, Hayno. Na pewno mądrzejsza od ciebie i Anessy razem wziętych, a możesz dołożyć jeszcze Gotaha, historyka Szerni, który to historyk ma ogromną wiedzę, ale nie ma tej mądrości, tej... roztropności, co twoja królowa.

– Wiem, że jest mądra.

– Ja sam nie miałem pewności, czy jesteś odbiciem Delary – wytłumaczył. – Nasuwała się taka myśl, ale nic na to nie wskazywało. Królowa zapytała mnie o ciebie, a ja zaprzeczyłem. „Hayna? Nie” – powiedziałem. To wszystko zbyt ślicznie pasowało, żeby mogło być prawdziwe, tak myślałem. O Anessie dowiedziała się ode mnie już w Sey Aye. Też nie od razu powiedziałem, co wiem; właściwie wyciągnęła to ze mnie. Można powiedzieć, że się

wygadałem. Pamiętasz, jaka była samotna. Chciała biec do siostry. Ale ja pytałem: „Po co, wasza wysokość? Nie jesteście prawdziwymi siostrami, ale za to przyjaźnicie się szczerze. Po co wyciągać jakieś truchła z przeszłości, porównywać się z trupami, szukać w sobie tego, co miały inne kobiety kiedyś... gdzieś...?”. Widziałem, jak męczyła się, walczyła ze sobą. Aż wreszcie powiedziała mi: „Masz słuszość”. Legenda o Trzech Siostrach, Hayno – rzekł, kładąc się na boku i podpierając łokciem – jest największym mitem Szereru. Wiesz, że chyba wcale ich nie było, Trzech Sióstr?...

– Jak to: nie było ich? – przerwała.

– Prawdopodobnie istniała tylko Rollayna, pierwsza królowa Dartanu, dotknięta skutkami czegoś, co nazywa się „pęknięciem Szerni”. O takim pęknięciu mówimy wtedy, gdy treści Pasm, za sprawą jakiegoś przypadku albo kataklizmu tam, na górze, przedostają się do świata. Tym razem, najprościej mówiąc, przedostały się strzępki treści, z których zbudowany został Feren... To tylko przypuszczenia, gdybania; matematycy nie umieli mi potwierdzić, że tak było, a gdy chodzi o Szerń, tylko matematyka... niekiedy... daje wyczerpujące i jednoznaczne odpowiedzi. Rollayna istniała na pewno, jest postacią historyczną. Ale obie jej siostry najprawdopodobniej zostały wymyślone.

– Ale ja pamiętam! – zaprotestowała. – Przypomniałam sobie o Delarze wszystko, albo... dużo.

– Co pamiętasz? Co znaczy: dużo? Wiesz o Delarze tyle, co o Haynie?

– Nie – przyznała. Po czym zaprzeczyła temu, co przed chwilą powiedziała: – Bardzo mało wiem.

– Bo pewnie tylko to, co wiąże się z Rubinem? Powiesz mi chociaż, kim właściwie była Delara? Trzecią Siostrą, no dobrze, a poza tym? Nie pytam o to, co wiesz z legendy i uznajesz teraz za prawdę, tylko o to, co naprawdę pamiętasz.

Hayna milczała.

– Królowa Rollayna – rzekł z westchnieniem – wzięła sobie służkę, albo doradczynię, albo damę dworu, z którą zżyła się i zaprzyjaźniła, a która ją wspierała swym rozsądkiem, może i urodą... Miała też osobistą strażniczkę... a może komendantkę przybocznych wojsk... a może po prostu jakąś wojowniczkę-awanturnicę, którą polubiła i trzymała przy swojej osobie. Czy te dwie nazywały się Seila i Delara? Pewnie tak. Na pewno tak. Resztę wymyślono, jak sądzę. Jesteśmy żywym odbiciem Szerni na ziemi, Hayno – mówił dalej. – My, ludzie. Dysponujemy świadomością, której brakuje Szerni, ale w zamian nie mamy mocy sprawczych. Czasem jednak jakaś część Szerni, taka choćby jak Rongolo Rongola Kraf, bóg-dawca Rozumu, zostaje obdarzona świadomością. Ale bywa też, że ludzie coś sprawiają. Zbyt wiele istot rozumnych zna legendę o Trzech Siostrach, Hayno, by nic z tego nie wynikało. Wymarzona i wytęskniona Rollayna kilkakrotnie już była wręcz stwarzana, sprowadzana do Szereru przez rycerzy Dobrego

Znaku, nikt jednak nie umiał skierować jej na drogę do tronu. Aż wreszcie ktoś skierował. Twoja pani została wyrwana z Pasm Szerni za sprawą potężnego marzenia o powrocie królowej. Książę K.B.I.Lewin, *vanadey*, rycerz królowej, ostatni z prostej linii rodu wspierającego mityczną Rollaynę, wiedział, że jest ostatnim. Znalazł w sobie dość woli i siły, pragnął czegoś tak gorąco, jak nikt przed nim. I odnalazł dziewczynę, której rysy pokrywały się z wizerunkiem twarzy na starej relikwii-portrecie. To nie była Rollayna, ale książę Lewin zmusił ją, by zajęła jej miejsce. Ta dziewczyna... teraz już kobieta, ma na imię Ezena. Nie Rollayna.

– Jest tak silna, jak tamta kiedyś?

– Nie rozśmieszaj mnie, Hayno – rzekł z prawdziwym politowaniem. – Jest władczynią, która być może już za dziesięć lat będzie rządzić całym Szererem. Mityczna królowa Rollayna, która raptem zjednoczyła pod swym berłem Dartan (niecały zresztą, niecały...) mogłaby dzisiaj sznurować Ezenie suknie, czesać i zaplatać w warkocz włosy. W świetle tego, powiedz, czemu miałyby służyć bajki opowiadane jej najbliższym powiernicom i przyjaciółkom? Czy nie mogły zaszkodzić wam wszystkim? Królowa uznała, że tak. Że chce mieć swoją Haynę i swoją Anesę, nie jakąś tam Seilę, patrzącą na Delarę, która to Delara przed wiekami oszalała pod wpływem trującej mocy Geerkoto, aktywnego Porzuconego Przedmiotu. A teraz, może, czuje się z tego powodu gorsza, winna, podejrzana...

Gotah zmęczył się i zamilkł. Zamyślona Hayna też milczała.

– To wszystko są przypuszczenia, Czarna Perło – dodał Przyjęty. – Zarys pewnej historii, ramy, w których wszystko... chyba, a nawet na pewno, wygląda trochę inaczej. Pokazałem ci zaledwie szkic pewnych zdarzeń, ale nie mam żadnych dowodów na poparcie swoich słów, bo, jak już wspomniałem, matematyka okazała się tutaj bezradna. Policzyć można relacje między Ferenem a Odrzuconymi Pasmami, nikt jednak nie przedstawi obliczeń uwzględniających stan i potencjał tych sił po zyskaniu przez nie świadomości. Układaj więc tę historię po swojemu, ale pamiętaj o mądrych słowach królowej, które mi przytoczyłaś: z tego wszystkiego wiele wynika dla Szerni, ale dla was nic.

– Jak to nic? Omal nie zabiłam...

– Bo bezmyślne Pasma traktują was... serio. Dla siebie jesteście Ezeną, Anesą i Hayną, ale dla Pasm kamień to kamień; człowiek to człowiek, a symbol Ferenu – no to symbol Ferenu. Obojętne, jak niewyraźny. Wplątano was, można rzec, że omyłkowo, w pewne sprawy, które was właściwie nie dotyczą. Ktoś wymyślił siostry królowej tak, jak samą królową, jesteście odbiciem, dalekim echem pewnego mitu, tylko tyle. Nosisz pożyczoną suknię. Ktoś głupi i niedowidzący, kto zna tę suknię, nie zobaczył niczego więcej, nawet tego, że ktoś ją nosi, więc usiłował upchnąć szatę do skrzyni, powiesić na oparciu krzesła... wiem, jak absurdalnie i śmiesznie to brzmi, niemniej – oto jest historia Hayny i Ridarety, Delary i Rubinu Córki Błyskawic, Ferenu i Odrzuconych Pasm. Bądźże mądrzejsza od Szerni. Przecież ona jest bezmyślna i martwa. Jak

skąła.

– Czy suknia może pamiętać, co robiono z nią kiedyś?

– A pamięta? Przed chwilą przecież pytałem: co właściwie pamiętasz o Delarze, Hayno? Rzeczywiście przypomniałaś sobie, kim była i co czuła Delara, czy też raczej uraczono cię tą wiedzą, wepchnięto do głowy wiadomości, których tam wcześniej nie było?... Wprawdzie od tych bzdur gotów zatrząść się świat, bo Prawa Całości są martwe; Pasma Szerni – bezmyślne; Rubin Córki Błyskawic – bezwładny jak głaz na stoku wzgórza, dość go popchnąć... Ale jednak, to są tylko bzdury, co rozstrzygnęłaś raz na zawsze i udowodniłaś swoim poświęceniem, żelazną wolą... Jesteś Hayną, wierną wojowniczką królowej, a przede wszystkim rozumną istotą, która może sponiewierać wszystkie moce Szerni razem wzięte, bo to ty nimi poniewierałaś, wcale nie one tobą.

– Poniewierałam... – rzekła gorzko.

– Przecież rozumiesz, co mam na myśli, Perło – przywołał ją do porządku. – Kto wygrał? Mały człowiek, jeden z milionów, czy symbol dwóch potężnych Pasm? Ślepa siła, choćby i największa, zawsze będzie słabsza od rozumu i stojącej za nim woli. Udowodniłaś to, Hayno – zakończył. – Myślę, że powiedziałem dziś wszystko, co obiecała wytłumaczyć ci królowa. Kiedyś tak samo przemawiałem do niej. Mądrej, silnej, ale jeszcze trochę zagubionej pani Dobrego Znaku.

– Nie jestem głupia, wasza godność, i wiesz, że nie jestem – powiedziała po namyśle. – Ale jednak potrzebuję czasu, by poradzić sobie z tym, co powiedziałeś. Poukładać.

– Dobrze to rozumiem.

– Więc opowiedz mi teraz, co spotkało ciebie.

Gotah opowiedział. I dodał spostrzeżenia poczynione na podstawie opowieści rozmówczyni, dotyczące księżniczki Ridarety i jej przybranego ojca. Niemądrego planu, w którego istnienie uwierzył, podobnie jak w to, że agarski książę stawiał się w Rollaynie, by zapobiec tragedii. Katastrofie.

– To są sprawy bardzo doniosłe, może dla całego świata – powiedziała, gdy skończył. – Ale teraz przebacz mi, że... jak zwykła, skrzywdzona dziewczyna... a niechby nawet wojowniczka, która została pokonana w walce... zapytam o inne sprawy. Błahe, chyba błahe. Byłam dręczona przez tępą siłę, którą próbowała poskromić inna wojowniczka, trochę taka jak ja? Coś musiało dostać moją śmierć, albo ból i upodlenie... i dlatego było to wszystko?

– Nie wiem, Hayno. Nie potrafię odpowiedzieć, gdzie kończy się piratka Ridareta, a zaczyna Rubin Riolata. Wierzę... chyba wierzę w szczerść jej zamiarów. Ale w dobro, które skrywa w duszy? Raczej nie. Trudno mi zgodzić się z Kesą, która twierdzi, że to jest dobra dziewczyna, a tylko wypalona w walce toczony od kilkunastu lat, popełniająca zbrodnie w celu zapobieżenia większym.

– Dlaczego nie?

– Bo myślę, że wszystkie intencje, zamiary, pokusy i odruchy... szlachetne porywy, odrażające zachcianki i wstydlive potrzeby dawno już stopiły się tam w jedno. Może pozostała tylko szczerza nienawiść do siły, która jest zarazem przeklęta i błogosławiona. Zapytaj, czy Ridareta mogła kierować się chęcią „zrobienia na przekór” Rubinowi, a odpowiem: tak, na pewno tak. Ale jeśli pytasz, czy dręczyła cię dlatego, że musiała, czy też po prostu sprawiło jej to przyjemność – nie odpowiem. Najprędzej było jedno i drugie. To już od dawna nie jest człowiek, Hayno. Nie kieruje się uczuciami, które znamy i umiemy nazwać. Czasem te uczucia są podobne do naszych, ale chyba tylko pozornie, bo z czego się biorą, jak nawzajem na siebie wpływają, jakimi chodzą drogami... Nie podejmuję się mówić o tym. Byłoby to zgadywanie.

– Ktoś ją... kocha. Bardzo odważny mężczyzna, który uratował ci życie. Czy ona też go kocha? Swojego opiekuna, prawie ojca?

Uniósł ręce w bezradnym geście.

– Nie umiem o tym rozmawiać. Co znaczy u niej słowo „kochać”? Bez żadnych oporów opowiadała Kesie, jak morduje własne dzieci, zupełnie tak, jakby sprzątała spod siebie nieczystości... Tak, one wszystkie mają w sobie czystą moc Rubinu, trudno powiedzieć, że w ogóle żyją. Ale nosi je pod sercem, czuje pierwsze poruszenia, rodzi w bólach jak każda kobieta... I pomaga je rozrywać na strzępy, które szybko zostaną zjedzone przez ryby. Widzi w nich tylko „rubinki”, może nawet i słusznie, ale jednak jest ich matką, a z wyglądu to są zwykłe noworodki, nie różniące się od zwyczajnych dzieci. Jeśli najpotężniejszy z kobiecych instynktów mógł ulec takiemu wypaczeniu, to co z innymi instynktami? Uczuciami? Boję się tego dotykać, bo przerasta mnie, Hayno. Nie wiem, co czuje księżniczka Ridareta. Chyba potrafi być lojalna, wesoła, mieć przyjaciół, szanować kogoś za coś... Ale jakie tym rządzą reguły? Raz jeszcze powtórzę: nie wiem.

– Czy Kesa uważa tak samo?

– Właśnie nie. Nie rozumiem także Kesy – przyznał Gotah.

– Może ja spróbuję ją zrozumieć – powiedziała z namysłem.

– Ty? Dlaczego właśnie ty, która...

Nie dokończył.

– Bo widziałam to coś z bliska – rzekła nieoczekiwanie dobitnie, niemal szorstko. – Nie wiesz, o czym mówisz, wasza godność. Jeśli to COŚ zamieszkało w normalnej dziewczynie i siedzi tam od kilkunastu lat... Na wszystkie Pasma Szerni, wasza godność! Ty w ogóle nie wiesz, o czym mówisz! Wystarczyło mi kilka dni, bym była prawie gotowa zabić najdroższe mi osoby na świecie!... Nie wiem, czym księżniczka Ridareta karmi i obłaskawia to coś. Ale jeśli na co dzień potrafi być zwykłą piratką, a do tego jeszcze kogoś kocha... bywa lojalna, jak mówisz, uczciwa wobec kogoś... W ogóle nie mogę sobie tego wyobrazić. Jesteśmy niczym wobec tej

dziewczyny, nikim! Niczym! Jeśli to wszystko prawda, wasza godność... Jadę do Kesy – powiedziała, dotykając skroni – i natychmiast wracam, bo muszę być przy królowej. Mam blizny na twarzy... Jakie blizny Ridareta ma w duszy? – pytała chaotycznie. – Trzeba ją zabić lub jej pomóc. Ale zostawić tego tak po prostu nie można. Myśl, mędrze Szerni! – powiedziała, i to był niemal rozkaz. – Jedziesz do królowej. Nie udało ci się zabić księżniczki Ridarety, więc wymyśl, jak można ją wesprzeć. Jaki nowy łańcuch można dać do ręki, żeby mocniej mogła spętać to... ohydztwo.

Gotah nie odpowiedział.

Podobieństwo do Delary, które Rubin zdołał odnaleźć w Haynie, czyniło ją bardzo podatną na jego wpływ. A znów księżniczka Ridareta na pewno nigdy nie miała do czynienia z aż tak wielkim naciskiem. Hayna była niczym ściana, w którą właśnie trafił wystrzelony z katapulty głaz; omal nie pękła od uderzenia i wyobrażała sobie, że Piękna Ridi od lat wytrzymywała takie właśnie ciosy. Oczywiście nie. Ale z drugiej strony... Z drugiej strony, Czarna Perła królowej była już drugą mądrą kobietą, która mówiła mu to samo. Nie wątpił, że znajdą z Kesą wspólny język. Czy to o czymś świadczyło? Niekoniecznie.

Niemniej, łańcucha, o którym mówiła Hayna, mógł poszukać. Trudno było nazwać ten pomysł niedorzecznym. Perła zaproponowała trzecie rozwiązanie, jeśli za pierwsze uznać zgładzenie Ridarety, a za drugie zawierzenie jej i pozostawienie samej sobie. Trzecie rozwiązanie, może najlepsze... Mniej niż pewność, ale więcej niż goła wiara.

Powątpiewał jednak, czy coś znajdzie.

– Zrobię, jak mówisz, Perło. Przede wszystkim przedstawię rzecz królowej. Zna opinię moją i Kesy, powinna też poznać twoją. Może najważniejszą, a na pewno najbardziej wielkoduszną, jeśli wziąć pod uwagę, co cię spotkało z rąk Ridi.

Odruchowo chciała go powstrzymać, on jednak nie sięgał do jedwabnej zasłonki; zamiast tego delikatnie odgarnął kasztanowe włosy z czoła i otwartą dłonią przykrył jej skroń. Przytuliła się do tej dłoni.

CZEŚĆ DRUGA

Symbol niczego

8.

Latem zbyt wcześnie robiło się widno, by urządzić o świcie pobudkę – Kitar jednak sobie urządził. Minionego dnia odbył poważną rozmowę. Lubił działać szybko, ale to nie znaczyło, że pochopnie i głupio, więc po prostu zastanowił się, podumał, poszedł wcześniej spać – i obudził się też wcześniej niż zwykle. Wziął paru chłopaków, zlął do łodzi i popłynęli na „Trupa”.

Kotwiczyli u dartańskich brzegów, kilka mil od Nin Aye. Dartan – to nie były Wyspy Barrierowe ani Garra; piracki okręt mógłby tu wejść do portu, ale na pewno już by z niego nie wyszedł... Co innego na morzu. Za czasów Wiecznego Cesarstwa straż morską – chociaż kiepską – pomyślałaby może o splątaniu figla piratom, ale teraz... Po Morzu Zamkniętym tłukły się sławetne dartańskie galery, przestarzałe, wołowate, ale jednak potężne; pozostałych brzegów pilnowało... nie wiadomo co. Taki Raladan, gdyby zechciał wziąć swoje eskadry, bez trudu puściłby na dno całą wojenną flotę Dartanu – i nie dzięki liczbie dział na kasztelach oraz w kadłubach nowych karak. Zrobiłby to samo, nawet nie wystrzeliwszy. Po prostu, na mocy traktatu pokojowego, całą flotę Dartańskiej Straży Morskiej przejęło Wieczne Cesarstwo (oprócz galer; Armekt tego nie chciał – bardzo słusznie, bo utrzymanie kosztowało fortunę), a bogata królowa Ezena nawet nie bardzo mogła sobie kupić żaglowce. Zbyt wiele działało się ostatnio na morzach Szereru, zbyt wiele łajb poszło na dno, by ktokolwiek narzekał na nadmiar statków i koniecznie pragnął je sprzedać. Okręty można było najwyżej zamówić i zbudować, ale to trochę trwało... Złoty Dartan miał więc kilka nowych holców oraz kilkanaście przerażających pływających trupów – nabytych za cenę drewna opałowego i właśnie tyle wartych morskich widm, które nie śmiały odejść od wybrzeża, bo przecież na pełnym morzu mógłby przemknąć nad nimi albatros, zrobić kupę (jak powiedziałyby Brorrok) i już nieszczęście gotowe.

Żarty żartami... Dość, że „Zgniły Trup” i „Kołysanka”, spokojnie kotwiczące pół mili od gęsto zaludnionego wybrzeża, nie miały się czego obawiać. Choć na lądzie na pewno trzymano wcale piękny oddział Królewskiej Straży Krajowej, którego dowódca uprzejmiem kazałby wracać przybyszom na morze, gdyby nagle przyszła im chętka pospacerować na brzegu.

Kiwało bardzo leniwie, prawie wcale. Z pokładu „Trupa” właśnie sikał do wody marynarz – a było na co popatrzeć, bo leniuch nie pofatygował się zanadto, stał jakieś pięć kroków od nadburcia i olbrzymim łukiem łał dziesięć kroków za nie. Jeśli miał fajfusa na miarę tego wyczynu, to... Kitar mocno postanowił sobie, że już nigdy nikomu nie pokaże swojego. Wspiął się na pokład holka i odetchnął: źródło mocy marynarskiej sikawy kryło się jednak gdzieś wewnątrz. Z szacunkiem i uznaniem rzuciwszy marynarzowi wydłubaną z sakiewki przy pasie monetę, kapitan „Kołysanki” zostawił uradowanego, dumnego z siebie dryblasa na pokładzie i podążył do drzwi kajuty pod kasztelem. Otworzył je, wpuszczając światło słonecznego ranka,

przede wszystkim zaś świeże powietrze, które było tu bardzo potrzebne – Kitar nie miał pojęcia, jak mieszkańcy kajuty dostają się do środka, ale okien i drzwi nie otwierali nigdy, to pewne. Pierwszą rzeczą, jaką zauważył, był solidny, goły, okrągły, naprawdę miły dla oka, podbity od spodu futrem tyłek Pięknej Ridi, śpiącej trochę wzdłuż, a trochę w poprzek na Szczęściarzu Mevevie Cichym. Na wyrku pod drugą ścianą otworzył oczy Sayl – i zacisnął powieki z powrotem, bo okłamał swoją kapitanę, dowódcę „Kołysanki” o tym wiedział, więc bezpieczniej było udawać śpiącego, a najlepiej nieżywego, na wypadek gdyby Kitar się wygadał.

Gość okrążył stół i klepnął wystawione siedzenie. Wskórał bardzo niewiele; rozejrzał się po kajucie, pokiwał głową nad śladami po wieczornym ochlaju. Wróciwszy spojrzeniem do wyrka, dostrzegł, że Ridi wprawdzie się przeciąga, prostując ramiona za plecami, ale głowy bynajmniej nie podnosi. Zaraz zresztą leniwie, ruchami faktycznie foczymi (zdjął go lęk, że to stąd jej przydomek...), popęzła po Mevevie, układając się trochę wyżej, bardziej równo i mrucząc:

– Mhm... Jeszcze raz, mhm...

Mevev odmamrotał nie wiadomo co.

– Nie, wasza książęca wysokość – stanowczo powiedział Kitar. – Ani raz, ani nawet troszeczkę. Wstawaj, Piękna Ridi, mam sprawę.

Obudziła się całkiem, obejrzała i uniosła na rękach. Wyraźnie już rysował się jej brzusek; był gdzieś tak w połowie drogi. Stała na czworakach, ziewnęła i wygięła grzbiet, przeciągając się raz jeszcze. Potem znowu nic nie robiła; być może zasypiała z powrotem, bo zaczęła jej opadać głowa. Za to Mevev obudził się dość szybko. Też się przeciągnął, zdrowo, aż chrupnęło. Pierdnął. Przez otwarte drzwi popatrzył na niziutko zawieszony słońce.

– Co ty, spać nie możesz?... Gdzie cię nosi po nocy? – spytał Armeaktańczyka i odkaslnął, wyzbywając się porannej chrypki.

Cycki klęczącej na czworakach Ridi opierały mu się na piersi.

– A może byś tak przestał, braciszku, miętosić moją kobietę? Co? – zapytał Kitar.

– Jaką twoją kobietę? – groźnie zapytała Ślepa Ridi, unosząc głowę, klęcząc normalnie i odgarniając włosy. Poprawiła opaskę na oku. – Jaką twoją kobietę?

– On ma rację, kapitana – pojednawczo choć półgębkiem rzekł Cichy, przymierzając się do ziewania. – Ja nie muszę z tobą. A ty ze mną.

– C... że co? Że nie musisz?...

– Umówiliśmy się, Rido – rzekł Kitar.

– Co do czego się umówiliśmy? Że ty będziesz tam, a ja tu? Jak mam siedzieć? W beczie i ze złączonymi nogami? Czy wystarczy, jak zaszyjesz mi dziurę?

Sayl spał, albo nie żył. Mevev oparł się plecami o ścianę, drapał zarośnięty tors, ziewał i miał wszystko w dupie. Albo gdzieś.

– Chcesz się teraz klócić, siostrzyczko?

– To nie ja zaczęłam, tylko ty! „Jego kobieta”, tralala...

Wstała, wzięła dzbanek ze stołu i zaczęła łapczywie pić. Kitar mógł mieć tylko nadzieję, że w dzbanku jest woda.

A gdzie tam. Po brodzie ciekły jej dwie czerwone strużki; spłynęły na szyję i niżej.

– No jak, już? Przeszło ci? – zapytał. – Nie upijaj mi się teraz, bo nie mam czasu na fumy.

Oj, nie umiał on rozmawiać z kobietami... Zawsze lgnęły do niego; to nie była dobra zaprawa przed żeniaczką. Ledwie się uchylił przed dzbankiem, który z jękiem zgniecionej cyny wyrznął w ścianę, bryzgając ostatnimi kroplami szlachetnego trunku.

– Fumy?! Ja fumy?! Wpadasz tutaj z mordą od rana, wrzeszczysz na mnie na moim własnym okręcie!... Wiesz co? Ja idę spać; ty jak chcesz! Posuń się! – wrzasnęła na Meveva.

Kitar nie miał pojęcia, o co ten cały hałas. Co ją ugryzło?... Ale i jego zaczął trafiać szlag.

– Wyłaż, Rido, z tego barłogu. Jadę do Raladana, chcę ustalić jeszcze parę spraw...

Urwał. Ridi, rozdzieliwszy poślinionym pazurem owe mięsiste i wydatne cuda, o których aż krążyły kubrykowe legendy, gramoliła się na Cichego, ten zaś nie bardzo wiedział, co z nią zrobić. Kitar poczuł nie tyle złość, co nagle a szczerze współczucie dla pierwszego oficera „Trupa”.

– Odlep ją od siebie, braciszku – powiedział, z całej siły dokładając starań, by prośba nie wypadła jak pogrożka, bo naprawdę już wcale nie chciał grozić Cichemu; a cóż on tu był winien, bidulek?

– Kapitana, on ma rację... Odlep się – rzekł Mevev. – No, odlep... ej! ej! Jedzie do Raladana, nie słyszysz?... Ypff. Umówcie się jakoś albo ten.

Gadaj zdrów. Foka żuła mu ucho. Chwilę później przyciskała go do ściany w taki sposób, że dusił się między mokrymi od wina piersiami.

– Zaczekam parę chwil na pokładzie. Jeśli uda ci się uciec, to przyjdź – powiedział do Cichego dowódca „Kołysanki”. – Z tobą lepiej się dogadam niż z nią. Ja na twoim miejscu bym wiał – dorzucił mściwie, wychodząc, bo też musiał sobie ulżyć. Chociaż trochę.

Stanął oparty o nadburcie. Kiwnął na swoich marynarzy, nudzących się w szalupie przy wiosłach, że jeszcze trochę to potrwa; potem czekał, z namysłem drapiąc się po podbródku, w miejscu gdzie ukąsił go w nocy jakiś komar albo inne ścierwo. Pod kasztelem trwała awantura.

– Jak wyjdiesz, to nie masz po co wracać! Wyjdź, no już! Tylko wyjdź!

– Co ty, kapitana? Naprawdę cię porąbało?

– No wychodź! Wychodzisz czy wracasz?

– Ale... Głupia jesteś czy co?! Nie... nie szarp mnie, bo...

Łomot, hałas; coś spadało ze stołu.

– Bo co?! No wyjdź; tylko spróbuj wyjść! O żesz ty... Wracaj! Ale już, bo... Wra... skur...!

Teraz chyba grzmotnął cały stół. Może jednak coś innego; stół na pewno był przybity do

podłogi.

– Zatu... yyh! Ja cię za to zatłukę! Co ty sobie...

Cichy wylazł na pokład. Skacząc na jednej nodze, próbował wciągnąć portki. Wyłoniła się z otwartych drzwi kajuty i wpadła nań całym ciężarem. Kitar gapił się z niedowierzaniem, ale poza tym zupełnie spokojnie. Powalony na pokład, zaplątany w portki oficer był tłuczony dzbankiem po rękach, którymi osłaniał łeb. Nie do końca osłonił; rozległ się taki dźwięk, jakby – tak przynajmniej pomyślał Kitar – cyna zderzyła się z czymś pustym. Z wrzasków Ridi niezbitnie wynikało, że jej zastępcą na „Trupie” jest już ktoś inny; ktokolwiek, bo na pewno nie zabity dzbankiem Mevev.

Z zakamarków okrętu zaczynała wylazić załoga. Rechetliwie, porannie, przyjaźnie i pogodnie dzielono się uwagami, zbierano w grupki. Kiwano głowami i pogadywano. Cynowy dzbanek nie skupiał nawet połowy tej uwagi, co dwa inne, przyczepione do Ridi na stałe. Rzeczywiście skakały jak boje na ostrej fali... Ridi miała w załodze poetę. Kitar popatrzył z uznaniem na tego od „dwóch bojek”, lecz poza tym miał naprawdę dosyć. Wiele, wiele spraw powinien gruntownie przemyśleć od początku – już to widział. Bardzo wyraźnie.

Mógł przemyśleć je w drodze do Rollayny. Sayl umarł; Mevev umierał; Ślepa Ridi grała w trzy dzbanki. Nie było z kim porozmawiać.

Przelazł przez nadburcie, zsunął się do łodzi i powiedział:

– Z powrotem na „Kołysankę”.

Gdy wrócili, z uczuciem poklepał kolumnę grotmasztu, tak mu się spodobał własny okręt. Wydał pierwsze rozkazy, bo nie było na co czekać. Powędrował na swoje ulubione miejsce pod fokmasztem; na smukłym kadłubie „Kołysanki” nie nadbudowano kaszteli, widział więc cały okręt i morze dokoła. Łomocząc piętami, chłopcy już pędzili do żagli. Dzwonił łańcuch w kluzie; opowiedział się ster. Okręt aż skrzypiał z radości, że dobiegła końca gnuśna nuda; że leciutki wiatr zaraz delikatnie pogłaszcze żagle, a woda wyżej obmyje rozpaloną w słońcu dziobnicę i ochłodzi ją. Ożywał takielunek, głośniej grały wanty i sztagi, trzeszczały brasowane reje, trzymające fason dzięki mocnym topenantom. Kitar szczerze kochał ów moment, gdy pod jego nogami budziło się wspaniałe morskie zwierzę, gotowe ponieść go przez wszystkie morza Szereru, uratować przed najszybszym wrogiem lub dać słodycz doścignięcia każdego uciekiniera.

Pierwszy oficer już od wczoraj wiedział dokąd płyną, więc zapytał tylko spojrzeniem, czy rozkazy pozostają w mocy; dowódca odpowiedział skinieniem. Wyciągnąwszy ze swego gwizdka dwa nierównej długości tony („komenda u pierwszego!”), przekazał zastępcy prowadzenie okrętu i teraz mógł już tylko patrzeć, cieszyć się, podziwiać żaglowiec, morze, młodzieńki letni dzień i swoich wypoczętych, pełnych zapału chłopaków. Bywały chwile, gdy czuł życie całą pierśią i cieszył się nim jak głupi.

Wiatr był kiepski; musieli lawirować. Poszli prawym halsem. Zbliżali się do „Zginiętego

Trupa”, wkrótce mieli go minąć. Wypadałoby puknąć z działa na pożegnanie, ale jakoś nie miał ochoty. Coś tam się zdarzyło, na okręcie Ridi... Nim się dopatrzył, o co chodzi, ktoś wyskoczył do morza, rozcinając gładką lazurową toń.

Kitar wściekł się.

– Człowiek za burzą! Hee-ej! Człoo-wieek!

Majtek na oku darł się, bo miał taki obowiązek, ale Kitar mógłby teraz przyłożyć mu w pysk. Ponownie uniósł swój gwizdek, odebrał komendę pierwszemu i kazał refować dopiero co postawione żagle. Odgwizdał komendę na ster. Posmutniały okręt zamierał. Wkrótce kotwica poszła w dół.

Co jak co, ale pływać to ta dziewczyna umiała. Ciężką wodę ramionami równiutko, gładko, w tempie, któremu nie sprostałby żaden z jego pływaków. Radziła sobie... jak fok. Więc może to jednak stąd? Jej przydomek? Jeśli stąd, to dałoby się przeżyć... Oparty łokciami o nadburcie, poczekał, aż podpłynęła do burty. Skupiona na „Trupie” banda radowała się i wiwatowała.

– Nie podejmiesz mnie z wody, kapitanie? – zapytała z lekką zadyszka, wyraźnie uszczęśliwiona.

Popatrzył na szeroko rozpostarte na powierzchni wody włosy, które niczym jakieś gęste wodorosty rozpląnęły się wokół niej; podumał też nad dwiema najprawdziwszymi bojami – albo raczej kulistymi pływakami – dzięki którym Piękna Ridi bez wysiłku unosiła się na wodzie. Przy takiej wyporności było chyba niepodobieństwem wepchnięcie jej pod powierzchnię – na co akurat naprawdę miał ochotę. Nie wyznawał równie surowych zasad co Brorrok, jednak widowisko na pokładzie „Kołysanki” nie za bardzo go radowało. Ale, niby, co powinien zrobić?... Trzymać ją w wodzie czy z powagą rozkazać załodze: „Zamknąć oczy! Baba kapitana na pokładzie! Fiiii-juuu-fit!” – nowy sygnał z gwizdka, jeszcze jeden do zapamiętania. Nie był błaznem.

Ale za to narzeczonym Pięknej Ridi. Co właściwie na jedno wychodziło.

Pokazał, żeby rzucić jej linę.

Bardzo zadowolona, wdrapała się na pokład i ociekając wodą, dała się pooglądać. Pociemniałe włosy gładko oblepiły jej głowę, przylgnęły do szyi i pleców – mimo ciężki wydawała się szczuplejsza i wyższa niż zwykle. Wziął narzeczoną za łokieć i nie przerywając milczenia, zaprowadził do nadbudówki. Pomachała do marynarzy.

– Gniewasz się na mnie? – zapytała.

Zamknął drzwi i rzucił jej okrycie. Wciąż była zadowolona; okno nie wpuszczało wiele światła, ale jednak dość, by to stwierdzić.

Trzasnęła ją w policzek. Nie za mocno, po prostu karcąco. Od razu przestała się cieszyć.

Powoli uniosła dłoń do twarzy.

– Posłuchaj, jeszcze raz mnie uderzysz... Wymyśliłeś sobie zabawę?

– Puścisz swoje ognie, Piękna Ridi? – zapytał, zupełnie jak kiedyś, gdy kłócili się po raz pierwszy. – No to już.

– Nie puszczę, bo już nie umiem, a ty wiesz, że nie umiem.

– Więc co zrobisz?

– Nigdy już do ciebie nie przyłynę – powiedziała bardzo poważnie. – Ja... nie za każdym tak lecę. Jak głupia.

– Nie chcę cię bić.

– No to nie bij. W każdym razie, nie bez powodu.

– Co wyprawiasz? Najpierw na „Trupie”, teraz tutaj.

– Na „Trupie” obudziłeś mnie, wydarłeś głowę, byłam zła. Jestem w ciąży i mam humory. Zawsze jestem w ciąży i zawsze mam humory. Taką chciałeś i taką będziesz miał. A jak nie, to powiedz, że nie.

– Rido... – zaczął i urwał. Zaczekał przez zęby, z namysłem. – Albo nie, spróbujmy z drugiej strony. Rób, co chcesz, siostrzyczko. Może być? Rządź na swoim okręcie. Śpij z Cichym, a i z Głuchym czy innym, jeśli nie umiesz wytrzymać; przecież cię nie upilnuję, zresztą nie chcę. Każdy wie, co robi żona albo mąż, kiedy to drugie jest daleko – dodał bardzo po armektańsku. – Ożenię się z tobą. I co? Przejdziesz na „Kołysankę”, pod moją komendę? Chyba nie. Ja pod twoją komendę też nie przejdę. Ale gdy złożymy eskadrę, dowodzić będę ja. Bo odróżniam południowy wschód od zachodu.

– No i jeśli nawet, to...

– To wtedy, do stu kurew, jak powiedziała by umarlak Brorrok...

(Ślepa Ridi, pływająca na okręcie, który nosił nazwę „Zgniły Trup”, odpukała Brorroka w blat stołu).

– ...okazywać mi będziesz szacunek. Bo szacunek dowódcy, a do tego mężowi, się należy. Powiesz swoim konikom morskim: „Tam jest mój mąż i nie będę się teraz z wami kitłasić. On nie jest głupi i wie, co robię, ale jak mnie odwiedzi i zobaczy wymiętoszoną, to mi spuści łomot za bezczelność. I będę chodziła z siną głową”. Tak powiesz. Jeśli zaś ten mąż mimo wszystko przyłapie cię na puszczałstwie, to powiesz: „Przepraszam, Kitarze”.

Milczała.

– Umówiliśmy się? – zapytał.

– Nie. To znaczy: nie wiem.

– A dlaczego?

– Bo jeszcze nie jesteś moim mężem – powiedziała, nadąsana.

– Wszyscy wiedzą, że narzeczoną. Któreś z nas dwojga nie utrzymało języka za zębami, bo Raladan na pewno utrzymał; to taki gaduła, jak twój Cichy.

– Ty nie utrzymałeś.

– Czasem się upijam. Może ja. Pewnie się chciałem pochwalić.

– Hm?...

– Co „hm”?

– Chwalisz się? Że jesteś moim...?

– Chwałę. Nie wstydzę się, tylko chwałę. Że będę twoim mężem, a na razie... narzeczony to też ważny ktoś. Dogadaliśmy się, Rido?

– No dobrze – powiedziała z ociąganiem.

Chwalił się, że jest jej narzeczonym.

– Jeśli tak, to słucham. Zaczynaj zaraz.

Nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Co mam zacząć? Coś powiedzieć?...

– Właśnie.

Myślała, aż zrozumiała. Popatrzyła na podłogę i przełknęła ślinę.

– Dobrze. Przepraszam, Kitarze...

– Nie ma sprawy, Piękna Ridi. Świetnie pływasz, nie wiedziałem. A co do reszty, może to i nieźle, że moi chłopcy zobaczyli, co właściwie biorę. Niech docenią gust kapitana.

Ucieszyła się.

– No! Tylko...

Uniósł dłonie.

– Tylko. I zupełnie wystarczy. Nie wysiądę na brzeg tutaj, bo zbyt długo kotwiczymy – zmienił temat – i tam na pewno już się roi od królewskich. Nawet Dartańczycy nie są ślepi i widzą, jakie żaglowce urządziły sobie tu kotwiczowisko. Wezmę paru chłopców, zejść na ląd dalej, znajdę jakieś konie, szybciotko będę w Rollaynie. Wolałbym morzem, ale przy tym wietrze, zanim opłynę Mały Dartan... I tak trzeba lądem. Przyzwyczaję się z powrotem do siodła, już chyba całe lata w nim nie siedziałem.

– Dlaczego właściwie Raladan potrzebuje ciebie, a nie mnie?

– Sayl ci nie powiedział? Bo zapomniał, tuman – skwitował Armektańczyk. – Zapytaj go, to ci powie.

Uzgodnili już z Saylem, co ma mówić.

– Raladan może potrzebować cię na morzu – zełgał, nawet nie mrugnawszy okiem. – Masz kotwiczyc tam, gdzie go wysadziłaś. Nie wiem, o co mu chodzi, ale Raladan ma rozum i jak mówi „Płyn!” – no to płyn. Pilnuj mojej „Kołysanki”, bo eskadra przejdzie pod twoją komendę – przykazał.

– Pewnie, że przypilnuję.

Trochę się tego bał.

– To właściwie wszystko.

– Mhm. Zabierz Sayla.

– Bo ja wiem?... – zastanowił się. – A właściwie, może i tak.

Półżywy ze strachu drugi zastępca Ridi mógł nie sprostać ciężarowi tajemnicy i wyklepać wszystko – rozsądniej było go zabrać, zwłaszcza jeśli sama to proponowała. Skurczybyk znał zresztą armektański, garyjski i dartański... Do tego był pisaty i czytaty. W jaki sposób mogła mu zaszkodzić obecność takiego pomocnika?

A tak swoją drogą: co ona im robiła oprócz tego, że tłukła dzbankiem?... Przecież ten cały Sayl niemal popuszczał w portki, gdy tylko sobie przypominał, że okłamał swoją kapitanę. Kitar postanowił zgłębić sekret. Jakoś delikatnie zapytać, czy Rida – dajmy na to – ma obyczaj trzebienia kłamców, kiedy smacznie śpią?... Wiedza o jej systemie kar i nagród mogła być wiedzą cenną.

– Przyda ci się? – zapytała zadowolona, że wpadła na dobry pomysł.

– Sayl? Pewnie, że tak.

Załatwił sprawę szybciej i łatwiej, niż myślał. Może cała ta poranna awantura w gruncie rzeczy mu się przysłużyła?...

– Co to?

No i tak to było z prezentami-niespodziankami... Kupił jeszcze w Talancie. Powiesił na gwoździu. Zapomniał.

– Kupiłem dla ciebie, powinny być dobre.

Zostawiła swoje okrycie i zdjęła, zawieszona za rzemienie na gwoździu, karkołomne obuwie, które w zabitej dechami Talancie kosztowało chyba więcej niż w Dartanie. Koturny z lekkiego drewna unosiły pięty na jakies niebotyczne wyżyny, a palce opierały się nisko. Poza koturnami nie było prawie nic, tylko paseczki przytrzymujące stopę i rzemienie do wiązania na łydce.

Zaczął się tłumaczyć jak chłopiec. Jak prawie każdy mężczyzna przyłapany z prezentem w rękę.

– Biegasz boso, ale... masz też piękne suknie... Pomyślałem, że czasem... Może głupio.

Zawiązała wszystko nim się obejrzał. To nie mieściło się w głowie: miała nogi długości grotmasztu. I na dodatek coś jeszcze zrobiło się z całą sylwetką: napięły się mięśnie ud, wysunęły do przodu biodra... Nawet rosnący brzusek nie przeszkadzał, bo jakoś niemal wsiąkł w całą resztę.

– Może jeśli... nauczysz się w tym chodzić... – brnął, po czym urwał, bo zrobiła kilka kroków w tył, chyba odruchowo rozglądając się za lustrem.

Nie połamała nóg. Parsknęła śmiechem.

– Że co?...

Przeplotła krok w lewo, potem znowu w tył, zeszła na kawałek odsłoniętej podłogi i niemal mimochodem zatańczyła w miejscu *nabaidę*, nucąc melodię, na zmianę kręcąc biodrami oraz

wystukując na deskach rytm. Przypomniął sobie, że ta dziewczyna wychowała się w domu, do którego podsetnika straży morskiej raczej by nie wpuszczono, chyba że byłby na służbie... Właściwie nawet pamiętał, gdzie się wychowała; zapomniał tylko, co to znaczy. Świetne suknie, obuwie na takich koturnach, taniec (co prawda, raczej nie *nabaida*)... Czego ona mogła się nauczyć?

– Lubię suknie – powiedziała. – Naprawdę lubię, tylko że... A, co tam. Tutaj, u ciebie, zawsze będę chodziła w sukniach, chcesz? Albo tak jak teraz. Tylko po twojej kajucie, po pokładzie nie! – zastrzegła się bardzo szybko. – A te cuda... – Popatrzyła w dół. – Jak na to wpadłeś? Gdzie je wyszukałeś?... Są śliczne, lekkie i wygodne. – Zakołysała piersiami, schylając się ku rzemykom. – I niech tu na mnie czekają.

Gotów był się żenić choćby zaraz. Kupował to razem ze wszystkimi jej ciężami, Rubinami, humorami... I apetycznym Mevevem w brudnej koi. Bo, niestety, jeżeli nie zabiła go dzbankiem, on tam czekał.

Pocałowała narzeczonego – a umiała. Zabrała narzutę i wyszli na pokład. Dopiero przy samej burcie zsunęła z pleców okrycie i śmignęła do morza. Nie wynurzała się długo, bardzo długo; w przejrzystej wodzie, kilka łokci pod powierzchnią, widział kremowy kształt, częściowo skryty pod falą długich włosów, szybko i z łatwością przesywający toń.

9.

Gotah dobrze znał pałac królewski, bo przemieszkał w nim sporo czasu – ale to było kiedyś. Pamiętał puste korytarze, po których błędziło echo, wzniecane krokami samotnej regentki, do której nikt nie przychodził, nikt nie miał żadnej sprawy. Na przedmieściach zbierały się chorągwie wrogiego stronnictwa, płonęły jej prywatne dobra w głębi Puszczy Bukowej. Tonęły w błocie wojska nękanie przez imperialną Armię Wschodnią. Dogasała wojna, której wynik wydawał się wówczas przesadzony; nawet sama księżna regentka nie wierzyła już, że ją wygra.

Minęły trzy lata.

Tłumy na korytarzach przyprawiały o zawrót głowy, zaś rodowe monogramy kobiet i mężczyzn, pokornie czekających na przyjęcie przez niskiego rangą urzędnika królowej, mogły wprawić w osłupienie. Podpierali ściany synowie największych Domów rycerskich i magnackich, gotowi przerwać w pół słowa rozmowę na widok sługi, który przychodził, rozglądał się i mówił: „A prawda, wasza godność, jeszcze czekasz, tak, tak... Pojutrze! Zechciej przyjść, panie, pojutrze”. Gdzie indziej rozpromieniona kobieta w sukni wartej tyle, co dwa świetne wierzchowce pełnej krwi, niemal biegła korytarzem, poprzedzana przez prywatnych żołnierzy ze swego pocztu. Nikogo nie słyszała ani nie widziała, bo przed chwilą wyszła z sali tronowej, tam zaś królowa wyłowiła ją z tłumu spojrzeniem i wskazała palcem jednej z Pereł, ta zaś podeszła, mówiąc niby szeptem, ale tak, że wszyscy wokół słyszeli: „Dobrze, że przyszedłaś, pani; królowa gniewa się, że zapomniałaś o niej i tak długo nie odwiedzałaś... Oczekuje cię jutro przy wieczornej kąpieli”. Wyróżnienie dające możliwość zamienienia kilku słów z monarchinią; szansa przypomnienia się, podniesienia swej pozycji.

Gotah nie mógł do tego przywyknąć. Był gościem niezwykle ważnym, mającym dostęp nawet do prywatnych pokoi królowej – niemniej czuł się tam zupełnie nie na miejscu. Wszędzie się czuł nie na miejscu. Najdonioślejsze sprawy, którym poświęcał tyle wysiłku i czasu, wydawały się błahe i nieledwie śmieszne w zestawieniu z gorączkową krzątaniem panującą w domu monarchini. Z komnaty, którą mu oddano w jednym ze skrzydeł, wychodził tylko wtedy, gdy musiał.

A teraz właśnie musiał.

Prowadzący go sługa był człowiekiem wolnym, o czym świadczyła wąska biała narzuta na odzieniu, długa i obrzucona czerwoną nicią. W Dartanie, gdzie wszystko coś oznaczało, a każdy gest miał swoją wymowę, pozycja posłańca także o czymś świadczyła. Wolnego służącego nie posyłano do byle kogo; Gotah mógł czuć się wyróżniony. Postępując za przewodnikiem, zauważył z ulgą, że nie idą do parterowej części budowli, gdzie były największe tłumy. Korzystając z upiornych schodów, schodzili do piwnic wieżowego skrzydła, w którym mieszkał

– o ile można było nazwać piwnicami nisko położone kondygnacje, nie odbiegające wyglądem od wszystkich innych. Może tylko trzecia, najniższa, wydawała się bardziej surowa i chłodna.

Przyjęty został zaproszony do pałacowej zbrojowni. I na zawsze już pozostało dlań zagadką, co właściwie królowa robiła w arsenale swojej gwardii, dlaczego poszła oglądać stopy zimnego żelastwa i co sprawiło, że właśnie tam przypomniała sobie o Przyjętym, którego od kilku dni gościła pod swym dachem.

Królewska gwardia była formacją bardzo szczególną: od tych żołnierzy wymagano, by u boku monarchini występowali jako strażnicy-halabardnicy, ale mogli też zostać użyci w polu, najlepiej jako ciężka piechota strzelcza – dobrze opancerzona, wyposażona w pawężę i świetne kusze – poza tym jednak potrafili się wykazać jako średnia lub lekka jazda (choć lekka tylko w dartańskim rozumieniu). Na każdą z tych okoliczności mieli odpowiednie uzbrojenie i wyposażenie. Jeszcze cztery lata wcześniej, w Dobrym Znak, Gotah widział ćwiczenia tych żołnierzy i czasem całkiem szczerze zastanawiał się, czy wysoki żołd i zaszczytna służba przy osobie pani były wystarczającym zadośćuczynieniem za nieludzką harówkę, za tresurę, której żał byłoby poddać nawet psy.

Widać tak. Istnieli na świecie ludzie marzący o tytułach, pieniądzech, inni kochali uczty, kobiety albo władzę... Najwidoczniej byli i tacy, którzy na pytanie „Kto idzie?” chcieli odpowiadać: „Straż królowej; otwierać!” – i byli wówczas szczęśliwi.

Przyjęty, mimo że w pałacu mieszkał od kilku dni, z komendantem Ohegenedem widział się dotąd tylko raz; zdążyli wymienić zdawkowe pozdrowienia. Teraz stary wojak skwapliwie ruszył z głębi wielkiej sali i po żołniersku uściskał uczonego za ramiona, ten zaś chętnie uścisk odwzajemnił, bo mieli dla siebie dużo szacunku i powierzchowną, niemniej jednak szczerą przyjaźń.

Dokoła, ustawione pod ścianami, piętrzyły się skrzynie z bronią, należycie zabezpieczoną przed działaniem czasu, powietrza i wilgoci (tej ostatniej w ogóle tu nie było). W karnych sztykach stały granatowo-zielone pawężę i tak samo malowane tarcze jeźdźców, oparte jedna o drugą. Gotah rozejrzał się dokoła, ale nie był miłośnikiem ani znawcą oręża; za to, jak każdy mężczyzna, uważał się za wybornego znawcę kobiet – a osoba w bardzo ciężkiej, czerwono-zielonej sukni, wyjątkowo dartańskiej, prawie nieodslaniającej ciała, ozdobionej klejnotami o wartości sprzecznej ze zdrowym rozsądkiem, na pewno była kobietą. Przechadzała się wzdłuż stelaży skrzypiących pod ciężarem wojennego ekwipunku. Powitała go przyjaznym skinieniem, więc odpowiedział:

– Wasza królewska wysokość.

Od razu przeszła do rzeczy.

– Hayna wróciła. Twoja żona, wasza godność, zachowała się dokładnie tak, jak przepowiedziałeś. Nie dowiedziałam się niczego, czego już bym nie wiedziała od ciebie. Kesa

prosi, bym jej przebaczyła, lecz czuje się chora i słaba, dlatego nie przyjedzie do Rollayny. Wierzy, że twoja osoba najzupełniej wystarczy, by reprezentować was oboje, i nie wątpi, że posłałam po nią tylko dlatego, że ciebie uważałam za martwego. Cóż... Ma rację.

Królowa nie była przyzwyczajona, by ktokolwiek odrzucał jej osobiste zaproszenie. Gotah ledwie zdążył to pomyśleć, a już zgadła, co sobie pomyślał.

– Oczywiście, jeśli ponowię prośbę, to Kesa uzna ją za rozkaz i niezwłocznie się tutaj stawi – wyjaśniła. – Cenię sobie jej gotowość do służenia mi radą – dorzuciła drwiąco. – Gdy już wrócisz do domu, zechciej przekazać małżonce, wasza godność, że królowa prosi ją o przebaczenie, iż zwróciła się do Przyjętej ze swymi wątpliwościami dotyczącymi Szerni.

– Wasza królewska wysokość...

– Nie, nie. Już skończyłam – powiedziała Ezena. – Twoja żona przecież ma rację, panie, co przyznałam. Ucieszyłabym się, gdyby przyjechała, ale rzeczywiście już jej nie potrzebuję, skoro ty tutaj jesteś. Rozmawiałeś z agarskim księciem, wasza godność – zagaiła. – Znasz zdanie moje i Hayny. Rozmawiałeś z księżniczką Ridaretą. Wygląda na to, że jesteś osobą, która wie najwięcej i dokona najlepszej oceny. Co powinnam zrobić, wasza godność? Proszę cię o radę.

– Czekać – powiedział Przyjęty.

– Czekać?

Tej jednej rzeczy królowa nigdy nie umiała.

– Niestety, tak, wasza wysokość. Zgadzam się z tobą, że ksiązę Raladan to postać nietuzinkowa, a jego słowa zasługują na uwagę. Wierzę mu. Niemniej spóźnił się ze swoim ostrzeżeniem, a propozycja, którą złożył, jest teraz bezwartościowa. Szczególnie dla... niego. Gdyby mógł doprowadzić do spotkania oszalałej, pojmanej przez twoich żołnierzy Hayny ze swą córką, dowiódłby ci czegoś. Ale Hayna obroniła się przed Rubinem i nie potrzebuje pomocy. Ksiązę Raladan nie wie, co zaszło na dworze, jednak czegoś zaczyna się domyślać. Nie sprowadzi tutaj Ridarety i nie zdradzi ci, gdzie jej szukać.

– Może są sposoby, żeby zdradził?

– Ale jakie? Przemoc? – zapytał Przyjęty. – To nie jest ktoś, kto ugnie się przed pogrozkami, ty zaś, pani, nie jesteś oprawczynią, potrafiącą dręczyć wartościowego i niewinnego człowieka.

– Ezena nie jest oprawczynią – spokojnie sprostowała jej wysokość, akcentując swe imię. – Ale królowa Dartanu, którą ktoś pragnie zabić, rozumuje inaczej, wasza godność. To wielki kraj, stojący w obliczu wojny, a może kilku wojen. Bezkrólewie oznacza dla tego kraju nieobliczalne następstwa.

Gotah zniżył głos, by go nie dosłyszał spacerujący nieopodal i przyglądający się zawartości skrzyń Ohegened.

– Nie, królowo – powiedział strofująco i zabrzmiał w tym ton „dobrego wujka”, który – bywało – pozwalał sobie kiedyś nawet na połajanki wobec młodej czarnowłosej dziewczyny, gdy

wygadywała głupstwa. – Jesteś, jaka jesteś. Żadne stanowiska nie uczynią cię podłą, jeśli nie masz w duszy wrodzonej podłości. A nie masz. Nie powołuj się przede mną na swoją odpowiedzialność za Dartan.

Nie zmieniła wyrazu twarzy. Nie doczekał się potwierdzenia ani zaprzeczenia.

– Radzę czekać – powtórzył. – Jest to jednak rada nie tyle Powiernika Królowej, co Przyjętego. Opieram się na... przeczuciach? To nie jest najlepsze słowo, ale trudno mi znaleźć inne. Księżniczka Riolata Ridareta kilkakrotnie już potrafiła coś odgadnąć, przewidzieć. Omal sam nie padłem ofiarą tego daru. Czy i teraz „dowie się”, że jej przybrany ojciec i opiekun jest... hm, gościem królowej? Myślę, że na razie o tym nie wie. Ale dowie się, tak uważam. Chyba wkrótce.

– Mówisz więc, że zjawi się tutaj?

– Mam przeczucie, ale to jest przeczucie Przyjętego – podkreślił. – Naprawdę dużo wiem o Szerni, wasza wysokość, i rozumiem ją na tyle, że uznała mnie za swoją część. Nie odtrąciła nawet teraz, gdy trwa wojna, gdy treści Pasm przemieszały się, tworząc nowe jakości. Kilku Przyjętych zostało odtrąconych, ale nie Głupi Gotah. Uważam, że powinnaś nadal gościć księcia Raladana i przygotować się na przybycie jego córki.

– Pojmać ją?

– Najlepiej od razu zabić.

Zdziwiła się.

– Tak... po prostu? Żadnego „z jednej strony... ale z drugiej strony...”? Uczony Szerni, dla którego coś jest całkiem proste?

– Uczony Szerni myśli o trwałości Ferenu. Jedyne zniszczenie Riolaty, królowej Rubinów, daje pewność, że Feren przetrwa.

– A co myśli Gotah Powiernik Królowej? Nie odsunie od jej osoby wszelkich niebezpieczeństw, bo to niemożliwe. A gdybym chciała prowadzić układy z księżniczką, spróbowała jej uwierzyć? Z jak dużym to się wiąże ryzykiem?

– Nie wiem. Kesa powiedziała ci, pani, że z niewielkim. Ja twierdzę, że ze znacznym, bo wprawdzie księżniczka na pewno nie chce ci zrobić krzywdy, tym bardziej nie chce zniszczyć Ferenu, ale zarazem jest... głupia. I przez to niemal bezradna wobec nieświadomej, a jednak niesłychanie konsekwentnej siły Geerkoto. Ulegnie jej prędzej albo później i nawet nie będzie wiedziała, że uległa. Tak jak się stało teraz.

– Jednak Kesa uważa, że nie.

– To jest Przyjęta i nie wolno lekceważyć jej opinii, bo jest równoważna z moją. Ponadto, Kesa lepiej ode mnie zna Ridarete – dorzucił ucziwie. – Boję się jednak, wasza wysokość, że przestaję rozumieć, czego sobie życzysz ode mnie? Czego ma dotyczyć moja rada? Bezpieczeństwa Ferenu, twojego bezpieczeństwa? Czegoś jeszcze?

– Rządzenie, wasza godność, nie polega na likwidowaniu każdego dostrzeżonego przeciwnika. Kto tak czyni, ten wkrótce włada pustynią, albo ma dokoła siebie samych wrogów. Rządzenie polega na obłaskawianiu przeciwników i przeciąganiu ich na swoją stronę. Księżę Raladan to nie jest nikt, wasza godność. To ktoś, kogo chętnie miałabym po swojej stronie. A nie będę miała, jeśli zabiję mu córkę. Ohegened.

– Tak, wasza wysokość?

– Przypomnij mi, czego się dowiedziałeś o Agarach.

– Dwie wyspy, bardzo dobry port. Ufortyfikowane, jak żaden inny w Szererze – powiedział z żołnierską zwięzłością komendant. – Na łądzie około pół tysiąca świetnie uzbrojonych piechurów, a na wodzie siedem dużych żaglowców wojennych, obsadzonych przez drugie tyle zbrojnych. I znakomite stosunki z licznymi pirackimi okrętami. Można powiedzieć, że ze wszystkimi, jakie są.

– Coś jeszcze?

– To bardzo bogaty kraj. Jego największa słabość jest zarazem siłą: tam mieszka najwyżej kilkanaście, niechby dwadzieścia tysięcy ludzi. I to się zemści, jeśli przyjdzie wystawić silną armię albo tylko uzupełnić straty wojsk. Ale ta nieliczna ludność ma łowiska wielorybów, bez których Szerer zapomni, co to tran i fiszbin. Oprócz tego mają na Agarach liczące się kopalnie miedzi i znacznie więcej ryb, niż potrzebują. Wprawdzie sporo rzeczy muszą tam sprowadzać, ale... – Ohegened zrobił niejasny ruch dłonią. – Kiedyś okręt z ładownią pełną mąki nie był dobrym łupem dla pirata. Teraz kapitan sprzeda to wszystko od ręki w Aheli, bo Ahela mąki potrzebuje, a chętniej ją weźmie półdarmo, niż przepłaci, sprowadzając z kontynentu. Na dodatek załoga żaglowca ledwie weźmie pieniądze za tę mąkę, zaraz je odda z powrotem w karczmach i... yy...

– Burdelach – odpowiedziała królowa.

– Wasza wysokość – zgodził się Ohegened. – Więcej wiadomości, pani, może dostarczyć Vasaneva, bo to do niej spływają raporty od wszystkich wywiadowców i szpiegów. Ja zasięgnąłem, na twój rozkaz, tylko wieści o sile zbrojnej tych wysp. O handlu, wielorybach i miedzi usłyszałem przy okazji.

– Vasaneva już mi przedłożyła bardziej szczegółowe raporty – powiedziała królowa, zwracając się do Przyjętego. – Są dokładniejsze, ale najogólniej pokrywają się z tym, co przed chwilą usłyszałaś, wasza godność. Nie od dzisiaj zerkam ku Agarom. Ale kogokolwiek zapytałam, jakie są możliwości rozpoczęcia rozmów z władcami tych wysp, ten odpowiadał mi: „żadne”. Rządząca nimi księżna próbowała zbliżyć się raczej do Wiecznego Cesarstwa. Chciała, by jej księstwo zostało uznane przez Kirlan. I nawet jej się nie dziwię. Dartańskie królestwo jest... młode.

– Widzę już, do czego zmierzasz, pani.

– No i co? I nic? – zapytała z delikatną kpina. – Pytam Powiernika Królowej, co mi się bardziej opłaci: zaryzykować własne bezpieczeństwo i zyskać sojusznika, który ma doskonałą flotę, czy też raczej uniknąć osobistego ryzyka, ale za to wpłatać pozbawiony floty kraj w wojnę i jeszcze liczyć się z tym, że każdy pirat Szereru będzie miał osobiste powody do zatopienia wszystkiego, co pływa pod moją banderą? Mam zgładzić księcia i najznamienitszą przywódczynię tych ludzi? Mieć trzydzieści żaglowców za sobą lub trzydzieści przeciwko sobie... Różnica wynosi sześćdziesiąt, wasza godność.

– To już polityka, wasza królewska wysokość – sucho powiedział Gotah. – A więc coś, czym jako *lah'agar* w ogóle się nie zajmuję.

– A jako historyk?

– Polityka to nie historia. Dopiero kiedyś nią będzie.

Odczekała chwilę.

– Tylko tyle?

– Co mógłbym powiedzieć jeszcze? Przecież nie chcę stanąć przeciwko twoim sojusznikom, pani.

– O, jeśli staniesz, to trudno – powiedziała. – Mędracy Szerni mają swoje własne sprawy i jeśli w imię tych spraw zgładzą piracką księżniczkę, niechby nawet moją sojuszniczkę... Wyobrażam sobie, że to nie królowa Dartanu zyska wtedy wroga w osobie jej ojca. A mój sojusz raczej nie będzie sięgał aż tak głęboko, bym upominała się o każdego dowódcę żaglowca, jaki pływa pod banderą wspierającej mnie floty kaperskiej. Historia poucza (czy nie tak, historyku?...), że korsarz jest nim dla własnego zysku, ale i na własne ryzyko.

– Przyznaję ci słuszność, pani.

– Tak, i niemal mrozisz chłodem każdego jednego słowa.

– Bo twoje plany, królowo, uważam za krótkowzroczne. A jeśli rozpadnie się Feren?

– To znaczy, że mnie już nie będzie.

– Rozumiem. Po królowej Ezenie niechby nawet zawałił się świat.

– O, nie... Mam syna, wasza godność. Zależy mi na tym, by światu nic się nie stało. Czy na pewno po zniszczeniu Ferenu dojdzie do kataklizmu?

– Istnieje takie ryzyko. Znaczne, chociaż odległe od pewności.

– Czyli tak jak ze mną – powiedziała, odwracając się i ruszając w stronę stelaża z halabardami, jakby chciała odwinąć tłuste szmaty spowijające żeleźca i niezwłocznie uzbroić się na wojnę; przystanąła jednak i zawróciła. – Ryzykuję ja, to może zaryzykować i Szerer.

– Skoro tak twierdzisz, pani.

– Znowu zimno, lodowato – oceniła. – Jestem nieustannie karcona.

– W moich oczach zasługujesz na to – odważnie powiedział Gotah.

– Ohegened – powiedziała. – Co ty o tym sądzisz? Jesteś dowódcą mojej straży,

odpowiadasz za moje bezpieczeństwo.

– Zabić ją – bez wahania odparł gwardzista. – Jeśli tylko jest to możliwe.

– Wspaniały dowódca straży, który jednak nie jest królem – oznajmiła. – Co powiedziała Hayna? Przypomnij.

– Zabić ją – powtórzył Ohegened. – A jeśli to niemożliwe, pomóc w okiełznaniu tych sił, z którymi walczy. Najlepiej jednak zabić.

– Wierna przyboczna; a cóż ona może powiedzieć?... Anessa?

– Zabić ją.

– Vasaneva?

– Zabić ją.

– Będzie żyć! – oświadczyła królowa. – Przynajmniej do czasu, aż się z nią rozmówię! Twierdzisz, mędrco, że tu przybędzie?

– Tak uważam. Choć opieram się na przecuciach – raz jeszcze powtórzył Gotah – a te z kolei są oparte na niepewnych przesłankach. Dotyczących „objawień” księżniczki, czy jakkolwiek nazwać jej pozyskiwaną za pośrednictwem Odrzuconych Pasm „wiedzę”.

– Pojmać księżniczkę Ridaretę – rozkazała. – Ohegened, porozumiesz się z Vasaneva i z Hayną. Zechcecie skutecznie współpracować. Żądajcie czego wam trzeba; dostaniecie wszystko. Zresztą od dawna macie.

– Tak, wasza wysokość.

– Będziesz teraz mi towarzyszył do księcia Raladana. Chcę z nim porozmawiać i nazwać kilka rzeczy po imieniu. Przyszedł w dobrej wierze, a jest teraz więźniem zamiast gościem – powiedziała, znów zwracając się do Gotaha. – Gdybyż zgodził się zaprosić córkę w moim imieniu!... Ale wiem, że się nie zgodzi. Nie mam nawet cienia dowodu na poparcie szczerości swych zamierzeń. Ma prawo podejrzewać pułapkę.

– Śmiałyby nie uwierzyć zapewnieniu królowej?

Zmierzyła rozmówcę spojrzeniem.

– Jeszcze jedna połajanka? A czym sobie zasłużyłam, wasza godność? Bawiąc się swoją Szernią, uważasz, że wolno ci, panie, wtrącać się w sprawy monarchów i królestw, zresztą: po prostu w nie swoje sprawy. Ale jeśli ja załatwiam swoje sprawy... o, to już źle! To brzydko, bo dotyczą twoich. A tymczasem to Kesa ma rację, wasza godność. Ma rację; kiedy mówi „Dosyć już popsulałam, teraz będę siedzieć w domu i koniec!”. Może powinieneś być przy niej? Powiedziała Haynie, że Gotah już nie bawi się w zbawianie świata, musi tylko zakończyć pewne sprawy. Czy rzeczywiście tak?

– Nie – przyznał. – Wyjeżdżałem z domu, chcąc je zakończyć, to prawda. Ale chyba muszę brnąć dalej.

Pokiwała głową. Nic nie powiedziała, więc zapytał:

– Dlaczego po prostu nie wypuścisz księcia, wasza wysokość? To chyba byłby dowód...

– W jego oczach? Dowód albo podstęp. Nie, wasza godność. Przede wszystkim ja też chcę coś sprawdzić. Staranniej oszacować ryzyko; przekonać się, z kim i z czym mam do czynienia... No i prowadzić negocjacje z trochę innej pozycji – zakończyła. – Gdy będę miała w ręku ich oboje... A zamanifestować dobrą wolę zawsze zdążę.

– Oby. Wiesz, co robisz, pani. Już nic nie mam do powiedzenia.

– Mimo to dziękuję ci, panie. I to naprawdę dziękuję – podkreśliła z powagą. – Drogi królowej Dartanu nie zawsze się pokrywają z drogami mędrców Szerni. Ale nawet jeśli się z tobą nie zgadzam, to i tak doceniam, że jesteś wobec mnie szczery i radzisz jak umiesz najlepiej. Nie wyjeżdżaj, proszę. Na pewno jeszcze nie raz zapytam o twoje zdanie.

– Tak, wasza wysokość.

– To zjedz dzisiaj ze mną obiad. W takim małym gronie jak kiedyś, w parku za domem pani Dobrego Znaku. Poplotkujemy, powspominamy dawne czasy... Przyjdiesz? – zapytała, przekrzywiając głowę.

– Ciekawe, co by było, gdybym odrzekł: nie.

Parsknęła śmiechem.

– No tak – powiedziała, rozbawiona. – Rzeczywiście, ciekawe, co by było?... Ale nie mówisz „nie”?

– Mówię: dziękuję, pani. Oczywiście przyjdę.

Dotknęła diademu na czole, bo nie była pewna, czy się nie przekrzywił od śmiechu.

– Prosto mam?... – zapytała. – Mówcie?

– Prosto, wasza królewska wysokość – powiedzieli i skłonili się, gdy wychodziła.

10.

Kitar bardzo szybko się dowiedział, jak głupio zrobił, rezygnując z morskiej podróży.

W ogóle nie znał Dartanu. A ściślej, znał miasta portowe i był o nich dobrego mniemania. Poza tym jednak wyobrażał sobie, że Dartan to kraj taki jak Armekt. Niby słyszał, że kiepskie drogi, parszywe zajazdy przydrożne... Ale cokolwiek złego o tym powiedziano, miało się nijak do rzeczywistości. Zdumiony Armektańczyk odkrywał kraj niezliczonych sprzeczności, nie uzasadnionych niczym różnic... Dlaczego obok najludniejszych i najbogatszych miast Szereru musiały istnieć najbiedniejsze, najbrudniejsze wioski, zamieszkane nie przez ludzi, a dwunożne bydło?... Dlaczego te wspaniałe miasta wypuszczały ze swoich bram drogi, które przestawały być drogami dokładnie w tym miejscu, do którego od miejskiej bramy dało się sięgnąć wzrokiem?... Dlaczego na każde pięćdziesiąt mil biegu rzeki musiał przypadać koniecznie tylko jeden most, zaś wszystkie brody były nieoznaczone?... I dlaczego – dlaczego, na wszystkie Pasma Szerni? – kolegą prześwietnego oberżysty, który umiał się porozumieć we wszystkich językach świata, znał wszystkie potrawy świata i zwyczaje każdej krainy, musiał być dziki zbój mieszkający ze świniami (no tak! tak!) w jednej izbie, a drugą, wytworną, z kurami, proponujący podróżnym?... Pierwszy prowadził gospodę przy głównej ulicy Seyenu; drugi mieszkał dziesięć mil dalej, przy tej samej właściwie ulicy, bo niejako jej przedłużeniem była droga do „Złotej” Rollayny... O co w tym wszystkim chodziło? Czy w tym kraju nikt nie podróżował?

Sayl (Dartańczyk, było nie było) wytłumaczył, że właśnie tak – czyli, właściwie, że nie. Rzeczywiście nikt nie podróżował. Kupcy nie bardzo potrzebowali przyzwoitych gospód przydrożnych, bo noclegi wypadałyby za drogo; wystarczały placówki gotowe nastarczyć spyży dla zwierząt jucznych, wierzchowych i pociągowych. Latem, a nawet jesienią i wiosną, jeśli nocleg wypadł gdzieś za miastem, całkiem wygodnie i darmo można było się przespać na wozie; trochę gorzej zimą. Ale z kolei, jeśli jedynymi gośćmi w gospodach mieli być kupcy zimą – to nie opłacało się otwierać dla nich przyzwoitej noclegowni. I kółko się zamykało. Złoty środek tego wyznaczali najwyraźniej zbóje w szopach, latem zaopatrujący zwierzęta podróżnych (bo ich samych niechętnie i rzadko), ostatecznie służący narzędziami do naprawy wozu i podkucia konia, zimą zaś udostępniający wielką wspólną stajnię-nie-stajnię wszystkim gościom, tak dwunożnym, jak i czworonożnym.

Żaden ważny i mający pieniądze Dartańczyk donikąd nie podróżował. Może raz na rok lub parę lat, i to tylko do najbliższego miasta, by wziąć udział w jakimś uroczystym pogrzebie, albo wyrznąć tępy mieczem w turniejową zbroję przeciwnika na miejskiej arenie. Dawno, dawno – przed wiekami, przed nastaniem Wiecznego Cesarstwa – zamiast na arenę, maszerował z poczem ku ziemiom sąsiada w celu wywarcia na nim pomsty rodowej za zniewagę sprzed

dwustu dwudziestu trzech lat, gdy zaś dotarł na miejsce i była brzydka pogoda, najpierw odpoczywał, żywiąc siebie i poczet na koszt gospodarza – była to przecież oczywista powinność, jaką miał śmiertelny wróg wobec wroga: zaopatrzyć go, ugościć i ogrzać, by nikt nigdy nie mógł powiedzieć, że nie po rycersku potraktowano głodnego, zmarzniętego i chorego pierdołę, który z domu zapomniał wziąć na wojnę miecz (dla takiego zaraz by się znalazł i oręż, żeby mógł walecznie z bronią w ręku oddać się do niewoli i z honorem, całymi latami, spłacać następnie okup za swoją szlachetną osobę). Słuchający tych bzdur Kitar najpierw myślał, że oficer Ridi stroi sobie żarty. Ale nie. Oczytany Sayl, choć nie był dartańskim rycerzem, to jednak wiedział, co mówi, i jeśli nawet czasem, marynarskim zwyczajem, przesadzał, to nie bardzo. Wieczne Cesarstwo zrobiło porządek z wojnami rodowymi; królowa Ezena, jak na razie, też się nie kwapiła do wskrzeszenia pradawnej tradycji, która dawno zresztą okrzepła w nowej postaci: mianowicie, wszelkie honorowe porachunki przeniesiono właśnie na słynne areny. Skoro jednak zabrakło zbrojnych wypraw ku ziemiom sąsiadów – to tym samym zabrakło jakichkolwiek powodów do ruszania się z domu gdziekolwiek. Polowanie? Do tego nie trzeba było dróg, a tym bardziej przydrożnych zajazdów.

No i jechał sobie Kitar po Dartanie, najbogatszej krainie Szereru. Droga była piaszczysta, a czasem nie było jej wcale i kapitanowi „Kołysanki” parę razy zamarzyły się przyrządy nawigacyjnie, dzięki którym mogłby określić swoją pozycję i kurs.

Wszystko źle obliczył; niczego nie przewidział. Wywodził się z narodu jeźdźców, ale zbyt długo pływał po morzach i teraz był już tylko żeglarzem, znacznie lepiej mówiącym po garyjsku niż po armektańsku. Ruszył od razu lądem, bo przy zdychającym wietrze od dziobu, który mógł się zmienić albo nie, włóklby się wokół małodartańskiego półwyspu z szybkością kilkunastu mil na dobę – a tymczasem Sayl, pędząc do Nin Aye z Rollayny, przemierzył dwie trzecie Dartanu w ciągu kilku dni. Niestety, była to sztuka, która mogła – bo wcale nie musiała – udać się jednemu człowiekowi, ale nie pięciu ludziom. Kitar zapomniał (o ile w ogóle wiedział, bo przed laty służył przecież nie w jeździe, a morskiej piechocie), że wojskowi gońcy potrafili pokonać nawet sto mil w ciągu doby, podczas gdy zwarte oddziały łuczników konnych najwyżej trzydzieści mil, i to nie codziennie. Jeden człowiek łatwo mógł zmieniać wierzchowce, gnać niemal bez przerwy galopem, jeść, a nawet podsypiać w kulbace, i na koniec stanąć u celu ledwie żywy – prowadząc czterech towarzyszy, Kitar nijak nie mógł nigdzie dostać, od ręki, pięciu świeżych koni na zmianę. Ciężko byłoby nawet w Armekcie, a cóż dopiero Dartanie, gdzie podróże... no, wszystko wiadomo. Jeśli w końcu zebrał półdziesiątkę koni, to któryś zawsze był chabetą, a jak nie, to chociaż jakimś narowistym końskim pomyleńcem, spokojnym tylko na pierwszy rzut oka, unoszącym prześwietnego jeźdźca z dziobówki w siną dał, nim w końcu ów jeździec, zrzucony przez łeb i na łeb, mógł odpełznąć pod krzaki bzu z nadzieją, że nadjadą wkrótce towarzysze i jakoś go poskładają. Bo, niestety, Kitarowy poczet tworzyli żeglarze, nie

jeźdźcy z prawdziwego zdarzenia – takich miał tylko dwóch, sam zaś był trzecim. Od biedy.

Jechali.

Patataj, patataj... Dartan to wielki kraj.

W podróży do Rollayny Kitar starzał się każdego dnia o rok. Gdzie było jego wspaniałe morskie zwierzę, które, nawet lawirując pod wiatr, mogło zrobić dwadzieścia mil?... Na dodatek, po przebyciu tych mil, nikogo nie bolałyby plecy ani zadek.

Chciał już wrócić na „Kołysankę”.

Ponieważ jednak nie miało to sensu, prowadził swój poczet dalej, aż w końcu doprowadził do celu.

Dzień był duszny i dżdżysty; właśnie znów zaczynało padać. Gdzieś w oddali wzbierała burza. Jej pomruki przybierały na sile, to znów zamierały, jakby kapryśny żywioł nie umiał podjąć decyzji, w którą stronę skierować swe podniebne cielsko. Wreszcie ruszył w kierunku Rollayny i dotarł do Wielkiego Przedmieścia równo z piątką zdrożonych, ale nade wszystko wymęczonych nudą podróży jeźdźców. Wlokąc się (tym bardziej zaś pędząc) po gościńcach, albo i po bezdrożach, nie można było nawet pograć w kości. A co tam w kości! Nie dało się nawet normalnie pogadać, bo pięciu ludzi na koniach, pragnących się słyszeć nawzajem, musiało po prostu zdzierać gardła. Pogadywać można sobie było najwyżej z jadącym obok towarzyszem. Kitar, zazwyczaj otoczony szacunkiem podwładnych, koniec końców wyszedł na durnia. Było jasne, że jeśli kiedykolwiek jeszcze przyjdzie mu do głowy wychwalać podobny (trochę) do Dartanu Armekt, Kraj Równin, ojczyznę jeźdźców, zostanie po prostu wyśmiany. Podróżując do Rollayny, wychował sobie niewielką, ale zwartą grupkę dzielnych ludzi, którzy usłyszawszy krótkie słowo „koń” byli gotowi na oślep rzucić się do ucieczki. Pytanie: czy pozwoliliby się im wyprzedzić...? Raczej gnałby na czele. Też powoli dochodził do wniosku, że nie istnieje na świecie bardziej kapryśne, cuchnące, głupie, brzydkie, bezużyteczne, a do tego wymagające nieustannej troski i opieki zwierzę. Mgliście pamiętał, że chyba było smaczne. Ale nie zamierzał sprawdzać.

Po prostu nie mógł patrzeć na konie. Za to coraz lepiej rozumiał mądrych Dartańczyków, którzy niemal nigdy nie podróżowali.

W strugach deszczu jechali ulicą. Ochłodziło się nagle; burza rozładowała duchotę. Biegnący dokądś przemoczony mieszcuch z głową okrytą kapturem peleryny omal nie wpadł im pod kopyta. Ulice były puste, ale też pogoda naprawdę nie sprzyjała zakupom, a tym bardziej jakimkolwiek spacerom; wychodził z domu tylko ten, kto musiał. Późne popołudnie okryło się isticie wieczornym mrokiem, co i rusz rozcinanym bielą krzaczastych błyskawic. Ulicą rwała woda. Rozsądek nakazywał skryć się w pierwszej napotkanej gospodzie, ale Kitar zacisnął zęby i parł dalej ku Przedmieściu Kuszników, do którego drogę pokazywał mu Sayl. Mieli już niedaleko; Przedmieście Kuszników sąsiadowało z Wielkim Przedmieściem. Dowódcy

„Kołysanki” robiło się słabo na myśl o tym, że zlezie teraz z konia, odsapnie przy piwie w przytulnej oberży, a po przejściu burzy znowu będzie musiał się wgramolić na znieawidzone bydłę i jechać jeszcze kawałek. Chciał już dotrzeć do celu i kwita.

Znalazł dużo zrozumienia u swoich podkomendnych, którzy zgadli, co nim powoduje.

Oberża nosiła nazwę „Wrota Skarbca”.

Niezadowolony pacholek wybiegł na deszcz i zajął się końmi. Kitar kazał dwóm żeglarzom towarzyszyć mu do stajni i zabrać sakwy juczne, bo mocować się z nimi przed progiem nie miał siły. Weszli do środka. Wielka izba była pełna ludzi; bardziej chyba zatłoczona niż zwykle, bo wygląd wielu gości wskazywał, że zajrzeli tu po prostu przypadkiem, uciekając przed deszczem, a teraz niecierpliwie czekali, aż przejdzie.

Łądowe szczury lubiły opowiadać, że marynarza łatwo poznać po sposobie chodzenia. Kitar nic o tym nie wiedział, ale za to był zupełnie pewien, że da się po tym poznać jeźdźca. Przystawiając – lewa, prawa, lewa – sztywno rozkraczone, kompletnie nieczułe nogi, przemieścił się w poblizze oberżysty i zapytał po armektańsku, czy nikt nie zostawił żadnej wiadomości dla żeglarzy; zastrzegł, że to mogło być dawno. Oberżysta zaprzeczył, nie wyrażając przy tym najmniejszego zdziwienia, iż go o coś podobnego pytają – powierzanie różnych, nawet najdziwniejszych wiadomości gospodarzom tawern, gospód i zajazdów było obyczajem powszechnym. Kitar nie pytał dwa razy, bo miał pewność, że właściciel zacnego przybytku z tą samą obojętnością powiedziałby mu: „Dla żeglarza? Zaraz, to było jakoś tak: »Bum, tarara, bum, pędzi koni tłum«. Należy się pięć groszy miedzianych”.

Nie było wiadomości i basta.

Kitar zażądał pokoju. Dostał jeden, z dwoma łózkami. Ten sam, w którym Sayl i Raladan zatrzymali się kiedyś razem. Na pięciu chłopa jeden pokój – to było zupełnie nieźle. Nie tak dobrze, jak w niektórych mijanych po drodze do Rollayny miasteczkach; znacznie, znacznie lepiej niż w sławetnych noclegowniach przydrożnych.

W pokoju przebywał kot. Obudził się i poszedł, nie czekając, aż go wyproszą – to też było zjawisko normalne. Czworonożni rozumni nie do końca pojmowali ideę stałych mieszkań. Szanowali własność, której nie mogli ukraść, więc raczej nie nocowali pod łóżkiem w niczym domu, lecz poza tym łazili, gdzie im się podobało, i właściwie nie było na to rady. Izba stała pusta, więc kocur wyspał się w niej. Nic nie zniszczył, niczego nie zużył. Ktoś wynajął izbę – no to poszedł. Być może tylko do izby sąsiedniej, jeśli też stała pusta, a jak nie, to pewno na strych. Gdyby była ładna pogoda, to grzałby się raczej na dachu. Może łąziłby po ulicach, czekając na płatne zlecenie. Koty chętnie imyły się dorywczych zajęć, a w dużych miastach nie było lepszych od nich gońców.

Marynarz Kitara oglądał się za rozleniwionym burasem, istnym dziwowiskiem, nieledwie legendarnym – bo w Morskiej Prowincji nie było kotów w ogóle, a w drodze do Rollayny też ich

widzieli niewiele. Jednak Kitar nieźle pamiętał koty z czasów dzieciństwa i młodości. Teraz przyszło mu coś do głowy, więc ledwie wszedł do izby, zaraz z powrotem wyszedł i zawołał po armektańsku:

– Zlecenie!

Tak proponowało się pracę. Można było wydrzeć gębę nawet na ulicy. Każdy tak robił i nikt się temu nie dziwił.

Kocur usłyszał i wrócił. Znał kilka słów w Kinenie („zlecenie” rozumiał na pewno), ale naprawdę kilka, co w połączeniu z niewyraźnym głosem uniemożliwiało zrozumienie go. Kitar przywołał Sayla i powiedział o co chodzi. Sayl podumał (on też trochę znał koty) i swoim czystym dartańskim krótko przedstawił sprawę. Kot odpowiedział:

– Nie.

Drugi oficer Ridi miał oto do czynienia ze słynną kocia zwięzłością.

– Nie można skrycie dostarczyć wiadomości do pałacu czy nie podejmiesz się tego? – zapytał, próbując zrozumieć, czego dotyczy odpowiedź.

– Nie i nie – odpowiedział kot.

– A... dlaczego?

Kot nie usłyszał. Nawet nie drgnęło mu ucho. Tak bywało. Przedstawiciele drugiego rozumnego gatunku nie potrafili kłamać i przed ludzką dociekliwością bronili się w tyleż skuteczny, co irytujący sposób: wielu pytań po prostu nie słyszeli. I nigdy nie było wiadomo, czy kot milczy, bo ma coś do ukrycia, czy też może temat go nie interesuje; a wreszcie – może tak sobie właśnie zazartował, bawi go nieodpowiadanie na pytania, zaś rozmówcy zwyczajnie nie lubi. Mógł nie usłyszeć nawet pytań o pogodę.

– Nie można przekazać wiadomości do pałacu – rzekł po garyjsku Sayl do Kitora.

– Zapłaćcie oberżycie – powiedział kocur i poszedł.

To też był zwyczajny sposób postępowania. Szło się do wskazanego kupca bądź oberżysty, a zresztą kogokolwiek, kładło przed owym człowiekiem monetę i mówiło: „Przyjdzie kot, któremu tyle jestem winien”. Czasem je oszukiwano, ale rzadko. Nie opłacało się; zazwyczaj w grę wchodziły bardzo drobne sumy, a koty były mściwe, wytrwale i nigdy niczego nie zapominały. Nawet po latach mogły poznać dłużnika, okraść go, naszkodzić, ośmieszyć. Okaleczyć albo i zabić.

Współistnienie obu gatunków układało się zazwyczaj bardzo dobrze. Koty ani myślały o wprowadzaniu do ludzkiego świata jakichkolwiek zmian. W ogóle im się nie chciało. Żyły obok, odrzucając niemal wszystko, co stanowiło o celu i sensie ludzkiego życia, przyjmowały zaś te nieliczne rzeczy, które uznawały za ciekawe lub przydatne. W Rollaynie, uchodzącej za miasto wprawdzie akceptowane, ale niezbyt przez koty lubiane, żyło ich może trzysta. Na dwieście tysięcy mieszkańców.

Stanowiły mały dodatek do ludzkiego świata, tylko tyle. Nieomal ciekawostkę. Niczym karły albo połykacze ognia. Takie... coś. Dziwaczne. Znośne. Nieszkodliwe. A czasami nawet pożyteczne. Właściwie lubiono je i szanowano. Ze wszystkimi swoimi dziwactwami wydawały się bardziej obliczalne i przewidywalne od ludzi.

Najbardziej ceniono je w wojsku. Były niezastąpionymi zwiadowcami. W legiach imperialnych każdemu kotu, który zgłosił się do służby, przyznawano z miejsca żołd dziesiętnika.

– Jeśli kot mówi, że nie można skrycie wejść do pałacu, to znaczy, że nie można – rzekł Kitar, wyciągając się na jednym z łózek. – Potrzebny byłby nietoperz.

Nie poleżał, od razu wstał. Ściągnął mokry kaftan, spódnice, zzuł buty i został w samej koszuli. Znowu się wyciągnął jak długi. Nawet nie udawał, że odpocznie chwilę i ustąpi miejsca komuś innemu. Był dowódcą i łóżko mu przysługiwało. Podkomendni mieli drugie, więc podzielił się z nimi sprawiedliwie: pół na pół.

– Aż tak się pilnują?

– Zdaje się, że mieszka tam królowa – zauważył Kitar.

Sayl myślał już o czymś innym.

– Nie doniesie? Ten kocur? Że ktoś go pyta i chce zlecić takie rzeczy?

– A co go to obchodzi? Pierwszy raz kota widziałeś, czy co? No, chyba że jest szpiegiem królowej.

– Może jest. Podobno królowa trzyma kocicę. Nadworną złodziejkę.

– Może trzyma kocicę, a na pewno całe mnóstwo ludzi... Kot czy człowiek, każdy może być szpiclem królowej, braciszku. Mam nikogo o nic nie pytać? Nie mam czasu na niepytanie – oświadczył Kitar. – Ile to już minęło, odkąd widziałeś Raladana? Ma jakieś kłopoty, tak? Jak on ci powiedział?... „Niech Kitar myśli, aż coś wymyśli”. No to teraz słuchaj: nic nie wymyśliłem. Liczyłem, że jednak będzie tu ktoś czekał. Może sam Raladan. A jak nie, to wiadomość od niego.

Przyszli przemoczeni majtkowie z sakwami. Kitar kazał rozpakować jedzenie.

– Nie wiem, co mam robić – rzekł do Sayla i chyba naprawdę, ale to naprawdę nie wiedział, bo wojskowym zwyczajem rzadko się przyznawał przed podkomendnymi do jakichkolwiek wątpliwości. – Wymyślę i wtedy powiem. A na razie pozwalam myśleć każdemu. Krótko mówiąc: rada wojenna – zarządził.

Radzić mieli właściwie tylko on i Sayl. Majtkowie ani wiedzieli, o co właściwie chodzi, ani mieli ochotę wiedzieć. Raladan chciał czegoś od kapitana, a kapitan się zgodził. I tyle. Więc czekali, aż dowódca im powie: jechać tu, czekać tam, zabić tego, ukraść tamto, kupić to. Nad czym się tutaj zastanawiać?

Jeden zdążył już zasnąć na łóżku, drugi mościł się na podłodze. Trzeci jadł, zagapiony na ścianę. Sayl kiwał się z namysłem na zydlu. Gdy w pobliżu nie było Ridi, odzyskiwał odwagę

i rozum. Kitar naprawdę był rad, że posłuchał narzeczonej i go zabrał.

Koniec końców to oficer na żaglowcu. Czyli ktoś.

Radzili dosyć długo, ale w zgodnym milczeniu.

– Na pewno ci nie mówił, ile płaci? – zapytał w końcu kapitan „Kołysanki”. – Wiem, że nie jest skąpy i na pewno wyjdę na swoje. Ale może gdybym wiedział, ile naprawdę dostanę, zacząłbym szybciej myśleć?

Sayl wzruszył ramionami.

– Nie mówił. Dałem ci ten... no. – Pokazał srebrną obrączkę.

Kitar zachnął się.

– Tego to mogę użyć, żeby uratować jego tyłek. Będę musiał się jakoś wyliczyć. Ja pytam, ile ja i moi chłopcy będziemy mieli do ręki. Bo z tobą to rozliczy się twoja kapitana.

– Pewnie – powiedział Sayl, po czym zmałał, przywiądnął i zapadł się w sobie. – Rozliczy się ze mną, oj tak.

– Co ona wam robi? – zaciekawiał się Kitar. – Oprócz tego, że stłucze czasem po łbach?

– Nic.

– To dlaczego tak się jej boicie?

Sayl popatrzył z namysłem.

– A co ty o niej w ogóle wiesz? – zapytał i Kitar trochę spowaźniał, bo Sayl to naprawdę nie był głupi człowiek i opłacało się słuchać, co mówi.

„Co ty o niej wiesz”... O to samo jakiś czas temu zapytał go Raladan.

– Wyciągasz mnie na zwierzenia, braciszku?

Sayl znowu wzruszył ramionami.

– To ty pytasz. Ja ci tylko odpowiadam.

– Pytaniem?

– Tak. Nie gadaj ze mną o mojej kapitanie, a ja nie będę gadał o twojej narzeczonej. Może być? – zapytał spokojnie i Kitar trochę się zdziwił, bo Sayl wydawał mu się naprawdę niegłupi, ale przy tym... no, jakby nieco pierdołowaty. Tymczasem potrafił jasno dać do zrozumienia, że zna swoje miejsce w szeregu, ale innym także umie je pokazać.

Marynarze spali.

– Dobrze, braciszku – rzekł Kitar i usiadł na łóżku. – Przejechaliśmy razem naprawdę sporo mil... Niech ci będzie. Powiedz mi o mojej narzeczonej coś, co nie będzie zdradą żadnej tajemnicy, a co może mi się przydać. I jej też. Przychodzi ci na myśl coś takiego?

– Ożeń się z nią.

Kitar czekał.

– To wszystko?

– Po prostu się z nią ożeń i tyle.

Nic nie wyszło z męskiej rozmowy.

No i dobrze. Kitar żałował, że ją zaczął. Nikogo nie powinno obchodzić, co planują wspólnie z Ridaretą. Tak jak jego nie obchodziło, co ktoś trzeci myśli na ten temat.

* * *

Budowniczo królewskiego pałacu sknocili co prawda niemal wszystko, lecz zarazem o wszystkim pomyśleli. Raladan przekonał się o tym bardzo szybko, bo jako szczególny gość dostał szczególną komnatę. Na ostatnim piętrze wschodniej wieży, po obu stronach i na samym końcu korytarza, widniało troje drzwi, które różniły się od innych, były to bowiem drzwi bardzo solidne. Za tymi drzwiami jednak znajdowały się prawdziwe, bardzo wygodne komnaty; przecież nikt nie zamierzał tutaj trzymać zwykłych więźniów. Od tego była przysadzista twierdza, wzniesiona niedaleko za Przedmieściem Czterech Jeźdźców; zresztą i tam, jak powiadano, nie wszystkie cele były takie same. Raladan rozgościł się w komnatach, które kiedyś – o czym nie wiedział – przez kilka dni służyły za mieszkanie Księciu Przedstawicielowi Cesarza w Rollaynie, gdy „zaproszony” przez nową władczynię gościł na jej dworze. Pręty w oknach miały grubość męskiego przedramienia; ściany wyglądały na wzmocnione; drzwi zamykały się tylko od zewnątrz – poza tym były to komnaty całą gębą, wygodniejsze od tych, które zamieszkiwał w swojej twierdzy. Zaraz przyzwyczał się do niewolnicy, która wprawdzie nie była aż tak droga jak jego własne „perelki”, ale do posług nadawała się świetnie. Pomieszkawszy sobie w pałacu jakieś dwa tygodnie, Raladan znał już na pamięć widok z okien i miał przygotowane trzy sposoby ucieczki, spośród których ani jeden nie mógł być brany serio. Agarski książę uciekał już z więzień, ale teraz nie miał dwa piętra niżej całej swojej załogi, jak w Londzie przed dwoma laty, drzwi pilnowały nie jakieś ofermi, tylko doborowi żołnierze, a portu w Rollaynie nie mogła podpalić załoga żadnego okrętu – bo, niestety, nie było portu, co najwyżej mostki na niewielkiej rzece, której nazwy nie umiał zapamiętać (wydawała się nieżeglowna, a więc bezużyteczna). Raladan długo myślał, ale nie wymyślił nawet tego, co powinien zrobić Kitar, kiedy już się dowie o kłopotach przyszłego teścia. Miał nadzieję, że kapitan „Kołysanki” pogapi się na pałacowe skrzydła-wieżę, odpocznie i zje po podróży, po czym ruszy w następną podróż, tym razem już prosto na Agary. Nie mógł tam znaleźć Przyjętych (skoro Gotah był tutaj, to nie było go na Agarach), ale przynajmniej oddalał się od Rollayny, gdzie mógł co najwyżej napytać sobie biedy. Nie tak to miało wyglądać.

Rodziło się zaraz pytanie: a właściwie jak?...

Gdyby tylko Kitar utrzymał Ridaretę z daleka od dartańskiej stolicy... Całą swą pomysłowość winien obrócić właśnie w tę stronę. Raladan nie marzył o niczym więcej, a zarazem miał przykrą pewność, że to może się udawać tylko przez jakiś czas. Prędzej albo później Ridareta musiała poznać prawdę... i bał się myśleć, co wówczas zrobi. Sposoby zapobieżenia katastrofie widział

tylko dwa: mógł powiesić się na prześcieradle – nie mając żadnej pewności, czy Ridareta dowie się, że zawisł, a tym samym nie ma już komu spieszyć na ratunek; mógł też poprosić królową o jeszcze jedną rozmowę i powiedzieć: „Dobrze, wasza wysokość. Sprowadzę księżniczkę tutaj, wierząc twojemu słowu, że nie wyrządzisz jej krzywdy”. Dojrzewał do tego zamiaru, bo wydawało się jasne, że jest to rozwiązanie znacznie lepsze od czekania na owoce, które wydać może samodzielna podróż Ridi do Rollayny.

Dojrzewał, dojrzewał – aż momentalnie dojrzał.

Obudzony w samym środku nocy, nie mógł rozpoznać kobiety, która została wprowadzona do jego sypialni przez służkę. Nie poznałby jej i w pełnym świetle dnia; nigdy się dotąd nie widzieli. Patrzyła nań z nieskrywaną ciekawością; on też, choć była to ciekawość nieco innego rodzaju, bo okrągłutka blondynka o najśliczniejszej twarzy, jaką widział w życiu, stawiała się przed nim niemal nago. Domowe szaty niewolnic wysokiej rangi były bardzo starannie wykonane, ale tak cienkiego białego jedwabiu nie widział jeszcze nigdy – mimo licznych bogatych haftów prześwitywało przezeń wszystko, nawet drobne szczegóły kunsztownych tatuaży na udach i brzuchu przybyłej. Rzeczywiście pulchniutka, miała jednak tak długie nogi, że nie wydawała się niezgrabna. Czy przemierzyła w tym stroju (bo że na tych nogach – nie wątpił) wszystkie pałacowe korytarze?... Nawet w środku nocy był to wyczyn brawurowy co się zowie; jakim cudem nie zgwałcili jej wartujący pod ścianami, wszyscy pałacowi strażnicy po kolei?

Zaraz dostał odpowiedź.

– Wasza wysokość – powiedziała bardzo dobrym garyjskim, gestem nakazując służce, by zapaliła więcej świec – jestem Pierwszą Perłą Domu królowej i przychodzę z jej polecenia.

Sprawa się wyjaśniła. Piękna niewolnica nie została zgwałcona dlatego, że w sprawach dotyczących tego domu miała tyle do powiedzenia, co jej pani. A możliwe, że nawet więcej... Przecież to nie królowa Ezena rządziła służbą i domownikami. Od tego miała właśnie Pierwszą Perłę, ta zaś do pomocy inne Perły.

Ze swej strony Anessa przyglądała się mężczyźnie, o którym królowa nie umiała mówić bez przelotnego błysku w różnobarwnych oczach. Rzeczywiście, coś chyba w sobie miał, ale podobne „coś” widywała u wielu wojowników. W każdym razie u ludzi czynu. Co więc w nim było takiego niezwykłego? Rachunki tego rodzaju – dotyczące mężczyzn – Anessa przeprowadzała w pamięci, nawet nie przerywając rozmowy. Nie nastawiony wrogo człowiek czynu, nie będący jednak wasalem jej pani; ktoś, kto od królowej Dartanu niczego nie chciał, a nawet nie potrzebował. Mało tego: może i samozwańczy, ale jednak faktyczny władca, ktoś... właściwy. Nie prostak. Po drugiej stronie tego równania był błysk w oczach silnej kobiety, która z podobnymi mężczyznami niemal nigdy się nie stykała. Bo i skąd miała ich brać?

Korzystając z okazji, Ezena byłaby gotowa zjawić się tu osobiście i najchętniej w podobnym stroju... Albo chociaż nieuczesana. W nocy, u więźnia. Perła wiedziała o tym, więc

z niezmaconym spokojem narazila sie na szykany, ustrzegajac jednak monarchinie przed popelnieniem glupstwa. Gotowa byla zalatwic sprawe i obudzic królowa tylko po to, by ta mogla zatwierdzic juz podjete decyzje. No i, oczywiscie, wymierzye swojej Perle zasluzoną karę. Za... fu, fu... na przyklad za samowole.

– Wasza wysokość, do gospody noszacej nazwe „Wrota Skarbca” zawitalo minionego wieczoru pieciu podroznych. Sa zeglarzami. Jesli laczy cie cos z nimi, wyjaw to. Musze podjac wlasciwa decyzje.

Miala twarz rozkapryzonej lubieznicy – dziewczęca i zmyslowa zarazem. Wygladala na dwadziescia jeden lat, ale pewnie liczyla sobie wiecej. Ile? Drobne usta skladyly propozycje pocaunku chyba nawet wtedy, gdy mowila: „Zaraz utna ci glowe, panie”. Raladan naprawde nie mogl sie pozbierac. W odróżnieniu od Kitora nigdy nie byl kobieciarzem, teraz jednak w samym srodku nocy budzila go rozebrana bajkowa pieknośc, ktora przytyla bodaj jedynie po to, by w ogole sie dal z nia rozmawiac. Gdyby jeszcze figure miala taka jak twarz, mozna by juz tylko ja ogladac. Moze jeszcze popchnac na kobierzec i przewrocic na plecy – lecz rozmowa?...

– Czy do Rollayny nigdy nie przyjezdza ja zeglarze? – zapytal.

– Codziennie. To duze miasto. Ale jest w nim najwyzej kilkadziesiat gospod dajacych noclegi podrozny... Niektórzy z nich wygladaja podejrzenie, inni nie.

– Królowa rozkazala obserwowac kilkadziesiat gospod?

Perla westchnela.

– Wasza wysokość, zawrzyjmy układ. Szybko zalatwimy nasza sprawe, ja pobiegne z odpowiedzią do królowej, a potem od razu wróce i bedziemy gawedzic juz do rana. Po co mi to? – Lekko skubnela biały jedwab. – Wróce i zaraz zdejmę, bo juz nie bede musiala nigdzie isc. Teraz rozmawiajmy. Nie jestem królowa Ezena, moj czas nie jest moja wlascnoscia i nie moge go trwoniec bez powodu. A ty, panie, nie jesteś przeciez durniem, wiec potraktuj mnie przez chwile nalezycie.

W Aheli, oniesmielajace spojrzenie dumnej Kesy nie pozwalalo zapomniec, ze rozmowczyni jest – czy tez byla – Perla. Przy slodziutkiej blondynce Anessie, odwrotnie, trudno bylo o tym pamietac. Ale jednak za spojrzeniem blękitnych oczu kryl sie rozum wart certyfikatu przyznawanego najdrozszy m niewolnicom Szereru. Dostala go nie tylko za urode, wprost przeciwnie – uroda byla dodatkiem.

Zobaczyla, ze poskutkowalo.

– Jesli królowa zechce, by pilnowane byly dla niej wszystkie gospody w Rollaynie, albo nawet w calym Dartanie, to tak bedzie. Pieciu jezdzcow, bardzo zdrozonych. Zeglarze. Przypadkowo w tej gospodzie, w ktorej jakis czas temu widziano kogos podobnego do waszej wysokości; gospodarz zapamietal cie, panie, bo jednak ludzi mowiacych po garyjsku podejmuje u siebie najrzadziej. Co robimy z tymi zeglarzami, wasza godnosc? Obserwujemy ich?

Zabijamy? Bierzemy do niewoli? Podpowiedz.

Raladan pokiwał głową, bo decyzja dojrzała i należało zerwać owoc, zanim spadnie.

Wciąż pół siedział, pół leżał w łóżku, podparty na łokciu. Wolną ręką podrapał szorstką szczękę.

– Zatrzymać wszystkich, nie robiąc krzywdy. W żaden sposób nie umiem w tym pomóc – wyjaśnił. – Nie istnieje żadne hasło, nic takiego, a cokolwiek każę powtórzyć, to i tak gotowi nie uwierzyć, mogłem przecież wygadać się na mękach.

Piękna Perła zmarszczyła nos z takim wstrętem, że o mało się nie uśmiechnęła. Górna warga podjechała jej do góry, odsłaniając nieco zęby.

– Męki... Dobrze. I co dalej, wasza wysokość?

– Dowódcę przyprowadzić do mnie. To wszystko.

– Co mu polecisz? O ile to twój człowiek, oczywiście.

– Jeszcze nie wiem, Perło. Chcę, żeby sprowadził do królowej moją córkę albo... To nie takie proste – wytłumaczył. – Nawet nie wiem, gdzie ona jest, a jakakolwiek niezręczność może być przyczyną krwawej jatki. Przecież nie chcemy tego?

– O nie.

– Więc dopiero kiedy się dowiem, gdzie jest księżniczka Ridareta, kto jej towarzyszy i tak dalej... Dopiero wtedy będę umiał przedstawić jakiś plan. Na razie ich zatrzymajcie. A królowej powiedz, że zaufałem jej słowu.

– Troszeczkę z konieczności, nieprawdaż?

– Tak, ale bardziej z rozsądku.

– Nawet wierzę – przyznała i uśmiechnęła się. – Dobrze. Idę.

Jeszcze na chwilę przystanęła przy drzwiach. Obejrzała się przez ramię.

– Mam wrócić? Na pogawędki?... Mogę dotrzymać słowa.

Nie namyślał się długo.

– Jeszcze nie zasypiam, Perło. Chcesz, to wróć.

Przestąpiła z nogi na nogę, zastanowiła się.

– Chyba że królowa coś mi zleci. Raczej jednak nie zleci... Ale oberwę! – powiedziała, przykładając dłoń do mocno bijącego serca. – Jeśli tylko królowa się dowie... Ona mnie kiedyś zamorduje, mówię ci. I to może być nawet jutro, mhm.

Chyba przeszył ją dreszczyk. Drgnęły nozdrza. Przygryzła lekko wargę, trochę mocniej obróciła głowę i raz jeszcze zerknęła na łóżko, po czym kołysząc obfitymi, lecz bynajmniej nie obwisłymi pośladkami – w każdym był dołeczek na górze – opuściła komnatę. Krzyknęła ostro na służkę. Zastukały wysokie koturny tam, gdzie kończył się puszysty kobierzec. Po chwili załomotały masywne drzwi na korytarz.

11.

Ridareta miała dość rozumu, by nie kotwiczyć w tym samym miejscu, do którego dowiozła Raladana. Można tam było spuścić na wodę łódź i przewieźć na łąd dwóch mężczyzn, ale urządzenie stałego kotwicowiska to było co innego. Miała kotwiczyć niemal w samym ujściu Merewy, nad którą po obu stronach ułożyły się wcale ludne wioski?... Poszukała lepszego miejsca i znalazła. Nawet niedaleko. Dziki las biegł wzdłuż brzegu morza na przestrzeni ładnych paru mil i prawdopodobnie tak samo rozciągał się w głąb ładu. Nigdzie nie było widać wioskowych dymów – żadnych śladów obecności człowieka.

Wysondowali dno. Mevev policzył najniższy stan wody, mający wkrótce nastąpić po pełni. Zakotwiczyli całkiem blisko brzegu, dzięki czemu wtopili się w tło.

Zdrowego rozsądku Pięknej Ridi na nic więcej już nie wystarczyło. Prawda: skierowała jeszcze w umówione miejsce dwóch ludzi, którzy mieli siedzieć tam, nie rzucając się w oczy, wyglądać posłańca od Kitaro albo Raladana (może zresztą ich samych?...) i czekać, aż zmienią ich koledzy. Odbywać się to miało co dwa dni.

Załogi kotwiczących żaglowców pokiwały się na wodzie, wynudziły. Do pływania w miejscu niepotrzebny był okręt, wystarczyłaby duża tratwa. Najpierw pod Nin Aye, teraz tutaj... Kilka dni po przybyciu na miejsce zdumieni podkomendni Kitaro dowiedzieli się, że bracia-marynarze ze „Zgniłego Trupa” proszą ich o pożyczenie łodzi. Oddadzą szybciotko i całą! A ponadto dorzucą baryłkę.

Do sprawnego przewiezienia na brzeg setki chłopca – a dochodził jeszcze ładunek – potrzebne były trzy łodzie.

Dowodzący „Kołysanką” oficer łódź pożyczył, ale dopilnował, by wieczorem wróciła na miejsce. Foka Ridi była dowódczynią eskadry, co jednak nie oznaczało, że może mu wydać każdy rozkaz. Na szczęście niczego nie rozkazała; jak najserdeczniej zaprosiła tylko jego chłopców, by dołączyli do jej własnych na brzegu.

Odmówił. Bardzo uprzejmie.

Była w końcu dziewczyną kapitana.

Na brzegu budowano miasteczko.

Marynarze ze „Zgniłego Trupa” wyszukali strumyczek i opanowali piękną polaną, oddaloną sto, najwyżej dwieście kroków od brzegu – widać z niej było prześwitujące między drzewami morze. Rąbali drzewa, budowali szałas, z których dwa największe zaraz nazwano tawernami. Ułożono tam kawałki pni do siedzenia, spiętrzone oplatane łańcuchem beczułki (by nikomu w nocy nie przyszło do głowy odtoczenie jednej gdzieś w zarośla), mianowano kolejnych szynkarzy – bo ważne to stanowisko przestawało mieć sens, gdy szynkarz nie mógł ustać na

nogach, a tym bardziej napępiać kubków; zamiast tego chciał rzygać do beczki. Uszczęśliwione dziewczuchy okrętowe poubierały się w stare poniszczone suknie otrzymane od kapitany – były to szaty wytworne, odpowiednie do pracy w otwartych właśnie znakomitych gospodach, które jednak mocno ucierpiały podczas trzech kolejnych bójek wszczętych przez nowe właścicielki; każda chciała mieć te najpiękniejsze, skutkiem czego nie miała żadna, bo z kosztownych tkanin zostały tylko szmaty przydatne – tak jak pakuły – do uszczelniania kadłuba, ale nie nadające się do niczego więcej. No i dobrze, przynajmniej było sprawiedliwie. Obóz piękniał i potężniał z dnia na dzień. W mgnieniu oka, wczesnym rankiem drugiego dnia, wykopano nawet specjalne doły, nad którymi każdy mógł przysiąc na drągu; było to konieczne, bo po lesie już nie dało się chodzić. W koryto strumyka wkopano pustą baryłkę, którą szybko wypełniła woda. Radośnie, ale bardzo pieczołowicie przybito do palika ułamany kawałek deski, na którym starannie wyrysowano sikającego siusiaka obcinanego nożem; ostrzeżenie umieszczono przy strumyku. Życie w głuszy spodobało się wszystkim – stanowiło nie lada odmianę. Żaglowiec, port, tawerny, targowisko miejskie, zaułki z dziewczętami – taki oto pięciokąt wyznaczał codzienne marynarskie życie. Miesiąc po miesiącu, rok po roku. Bardzo wielu chłopców ze „Zgniłego Trupa” po raz pierwszy przemieszkało parę dni w dzikim lesie. I to było coś wspaniałego.

Mevev porozmawiał z Nellsem. Podzielili zabijaków z Gardy na trzy zmieniające się grupy, z których jedna zawsze obsadzała wartownicze placówki, wystawione w lesie tak na wszelki wypadek, druga pilnowała porządku w obozie, trzecia zaś chłała ze wszystkimi, bo nie było innej możliwości. Bunt Gardy groził skutkami nieobliczalnymi; okrętowi gwardziści umieli sobie odpuścić – i wynagrodzić później – jednodniową pijatykę na pokładzie, ale nie mogli łykać śliny przez pięć dni, a kto wie, może nawet i tydzień. Należało im poluzować, chociaż co jakiś czas.

Były to ostatnie roztropne zarządzenia, jakie wydano w obozie. Zabawa miała potrwać najwyżej kilka dni, ale rankiem czwartego dnia wyszło na jaw, że potrwa do chwili, aż skończy się gorzałka. Mevev, siedzący na „Trupie” ze szkieletową załogą, dowiedział się o tym, gdy na chwilę zajrzał do obozu. Miał sprawę do kapitany: mocno nabroił marynarz, uciekając wpław w nocy na ląd. Winowajcę Mevev odnalazł, ale karę wyznaczył mu sam, bo dowódczynię ujrzał bardzo sponiewieraną. Już się nie bawiła, poszła w cug.

I w ten sposób Szczęściarz Mevev Cichy zobaczył się pośrodku półtorej setki nietrzeźwiejących drabów, których mógł może uprzejmie a wesoło poprosić, żeby srali do dołów, nie pod siebie, ale na tym jego władza się kończyła. Miał posłuch i szacunek u załogi, ale nie wtedy przecież, gdy działał w obecności, a za to wbrew woli dowódczyni. Umiał kiedyś, nie licząc się z niczym, roztrzaskać ostatnią beczkę gorzałki, jednak była to właśnie beczka ostatnia, a patrzyła nań trzeźwa załoga, niespokojna o los okrętu, który płynął w paskudne miejsce, wioząc tam marynarskie tyłki. Teraz nawet Nells ze swoją Gardą – także już cokolwiek rozpapraną – mógł najwyżej wtargnąć między dwie biorące się do noży grupki, ale tylko tyle. Gdyby zechciał

zaszpuntować beczki z wodą, doszłoby do masakry. Garda porąbałaby pewnie większość rozwścieczonych pijaków, ale po wygaśnięciu boju na brzegu zostaliby najwyżej Mevev, Nells... i naprawdę nie wiadomo czy ktoś jeszcze. Było jasne, że załoga nie przestanie pić, aż beczułki kompletnie wyschną. Zwłaszcza że majtków wspierały autorytet, powaga i znaczenie kogoś naprawdę ważnego. Kapitany.

Mevev obudził ją jak najdelikatniej, przemówił do rozsądku, pytał i odpowiadał. Kiwała głową, rozumiała wszystko, przyznała mu sporo racji, po czym poszła się napić, żeby jeszcze raz starannie przemyśleć, co powiedział. Chciał ją odholować, ale całkiem na poważnie dostał w gębę. Ostrzegawczo. Mogła zaraz poprawić nożem.

Koniec końców, trochę ją już znał. Wolno mu było wiele, ale, niestety, nie zawsze.

Cichy wrócił na okręt, potem znowu na brzeg. Próbował coś wymyślić, a miał szansę, bo jeszcze nie wszystko się rozlazło. Garda wciąż pełniła służbę, mało tego: z pijacką skrupulatnością przestrzegano wacht, bo to było uzgodnione od początku i kręciło się siłą bezwładu. Co wieczór karna grupa ochlanych na zapas marynarzy włąziła do szalupy i beładnie pieniała wodę wiosłami, by zmienić kilku kolegów na „Trupie”, co w końcu się udawało. Mevev wymyślił, że pijacy się nie doliczą, i chciał posłać na brzeg mniej majtków, niżli właśnie wróciło. Zamiar spełził na niczym – doliczyli się i rozgniewali. W podobnych sprawach nie było żartów, każdy zasłużył na taką samą zabawę, pili albo wszyscy, albo nikt! Jedna jedyna kapitana mogłaby zmienić zasady.

No, akurat.

Pierwszy oficer Ślepej Ridi zwlekał aż dwa dni, zanim z ciężkim sercem i nietęgą miną wybrał się na „Kołysankę”. Jego odpowiednik na drugim okręcie eskadry miał już jednak wieści o tym, co się święci. Po ojcowsku wyrozumiały, a zarazem po żołniersku surowy, pozwalał swoim żeglarzom przyłączać się do ochlaju na polanie. Kierował ich tam w nagrodę – trzeba było sobie zasłużyć – w grupkach po trzech; każdą grupkę na jeden („Tylko jeden, rozumiano? JEDEN!”) dzień. Miał więc stale obsadzony okręt, a gdyby wydarzyło się coś złego, to jakoś by odżałował trzech biedaków na brzegu. Mevev poświecił oczami, szczerze przyznał, że dupa kwas, po czym poprosił zastępcę Kitara o objęcie komendy nad eskadrą.

„Ty masz sprawny okręt, kompletną załogę i siedzisz na pokładzie” – powiedział, kiwając głową i spozierając na morze. „Ja mam pod komendą nawet nie piętnastu. Na pokładzie jestem, chyba że mnie nie ma. Jakby co, to rób, co uważasz. Moim na pokładzie powiem, że mają słuchać twoich komend. I sygnałów. Nawet, jak mnie nie będzie”.

Wynikało z tego, że gdyby – powiedzmy – trzeba było wiać z kotwicowiska, to „Trup” grzecznie się położy w śladzie torowym karaweli i zostawi na brzegu nieprzytomną kapitanę w otoczeniu nieprzytomnej załogi. Było to w końcu i tak lepsze niż spoczynek na dnie za sprawą jakiejś zabłąkanej eskadry królewskich lub cesarskich. „Kołysanka” nie mogła obronić „Zgnitego

Trupa” ze szkieletową załogą na pokładzie. A błyskawiczne przewiezienie szalupami na okręt stu czterdziestu pijaków, było opowieścią pasującą w sam raz do innej – mianowicie tej o żelaznym wilku. Znacznie mądrzej było odciągnąć wroga od bezbronnych towarzyszy na brzegu.

Na szczęście, na żadne takie kłopoty na razie się nie zanosilo. Mądra Ridi wybrała naprawdę dobre miejsce: w płytkim, ale obszernym łuku zataczanym przez dartańskie wybrzeże (trudno było to nazwać zatoką), na tle lasu, dwa żaglowce z nagimi masztami były niewidoczne. Codziennie oglądali jakiś statek żeglugi przybrzeżnej, płynący z jednego małego dartańskiego portu do drugiego, ale statki te ścinały łuk, płynęły po jego cięciwie i były wystarczająco daleko, by nie dostrzec „Kołysanki” i „Trupa”. Przynajmniej ich dowódcy mieli taką nadzieję, popartą doświadczonym marynarskim okiem.

Każdego dnia wczesnym rankiem Mevev zostawiał niedowodzony okręt i kazał się wieźć na brzeg z nadzieją, że w burdelu pod gołym niebem coś się wreszcie zmieniło. Zapas trunku był jeszcze spory, ale spożywano go nierówno, coraz bardziej nierówno i trudno było dokonać dokładnych obrachunków. Kilkudniowe przelotne deszcze, uwieńczone krótką letnią burzą (okręty wyszły bez szwanku, bardzo pewnie trzymając się dna) skwasiły trochę zabawę, lecz bynajmniej jej nie przerwały. To właśnie wtedy wódki zaczęło ubywać nieco szybciej. Było chłodniej – więc każdy mógł wypić więcej, zanim go rozebrało. Było mokro – każdy chciał się zabezpieczyć przed choróbskiem. Burza przeszła, znów przygrzało słońce. Parowała ściółka leśna, mech, szyszczeczki, igielki, rozmyte przez deszcz rzygowiny oraz kupska w krzakach. Muchy nie brzęczały, a huczały. Buczały. Po deszczu zjawilo się sporo komarów.

Na komary, wiadomo, najlepsza rzecz – gorzałka.

Ridi potrafiła ciągnąć nawet dwa tygodnie. Przeważnie tyle. Mniej więcej. Chyba miała już z górki – ale czy na pewno? Cichy z nikim się nie założył.

* * *

Jedna z okrętowych dziewczyn była w ciąży i Ridi, także już solidnie nadmuchana, znalazła w niej najszczerszą przyjaciółkę, a ponadto jeszcze siostrę, matkę, ciotkę... Siedziały na ziemi, obok pniaka po ściętym drzewie. Obejmując towarzyszkę ramieniem za szyję, kapitana próbowała wytłumaczyć, że jest dobrze, jak jest dobrze, a źle – jak źle, a nie dobrze-źle, albo źle. Przechylała się, wyciągała daleko rękę, sięgała, aż udało jej się zaczepić palec o ucho dzbanka z winem. Ostrożnie ciągnęła go ku sobie po ziemi, uważając, by się nie przewrócił. Wciąż trzymała ramieniem spoconą szyję tamtej, obcierając ją niemal do krwi. Dziewucha płakała, zdradzona i nieszczęśliwa.

– Dał mi... wtedy takie... takie wstążki... – szlochała. – Mówił: będziem mieć dom... mówił... A ja już wtedy wi... wiedziała, że... ja wiesz?... Ja wiedziała... że on... To skurwysyn jeden... Ja wiedziała.

– Źle, jak dobrze, bo wtedy to wtedy źle – wyjaśniła dowódczym. – Ja ci taki dom ku... Kupię. Wieceelki jaak... Cesz?

Dzbanek dojechał w pobliże łądki. Pełną garścią ujęła ucho i napiła się. Przyjaciółka zwierzała się dalej. Ridi w końcu puściła jej szyję, bo potrzebowała obu rąk, żeby się podeprzeć. Polazła na czworakach – i lazła, aż dotarła do drzewa. Było to jej drzewo, wybrała sobie i miała. Wygrała o nie bójkę z marynarzem. Obroniła i miała. Swoje drzewo.

Ponieważ, zdążając ku niemu, co chwila wymiotowała, więc nie przydało się na nic. Podławiła się jeszcze trochę z głową opartą o pień, ale więcej nie poszło. Mogła wracać. Tylko nie do tej larwy z wielkim bębem. Gdziekolwiek, tylko nie do niej.

Przez jakiś czas wracała wokół drzewa. Było to jej drzewo. Bo wygrała je i miała. Już na zawsze.

Wracanie na czworakach wokół drzewa było trudne; zmyliła drogę i znalazła się na jakimś zarzyganym szlaku. Świnie. Nie miały swoich drzew i rzygały gdzie popadło.

– Świnie! – wrzasnęła, odwracając głowę. – Świnieeee!

Przewróciła się i zasnęła. Obudziła się po pewnym czasie, bo zaczął ją boleć brzuch, na którym leżał marynarz. Zakrzuszyła się śmiechem i przez chwilę mu pomagała, ale kiepsko szło, bo nie mogła zaczepić stopy o stopę, nogi wciąż się zsuwały gdzieś na jego biodra. Brzuch zabolął znowu; stęknęła.

– Euh... Czeczaj... no!...

Chciała przetoczyć się razem z nim, bo gdyby była na górze, wtedy to miałoby sens. Chyba.

A gdyby tak przywiązała sobie z przodu beczkę, to też by się uwalił?! Głupek jeden?! Z pijakami to zawsze tak! Nie popatrzy, nie pomyśli, tylko wlezie!

Przypomniała coś sobie.

– Świ... yh... świniee! Świnie!

Sapiąc i stękając, znowu próbowała zapleść nogi, ale w ogóle jej nie słuchały. Mocno objęła marynarskie plecy, palce drugiej dłoni zanurzając w przepocone włosy tuż nad karkiem. Podrapała lekko. Przestał nią potrząsać, za to przydusił całym ciężarem. Uślinił jej szyję, dyszał w samo ucho. Drugim uchem posłyszała głos Nellsa. Chyba Nellsa, w każdym razie kogoś:

– Skończyłeś?

Marynarza podrzuciło, jakby dostał kopa.

– Skończyłeś? To do góry! Dawaj do góry; mówię czy nie mówię?

Została odduszona od ziemi i zaczerpnęła powietrza. Było go tak dużo, że znowu zaczęła się śmiać.

– Stoisz? Czy nie stoisz? Dobra, bierz ją!

Las i niebo zawirowały, jakieś kształty, coś... Postawiono ją na nogi, ale trochę za szybko. Momentalnie poczuła żołądek w gardle. Był pusty, więc męczyła się, dławiła. Wstążka lepkiej

śliny zwisała aż do brzucha i przylepiła się do niego. Ridi czuła, że jest prowadzona, a raczej wleczona pod ramiona. Obejmowała jakieś bycze karki. Długie, strasznie długie miała ręce... Obejmowała te karki... gdzieś. Bardzo wysoko gdzieś.

– Tutaj... dawaj, położymy ją.

Ciągle się krztusiła i dławiła. Poleciało, ale z drugiej strony. Ktoś zaklął (to chyba jednak był Nells).

– Czekaj, no... czekaj! Zesrała się, gdzie ją kładziesz? W tym? Niech już skończy, bo się cała upaprze. Kapitana!

– Mmm...

– Skończyłaś?

– Em.

– Jazda, bierzemy ją. Weź tam... dalej. Dobra, kładź.

Las znowu zakręcił się jej w głowie. Potem było miękko, cichutko... Podławiła się jeszcze chwilę i zasnęła.

Pijany (na szczęście nie w trupa) majtek poszedł dokądś krętą dróżką, znaną tylko sobie. Nells odsapnął, oparty o sosnę.

– Ridka – powiedział. – Ridka, słyszysz? Kapitana, hej!

Nie miało żadnego sensu zostawienie jej tak, jak leżała; chłopcy byli gotowi ją zamęczyć. Pochylił się i złączył rozrzucone nogi, po kolei unosząc je z ziemi. Też do... dupy. Gdzieś zgubiła spódnice, ktoś jej zabrał koszulę; na szczęście miała chustkę na głowie i jeszcze przepaskę na oku, bo inaczej byłaby goła. Długo mogła tak pospać? Pośród z górą setki chłopca, na których przypadało raptem dwanaście dziewczuch?

Zostawił ją i wkrótce wrócił, niosąc własny pled. Miał nadzieję, że na noc znajdzie sobie inny, bo nad ranem robiło się zimno. Była zresztą szansa, że do nocy Ridi podtrzeźwieje i odda mu okrycie. Wyrzygała się całkiem zdrowo, mogło pomóc. A wywłókł ją na tyle daleko, że miała szansę wypaść się wreszcie i naprawdę wytrzeźwieć. Może nawet zupełnie. Bo od kilku dni...

Nells jeszcze nigdy w życiu nie natrywał się tak jak na tej polanie. Co i rusz miał ochotę rzucić wszystko i po prostu upić się z innymi. Ale oprócz ochoty miał oczy, trochę rozumu i widział, że to się skończy naprawdę bardzo, źle. Mógł po prostu nie przeżyć; na jakim żaglowcu kochano dowódcę straży okrętowej?... Tutaj, w lesie, pośród setki pijaków, mogło się nad ranem okazać, że ma nóż w brzuchu. Kto miał go przypilnować? Podkomendni z Gardy, zbudowani przykładem zalanego na sztywno dowódcy? Zaraz poszliby w jego ślady. I doigrali się tak jak on.

Podobnego ochlaju nawet sobie dotąd nie wyobrażał. Gdzie? Gdzie można było zalewać ryje dzień w dzień, budzić się z kubkiem w rękę – i od nowa? Żreć, pić, znowu żreć, tłuc się, śpiewać i posuwać dziewczuchy? W knajpie kazali płacić. Kto zasnął na stole lub pod stołem, ten budził się bez miedziaka, a jego kompani razem z nim. Popijawa na okręcie? Jeden wieczór, raz kiedyś –

i to wszystko. Tu, tymczasem, był głuchy las. I cała, wydobyta z ładowni, berbelucha. Kapitana pozwoliła i bawiła się ze wszystkimi. Czego jeszcze trzeba do szczęścia?... Nells miał bardzo wrażliwą duszę (czasem płakał przy smutnych piosenkach), ale nie pozował na poetę; o bynajmniej. Teraz jednak widział się jako kotwicę uciepioną dna, trzymającą okręt ze strzaskanymi masztami, którym targał sztorm. Wystarczyło, że kotwica puści, a żaglowiec musiałby runąć, gnany wiatrem, wprost na skaliste wybrzeże.

Nells-kotwica. Jakoś jeszcze trzymał.

Tutaj wszyscy chcieli i mogli się wyrznąć, albo chociaż zapisać na śmierć. Jeden już się zapisał, a trzech – nie upilnował – pokłuli się na dobre nożami. Prawie wszyscy już się pobili i pokłuli, pochlastane były nawet dziewczuchy, ale ci trzech... o, ci trzech to naprawdę sobie pozwolili. Jeden nie żył, dwóch kitowało.

Miedzy drzewami było widać, jak przy „tawernie” majtek popchnął właśnie drugiego; ten nie pozostał dłużny. Ktoś się zerwał z ziemi. Wrzeszczano. Nells-kotwica ruszył, by mocniej uchwycić dno. Każdej bójce należało ukręcać łeb w zarodku, nie licząc na to, że chłopaki się wyszumia i im przejdzie. Gdyby raz – tylko raz – zaczęło tłuc się trzydziestu z czterdziestoma... Na pokładzie, pod okiem oficerów i z całą Gardą w garści, mógł uspokoić załogę. Tutaj był sam z pięcioma chłopakami.

Zagrzewani do boju marynarze tłukli się pięściami gdzie popadło. Nells podszedł i klepnął w ramię tego, który był odwrócony plecami (drugi zdążył już opuścić ręce). Majtek obejrzał się, zagapił na obojczyk Nellsa, po czym zadarł głowę. Stary, ale jary dowódca Gardy uspokajająco poklepał go po pysku i wskazał palcem przeciwnika. Popchnął lekko. Z krzywymi uśmiechami na obliczach chwiejnie ruszyli ku sobie i pojednali się.

Na środku polany męczono:

*Zakochali się w tej samej dziewczynie
Czterej bracia z „Białego Diamentu”.
Każdy wiózł dla niej pierścionek,
Miała wybrać najpiękniejszy.
Czterej bracia z „Białego Diamentu”...*

*Powiedziała im „Kocham was wszystkich”.
Powiedzieli „Wrócimy do ciebie”.
A potem ruszyli na morze,
Unosząc słodkie marzenia,
Czterej bracia na „Białym Diamencie”.*

*Nie ujrzeli już nigdy dziewczyny
Czterej bracia z „Białego Diamentu”.
Morska woda kochała ich bardziej
I na zawsze przygarnęła do siebie,
Czterech braci z „Białego Diamentu”.*

*I na próżno czekała dziewczyna
Na pierścienie od czterech braci.
Nie wybrała tego jedyne,
Bo oddali je piękniejszej narzeczonej,
Czterej bracia z „Białego Diamentu”.*

*Jeśli kochasz dziewczyno marynarza,
To wiedz o tym, że jest poślubiony
Najpiękniejszej i zazdrosnej pani,
Z którą żadna nie może się równać.
Bo żadna inna tak długo
Na nikogo
Nie umie czekać.*

Niemożliwie fałszowano, zawodzono. Mruczano. Prawie nikt nie pamiętał wszystkich słów. Jeden mylił się, cichł i mruczał, drugi w tym miejscu podejmował. *Czterech braci z Białego Diamentu* trudno było zaśpiewać nawet na trzeźwo, bo śpiewak musiał mieć naprawdę dobry głos i słuch; bardziej to recytowano niż śpiewano, to nie była kubrykowa ryczanka. Ale teraz wszyscy uważali, że śpiewają naprawdę pięknie – choć w rzeczywistości tylko hałasowali.

I niech tam. Dopóki tylko śpiewali, rozrzewnieni i objęci ramionami... Oby tylko nie robili nic gorszego.

Na starannie oczyszczonym skrawku mchu (obok piętrzył się stosik pozbieranych szyszek) siedział marynarz bez koszuli, oglądający piękne tatuaże, które niedawno wycięli mu kompani. Świeże rany paprały się. Uniósł spojrzenie i powiedział do przechodzącego Nellsa:

– Ja już nie mogę.

Stary Dartańczyk zatrzymał się i popatrzył na schorowanego draba, którego paskudna gęba wołała o stryczek bez sądu – szpetne było to oblicze, oj szpetne. Nawet dla kogoś, kto codziennie oglądał tępe mordy w kubryku. Skąd się ta łajza tutaj wzięła, co go przyniosło na „Trupa”?... Marynarz to on był tylko z nazwy.

Marynarz czy nie, w każdym razie rzeczywiście miał dosyć. Nie on jeden. Wbrew temu, co

można by sądzić na pierwszy rzut oka, nie wszyscy na tej polanie chcieli i umieli zachlać się na śmierć.

– Idź ty na plażę, synuś, bo tu ci nie dadzą spokoju. Wieczorem zabierzesz się na „Zgniłka”.

Nells nie był młodzieniaszkiem i już swoje wiedział.

– E, nie. Obiecał żem chłopakom, że zara...

– Spierdalaj na plażę.

– Ale śmiać się będą ze mnie.

– Powiedziałem.

Chłopisko wstało i powlokło się ku morzu, z trudem skrywając ulgę.

Nells podążył w tym samym kierunku, bo chciał zajrzeć do pijaków – własnych, z Gardy. Mogli pić, ale osobno. Potem drzemka, pobudka, łby pod wodę – i do lasu na wartę, zluzować pierwszą grupę. Siedzieli na brzegu morza. Natknąwszy się po drodze na leżącą dokądś załogantkę, złapał ją i zarzucił na ramię, chociaż darła się i tłukła go po plecach. Drugą, trzeźwiejszą, już tylko zatrzymał i pokazał grupkę na plaży, widoczną między drzewami. Znacząco klepnął w tyłek na rozpęd; pisnęła z radości i pobiegła, omal się nie przewracając o korzenie. Nie każdej i nie zawsze było wolno bawić się z gwardzistami kapitany, a tymczasem... jeśli miało się u nich przody... Uradowane draby powitały nadbiegającą zgodnym chóralnym rykiem. A już szedł ich dowódca, niosąc więcej.

– Jak tam, chłopcy?

Nowy chóralny ryk.

Ridi ożyła wieczorem. Nells ucieszył się, bo przyszła prawie trzeźwa i prawie ubrana. Ale uśmiech zaraz z powrotem wsiąkł mu w gębę.

– Rano urządzimy chłopcom widowisko – powiedziała ochryple, zataczając się lekko i opierając o pień sosny. – Stłuczysz mnie... Powiem ci jak.

– Kapitana...

Ale ona już odpłynęła; roztelepało ją, i to nie od wina czy berbeluchy. Skoro Ślepą Ridi przypiliło, sprawa była załatwiona. Wiedział, że się nie dogadają. Albo raczej: owszem, dogadają, ale tylko na jeden temat.

Wyszło, że Nells-Kotwica będzie musiał jeszcze raz i jeszcze mocniej ucześcić się dna. Wytrzymać najsilniejszy atak burzy. Może ostatni?... Po zakończeniu swoich zabaw Ślepą Ridi chlała rzadko. Naprawdę rzadko. Wołała rozpamiętywać, jak było. Pytać w kółko: „Podobało im się, co? No, a wam?”. Lepić się do Meveva, Sayla, do niego... Mizdrzyć się i chichotać.

Może więc nie było tego złego, co by na dobre nie wyszło...

Rano jednak obudziła go nie Ridi, a Kitar.

* * *

Nells-Kotwica kręcił głową nad niesamowitą popijawą, ale siedział w tym od początku, więc dawno już stracił dystans. Natomiast Kitar przyszedł – i zobaczył. Nie rozumiał, co w ogóle widzi. Najpierw zresztą poczuł. Stu czterdziestu chłopów (niechby i stu trzydziestu, wspartych przez parę bab) z żołądkami zepsutymi od wody, zasmrodziło ćwierć mili lasu, ale tak, że nie dało się wytrzymać. Jakże tam doły z żerdziami? Jaki zakaz sikania do strumienia?... Pod każdym krzakiem coś było, a i na samej polanie. Kwaśny smród wymiocin i moczu przeplatał się z zaduchem męskiego potu, popsutych resztek żarcia... W lesie koczowało stado bydła, którego nikt nie pilnował. Dyscyplina? – nie istniała żadna. Zasady? – nie marnować gorzały. Pobudka? – kiedy kto chciał, a raczej mógł. Z kobietami? – gdziekolwiek i jakkolwiek, byle nie wylewać innym wódki i nie rozgniatać jedzenia.

Nawet zwierzęta we własnych legowiskach nie robiły pod siebie. Ale zwierzęta nie piły berbeluchy. Tutaj przecież nikt celowo pod nogi nie paskudził; po prostu zasnął schlany i popuścił, nie zdążył donieść, lub obudzony się w nocy, zabłądził po ciemku na środek polany zamiast w krzaki... Jeśli nawet któryś podtrzeźwiał, przecknął się i sprzątnął, to wywalał ufajtaną kępę trawy albo mchu w zarośla. Portki przepłukał w morzu – i dobrze, jeżeli aż tyle. Oslupiały dowódca „Kołysanki” ujrzał w tym bajzlu kilku bohaterów – i w ogóle nie wiedział, co powiedzieć. Dwaj wysocy majtkowie z czerwonymi ślepiami, wymęczeni ale zupełnie trzeźwi, wlekli dokądś wierzgającego pomylenca, któremu gorzała chyba rzuciła się na rozum, bo przed chwilą za pomocą sznura i gałęzi próbował zrobić sobie szubieniczkę. Obudzony Nells wymamrotał coś jak: „Kotwica, kur... No, ja!” – ale nie jechało od niego trunkiem. Nie rozbudził się do końca i dlatego wygadywał głupstwa. Zaraz wstał z ziemi; trzymał się dziarsko, prosto i Kitar bez słowa uściśnął przedramię wyciągniętej ku niemu ręki, bo stary Dartańczyk wyglądał tak, jakby chciał mu się rzucić na szyję, co groziło połamaniem gnatów. Nells wskazał kciukiem za siebie, w milczeniu przedstawiając przybyszowi leśny obóz. Dowódca „Kołysanki” nie obejrzał się, bo przed chwilą ten obóz przemierzył.

– Ile to już trwa?

– Będzie z tydzień. Gdzie tam, dwa. A może mniej...

Nells stracił poczucie czasu. Wszystkie dni były takie same.

– Co z twoją kapitaną? Nie ma jej?

– Jest.

– Jest? Ale co, chora i nie upilnowała, czy... do reszty ją...?

– Do reszty ją – uczciwie powiedział Nells. – Ale to nie jej wina. Samo jakoś wyszło.

– Nie jej wina? Samo?... Nic już nie mów! – rzekł Kitar, unosząc rękę. – Gdzie jest Cichy?

– Pilnuje „Trupa”. Tam spokój, ale wiesz, okręt to okręt – wytłumaczył Nells. – Cichy zaraz przyplynie. Co rano przypląwa, żeby sprawdzić...

– Nic już mi nie mów, braciszku – powtórzył Kitar. – Gdzie jest Ridareta?

– Nie wiem. Gadałem z nią wieczorem, ale potem żem się przespał...

– Kto pilnował wszystkiego, kiedy spałeś?

Nells pokazał palcem dryblasa opartego o pień drzewa kilkadziesiąt kroków dalej. Dryblas zobaczył, że o nim mówią, więc podniósł rękę: „Jestem, czuвам!”.

Bohater, olbrzym. Nadczołowiek.

– Nie będę zwracał ci głowy, rób swoje – powiedział Kitar. – Jak tyś to utrzymał w kupie, to ja nie wiem... Dużo trupów?

– Trzy. Patrzyło, że będą cztery, ale ten ostatni chyba się wyliże.

Trzy trupy. Tak na oko powinno być trzydzieści; Kitar wiedział, co potrafią marynarze po gorzałce. Nawet najporządniejsi. A już tacy?...

Podszedł do dryblasa pod drzewem. Po drodze machnął ręką, widząc Sayla, który szedł od przeciwnego końca polany. Drugi oficer Ridi stracił chyba ochotę do życia; mądre chłopisko w ogóle nie wiedziało, jak spojrzeć w oczy dowódcy zaprzyjaźnionego okrętu, który zaufał jego kapitanie i powierzył jej swoich ludzi.

Ale za to dwaj majtkowie, którzy sprowadzili przybyszów do obozu, już rzucili się nadrabiać zaległości. Ożywili otępiełe towarzystwo. Przy wielkim, częściowo rozwalonym szałasie, przybito do pustych beczek jakieś deski, tworząc w ten sposób stoły. Nie sprawdziły się, bo nie było na czym przy nich siedzieć, więc teraz same służyły za wysokie ławy. Na jednej z nich kołysał się w rytm pieśni szereg objętych ramionami marynarzy, na drugiej spali dwaj inni. Ktoś gdzieś szedł, ktoś obok pełzł. Ktoś skądś wracał. Przyjaciel opatrywał przyjaciela, odwijając z jego łydki przesiąknięte ropą i krwią szmaty. Obrzydliwie paprzącą się ranę polał wódką. I zawiązał w te same szmaty.

Spała najwyżej połowa żeglarzy, reszta się bawiła.

Kitar – trochę od rzeczy – pomyślał sobie nagle, że coś odkrył. Tak – no właśnie tak wyglądały zniszczone ludzkie marzenia. Na pewno nie wszyscy mieli takie. Ale jednak istniała na świecie naprawdę pokaźna liczba ludzi, którzy chcieli tylko tego: pić za darmo i nie przestawać, zjeść, wytarzać się z babą. Koniec, wszystko. Zmuszeni do zarabiania na te dobra, pracowali, bywali nawet pilni i zdyscyplinowani. Stać ich było tylko na kawałeczki szczęścia. Ale gdyby darmo dostali tyle, ile sobie życzyli – to poumieraliby pijani po trzech, czterech miesiącach. W krainie spełnionych marzeń, najszczęśliwsi.

Kitar nie był filozofem, czy innym myślicielem. Sam też nie miał jakichś wyjątkowych... nadzwyczajnych potrzeb. A jednak niemal zrobiło mu się słabo. Ilu takich ludzi chodziło po Szererze? Dwieście tysięcy? Czy milion?

Psy miały większe potrzeby. I chyba piękniejsze marzenia.

– Gdzie jest kapitana?

Dryblas z Gardy pokazał palcem. Kitar ujrzał swoją przyszłą żonę siedzącą na podwiniętych

nogach i zapatrzoną w drewnianą miskę wypełnioną wodą. Chyba oglądała swe odbicie.

– Nie idź ze mną, Sayl – powiedział do nadchodzącego towarzysza. – Zamelduję za ciebie, że już jesteś.

Miał do przebycia najwyżej czterdzieści kroków. Gdy się zbliżył, uniosła głowę. Nie wyglądała na pijaną, ani nawet chorą po przepiciu. W pierwszej chwili myślał, że go nie poznała.

– Skąd się wzięłaś? – zapytała, ale bez żadnego zainteresowania. – Zobacz. Ja nie mam lewego oka, a ona prawego. Jak to właściwie jest?

Popatrzył na odbicie w wodzie. Miał ochotę kopnąć tę miskę.

Zbyt wiele się ostatnio wydarzyło.

Pochwyciły go i trzymały dwa światy. Czuł się rozrywany. Wracał z wielkiej i bogatej stolicy, gdzie w prześwietnym pałacu rozmawiał z najdroższymi niewolnicami Szereru, odpowiadał na pytania mędrca Szerni... Widział nawet samą królową. Nie miał ochoty zginać karku przed nikim i nie zginał. Ale jednak wszyscy ci bogaci, mądrzy i potężni ludzie chcieli z nim rozmawiać tylko o jej wysokości Riolacie Ridarecie, księżniczce, wojownicze, a zarazem jakiejś... Przyjętej, od której zależało nie wiadomo co. Bardzo dużo. Nikt, nawet Raladan, nie powiedział mu tam: „Przywieź Ślepą Ridi”. Mówiono „zaprosić księżniczkę”, „zapewnić bezpieczeństwo”, „sprowadzić do Rollayny...”

Ale kogo?

Czy półgołą dziwkę z resztkami rozdeptanej rzygowiny między palcami stóp, królującą na zapowietrzonej polanie? Jakimś cudem zakochał się w niej, ale... Zakochany czy nie zakochany, nie wiedział, jak ma „sprowadzić do Rollayny” jej księżęcą wysokość w posikanych portkach; jak pospołu ze strażą pałacową „zapewnić bezpieczeństwo” wyjątkowo ważnej osobie, która gapiała się w lustro, bo odkryła w jego głębi odwrócony obraz?... Miał „zaprosić księżniczkę” – ale jak? Kopniakiem czy szarpnięciem za brudne włosy? Nie umiał spiąć tych dwóch światów. Albo ci szaleńcy w Rollaynie, a w ich gronie Raladan, o czymś nie wiedzieli, albo on czegoś nie dostrzegał.

– Raladan cię potrzebuje. Jest...

– Dobrze – przerwała. – To na razie nieważne. Dopiero po południu... albo rano...

Teraz on jej przerwał.

– Nieważne? Co jest nieważne?

– Wszystko. Teraz muszę nakarmić sukę. – Zaśmiała się i nagle zaczęła dygotać, jakby trzęsła nią gorączka albo przenikliwe zimno.

Przeszło jej po krótkiej chwili.

– Co ci jest?

– No co?... Muszę nakarmić sukę – powtórzyła. – Pomożesz mi?...

Oderwała spojrzenie od odbicia w wodzie i uniosła ku jego twarzy.

– Ja? W czym mam ci pomóc?

Znowu zaczęła dygotać; wyglądało to jak nawroty choroby. Skuliła się, jakby coś ją bolało, a zaraz potem zaczęła się śmiać – nisko, zmysłowo, urywanie. Pod płótnem koszuli ostro zaznaczyły się szczyty stwardniałych piersi.

– Uderza... i łasi się. Grozi i obiecuje... Muszę ją nakarmić – powiedziała niewyraźnie, przeszywana kolejnymi dreszczami.

Szczękały jej zęby. I znów przeszło.

– Jak miałbym ci pomóc?

Powiedziała.

Nie dał jej skończyć.

– Tyś chyba oszalała, siostrzyczko. Nie wezmę w tym udziału.

– Ale... dlaczego? – zapytała. – Przecież wiedziałeś o wszystkim. Przecież wiesz.

– Ale nie będę brał w tym udziału. Rób, co chcesz, ja płynę na „Kołysankę”, tylko najpierw dogadam się z Mevevem. Jedziemy do Rollayny czy nie?

– Jutro rano.

– Dobrze. Konie odpoczną.

– Jeśli teraz stąd pójdziesz – powiedziała cicho – to nie masz po co wracać.

Już odchodził, ale zatrzymał się. Wrócił, przykucnął i zajął jej w twarz. Tym razem jednak nie uniosła wzroku. Spoglądała na odbicie w wodzie.

– Oszalałaś, Rido?

– Nie. Tylko mam już dosyć słuchania, że „nie będę brał udziału” albo „trzymaj mnie od tego z daleka” – wyjaśniła spokojnie, chociaż z nowym dreszczem, który uczynił jej słowa trochę zduszonymi. – Jeżeli z daleka... to z daleka.

Roztrzęło ją na dobre. Znowu zaczęła się śmiać.

– Lepiej zostań... – rzekła, opadając na plecy, z dłonią ściśniętą między udami, trzęsąc się zarówno od śmiechu, jak i wciąż powracających dreszczy. – Jeśli teraz pójdziesz... to nie wracaj... Aa-a! – krzyknęła z bólu. – Nells!

Komendant Gardy kroczył w poprzek polany.

Oddychała głęboko, nierówno. Znowu się uspokoiła.

– Byłam pijana, nie zauważyłam... – wymamrotała bez ładu i składu, patrząc w niebo i przykładając dłoń do czoła. – Powinam ją nakarmić już wczoraj... A teraz, jak jej nie dam, weźmie sama. Mam pozabijać swoich chłopców? Twoich?... Nikogo innego tutaj nie ma. Zrobię to po swojemu, nie będzie mną rządziła... Neells! Ehe!... – Parsknęła krótkim śmiechem, bo w tej samej chwili komendant Gardy pełną garścią chwycił ją za włosy.

– Nie waż się odejść – powiedziała do Kitara.

Nells przez krótką chwilę patrzył na dowódcę „Kołysanki”, jakby o coś pytał, przed czymś

ostrzegął... A może patrzył, bo patrzył. Szarpnął nagle i powlókł wrzeszczącą kapitanę, która pochwyciła go za nadgarstki, by zmniejszyć ciężar ciągniętego po ziemi ciała. Wążący tyle co dwie Ridi Nells, nie utrudził się zbytnio, zmierzając ku środkowi polany, gdzie liczna grupa marynarzy ryczała pokładowe śpiewki.

– Widowisko od mamuśki, synkowie!

Biegli siepacze z Gardy. Dwóch, trzech, pięciu – chyba wszyscy, jacy byli w obozie. Wierzgająca i wrzeszcząca wniebogłosa, ciągnięta za włosy dziewczyna wzbudziła pewną ciekawość wśród majtków, która to ciekawość przerodziła się w zgiełkliwe ożywienie, gdy rozpoznano wleczołą.

Kitar podszedł do najbliższego drzewa, oparł się o nie i na chwilę zamknął oczy, dwoma palcami mocno ściskając nos u nasady. Potem założył ręce do tyłu i lekko kręcił głową, pocierając potylicą o szorstką korę sosny.

W półkręgu wrzeszczących pijaków Nells postawił Ridi na nogach i od razu trzasnął w twarz z taką siłą, że runęła na kolana. Wypłuła różową ślinę. Podniosła się z wysiłkiem i oberwała z drugiej strony. Wylądowała na czworakach. Po chwili jeszcze raz próbowała wstać; trzaśnięta, niemal zagarnięta od dołu wielką łapą, upadła na plecy. Z nosa leciała jej krew. Wolno przetoczyła się na brzuch. Kręciła głową, jakby próbowała dowiedzieć się gdzie jest. Nells zabrał jednemu z gwardzistów bat i zaczął tłuc skowyczącą kobietę, ale tak, jakby chciał zabić. Uderzenia batoga przygniotły ją do ziemi. Poprzecinana koszula zabarwiła się na czerwono, wykwitły pręgi w poprzek nóg, spłynęły krwią ręce, którymi nieudolnie próbowała się osłaniać. Chciała gdzieś odpelznąć, ale zamiast tego z trudem, wstrząsana kolejnymi uderzeniami bata, stanęła na czworakach. Wygięła plecy, odchylając głowę do tyłu – i nawet daleko stojący Kitar dostrzegł wyszczerzone zęby, zalane krwią wargi i podbródek. Dysząc, gapiła się tępo nie wiadomo gdzie, w niebo albo korony drzew. Nells przestał tłuc. Nad zmieszane rechoty i pokrzykiwania majtków wzniosło się zawroźnienie nieprzytomnej z rozkoszy kobiety.

Ruszył do przodu na niepewnych nogach rozochocony pijak z pasem w dłoni i zamierzył się, zagrzewany rykiem towarzyszy. Najbliżej stojący gwardzista obrócił się na pięcie i wyrzwał go pięścią w podbródek, ale tak, że ochlajusowi oderwało kopyta od ziemi. Poleciał do tyłu; z trudem usiadł na zadku, podpierając się jedną ręką, a drugą trzymając za szczękę. Wrzaski ucichły i tym wyraźniej było słychać chrapliwe poszczekiwanie półprzytomnej Ridi, która siedząc na podwiniętych nogach, z dłonią wepchniętą w portki i ściśniętą między udami, dygotała, wykonując urywane, niedokończone skłony. Gwardzista stał nad powalonym marynarzem, celując weń palcem, ale z twarzą zupełnie spokojną; nie było tam śladu pogroźki. Podobnie jak na wielkiej gębie Nellsa, który przeszedł trzy kroki i chlasnął majtka batem, kreśląc mu pręgę na ukos przez pysk. Poprawił. Przepychając się i klnąc, uciekano od tłuczonego, bo bat Nellsa nie za bardzo wybierał. Majtek darł się. Nells kopniakiem odrzucił na bok upuszczony pas

i wrócił do kapitany, która ucichła i z zapartym tchem, wciąż dygocząc, chyliła się głową ku ziemi, aż zastygła z brzuchem wtłoczonym między uda i czołem opartym o kępę trawy. Spod poszarpanej koszuli wyzierały krwawe rany na plecach. Nells zdarł resztki ubroczonej szmaty, rzucił bat gwardziście, w zamian skinieniem zażądał pałki, pochwycił ją – i wyrznął skuloną dziewczynę w nerki, ale tak, że nie było cudów – musiał odbić.

Ridareta zawyła.

Nells tłukł gdzie popadło: po piętach, plecach, nogach, po tyłku. Przestał, gdy znowu zaczęła się prężyć, odrzuciła głowę w tył i próbowała pełznąć po ziemi – tylko próbowała, bo niezborne ruchy nóg nie popychały jej do przodu. Puchła w oczach bezwładna lewa ręka; chyba była złamana. Palce drugiej zacisnęły się na wystającym korzeniu. W pełnej oczekiwania ciszy rozbrzmiewało ochryple sapanie. Posikała się z bólu bądź rozkoszy – pod wypiętym siedzeniem, między gramolącymi się udami urosła na szarym płótnie portek wielka mokra plama.

Nells wyrznął pałką dokładnie w to miejsce. Tłumek widzów aż stęknął.

Tylko Ridi nie wydała głosu. Przeciwnie – chrapliwe sapanie umilkło jak ucięte nożem, zamarł oddech. Podrzucona uderzeniem w krocze Foka zastygła w dziwnym półskurczu, jakby zamieniła się w kamień. Dowódca Gardy schylił się, chwycił ją od dołu za podbródek, odciągnął głowę w tył i zacisnął łapsko, zgniatając zawiasy szczęk tak, że otwarły się usta. Wypłynęła ślina i krew. Nells gmerał paluchami w środku, jakby czegoś szukał. Dogrzebał się języka – nie był przegryziony. Puścił podbródek i wyprostował się. Głowa opadła, wypłynęło więcej krwi i śliny. Ridi powoli ukrywała twarz w kępie trawy. Zaraz potem odzyskała zdolność oddychania; charkotliwie zaczerpnęła tchu i konwulsyjnie zaczęła kopać mech, w krótkich skurczach podciągając, to znów prostując nogi. Wydawało się, że kona.

Nogi wyprężyły się, znieruchomiały. Znow na chwilę zapało jej dech.

Nells podniósł z ziemi podartą koszulę i na wszelki wypadek wepchnął jej skłębiony skraj w usta Ridi. Ponownie wziął bat do ręki. Stękająca przez brudną szmatę, nie tyle rozplaszczona, co rozparta na ziemi brzemienna kobieta przemieniała się w pokrwawiony połec mięsa, na którym trudno było dojrzeć skrawek zdrowej i nieubroczonej skóry.

Kitar skubał korę za plecami i pocierał potylicą o pień, lekko kręcąc głową: w prawo, w lewo, w prawo...

* * *

Kryształowo przejrzyste niebo odsłaniało gwiazdy – wszystkie, jakie świeciły nad Szererem. Leżący pod wydumą Kitar przyglądał się roziskrzonej wstędze skrzyżowanej z drugą, krótszą i mniej wyraźną. Kładła się w tle tej pierwszej. Łagodnie szumiało morze. Rzadko słuchał go z brzegu, a szkoda, bo fale rozcinane stewą żaglowca syczały zupełnie inaczej. Też pięknie, ale inaczej.

Coś się stało Ridarecie. Nie wiedział co; kazała mu iść precz. Wszystkim kazała. Zostawiono ją samą w paprociach. Po południu znowu usłyszał wycie, ale tym razem nikt jej nie tłukł batem, coś sobie robiła sama. Co i dlaczego? A któż to potrafił zgadnąć...

Chyba nie chciały się goić rany. Tak jak po walce z pocztem Przyjętego, kiedy zwichnięto jej rękę i ciężko zraniono w brzuch. Przeżyła śmiertelne dla każdego – tak przynajmniej słyszał – obrażenia, najpierw jednak ledwie mogła się poruszać. Z wysiłkiem i bólem, jak każdy ranny człowiek. Dopiero kilka dni później, załatwiwszy swoje sprawy z Delarą, wróciła cała i zdrowa.

Kitar leżał pod wydumą. Słuchał szumu fal, patrzył w gwiazdy i lekko przebierał palcami w kępie ostrej trawy nadmorskiej.

Dalej, za wydumami, szemrały korony drzew. Ridareta miała dobry, naprawdę dobry pomysł... Należało czasem wysadzić załogę na brzeg, kazać chłopakom zamknąć rozdarte gęby i zwyczajnie powiedzieć: „Pomieszkamy w lesie”. Po co?

Nie wiedział po co. Chyba po nic. Było morze, ale był też las. I każdy powinien o tym wiedzieć.

Nie wiadomo po co. Chyba po nic.

Żeglarski biwak w lesie. Naprawdę dobry pomysł. W jakiś sposób... ładny. Byle tylko nie zalać go wodą.

Kitar słuchał nierównych kroków na piasku. Ktoś go musiał widzieć wieczorem; pewnie pokazano kierunek, w którym szedł, bo przywlokła się za nim. Ledwie żywa. Ostrożnie przysiadła obok i pociągała nosem, jakby popłakiwała z bólu.

– Goi się. Ale już nie samo z siebie, jak kiedyś – powiedziała i raz jeszcze pociągnęła nosem.
– Powoli, tak jak u wszystkich... Jeśli ma być szybko, to muszę wziąć sukę za łeb. Wiem jak, ale nie wiem dlaczego.

Milczał.

– Kiedy ratowałam Delarę, zamieszałam suce w brzuchu. Raczej sobie... – Zaśmiała się, ale marny to był śmiech. – Strasznie boli, kiedy zmuszam ją do czegoś, ale nic innego nie wymyślę. Pełne cycki i jakaś paciają w żołądku... Głupie to. Wstyd się przyznać do takich „cudów”, kiedyś to przynajmniej podpalałam żagle. – Znowu uśmiechnęła się z przymusem. – Ale wtedy z Delarą wyzdrowiałyśmy obie. Teraz też szybko wyzdrowieję. Zobacz, jednak warto mieć duże piersi; ty byś się sam nie nakarmił, a ja mogę!

Bardzo kiepsciutki to był żart.

– Nawet nie muszę, wcale tak nie robię – dokończyła już poważnie. – Po prostu wystarczy, że to w sobie mam. Rano będę się czuła znośnie, a pojutrze zobaczysz całkiem zdrową Ridi. Bez najmniejszej ranki i najmniejszej blizny. Ale nie wiem... ja ją chyba w ten sposób wypalam. Riolatę. Czegoś jej brakuje, chyba miała coś, a teraz nie ma... Boję się, że ją zniszczę, jakoś właśnie wypalę, a to jednak jest... moje życie. Już nie będę się krzywdziła w taki sposób. Co? Jak

myślisz?... Niech boli, ale bez ran. A jeżeli z ranami, no to niech się goją powoli. Przecierpię.

Nic nie miał do powiedzenia.

– Sayl... – zaczęła niepewnie, jakby się usprawiedliwiała. – Sayl mi już wszystko opowiedział. Raladan jest mądry, jak zawsze. Jutro jeszcze nie, ale pojutrze rano będziemy mogli jechać. Na szczęście nie ma pośpiechu. Prawda? Sayl powiedział, że nie.

Z oddali doleciały porykiwania schlanych marynarzy.

– Najpierw zrobię porządek. Porozmawiam sobie z moimi chłopcami. – Jeszcze raz pociągnęła nosem. – Po południu albo wieczorem.

– Dobrze, zrób porządek.

– Co się stało?

Odchylił się bardziej i oparł plecy o łagodny stok wydmy. Pod głową czuł chłodny piasek.

– Nie tyle „co”, a „ile”. Za dużo. Po prostu za dużo się stało – odpowiedział. – Tobie nie wystarczy, że ktoś powie: rób, co chcesz. Ty sobie życzysz, siostrzyczko, żeby wszyscy to kochali. Albo chociaż podziwiali.

– Wcale nie.

– O tak.

– Przecież wiedziałeś.

– Ale nie chciałem podziwiać. Do czego ci tam byłem potrzebny?

– Żeby...

– Chciałabyś mnie oglądać takiego? Stać sobie pod drzewem i patrzeć? Chciałabyś?

– Nie. Ale to co innego. Bo ty jesteś mężczyzną, a kiedy biją silnego mężczyznę, to nie jest ciekawe, tylko smutne. Ciekawa jest walka, ale nie bicie.

– A kiedy biją kobietę?

– Jeżeli ładną, to wszystkim się podoba. Sam widziałeś! Każdy lubi bić kobietę, albo gwałcić. Tylko nie wszyscy mogą. Przecież ty też mnie bijesz. A teraz dlaczego nie chciałeś?

Nie wiedział, co na to powiedzieć, więc tylko pokręcił głową.

– Taka już jestem – dorzuciła. – Chciałam, żebyś zobaczył, jaka jestem. Właśnie ty. Mój...

Zamilkła.

– Twój „braciszek”, siostrzyczko – oznajmił z nielekkim sercem. – Chwilowo sprzymierzeniec i dowódca eskadry. Do Rollayny pojedziesz z Saylem. Pozbierajcie moich chłopców i odeślijcie tam, gdzie kiedyś wysadziłeś Raladana. Kiedy tu jechaliśmy, rozstawiłem ich co kawałek, bo chciałem mieć pewność, że nikt za nami nie jedzie. Tak na wszelki wypadek.

– Co to znaczy?... To, że „mój braciszek”?...

– Tu niedaleko jest miasteczko, Sayl wie gdzie. Weź paru swoich chłopaków, dostaniesz tam dla nich konie...

– Ale co to znaczy? To, że...

– Znaczy, że nic z tego nie będzie. Z tego, co sobie zamarzy... zaplanowaliśmy, Ridareto. To dla mnie... Jak dla mnie, za dużo. Chyba miałaś rację: dobrze, że zobaczyłem. Bo wiedziałem, ale nie rozumiałem. Teraz już rozumiem i... nie, Rido. Nie.

Przez chwilę odkrywała znaczenie słowa „nie”.

– Ale ja cię... – zaczęła zdławionym głosem, a zakończyła z płaczem: – Ja cię... Kocham. I... przepraszam, Kitarze.

Po raz pierwszy od szczenięcych czasów jemu także zachciało się płakać.

– Tu nie o to chodzi... Widzisz, Rido... Jeśli utniesz komuś rękę, to ona już nie odrośnie. Ten ktoś... ten ktoś może nawet się nie gniewać, powiedzieć: przebaczam. Można uciąć rękę nieumyślnie, nawet przyjacielowi, w jakimś zamieszaniu, w walce. Ale ręka... Już jej nigdy nie będzie. Pewne rzeczy się zdarzają, i już.

Płakała jak dzieciak. Miał ochotę ją objąć i przytulić, ale czuł, że zaraz potem gotów narobić i nagadać głupstw.

Więc leżał i patrzył na gwiazdy, palcami zaś przesypywał piasek i przebierał w kępie ostrej trawy.

Płakała dziewczyna i szumiało morze. Morze... Tutaj nic się, na szczęście, nie zmieniło, więc przynajmniej miał dokąd wracać. Przyszło mu do głowy parę słów piosenki... bardziej zresztą wiersza niż piosenki... którą czasem podśpiewywał, wtórując sobie na lutni:

*Jeśli kochasz dziewczyno marynarza,
To wiedz o tym, że jest poślubiony
Najpiękniejszej i zazdrosnej pani,
Z którą żadna nie może się równać.
Bo żadna inna tak długo
Na nikogo
Nie umie czekać.*

Ale w pijackim, zapowietrzonym obozie Pięknej Ridi na pewno nikt tego nie śpiewał.

12.

Raz przybrawszy sobie przydomek, Nells-Kotwica już zeń nie zrezygnował. Każdy wiedział, że Nells jest kotwicą. Nikt go nie zapytał dlaczego, bo zmęczony, drażliwy i ponury komendant Gardy mógłby udzielić odpowiedzi pochopnej, ale za to wyczerpującej... Trzymał się dzielnie, jednak miniony dzień wysłał zeń ostatnie soki życiowe – o ile kotwica mogła mieć jakieś soki. Gdyby lepiej znał ludzką naturę, łatwo by sobie wytłumaczył, skąd ta nagła ucieczka sił. Wzięła się stąd, że zobaczył zapowiedź końca swej mordęgi. Gdy ów koniec otulały mroki odległej przyszłości, robił swoje jak koń w kieracie. Ale odkąd ujrzał Kitara, zaczął liczyć każdą chwilę. Nosił go. Łaził. Czekał. I był gotów wszczynać bójki, zamiast im zapobiegać.

Wszyscy siepacze z Gardy tak się zachowywali.

Odbębiono im koniec wachty wczesnym popołudniem.

Nells nie pamiętał, kiedy widział Fokę Ridi tak piękną, wystrojoną, czystą, wymalowaną... Jaką tam, psiakrew, Fokę? Jej wysokość Ridaretę, niedotykalską księżniczkę z Agarów.

Wysiadła z szalupy na brzeg – ale najpierw poczekała, aż majtkowie wyskoczą do wody i wyciągną dziób łodzi na piasek. Nie zamierzała zamoczyć skraju jasnozielonej sukni, przybranej ciemniejszymi, ale również zielonymi dodatkami. Haftowana złotą nicią szata była pozbawiona pasa, luźna, rozcięta – chyba po armektańsku; kto by tam spamiętał te mody?... Migotały dobrane do sukni złote łańcuszki i bransolety, mieniły się pierścienie. Część okrywających plecy włosów została ujeta w warkocz; wpleciono w niego ciemnozieloną wstążkę, pasującą barwą do opaski na wybitym oku. Lekko podtrzymując suknię, by się nie wlokła po piasku, księżniczka zbliżyła się do osłupiałego Nellsa i zabrała mu bat. Poszła dalej, bez słowa wyciągając rękę po drugi – gwardzista zrozumiał gest i pospiesznie odczepił zawieszony przy pasie wężydło. Bez pośpiechu, lecz zdecydowanie krocąc między drzewami, jej wysokość dotarła do skraju polany, zbierając po drodze mały orszak złożony z kolejno dołączających członków Gardy. Przemierzyła polanę, dotarła do dalszej „tawerny” i zaczęła tłuc batami gdzie popadło i kogo popadło. Nie poplątały się jej, ale lewa ręka, zrośnięta już po wczorajszym złamaniu, jednak trochę bolała. Musiał wystarczyć tylko jeden batog. Do reszty rozsypywał się otwarty szałas, od początku będący raczej połączeniem jedlinowej ścianki z daszkiem. Budzeni bolesnymi smagnięciami pijacy podrywali się z ziemi, gotowi z miejsca dobrać się do skóry sukinsyna, który sobie w ten sposób żartował, ale byli chwytni przez innych – tych mianowicie, którzy wcześniej nie spali i z otwartymi gębami przyglądali się nadchodzącej Ridi. Pośród wrzasków i jęków („Mamuśka... ale za co?! Mamuśka!”) bezładnie stłoczone stado co sił w nogach jęło zmierzać ku środkowi polany, bo to miejsce wskazała batem.

– Gdzie, dokąd? A z kim pili ci tutaj, co?

Jak najspieszniej zawrócono po kilku nieprzytomnych kamratów.

Rozpapranych grup i grupiek wszędzie było pełno, ale już się wszczął nerwowy ruch: przerywano śpiewy, kopniakami i potrząsaniem budzono schlanych kompanów. Wydierała się pijana dziwka; dostała w papę, a gdy nie pomogło, zarobiła raz jeszcze, ale tym razem pięścią – to już było w sam raz, a nawet trochę nadto, bo ktoś musiał ją wlec albo nieść. Tak samo przyłożono kilku marynarzom, którzy nie poznaliby rodzonej matki – a więc nie poznali i „mamuśki”. Ta zaś właśnie ruszyła ku jednej z większych grupiek.

Na łeb na szyję, przewracając się i co prędzej wstając, skupiona w owej grupce brać żeglarska pognała ku środkowi polany, podtrzymując bądź ciągnąc tych, którzy nie mogli iść sami. Ridi zatrzymała się, zmieniła kierunek i poszła ku drugiej grupce, zaraz skierowała się ku trzeciej, ale potem już tylko stała, bo wszystko, co żyło, przemieszczało się z najwyższym pośpiechem ku rosnącej gromadzie na polanie. Wkrótce skotłowana, bezładna, ale jednak w miarę zwarta banda zastygła w niepewnym oczekiwaniu.

Szumiał las. Świergoliły ptaki.

Wlokąc dwa baty, kapitana niespiesznie podeszła do grzecznych i cichych, co najwyżej z rzadka czkających i bojaźliwie wciągających smarki synków. Postępowali za nią wymęczeni, szczęśliwi, prawie piękni w swym zadowoleniu chłopcy z Gardy.

– Na plażę – powiedziała kapitana. – Zabrać tych, którzy nie mogą iść sami. Jak zostanie jeden, to wrócą po niego wszyscy.

Takich, którzy nie mogli chodzić, była mniej więcej jedna piąta. Załoga, niezbyt sprawnie, ale bardzo skwapliwie, jęła wsiąkać między drzewa, za którymi majaczyła woda. Wkrótce mrowie ludzi wyległo z lasu na piasek. Od słońca bolały oczy – jednak w lesie było więcej cienia. Leśni marynarze zdążyli już zapomnieć, jak wygląda morze, i gapili się teraz na horyzont.

Właściwie to myśleli, że jest większe.

Wlokąc swoje baty, księżniczka wyszła na skraj lasu. Nells-Kotwica wyprowadził Gardę.

– Do wody. Powiedziałam: do wody! Kto nie słyszał?

Jedni poleźli od razu, drudzy jęli spoglądać po sobie. Woda?... Były jednak granice tego, co można wyrzucić człowiekowi. Tak po prostu – woda? Do wody?...

Lewa ręka nie bolała aż tak bardzo, by w ogóle jej nie używać. Dwoma batami jednocześnie Ridi smagała piasek, majtków, dostało się nawet burcie wyciągniętej na brzeg łodzi. Wyrzuciła jeden z batów, odwróciła się i wyjęła z pochwy przy pasie Nellsa miecz. Ruszyła ku liżącym plażę falom. Majtkowie przepychali się i tłoczyli w wodzie, uciekając poza zasięg bata. Migotała iskierka nadziei, że kapitana nie zechce zniszczyć swojej pięknej sukni i nie wtargnie do morza za załogą.

– Macie tu łuk albo kuszę? – zapytała Nellsa. – Wystarczy mi cokolwiek, co strzela.

Gwardziści popatrzyli po sobie. Ktoś tam na polanie chciał pobawić się w myśliwego...

– Wiem! – powiedział dryblas z krostowatą gębą i nieładnym nosem, od którego odcięto kiedyś czubek. – Ja wiem, kapitana! Przyniosę!

Poleciał.

Wkrótce przyniósł kuszę. Kapitana cmoknęła końce palców i przyklepiła mu buziaka do policzka, cały czas spoglądając na załogę.

Banda w morzu nie wiedziała co się dzieje. Trzeźwiejący w chłodnej wodzie pijacy patrzyli z narastającym niepokojem na uszczęśliwionego całusem od pięknej kapitany dryblasa, który zdołał bez korby napiąć cięciwę, choć omal się przy tym nie skichał. Wzięła ciężką broń i trzymając trochę niezgrabnie, nisko przy brzuchu, powiedziała głośno:

– Na okręt. Ale już.

Plusnął w morze wypuszczony belt; przeraźliwie wrzasnął żeglarz, którego wprowadzie tylko obryzgała trzepnięta pociskiem woda – on jednak sądził, że dostał, że nie żyje. Wielu, słysząc agonalny krzyk, pomyślało podobnie: że jest trup. Niektórzy dobrzy, a nawet tylko znośni pływacy z miejsca rzucili się w fale, bo okręt kotwiczył naprawdę niezbyt daleko, a nie było na nim kapitany – za to co niemiara różnych zakamarków, schowków i kryjówek. Inni jednak uderzyli w lament; przecież nie każdy umiał pływać! Pośród błagalnych wrzasków głucha kapitana czekała, aż kolejny z jej gwardzistów upora się z cięciwą kuszy. Kiepsko szło.

– Puste beczki, klamoty, co wam się podoba! – wrzasnęła. – Są w obozie! Ja tu chwilkę postoję, potem wracam na „Trupa”! Kto nie zdąży tam przede mną, ten zostaje!

Chlapiąc, płaszcząc, ociekając, kilkadziesiąt pokracznych ziemnowodnych stworzeń wydostało się na plażę, po czym prostymi bądź krętymi drogami pognało do porzuconego, tak bezpiecznego i przytulnego jeszcze niedawno obozu. Przewracając się, walcząc o puste skrzynki i beczki, pijacy niemal wszyscy jednocześnie rozbudzili w sobie instynkt przetrwania, odkrywając żelazną stadną regułę, a było nią – współdziałanie. Odbijano denka od baryłek – ale co komu po skrzyni, której nie dało się unieść?... Brano jedną we dwóch, te największe porywało czterech. Stoły z desek na beczkach – to były przecież wspaniałe gotowe tratwy! A służący do siedzenia, długi na sześć kroków kawałek drzewnego pnia?!... Pół setki chłopca parło z powrotem przez las, w małych grupkach wylęgało na plażę i co spieszniej rzucało się w fale, bo Ridi wciąż stała z kuszą. I znowu ją uniosła, już trzymała przy brzuchu!...

– Ostatniego łamagę zatłukę! – wrzasnęła. – Stoję tu i stoję, jak...!

W pasie wody między „Zgniłym Trupem” a lądem aż roiło się od wystających nad powierzchnię głów, bryzgających wodą nóg, trzepiących ramion. Bełty z kuszy sypały się do wody jak grad, co chwila krzyczał kolejny zabity. Pływały jakieś klamoty. Ktoś zgubił swoje denko od beczki i przyzywał na pomoc towarzyszy, krzycząc tak rozpaczliwie, jakby jego też trafił pocisk.

Ridi oczywiście nie strzelała z kuszy, zwłaszcza że miała jeden belt, na dodatek bez grotu.

Oddała nieporęczną machinę gwardziście.

W płytkiej wodzie przy samym brzegu podtapiało się kilku porzuconych pijaków, schlanych do tego stopnia, że nawet zimna kąpiel nie przywróciła im przytomności.

– Przejdę się po plaży, może mnie trochę nie być. Weźcie łódź i płyńcie za nimi, może trzeba będzie kogoś uratować... Najpierw wyholujcie na piasek tych tutaj. Niech ktoś ściągnie warty z lasu i sprawdzi krzaki wokół obozu, czy na pewno nikt nie został. Niczego nie pakujcie. Niech Cichy przyśle tu wszystkich trzeźwych, żeby zabrali potrzebne rzeczy.

Pokiwała głową i dodała:

– Wy już swoje zrobiliście siedem razy. Nie zapomnę... i przepraszam was.

Drągale pootwierali zakazane gęby.

Księżniczka powolutku poszła brzegiem morza.

Nagle jeden z drabów zawołał:

– Kapitana!

Obejrzała się. Chłopak z Gardy uniósł przedramię, wokół którego omotana była ciemnozielona chustka, przewiązana niemożliwie brudnym strzępem.

– Za co ty nas, kurde, przepraszasz?...

Odwróciła się i poszła trochę szybciej.

Ridareta nie zabrała ze sobą do Rollayny żadnych marynarzy; towarzyszył jej tylko Sayl. Wyruszyli rano. Mieli dobrze wypchane juki i solidny trzos. Ridi wyciągnęła ze skrzyni swoją kolczugę, wybierając na drogę strój nie tyle podróżny, co wojenny. Druciana koszulka była dość luźna i nie sprawiała kłopotów, chociaż – opięta na wydatnym brzuchu – wyglądała cokolwiek dziwnie.

Na pokładzie „Zgniłego Trupa” Szczęściarz Mevev Cichy na nowo sprawiał załogę. Jedna noc nie wszystkim wystarczyła; kilku majtków bardzo źle zniosło gwałtowną odmianę trybu życia. Dwóch trzeba było związać. Potem wyłowiono i związano trzeciego, który wyskoczył za burtę, albowiem w dziobówce padł ofiarą ataku olbrzymiego kruka.

Reszta chorowała.

Cichy chodził po okręcie, doglądał załadunku kłopotów, które wciąż jeszcze zwożono z brzegu – a było tego mnóstwo. Marynarze pozabierali na ład najprzeróżniejsze rzeczy, które nie wiadomo do czego miały się tam przydać. Ponadto wróciło do ładowni kilka baryłek gorzałki, rozmaite narzędzia, pozbierano też kawałki desek, a nawet klepki z porzbijanych beczek, które jeszcze mogły do czegoś posłużyć – choćby tylko na opał pod kotłem. Odnowiono zapas słodkiej wody; tego na okręcie nigdy nie było za dużo.

Niby nic, takie tam doglądanie, krzątanie, a jednak pod wieczór Mevev był wykończony. Raz jeszcze zajrzał tu i tam, po czym przywołał Nellsa i powiedział:

– Żyjesz? Dobrze, bo ja idę pić.

– Jasne – markotnie odrzekł Dartańczyk. – To w takim razie ja dopiero jutro. A teraz wiadomo... Kotwica.

Mevev zatrzasnął się w kajucie. I pił.

I rozmyślał.

Ale wypił niedużo, a jeszcze mniej porozmyślał. Zaraz przyszedł wachtowy. Powiedział, że nadpływa łódź z „Kołysanki” i chyba siedzi w niej Kitar. Mevev patrzył, patrzył i patrzył, jakby rozważał, czy nie walnąć do gościa z dział baterii prawoburtowej.

Ale za mało wypił, żeby walnąć.

Kitar przyszedł uzgodnić dalsze współdziałanie. A raczej zapowiedzieć koniec współdziałania.

Usiedli sobie przy stole.

– Kazała ci tu czekać?

– Ta – powiedział Mevev.

– No to czekaj.

– A ty gdzie?

– Na Agary. W Aheli na pewno coś mają.

„Coś” oznaczało mniej lub bardziej sprawdzone wiadomości, sprzedawane przez różnych sprytnych osobników. Niektórzy byli godni zaufania. Żyli ze zdobywania, a następnie odstępowania pirackim kapitanom rozmaitych wieści. O ładunkach, ważnych pasażerach... Kręcić się po morzu z nadzieją na szczęśliwy traf można było zimą, niechby wiosną. Teraz jednak zbliżała się jesień. Niby jeszcze nie tak prędko, ale... Wiadomość to wiadomość.

– Przy okazji uzupełnię zapasy, dam się chłopcom trochę zabawić. – Kitar był rozmowny.

– Ta – odparł Mevev, bo nie był.

– Przede wszystkim zawiozę na Agary trochę wieści o ich księciu Raladanie, bo mają tam teraz... bezkrólewie. Powiedział, co mam mówić, gdybym zjawił się w Aheli przed nim. Chociaż, chyba myślał...

Kitar nie dokończył.

– Że wrócisz do niego razem z Ridi?

– Tak – powiedział Kitar.

Sięgnął po leżące na stole zawiniątko, które przyniósł ze sobą.

– Oddaj to jej, kiedy wróci. Chciała mieć to u mnie, ale...

Mevev odwinął szmatę i wziął do ręki ładne kobiece obuwie na bardzo wysokich koturnach. Pomyślał, rozejrzał się po ścianach, gdzie by to zawiesić... Wstał, trzymając za długie rzemyki. Odwrócił się i wyrznął kapitana „Kołysanki” w ryj, ale tak, że chrupnęła pięść.

Kitar przewrócił się wraz z krzesłem. Bardzo szybko jednak stanął na nogach, po czym oddał

Cichemu, który nie zdążył się uchylić, a po ciosie na chwilę siadł na pryczy.

– Zaraz cię zatłukę, braciszku, ale najpierw powiedz, o co chodzi – niewyraźnie rzekł Kitar, bo miał zuchwę ledwie trzymającą się w zawiasach. – Ty zacząłeś, to mów.

Cichy usiadł z powrotem. Wykonał słaby gest rękami, co przypomniało mu o rzemieniach, które wciąż trzymał w lewej garści. Uniósł wyżej i odrzucił klekoczące koturenki w kąt.

– Wynoś się z tego okrętu – powiedział równie niewyraźnie jak Kitar.

– Co masz do mnie? Że nie wyszło mi z twoją kapitaną?

Cichy oparł łokcie na udach i splótł palce. Oddychał głęboko. Roznosiło go.

– Przywałę ci znowu... chodź no tu – zapowiedział i wstał. – Tępy sukinsynu, tu nie można już było wytrzymać... Rano: „A Kitar powiedział”. W południe: „Jak się Kitar ze mną ożeni...”. Wieczorem: „Jak już będę żoną Kitara...”. Wypierdalaj! Nigdy was nie ma! Raladan drugi dobry!... – Mevev gadał, jakby zbierał się do tego przez całe milczące życie. – Odbija jej w jakiejś wiosce, nóż odbierasz, bo próbuje sobie sama urznąć łeb... Spada Pasma, patyk w zęby, bo sobie odgryzie jęzor!... Ten ją kocha, dobry tatuś, drugi się ożeni... Czego żeś zawracał jej dupę? No czego? Wiedziałeś, co z nią jest i jaka jest! Twoja żona?... Tam kotwiczy, „Kołysanka” się nazywa, wracaj do niej! Zostawiłbyś ją dla Ridi? Bo ona dla ciebie... już! Od razu wszystko! Taka dziewczyna dla takiego patalacha! Zostawiłbyś dla niej coś?

Z wyciągniętą ręką i palcem wycelowanym gdzieś w bok Cichy czekał na odpowiedź. Ale się nie doczekał.

– Dla każdego jest dobra, byle tylko z daleka. Żre się z tą swoją „suką”? Nells! Ktoś z niej robi głupią? No to Cichy! Kto to Nells? Kto to jest Cichy?!... Kapitana to, kapitana tamto, ładna jesteś, nie płacz kapitana... Idź już, bo naprawdę cię zatłukę! Ja ją pytam: „Co ty byś chciała?”, a ona: „Co ty nie wiesz, że nigdy nic się nie spełnia?”. Raz w życiu coś sobie wymyśliła... wymarzyła, jak to się ładnie mówi. I wiesz co? Nie spełni się jej. Wypierdalaj na swoją dziwkę z drewna! I żebym cię rano nie widział. Bo ci zerznę twoją żonkę z dział.

Rano „Kołysanki” nie było.

13.

Moldorn przywodził na myśl żywego trupa, upiora z gminnych opowieści. Człowieka którego dusza po śmierci tylko częściowo się rozpadła i ta jej część, która pozostała w ciele, nie mogła wrócić do Pasm Szerni. Niektóre przesądne ludy wierzyły w istnienie takich upiorów, chociaż w rzeczywistości nic podobnego istnieć nie mogło. Gotah sądził, że makabryczne opowieści o półtrupach brały się z okropnych pomyłek – otóż grzebano czasem ludzi żywych, którzy wyglądali jak umarli.

Moldorn właśnie wyglądał na kogoś takiego. Na człowieka, który wydarł się z grobu, gdzie został złożony w odrętwieniu podobnym do śmierci. Okryty pergaminową, żółtawą, niemal przezroczystą skórą, pod którą było widać sinawe żyły, miał częściowo zniszczoną twarz, na głowie zaś ani jednego włosa. Poruszał się sztywno i z trudem. Tylko błyskotliwy umysł wielkiego matematyka pozostał nienaruszony.

Gotah dowiedział się o losie nieszczęsnego Yolmena. Staruszkowi nie było dane dożyć w spokoju swych dni. Wciągnięty w awanturę, z którą najchętniej nie miałby nic wspólnego, został we własnym łóżku niemal rozkawałkowany przez zwierzęta z pirackiego żaglowca. I Gotah musiał wziąć ten straszny zgon na siebie. Łagodny sędziwy Yolmen porzucił swą spokojną pracownię tylko ze względu na prośbę młodszego przyjaciela, którego bardzo szanował. I któremu – choć z nielekkim sercem – postanowił pomóc w miarę skromnych, dopalających się sił.

A jak czuł się Moldorn?... Matematyk po raz pierwszy miał możliwość opowiedzieć komuś o tym, co przeżył i czuł. Był w En Anelu, stamtąd zaś pojechał do domu Gotaha, gdzie rozmawiał z Kesą, ale wobec Przyjętej nie zdobył się na zwierzenia. Teraz po raz pierwszy wyrzucił z siebie... trochę bólu. Pokazał skrawek ciężko poranionego sumienia. Tylko trochę bólu i zaledwie skrawek sumienia, bo nie umiał zdobyć się na więcej. Lecz słuchający go historyk i tak nie mógł się pozbierać po tym, co zobaczył.

„Pracowity, śmieszny pocziwiec, który nigdy nie skrzywdził muchy. Wiedział, co myślę o jego talentach, nie gniewał się, chociaż mi zazdrościł... Zawołał »Moldornie!«, bo pewnie myślał, że okryty swoim pancerzem Moldorn wyrwie z Szerni nie wiadomo co... Budzę się każdej nocy, bo słyszę to jego »Moldornie!«...”.

Niczego więcej Gotah się nie dowiedział; w każdym razie nie wprost. Bo z różnych napomknień, pojedynczych słów, niedokończonych uwag, zbudował sobie bliski prawdy obraz tego co się stało. Być może Moldorn uporałby się z napastnikami – pod warunkiem, że byłby sam. Pojmujący naturę Szerni, ale o jej siłach sprawczych mający wiedzę przypadkową, zaledwie wrywkową (bo jakże słusznie Gotah nazywał jego umiejętności „sztuczkami”!...), w pewien

sposób jednak potężny, choć nie będący wojownikiem mężczyzna, jakoś by się obronił przed bandą skrytobójców – ale zamiast tego najpierw próbował osłonić i ratować bezbronego towarzysza. Wojownicy... Tak, prawdziwi wojownicy, mający za sobą liczne doświadczenia, obdarzeni instynktem zabójców, na pewno potrafili w mgnieniu oka ocenić, co należy robić. Walczyć czy uciekać, iść naprzód czy się cofać, wspierać towarzyszy czy już tylko myśleć o sobie... Moldorn tego ocenić nie umiał. Niczemu nie zapobiegł, nikomu nie pomógł i przegrał, bo robił nie to co należy.

Zabijanie ludzi w prawdziwej walce było sztuką trudną. Nie wystarczał do tego brak skrupułów, płynący z przeświadczenia o słuszności bronionych racji.

Moldorn umiał tyle, ile umiał. Otwierał skrzynie oddane mu do dyspozycji przez Szerń i znalazł w nich niejedno, ale były to w większości rzeczy nieprzydatne, czasem nie wiadomo czemu służące, inne zaś owszem, mogły zostać użyte, ale nie zawsze z takim samym skutkiem. Moldorn trochę przypominał linoskoczek, którego umiejętności przydałyby się może podczas ucieczki ze szczytu ogarniętej pożarem wieży, ale były bezużyteczne w zalanej wodą ładowni tonącego statku, gdzie linoskoczek dowiadywał się, że, niestety, nie umie pływać. Sztuczki... Właśnie tyle potrafił potężny Moldorn-Przyjęty. Wyrwane z nicości głązy mogły pewnie na pełnym morzu unicestwić flotę wojenną, ale nie na wiele się przydały w wypełnionej mordercami izbie. Odniesione zaś w walce rany dało się bez wielkiego trudu zasklepić i wyleczyć – wszystkie oprócz tych, które spowodował błękitny płomień palącej się „kamiennej skóry”... To nie był zwyczajny ogień i tak samo nie były zwyczajnymi wywołane przezeń poparzenia. Sługa czarodzieja próbujący ukraść tajemnice mistrza padł ofiarą własnej niewiedzy i niemądrej pewności siebie.

A potem musiał brnąć dalej. Walcząc już nie o moc, nie o potęgę, ale po prostu o życie, jął otwierać kolejne skrzynie, szybko i coraz szybciej, nieuważnie... Rozrzucał dokoła siebie to co znalazł, szukał coraz bardziej gorączkowo. Nie miał już nic do stracenia.

Zwyciężył, zarazem zaś przegrał. Znalazł sposób pozwalający oddalić groźbę natychmiastowej śmierci, przy okazji zdobył upragnioną potęgę, bo umiał teraz sto razy więcej niż wówczas, gdy walczył z mordercami w Talancie – ale w trakcie chaotycznych poszukiwań został dotknięty czymś, czego nawet nie potrafił nazwać. I na to już nie było lekarstwa. Nie mogąc postawić żadnej diagnozy, Moldorn niemal z dnia na dzień rozpadał się od środka, niedołączył, umierał. Pozostały mu dni, a w najlepszym wypadku tygodnie. Miał skonać, nie wiedząc nawet, czym właściwie jest klątwa, którą na siebie ściągnął.

Patrzący na nieszczęsnego towarzysza Gotah nie potrafił odnaleźć w sobie satysfakcji, do której przecież miał prawo. Bo bał się grzebać w siłach Szerni; nie odważył się szukać. Mądrze, rozsądnie. Przezornie.

Posłuszny i pilny sługa czarodzieja, nie kradnący sekretów swego mistrza.

Marność i wszystko marność... Rozgoryczony Gotah – co prawda trochę na wyrost i trochę niesprawiedliwie – coraz surowiej osądzał potężną królową Dartanu i jej wierne sługi. Prostolinijny i niemal bezduszny, ale za to męski, stanowczy pirat z Agarów cieszył się na dworze pięknej *vany* większymi względami niż odstręczający z wyglądu, niemniej przecież wielki swoją wiedzą matematyk Szerni. Mądry człowiek, który może i błędził, bywał pochopny i zaciętrzewiony, niepotrzebnie zawzięty i mściwy... Ale jednak wszystko, co czynił, służyło jakiejś idei, doniosłemu celowi. Służbę tej idei przypłacał właśnie życiem. Co z tego, skoro był brzydki, nieciekawym, zbędny... To nie jemu Pierwsza Perła, rozmamłana ladacznica (Gotah od zawsze nie znoślił Anessy, choć doceniał niektóre przymioty jej umysłu i niewątpliwe zasługi dla tronu) przynosiła zaproszenie do stołu monarchini. Zapraszała gościa-więźnia, rozbójnika i mordercę, zdolnego wprowadzić do szlchetnych porywów, ale potrafiącego też szczerze odpowiedzieć: „Twoi żołnierze?... Wasza godność, zjawiłem się tam po to, żeby ocalić ciebie. O życie twoich żołnierzy nikt mnie nie poprosił. Nie znałem ich. Do niczego nie byli mi potrzebni”. Tylko tyle o losie dzielnych wojowników, którzy po walce z silniejszym wrogiem dostali się do niewoli.

Ale przecież tak właśnie rozumowali ludzie pokroju księcia Raladana. „Nie znałem ich, nie byli potrzebni”. Koniec, tyle. To nie był człowiek bez serca – ale jednak raczej ludzik niż człowiek, obojętny i zimny wobec wszystkiego, co go nie dotykało osobiście.

Trochę inaczej, a jednak równie chłodno wypowiedział się o losie wymordowanych na mniejszej wyspie księstwa rybaków – wieści o tym dotarły do Rollayny wraz z innymi, zasięgniętymi przez białą złodziejkę królowej. „Byli pod moją opieką i poczuwam się do winy, wasza godność. Niestety, nie umiem rządzić, robię to z konieczności. Na tej wyspie powinno przebywać pięćdziesięciu żołnierzy piechoty, nikt by wówczas nie porwał się na wioski, w których nie ma nic do zdobycia”.

Przyjęty zapomniał, że jeszcze niedawno sam przestrzegał żonę przed ocenianiem takich czynów. Skoro było możliwe popełnienie podłości, to ją popełniono – a cóż w tym nadzwyczajnego? Winę ponosił nie morderca, lecz nieudolny strażnik ofiary. Gotah zobaczył z bliska straszny świat silnych, którym wolno było cokolwiek – chyba że zostali powstrzymani przez silniejszych. Słabi nie mieli żadnych praw, mogli być najwyżej przydatni, potrzebni do czegoś silnym albo nie.

I co z tego? Podczas miłej wieczerzy w wąskim gronie, gdy do stołu z jej królewską wysokością siadło zaledwie osiem osób, Moldorna nie było wcale, za to księżę Raladan zajmował miejsce po prawej ręce rozbawionej monarchini, która zupełnie otwarcie – chciałoby się powiedzieć: aż bezwstydnie – okazywała mu swą przychylność i zyczliwość, nie wahała się osobiście zabawiać gościa rozmową, bo rzeczywiście raczej zabawiała, niż była zabawiana. Może i brakowało mu wiedzy, którą posiadał matematyk Szerni – ale za to nie zbywało na

okrętach; miał wprawdzie nieczułe serce – ale w zamian bardzo dobry port... Na tle grupki nadskakujących dworzan (starym zwyczajem, każdego wieczoru jeden lub kilku wysokich rangą domowników miało zaszczyt dzielenia stołu z monarchinią) aż bolesny był widok Księcia Małżonka, tradycyjnie – ale za to samotnie – zajmującego miejsce u przeciwległego krańca stołu. Nie znaczyło to, że nikt przy księciu nie siedział; o bynajmniej... Był samotny, bo wszystkie spojrzenia, wszystkie słowa kierowały się w drugą stronę. Tylko Gotah próbował zagaić rozmowę, co okupił maskowanym zdumieniem dworaków, wiedzących przecież najlepiej, z której strony wiatr wieje i na co na pewno nie warto tracić czasu. Księżę Awenor jednak już dawno nauczył się przyjmować swój los. Nie miał ochoty gawędzić, zbył więc Przyjętego tyleż grzeczną, co kończącą rozmowę odpowiedzią. Wkrótce potem posiłek dobiegł końca, ale było to zaledwie hasło, że wolno wstać od stołu i oddalić się. Oczywiście, nikt tego nie zrobił – poza księciem Awenorem, który podziękował uprzejmie i wymówił się od wieczornej pogawędki jakimś żartem. Gotah gotów byłby przyjąć zakład, że Małżonek codziennie miał przygotowaną jakąś nową, mniej lub bardziej żartobliwą, wymówkę. Wszyscy prócz królowej wstali, księżę wyszedł. I od razu zrobiło się raźniej; mrukiwy, skwaszony współbiesiadnik nikomu się przecież nie podobał.

Rozmowa nie dotyczyła polityki, tym bardziej zaś spraw jakkolwiek związanych z Szernią, Trzema Siostrami, Ferenem i Rubinem; to nie było odpowiednie grono osób. Przyjęty męczył się, słuchając bzdurnych uwag podskarbiego, płytkich, choć nawet zabawnych żartów łowczego, paplaniny Pierwszej Perły, z której cały rozum parował natychmiast, gdy prywatnie – nie w imieniu królowej – mówiła z jakimkolwiek mężczyzną, a na koniec dociekań jej królewskiej wysokości, pragnącej chyba wysondować, jak głęboko sięga cierpliwość agarskiego księcia. Gotah mimowolnie jął odzyskiwać sympatię dla nieodmiennie spokojnego i rzeczowego mężczyzny, który wydawał się o wiele bardziej godny miana władcy niż ktokolwiek inny przy tym stole, choć bodaj jako jedyny nie udawał kogoś, kim nie jest. Bo Przyjęty udawał dworaka, dworacy głupców (bez wysiłku), Pierwsza Perła plasterek miodu, królowa zaś miłą dziewczynę.

Nie była miłą dziewczyną. Była żelazną babą o wdzięku przydrożnego głazu. Prowadziła grę; przy stole, w obecności dworzan i przyszłego morskiego sojusznika na pewno pamiętała, kim jest.

– Nie wstawajcie, bawcie się. Wkrótce wrócę – powiedziała, nonszalancko lekceważąc dworskie obyczaje, co zdarzało jej się dość często.

Uważna niewolnica, posługująca przy posiłku, natychmiast odsunęła zwolnione krzesło, ułatwiając pani wyjście zza stołu.

– Jestem matką – dorzuciła królowa porozumiewawczo. – Anesso, pełnisz honory gospodyni.

– Tak, wasza wysokość.

Królowa wyszła.

Pora nie była bardzo późna i w pałacowych korytarzach jeszcze nie zamarł ruch. Domownicy i służba byli jednak przyzwyczajeni do widoku monarchini, która po swym domu zwykła się poruszać właśnie jak po domu. Czasem towarzyszył jej tłum, a czasem nikt. Poprzedzał ją szcęk okutych srebrem drzewc, mocno opieranych na posadzce, gdy kolejni halabardnicy prostowali się, przekazując sobie okrzyk:

– Vana!

– Vana!

Zwalniający środek korytarza ludzie uciekali pod ściany i zamierali w ukłonach, czekając, aż królowa ich minie. Czasem kogoś zauważyła, a nawet pozdrowiła uśmiechem bądź skinieniem. Doszła do schodów i wpłynęła na nie, w zagadkowy sposób radząc sobie z niewygodnymi stopniami; rozłożysta, usztywniona fiszbinami spódnica granatowo-czerwonej sukni maskowała rytm kroków.

Od zewnętrznej ściany... Należało zaczynać od zewnętrznej ściany, a następnie ścinać łuk schodów. Przemierzone na ukos stopnie pozwalały postawić dwa drobne, ale równe kroki na każdym. Jeden z malutkich sekrecików, pomagających zachować godny wygląd.

Zresztą... Gdyby Ezena na swój własny użytek nie odkryła „tajemnicy schodów”, Pierwsza Perła raczej kazałaby je wyburzyć i zbudować od nowa, niżli pozwoliła, by jej pani we własnym domu gramoliła się ze stopnia na stopień.

Dwie kobiety w prześwietnych sukniach spotkały się na schodach między drugim a trzecim piętrem zachodniego skrzydła.

– Vana!

Okrzyk przebrzmiał, nie podano go dalej. Królowa przystanąła.

– Gdzie idziesz?

– Do Jego Królewskiej Wysokości – powiedziała Hayna. – Pożyczyłam i chcę... oddać.

Uniosła zwoik, z którego zwieszała się wstążka tytułowa.

Królowa popatrzyła na łososiowej barwy suknię z czerwonymi i czarnymi aplikacjami, do których pasowała jedwabna zasłonka na twarzy Czarnej Perły.

– Ho, ho... – powiedziała kpiąco. – A co czytacie?

Na białej wstążce tytułowej widniało złotymi literami: *Einereaisoena*. Monarchini troszeczkę zrzędzła mina, bo o wysokim armektańskim wiedziała tyle, że jest. Poematy składające się ze słów, spośród których ani jedno nie należało do potocznego języka, mógł czytywać do poduszki syn najświetniejszego armektańskiego rodu, może jeszcze Perła z bardzo dobrej hodowli... ale na pewno nie praczka, która została królową.

– *Stos pogrzebowy pod gwiazdami*, wasza królewska wysokość.

Ezena jeszcze raz popatrzyła na swoją przyboczną. Na kolczyki i zrobioną brew.

– Sypiasz z moim mężem? – zapytała z właściwą sobie bezpośredniością.

– Słucham?...

– Pytałam, czy sypia...

– Słucham?

Tak chłodno – tym razem naprawdę tak chłodno, że królowa się przestraszyła. U podnóża tych fatalnych schodów mogła zaraz spocząć, roztrzaskana na kawałki, kilkuletnia przyjaźń.

Kto jak kto, ale Księżę Zajączek na pewno nie był tego wart. Na kogo albo na co teraz wyszła? Na psa ogrodnika?... Ezena przeklęła w duchu swój niewyparzony język.

– To nie moja sprawa, przepraszam – powiedziała. – Nie miałam na myśli nic złego, zwykła babska ciekawość. Nie mów mi.

To rzeczywiście nie była jej sprawa. Gdyby zabroniła lub kazała się o czymś powiadać, wtedy tak. Ale pozwalała swoim niewolnicom (zwłaszcza rozsądnej Haynie, bo bezwstydnej Anessie mniej) na prywatność tego rodzaju. Męża zaś nigdy nie prosiła o nieużywanie takich albo innych, należących do niej, przedmiotów. Trudno, żeby była zazdrosna o niewolnicę. Czyli właśnie przedmiot.

Jednak trochę była.

Niektóre przedmioty miały dusze.

– Idź – pozwoliła. – Czekaj. Kiedy wyjeżdżasz na spotkanie księżniczki Ridarety?

– Pojutrze rano.

– Nie za późno?

– To i tak dzień wcześniej, niż trzeba. Ale jeśli rozkażesz...

– Nie. Ty wiesz lepiej ode mnie. Słuchaj...

Zawahała się.

– Słuchaj, gdybyś chciała porozmawiać... Zwierzyć się albo... Nie chodzi mi o żadne... twoje sprawy, które masz tylko dla siebie. Po prostu pamiętaj o mnie, Hayno. Że jestem. Że oprócz Anessy masz jeszcze jedną przyjaciółkę.

– Wiem, Ezeno. Teraz nie przyjdę, bo wypełniam twoje rozkazy, które mi się nie podobają i z którymi się nie zgadzam. Zaraz znowu zaczęłabym o tym mówić, przekonywała od początku, a ty byś się tylko niepotrzebnie złościła – odpowiedziała trochę żartobliwie, a trochę poważnie Perła. – Ale jak już wszystko się skończy, na pewno przyjdę.

– To dobrze. Ja też lubię porozmawiać, a z Anesą nie o wszystkim mogę. Ona czasem nic nie rozumie.

Czarna Perła uśmiechnęła się.

Uśmiechu tej dobrej dziewczyny nie potrafiła ukryć nawet zasłonka na twarzy.

Dla Ezeny było jasne, że jeszcze chwila podobnej rozmowy o niczym, a ośmiesz się, w nieskończoność trzymając na schodach kobietę, która idzie do jej męża oddać pożyczony zwoik z wierszami.

Zamiast wysłać niewolnicę do posług.

Sięgnęła do gorsu sukni Hayny, wyprostowała i wygładziła róg wykładanego kołnierza, który się lekko podwinął.

– No, idź.

Hayna ustąpiła swojej pani z drogi i ukloniła się. Królowa poszła dalej. Halabardnik zawołał do kolegi:

– Vana!

Przekazywana sobie przez kolejnych żołnierzy straży pałacowej królowa doszła do komnat dziecięcych, z odrobiną zawiści myśląc po drodze o tym, że w tym wielkim domu każdy, nawet niewolnica, miał prawo do swoich słabości, może nawet miłostek... Każdy, tylko nie ona. Tylko dla niej w sąsiedniej sypialni nigdy miało nie być nikogo.

Mały księżę nie spał. Odpowiedziawszy uśmiechem na ukłon mamki i piastunki, Ezena pozwoliła im usiąść, po czym schyliła się nad kołyską. Jego królewska wysokość księżę Lewin siedział o własnych siłach, w skupieniu tłukąc pościel miękką kolorową zabawką – silny chłopak, godny swojej dużej i postawnej matki. Gdy ujęła go pod pachami i uniosła, od razu porzucił zabawkę.

– Ktoś tu robi się coraz cięższy – powiedziała z tak dobrze udaną surowością, że mogłaby napędzić stracha każdemu.

Jednak kilkumiesięczne stworzenie było już dość duże, by wykształcić w sobie przynajmniej dwie z najznamienitszych ludzkich cech, mianowicie lizusostwo i podłość. Ojciec kochał je bezwarunkowo, dlatego mógł być stale szantażowany płaczem, dręczony i wykorzystywany na najwymyślniejsze, dostępne niemowlęciu sposoby. Natomiast o względy matki należało zabiegać, była więc szanowana i kochana w dwójnasób. Księżę Lewin wyłaził wprost ze skóry, by się jej przypodobać: gaworzył, uśmiechał się, zaciskał pięści na granatowych włosach i ciągnął z całej siły, po czym ślinił matczyną szyję – przytulony i uszczęśliwiony. Nie bał się niczego co mówiła; w zamian bardzo szybko odkrył, że wrzask i protesty niechybnie zaowocują najstraszliwszą karą – powrotem z jej ramion do kojca albo kołyski.

Jej wysokość roześmiała się, delikatnie uwalniając pasmo włosów ze zniewalającego uścisku męskiej dłoni.

– Mój mały król... Już niedługo, za kilka lat, to ty księżę będziesz do mnie przychodził – powiedziała, całując gładkie czoło. – Przyjdiesz do matki i powiesz: „Dobranoc, wasza wysokość!”. Czy tak będzie? Hm?

Lewin gaworzył ze wszystkich sił. Gotów byłby się wyprawić do komnat jej królewskiej wysokości choćby zaraz, by uzyskać jeszcze jeden pocałunek na dobranoc.

Otrzymał go, nie trując swych dostojnych – choć mało użytecznych, jak na razie – nóg. Ponadto został pogłaskany palcem po policzku.

– Jutro albo pojutrze opowiem ci, czy ciągle jesteśmy sami. Bo może już nie?... Może będziemy mieli zamorskich sojuszników? Posłusznych silnemu wodzowi, dzielnych ludzi na wielkich okrętach... – Opowiadając bajkę, królowa przykucnęła z dzieckiem na kolanach; na tle jej szeroko rozpostartej sukni następcą tronu wydawał się naprawdę malutki, znacznie mniejszy niż w rzeczywistości. – Może już nie będziemy samotni... sami przeciw całemu światu. Otoczeni zewsząd przez wrogów. Może pokażemy, że jesteśmy tak bardzo silni... tak silni, że nie trzeba palić wiosek i zabijać ludzi?... Może mądra ciocia w dalekim Armeckie... oj, to kolczyk! Proszę puścić, cóż to za zwyczaj? Może mądra ciocia w dalekim Armeckie będzie chciała mieć siostrę w Dartanie, a nie służkę?... Hm? Wasza królewska wysokość?

Książę radował się, gulgocząc, doradzając i pytając. Opowiedziała mu jeszcze jedną bajkę, podroczyli się trochę, po czym wrócił do kołyski, niezadowolony tylko na tyle, by matka widziała, że z daleka od niej jest niedobrze. Wyrzucił zabawkę podaną przez piastunkę, ale przyjął wszystkie, które dała królowa. Pohałasował grzechotką i trochę się pocieszył.

– Czy o czymś powinnam wiedzieć? Na niczym wam nie zbywa?

– Nie, wasza królewska wysokość.

Opiekunki pokłoniły się i królowa wyszła. Wkrótce z korytarza dobiegło stłumione, podkreślone szczękiem uderzającego o posadzkę okucia halabardy:

– Vana!

* * *

Hayna nie sypiała z księciem Awenorem. Tamten jeden jedyny wieczór to było co innego... Nigdy nie zapytał, dlaczego się odeń odsunęła, stała bardziej obca i daleka niż kiedyś – jeszcze przed swą brzemienną w skutki podróżą do Niskiego Grombelardu. Chyba rozumiał, że wyrosło między nimi coś, czego już zburzyć się nie da: zimny mur wdzięczności. Został zaciągnięty dług, którego niewolnica – nawet najświetniejsza – w żaden sposób nie mogła spłacić. On zaś ze swej strony nie śmiał niczego proponować, o nic prosić, ani nawet o nic pytać, z obawy, że zostanie to poczytane właśnie za żądanie spłaty długu. Chociaż uważał, że nic mu nie była winna. Tylko jak miał powiedzieć, że nie jest?...

Nie podzielili się tą myślą, ale oboje, niezależnie od siebie, odkryli, że trudno o większą podłość niż jednostronne wyświadczenie komuś dobra. Takiej niegodziwości się nie zapominało. Stokroć łatwiej było przebaczyć wyrządzoną krzywdę niżli stale żyć ze świadomością, że jest się komuś coś winnym.

Dłużniczka czuła się niewdzięcznicą, wierzyciel winowajcą.

– Pójdę już.

Zamienili jeszcze kilka słów; on zażartował, ona uśmiechnęła się i poszła.

Bliżej było jej do księżniczki Riolyty Ridarety, której mogłaby coś przebaczyć, niż do

wspaniałego łagodnego mężczyzny, skazanego na samotność w tętniącym życiem domu.

Lecz los sprawił, że tego wieczoru spotkało się dwoje obcych ludzi, którzy mogli nawzajem wyświadczyć sobie dobro i rozejść się, by już nigdy się nie spotkać.

Hayna szła do komendanta Ohegeneda, który chciał poznać jej zdanie na temat nieco innego ustawienia wart. Na opustoszałym korytarzu, tym samym z którego jeszcze niedawno ratowała się ucieczką przez okno, spotkała idącego dokądś mężczyznę w nijakiej burej szacie, z głową okrytą kapturem. Nie pasował do tego domu. Widzieli się dotąd tylko raz. Nie rozmawiali, ale dowiedziała się czegoś od Gotaha. Kilku ważnych, bardzo ważnych, rzeczy. Idący nie uniósł głowy, więc nie poznał jej, bo nie dostrzegł zasłonki na twarzy, kątem oka zaś widział najwyżej mijającą go kobietę w prześwietnej sukni, nie mającej nic wspólnego z wojennym ubiorem Czarnej Perły.

Zatrzymała się i przez chwilę patrzyła za idącym. Doszedł prawie do schodów, gdy powiedziała:

– Warta! Salut wojownikowi.

Halabardnicy przy schodach wyprostowali się, uderzając okuciami halabard o posadzkę, i zastygli z prawymi dłońmi przy piersiach.

Mężczyzna przystanął. Odwrócił się i wolno odchylił brzeg kaptura, pokazując chorobliwie bladą twarz, naznaczoną z prawej strony wstrętnym liszajem o fioletowej barwie – nieregularne zgrubienie biegło od podbródka wzdłuż krawędzi policzka aż do oka i wyżej, niknęło gdzieś w cieniu kaptura, być może kalało całą niewidoczną część głowy. Patrzył na kobietę, która nie miała na sobie wojskowego ubioru, więc ujęła spódnicę sukni i skłoniła się, oddając mu honory na kobiecy sposób. Chciała odejść, ale uniósł rękę, jakby prosił, żeby tego nie robiła. Poruszał się z trudem, ale miał do przejścia tylko kilkanaście kroków.

– Jesteś, pani, Czarną Perłą królowej?

– Tak, wasza godność.

– Przebacz mi, że cię nie poznałem i minąłem obojętnie... Nie pamiętam o tak wielu rzeczach... A przecież mam sprawę do ciebie, wasza godność. Wielką prośbę.

– Prośbę do mnie?... Dobrze, powiedz panie, czego sobie życzysz, a jeśli będę mogła...

– Będziesz mogła, a nawet musiała, bo dzisiaj już nie jest prośbą, lecz żądaniem. Oto jak wyglądam, Czarna Perło – powiedział, zsuwając kaptur i odsłaniając całą, ohydnie oszpeconą głowę; zdrowa była tylko część twarzy. – Pokaż mi swoją twarz, bo zanim umrę... chcę zobaczyć kogoś, kto ucierpiał w tej wojnie tak jak ja.

Niewolnica milczała.

– Proszę i żądam – powiedział z naciskiem Moldorn.

– Jestem... kobietą. Nie mogę.

– Zrób to, pani. Chcę cię zobaczyć.

– Czy tutaj? Teraz?...

– Tak.

Korytarz był pusty, stała tylko warta przy schodach. Jeszcze jeden halabardnik dalej i następny bardzo daleko... Hayna wolno odpięła zasłonkę.

Przyjęty milczał.

– Wiem przynajmniej, o co walczyłem. O to, żeby w imię żadnych racji nie wolno było wyrządzić komuś tego, co wyrządzono tobie. Żadnych usprawiedliwień dla... czegoś podobnego... nie znajduję.

Nieszczęśnica, zagryzając obwiedzione krzywymi bliznami usta, nie była w stanie powstrzymać pojedynczej łzy – żalu i upokorzenia, bo tak wyglądająca kobieta nie miała większego sekretu i nie mogła się wstydzić niczego bardziej niż swego niezawinionego kalectwa. Nie licząc królowej, Moldorn był pierwszym i ostatnim człowiekiem, który widział jej zniekształconą twarz. Drżącą ręką sięgnęła do zasłonki.

– Jeszcze nie, zaczekaj... Kesa mogła, ale nie chciała, i na pewno jej to wybaczysz. Gotah nie potrafi. Ale ja... – Dotknął jej twarzy, po czym mocno przesunął ręką, jakby coś ścierał palcami albo zbierał. – Ja jestem tylko mężczyzną, mam przed sobą kilka tygodni życia i nie muszę być piękny, Czarna Perło.

Nie umiała wykrztusić słowa, widząc, jak policzki Przyjętego pokrywają się strasznymi bliznami, zmieniają w oczach... Znała rysunek tych blizn! Wydała zduszony okrzyk, przycisnęła dłoń do twarzy i nie wyczuła pod palcami żadnych zgrubień, szram... Została tylko jedna wyczuwalna skaza, na samym skraju policzka, niemal zakryta włosami – w tym miejscu, w którym Przyjęty nosił własne znamię... Odwróciła się gwałtownie ku oknu, którego szyba była teraz lustrem, bo na zewnątrz rozpościerała się noc. Skażona wyraźną blizną twarz była jednak normalną ludzką twarzą, nieodpychającą, po prostu naznaczoną nieładną pamiątką po kontakcie z wojennym żelazem.

Czym innym była skaza na ślicznej kobiecej twarzy, a czym innym potworna maska, od której każdy musiał ze zgrozą odwrócić wzrok. Czarna Perła królowej nie wierzyła oczom i bała się odetchnąć, by nie spłoszyć... nie stracić... Nie uronić ani jednej chwili snu o tym, że odzyskała swój dawny wygląd.

Wykrztusiwszy coś, co nie miało żadnego sensu, rzuciła się starcowi do kolan. Ale on, choć zniedołężniały, przykucnął na posadzce niemal równo z nią.

– Więcej zrobić nie umiem, a jeśli nawet bym mógł, to z niepewnym skutkiem... We wszystkim musi być zachowana jakaś równowaga. Nie płacz, dziecko. Z powodu jednej kobiety znieawidziłem kiedyś wszystkie i... na pewno niesłusznie. Jak brzmiał ten rozkaz?... „Salut wojownikowi!”. Pierwsze bezinteresownie dobre słowo, jakie ktoś miał dla mnie... bodaj kiedykolwiek... Będę to sobie mamrotał, umierając. Nic mi nie jesteś winna. Nic a nic.

Pozbawione rzęs powieki nie mogły ukryć wilgotnego błysku w oczach. Przyjęty pospiesznie nałożył kaptur, bo jego głowa ze straszliwie poblížnioną twarzą w ogóle już przestała przypominać część ciała istoty ludzkiej. Poszedł, zostawiając pod ścianą roztrzęsioną dziewczynę, do której zbliżał się niepewnie jeden z wartowników, zaniepokojony widokiem klęczącej na posadzce dowódczyni, która jednak nie wzywała żołnierzy, nie krzyczała... więc nic złego się chyba nie działo. W zamian zaraz mogło się dziać, jako że bez rozkazu opuścił posterunek, a w tych sprawach nie było żartów.

– Perło?...

Prosty gwardzista miał zostać nagrodzony pierwszym – wprawdzie mokrym od łez szczęścia i radości – uśmiechem, jaki Czarna Perła pokazała komukolwiek od czasu nadmorskiej potyczki. Śmiała się i płakała, wyciągając ręce, aż – niepewny siebie, mocno zakłopotany – odstawił pod ścianę oręż, podniósł ją i przytulił.

* * *

Moldorn-Przyjęty opuścił pałac następnego dnia rano, nikogo nie prosząc o zgodę, nie usprawiedliwiając się przed nikim, nie dziękując monarchini za gościnę. Gotah znalazł w jego komnacie plik pokrytych matematycznymi zapiskami kart i list.

Gotahu!

Wiem, że z matematycznych wywodów niewiele dla Ciebie wynika, zechciej więc przyjąć krótki do nich komentarz. Jeśli zdarzy Ci się jeszcze kiedykolwiek spotkać matematyka Szerni, co, niestety, wcale nie jest pewne, możesz go poprosić o potwierdzenie tego, co właśnie na Twój użytek piszę. Myślę jednak, że zechcesz uwierzyć mojemu słowu.

Spadło Ciemne Pasma, o czym wiesz, a ubytki w treści Szerni zostały wyrównane nie przez obniżenie potencjału Jasnych Pasm albo wykluczenie któregoś. Szerń, dla zachowania równowagi, niczego się tym razem nie wyżyła, przeciwnie. Rzeczy oczywiste umykają nam najłatwiej, bo jak to się mówi: najciemniej jest w kręgu światła świecy, trochę więc żałuję, że nie oglądam teraz wyrazu Twego oblicza. Ale ja na pewno wyglądałem podobnie, gdy Yolmen zaczął przedstawiać mi swój wywód. Te gęsto zapisane pliki, które Ci zostawiam, są naszym wspólnym dziełem, staruszka Yolmena i moim. Chociaż raz byliśmy sobie naprawdę nawzajem potrzebni; Yolmen nigdy nie miał potrzebnej intuicji, ale za to Moldornowi zawsze brakowało wytrwałości i pracowitości. Nie umiałem kiedyś docenić korzyści wynikających ze współpracy.

Gotahu, Rubin Córki Błyskawic jest teraz symbolem niczego. Tam, gdzie były dwa Odrzucone Pasma, uwikłane we wzajemne zależności, pozostało jedno; drugie Szerń dobrała na miejsce straconego. Nic mi nie wiadomo o jakimkolwiek Geerkoto, który byłby symbolem tego ostatniego Pasma poza Szernią; coś takiego musiało się pojawić, ale na pewno nie jest żywe, więc w żaden

sposób nie zagrozi symbolowi Ferenu. Księżniczka Riolata Ridareta to zbrodniarka, która winna odpowiedzieć za swe zbrodnie, ale uczonych Szerni może interesować już tylko jako jedyny na świecie Ciemny Porzucony Przedmiot, który do niczego nie służy, będzie zaś się powoli rozpadał tak jak wszystkie opisane w Księdze Całości Przedmioty, dla których w wyniku Pierwszej Wojny Potęg zabrakło odpowiednika w Pasmach Szerni. Proces tego rozpadu do pewnego stopnia można przewidzieć na podstawie znanych analogii, opisałem więc go do momentu, po przekroczeniu którego ilość niewiadomych i zmiennych zaczyna wykładniczo narastać – poza nakreśloną granicą trudno już mówić o matematycznym wywodzie zakładającym pewien margines błędu. Jest to już czyste „gdybanie” i jako takie należy do Twojej dziedziny, nie mojej. Mówiąc językiem słów, a nie liczb, mogę więc rzec tylko tyle, że proces tego rozpadu będzie nierównomierny, przy tym dość powolny, jak zawsze w przypadku Przedmiotów symbolizujących więcej niż jedno Pasma – mówię więc o horyzoncie czasowym odległym o tysiąc dwieście do tysiąca sześciuset lat. Koniecznie należy przy tym przyjąć, że Rubin Riolata rozpadnie się znacznie szybciej, szczególnie jeśli utrzymanie jego niezwyklej cielesnej powłoki nadal będzie wymagało tak wzmożonej aktywności; tu przypomnę – wybacz mi, mędrcze Szerni, ale czasem sam już nie jestem pewien, co Wy „gdybacze” w ogóle wiecie, a co tylko sobie obracacie, by obejrzeć z tej strony, która Wam akurat odpowiada – że utrzymanie Rubinów, zresztą wszystkich Przedmiotów, w normalnym dla nich kształcie i postaci wymaga aktywności zerowej. Mniemam, że ktoś taki jak piękna Ridarethe, wykończy Riolatę w sto czy dwieście lat, choć nie poprę tego wywodem matematycznym, bo zbyt mało mam danych wyjściowych, takich choćby jak aktualny potencjał tego konkretnego Geerkoto, w zamian zaś zbyt dużo niewiadomych związanych z jego dalszą, ujmijmy to tak, eksploatacją.

Pisanie listów nigdy nie było moją mocną stroną, usprawiedliw więc panujący tu bałagan. Na sam koniec chcę powiedzieć, Gotahu, że to pismo jest moim testamentem. Na pewno już się nie zobaczymy, postanowiłem więc uczynić Cię jedynym moim spadkobiercą, a nie mam niczego oprócz mojej wiedzy. Przekazuję Ci wszystko, co wiem o Rubinie Córci Błyskawic, chociaż może nie będzie to miało najmniejszego znaczenia. To coś, co jest nosicielem Rubinu, już mnie nie obchodzi jako Przyjętego, ale jestem nie tylko Przyjętym. Przede wszystkim jestem człowiekiem i tutaj, na ziemi pod Pasmami, prawa ludzkie obchodzą mnie tak samo, jak prawa rządzące Szernią.

Moldorn-lah'agar

Żadnego pożegnania nie było.

CZEŚĆ TRZECIA

Riolata i Ridareta

14.

Ciżba w pałacowym korytarzu rozstępowała się przed szybko idącą grupą zbrojnych.

Blizna, nawet tylko jedna i częściowo skryta pod włosami, nie dodawała urody i Czarna Perła nie rozstała się z jedwabną zasłonką, często ją jednak odpinała, bo już nie musiała wstydzić się swej twarzy – mogła zwyczajnie zasiąść przy stole, nie wywołując u nikogo odruchu przerażenia. Także teraz czerwona maseczka luźno zwisała z prawej strony, ale to dlatego że pierwsza gwardzistka królowej dopiero co zeskoczyła z siodła i potrzebowała pełnego oddechu. Łomocząc buciarami, chrzęszcząc żelazem, podążało za nią kilkunastu tak samo zmęczonych żołnierzy w pełnym ekwipunku wojennym. Zatrzymali się, posłuszni gestowi dowódczyni, która skinęła raz jeszcze, każąc iść za sobą człowiekowi w przyzwoitym, chociaż niezbyt czystym, odzieniu podróżnym. Prowadząc go, wkroczyła na korytarz wiodący do prywatnych pokoi królowej; poszła nim do samego końca. Bez żadnej zapowiedzi wkroczyła do komnat Pierwszej Perły.

– Anesso! – zawołała, przemierzając pierwszy pokój.

Palcem pokazała przyprowadzonemu mężczyźnie miejsce przy ścianie, takim gestem, jakby polecała psu: „Leżeć!”. Otwarła następne drzwi, w drugim dziennym pokoju także Anessy nie było.

Zjawił się rozpieszczony, figlarny rudy duszek, pod każdym względem wart swej pani – okrągłutka niewolnica o imieniu Ayana bądź Ajana; Hayna nie umiała zapamiętać, czy dziewczyna używa go w dartańskim, czy armektańskim brzmieniu. Zresztą różnica dotyczyła nie tyle wymowy, co pisowni.

– Perła jest...

– Z mężczyzną, niech zgadnę.

Hayna prawie nigdy nie była opryskliwa i służka Anessy raczej się zdziwiła, niżli przestraszyła.

– Nie, Perło. Jest chora, boli ją brzuch.

– Przejadła się – cierpko oceniła Hayna, najwyraźniej nie mająca humoru. – Gdzie choruje z tym swoim brzuchem?

– W sypialni, Perło. Ale nie zapowiem, bo rozmawia z kimś.

– A z kim?

– Z jego dostojnością podkanclerzym.

– I długo to potrwa?

– Właśnie miał wychodzić.

– W takim razie poczekam chwilę.

Hayna nadstawiła ucha; podkanclerzy chyba naprawdę wychodził. Spoza drzwi sypialni dobiegały odgłosy awantury. „Stale... zapominasz, panie...!”; „Nie, pani, nie zapominam, ty natomiast...” coś-tam-coś-tam; Hayna nie dosłyszała, ale za to dalej: „...niewolnicą! Bezczelną niewolnicą!”. (Anessa wrzasnęła z oburzenia). „Wtedy, Perło, wyjdą na jaw twoje łajdactwa, o tak! o tak! Łajdactwa, piękna pani! Łajdactwa!”.

Otwarły się drzwi. Spocony, czerwony na twarzy dostojnik trzymał pod pachą jakieś zmięte rulony i pliki.

– Nawet w imieniu królowej! Nawet kiedy w imieniu królowej... to z szacunkiem! Tak, tak, Perło! Z szacunkiem!

– Dobrze, panie, już dobrze... Przepraszam i daj mi to pismo.

– Z szacun... Hę? – zapytał podkanclerzy.

– Jestem chora i uniosłam się... Przyjmę to sprawozdanie.

Tak słodko, że opartą o ścianę Haynę przeszły ciarki. Podkanclerzy był nim od niedawna (jego poprzednik, mądry, ale wiekowy człowiek, zmarł na serce jakiś czas temu) i nie wiedział jeszcze, co to znaczy, kiedy łasi się doń żmija. Znał, oczywiście, Pierwszą Perłę Domu, ale nie załatwiał z nią spraw. Zawrócił do sypialni, poszeleścił swymi dokumentami, powiedział coś spokojnie i dostał łaskawą odpowiedź. Już było po nim, a przynajmniej po jego sprawozdaniu. Raz uzyskawszy przewagę nad Anessą, należało ją natychmiast dobić, bo inaczej... Ucięte łby odrastały.

Podkanclerzy o tym nie wiedział. Wyszedł. Dopiero wtedy zobaczył Haynę i zeszywniał – jednak tylko na chwilę, bo poznał Czarną Perłę. To nie był ktoś obcy, przed kim należało udawać nie wiadomo co.

– Wasza dostojność – powiedziała.

– Perło.

Uprzejmie skinął głową i poszedł.

Hayna ruszyła do sypialni. Ruda służka, chcąc wypełnić swoje obowiązki, uprzedziła ją. Skrzywiona Anessa oddawała jej właśnie gruby plik wymiętoszonych kart.

– Co ci jest? – zapytała Hayna.

Pierwsza Perła opadła z westchnieniem na poduszki. Wyglądała naprawdę nietęgo.

– Boli mnie... – odrzekła marudnie. – Już wróciłaś?

– Lubię, gdy mądrze pytasz. Gdzie jest Ezena?

– Tronuje – powiedziała obrażona Anessa. – Już wczoraj wieczorem zaczęło mnie trochę...

– To niech cię przestanie. Przyjmuje gości? Ezena?

– Sądzi. Rozstrzyga spór między...

Monogramy rodowe magnatów i rycerzy nigdy Czarnej Perły nie obchodziły, więc tym razem także puściła je mimo uszu.

– Księżniczka Riolata Ridareta wyruszyła do Rollayny i wkrótce potem wróciła na swój okręt – przerwała chorej przyjaciółce. – Posłała dalej swojego drugiego oficera, który jej towarzyszył. Mam go tutaj. Jeśli nie oszalał i nic nie pokręcił, to znaczy, że jego komendantka obiecała komuś swoją głowę i właśnie ją wiezie w prezencie, na razie jeszcze przytwierdzoną do karku. Prosi, by nic nie mówić jej opiekunowi, księciu Raladanowi. Za kilka tygodni stawi się tutaj, jak było umówione, albo przyśle za niego okup. Siebie samą w rozpoznawalnych, ale niegroźnych kawałkach.

Pierwszą Perłę przestał boleć brzuch. Ale z miejsca zaczęła głowa.

– Chyba umrę – szepnęła po chwili. – Co za przekłety dzień...

– Nie umieraj. Najpierw wyciągnij Ezenę z tego sądu czy nie sądu. Ja nie wejść, bo narobię zamieszania. Samym widokiem. Jeśli królową odciąga od ważnych spraw Pierwsza Perła Domu, to znaczy cokolwiek. Że boli ją brzuch. Ale jeśli ja, to znaczy, że był spisek, zamach, wali się królestwo i za chwilę będzie po wszystkim.

– Nie – powiedziała Anessa, siadając w łóżku, na skutek czego pod przejrzystą szatką do spania zarysowały się urocze fałdki na obolałej części ciała. – Są różne sprawy i różni wasale... Nie rób min, bo sprawa księżniczki Ridarety nie jest jedyną sprawą, którą ma na głowie królowa, i może nawet nie najważniejszą. Po co jej flota, jeśli od królestwa odpadnie Południowy Dartan?

– Nie odpadnie tak zaraz.

– Tak? Obraż tych dwóch, których spór właśnie rozsądza Ezena, a przygotujesz pod to bardzo dobry grunt – oznajmiła kpiąco, ale i trochę gniewnie Anessa, która czasem miała naprawdę dość przyjaciółki patrzącej tylko na czubek swego nosa; wierna „suka królowej” zajmowała się jej bezpieczeństwem, wypełniała specjalne misje, a poza tym niewiele ją obchodziło (skądinąd, tylko dzięki temu możliwa była przyjaźń między dwiema pierwszymi Perłami królowej; na żadnym polu ze sobą nie rywalizowały). – Za każdym z nich stoi dwadzieścia innych Domów, a od rodowych monogramów może zrobić się słabo. Nie wyciągnę jej stamtąd. Siedzi na tronie, a na głowie ma koronę... Podejdiesz teraz do niej? Ja nie idę. Chyba że, jak mówisz, był spisek, zamach, wali się królestwo i zaraz będzie po wszystkim. Naprawdę jest aż tak źle?

– No... nie. Ale co mam robić? Gonić księżniczkę? Ona przecież dokądś popłynęła, więc w jaki sposób ją gonić? Może lepiej popędzić za Gotahem, który chyba właśnie dojeżdża do domu? Muszę mieć jakieś decyzje. Jak najszybciej, a najlepiej natychmiast.

– To podejmij te decyzje. Od czego właściwie jesteś? Od dzwonięcia żelastwem w korytarzach są halabardnicy.

– Dobrze, mogę zdecydować, kogo gonić. A co z jego wysokością Raladanem?

– Najpierw on – orzekła Anessa. – Nie wiem, co księżniczka sobie umyśliła, ale rozumu naprawdę nie ma za miedziaka. W jaki sposób przez kilka tygodni mamy okłamywać jej ojca?

Silą można go trzymać i bez okłamywania. Ale jeśli Ezena ma cokolwiek wskórać ze swoim wymarzonym sojuszem, to droga na pewno nie wiedzie przez wręczenie Raladanowi worka pełnego pokrojonej córki. „Nic ci nie chcieliśmy mówić, panie, żebyś się nie martwił. Jesteś wolny, wasza wysokość, rozmówmy się teraz o flocie”... Auu... – jęknęła Anessa, kuląc się i masując żołądek. – Pójdę do niego. Może coś doradzi... będzie wiedział... au. Gdzie jest ten pirat Ridarety?

– Tutaj.

– Niech tu przyjdzie.

– Jesteś prawie naga. Nie, nie jest przystojny.

– Za to ty jesteś głupia. Niech tu przyjdzie za chwilę. Przystojny czy nie... au, auu...

Służka przybiegła z domową suknią w rękach i pomogła się ubrać umierającej Perle.

– Zwracałaś? Piłaś ziółka?

– Tak, całe śniadanie – powiedziała z zalem Anessa. – Na miętę już patrzeć nie mogę.

– Śniadanie?... Przecież bolało cię już wczoraj?

– Ale myślałam, że z głodu.

– I mówisz, że ja jestem głupia? – z ciekawością zapytała Hayna. – I księżniczka Ridareta też?...

Anessa ubrała się.

– Gdzie ten pirat?

– Zostawiłam go w pierwszym pokoju.

– Idź po niego, Ayano – powiedziała Anessa.

Po chwili z namysłem przyglądała się Sayłowi, który tak samo uważnie oglądał nieuczesałą, skrzywioną, niemniej bardzo piękną (choć trochę przyciężką...) panią, odzianą w pospinaną łańcuszkami jedwabną białą suknię, z której trudno byłoby wykroić trzy fulary.

– Mów, co wiesz.

Oficer powiedział, ale nie mógł dodać nic ponad to, co już słyszała Hayna. Pierwsza Perła nawet nie za bardzo miała o co dopytać.

– Pójdiesz ze mną, panie – powiedziała. – Poczekaj tam, gdzie stałeś przed chwilą.

Saył wyszedł.

– Jeśli jest w tym jakaś intryga, to ja nie wiem, na czym ma polegać. Wezmę go do księcia Raladana. Żadnej tajemnicy nie będzie – zdecydowała. – A ty odpocznij chwilę, bo przygnałaś tu galopem, tak? Może zaraz znowu będziesz galopować. Idę pomówić z Raladanem. Gdzie cię potem szukać?

– Tutaj – powiedziała Czarna Perła, siadając na ciepłym łóżku i z zaciekawieniem biorąc do ręki nocną szmatkę zdjętą przez przyjaciółkę, bo choć ciało pielęgnowała po dartańsku, to sypiała po armektańsku, tak jak jej królewska wysokość. – Ayano, w głównym korytarzu znajdziesz

grupę żołnierzy pod bronią. Powiedz ich dowódcy, że chcę pięćdziesięciu lekkich jeźdźców na świeżych koniach, z jucznymi, jak na wyprawę. Oprócz tego podjezdek i pełnokrwisty dartańczyk dla mnie. Kilka zapasowych luzaków. Jeśli czegoś nie zrozumie, niech tu przyjdzie. Zapamiętasz?

Służka nie była żołnierką, ale nie była też gapą.

– Tak, Perło.

– Nie rób słodkich oczu do moich żołnierzy; trochę już cię znam – ostrzegła Hayna. – Jak wrócisz, przynieś mi coś do jedzenia.

– Tak, Perło.

– Au... – jęknęła Anessa, już w drugim pokoju.

* * *

Raladan nie miotał się po swojej złotej klatce, bo nie miało to żadnego sensu. Wyglądał przez okno. Odwrócił się i przyglądał jej królewskiej wysokości z taką samą uwagą, jak ona jemu. Trochę już go znała, ale jednak nie spodziewała się podobnego spokoju u człowieka czynu, któremu niedawno powiedziano, że ma siedzieć i nic nie robić, czekając na wiadomość o śmierci najbliższej osoby.

On zaś patrzył, bo po raz pierwszy widział monarchinię w uroczystym stroju. Nie przebrała się, przyszła niemal prosto z sali tronowej. Natychmiast po rozmowie z Pierwszą Perłą.

Olbrzymia czerwona suknia zamiatała posadzkę i zawadzała o sprzęty; królowa niecierpliwie ją szarpnęła. O koronie na skroniach chyba nie pamiętała.

Towarzysząca jej Pierwsza Perła stanęła przy drzwiach niczym zwykła niewolnica. Wciąż była trochę blada (Raladan już przed południem dowiedział się, że jest chora).

– Proś, księżę, a może dostaniesz – powiedziała po długiej chwili milczenia, ale za to bez żadnych wstępów królowa.

Nawet nie mrugnął okiem. Zamiast tego odrzekł ze spokojem:

– Nie targuj się, pani, a na pewno kupisz.

Zaniemówiła. Dopiero po chwili, z pełnym powątpiewania uśmiechem, zapytała:

– Nie zależy ci?

– A tobie?

– O nie, księżę, chwileczkę... Nie będziesz ze mną rozmawiał w taki sposób. Zechciej nie pomijać tytułu i odpowiadać, gdy pytam.

– Nie, bo nie jestem politykiem, królowo, i do pustych pytań nie mam cierpliwości – odrzekł tak bezczelnie i szorstko, że zaniemówiła po raz drugi.

– Wyjdź stąd – powiedziała po chwili do Anessy.

Perła wyszła. Rozległ się stukot oddalających się kroków. Po raz pierwszy agarski księżę

i dartańska królowa zostali tylko we dwoje.

– Co mi chcesz udowodnić, żeglarzu?

– Niewiele, wasza wysokość. Oboje mamy coś na sprzedaż i oboje coś chcemy kupić. Po prostu ustalmy ceny i dobijmy targu. Przecież nie mamy czasu. Obojgu nam zależy na życiu mojej córki, bo jeśli ja ją stracę, to ty czegoś nie zyskasz.

– Wydałam już rozkazy.

– Oby zostały dobrze wypełnione.

– Jeśli cię wypuszczę... Gdzie pojedziesz?

– Do moich dłużników, mieszkających blisko En Anelu.

– Już tam ktoś pojechał.

– Może wrócić z niczym. Jak dotąd, sprawiedliwi Przyjęci nie kiwnęli palcem, by spłacić chociaż część długu.

– Jeśli...

Przerwał jej.

– Wasza królewska wysokość, przecież umiesz podejmować decyzje – powiedział trochę dobitniej, niż musiał, zdradzając tym samym, że jednak nie jest aż tak spokojny, jak to okazywał.

– Prędej albo później i tak będziesz musiała uwierzyć mojemu słowu. Chcesz wymusić i utrzymać sojusz, trzymając w nieskończoność zakładnika albo zakładniczkę? To igranie z ogniem, a tymczasem rozmawiasz z najemnikiem, któremu wystarczy uczciwie zapłacić. Najemnicy żyją z żołdu albo płatnych zleceń. Ale nie zawierają sojuszy, bo nie są politykami.

Przeszła się po komnacie, przez chwilę rozważając to, co powiedział.

– Może i tak – przyznała. Po czym dorzuciła nieoczekiwanie: – Ale ja chciałam widzieć w tobie kogoś więcej niż tylko najemnika, księżę.

– A kogo? – zapytał z ironią, było w niej jednak trochę gorzkości. – Nie zależy mi na żadnej z tych rzeczy, które śnią się po nocach królowym. Gdyby żyła moja żona, pani, rozmawiałybyście pewnie o Wielkim Księstwie Agarów, układały traktaty dotyczące spraw, których nawet nie umiem nazwać... Ale stoi przed tobą zwykły żeglarz, niepewny swojego pochodzenia, któremu kiedyś jego dowódca powierzył opiekę nad skrzywdzoną dziewczyną, własną córką. Pod tą nieudolną opieką spotkało ją wszystko co najgorsze, a żeglarz wciąż ma jedno marzenie: żeby ta dziewczyna żyła i była szczęśliwa, obojętnie jakim kosztem. Dla siebie zaś wymarzył pływanie po morzach i gotów to robić za pieniądze Armektu przeciw garyjskim rebeliantom, potem za pieniądze Dartanu przeciw Armektowi... Wojny były, są i będą; to wy je dyktujecie – królowe, księżne, cesarzowe... A my, najemnicy, tylko się dla was zabijamy. Bardzo uczciwie, bo za srebro, nie za jakieś idee, które prędzej albo później i tak ktoś przedstawi na opak, a wszyscy, co mu darmo służyli, wyjdą na głupców. To tyle, wasza wysokość. Opowiedziałem ci o sobie; teraz zechciej mi wreszcie zaproponować żołąd.

Wysłuchała go, chodząc po komnacie.

– Dobrze, najemniku. Jesteś wolny. Zaraz każę wydać pismo, które ci zapewni pomoc moich żołnierzy. Gdy załatwisz swoje sprawy, obojętnie z jakim skutkiem, staw się u mnie, a sownie zapłacę za twoje przyszłe usługi.

Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom.

Raladan dowiedział się nagle, że pogarda może zaboć; często miewano dlań wrogość, ale nigdy pogardę. Znowu wygrał, prowadząc rozmowę na swoich własnych warunkach. Nie chciał jednak być wzgardzony.

Nie przez królową Ezenę.

– Wasza wysokość – powiedział.

Nie zatrzymała się.

Na korytarzu, przed masywnymi drzwiami strzeżonymi przez halabardników, czekała Pierwsza Perła. Ruszyła ku królowej, ta jednak uniosła rękę.

– Nie, Anesso, proszę. Zostaw mnie.

Samotnie poszła korytarzem.

Nie miała dla syna obiecaną bajki, że „już nie jesteśmy sami...”. Była sama, mogła sobie co najwyżej kupić usługi pewnej liczby najemników.

15.

Przewodnik prowadził pewnie, ale zaraz za En Anelem przestał być potrzebny. Raladan i Sayl natknęli się na wracający do Rollayny oddział gwardii królewskiej. Dowodziła nim piękna Hayna.

Nie uzyskała pomocy od Przyjętych. Nie wiedziała nawet, jak i o co prosić. A na koniec (czy raczej: przede wszystkim?...) Hayna wcale nie chciała tej pomocy uzyskać. Posłuszenie wypełniała rozkazy królowej. Jednocześnie jednak w głębi serca pragnęła, by groźny dla jej pani, wciąż nieujarzmiony i niekontrolowany Rubin Córki Błyskawic przepadł wreszcie bądź został zniszczony raz na zawsze. Prosiła więc o pomoc nieszczercze. Nalegała nieprzekonująco.

Raladan oddał Czarnej Perle pismo, z którego wynikało, że ma uzyskać od niej wszelką pomoc.

Hayna bez słowa zawróciła konia. Gdy zapadł wieczór, pół setki jeźdźców z powrotem zajechało przed cichy dom, otoczony ogrodem z sadzawkami. Pojawiła się służba. Było jasne, że goście już zostaną na noc, ale dobrze wyposażeni żołnierze mieli zapasy, namioty i niczego nie potrzebowali, zwłaszcza że pogoda dopisywała. Rozkulbaczone konie powiedziano na pobliską łąkę – niczyją, a ściślej: królewską. Jednakże, w związku z dzikim wypasem, raczej nie należało spodziewać się kłopotów ze strony jakiegoś patrolu Królewskiej Straży Krajowej...

Na widok Raladana Gotah sposepniał, natomiast Przyjęta zbladła. Było to ich pierwsze spotkanie od chwili, gdy w kajucie „Zgniłego Trupa” pokazał jej skatowanego, lecz żywego męża, uściskał znacząco ramię, po czym powiedział cicho: „Zabierz go”. I wyszedł z Mevevem na pokład, niby odruchowo zamykając drzwi.

– Wasza godność – powiedział od progu – przyjechałem prosić o pomoc.

Nie powiedział: „odebrać dług”.

Przestronny pokój był urządzony gustownie, lecz skromnie; małżeństwo Przyjętych nie żyło w biedzie, ale jednak najwyżej na krawędzi dostatku. Wydawało się, że wszystko, co zbytkowne w tym domu, nosi na sobie jego pani... Raladan nie miał głowy do podobnych rozważań, ale był spostrzegawczy i mimochodem odnotował w myślach, że Przyjęty rozpieszcza swoją dwakroć młodszą od niego urodziwą żonę. Domowa suknia jej godności na pewno była warta więcej niż połowa sprzętów i ozdób w tym pokoju.

Raladan nie mylił się. Gotah, jeszcze przed pierwszą rozmową Kesy z garyjskim Księciem Przedstawicielem Cesarzowej, bez żadnych skrupułów sprzedał całą masę Porzuconych Przedmiotów, by sprawić żonie futro z granatowych lisów, które, jak powiadał, było niezbędne dla wywarcia odpowiedniego wrażenia na rezydującym w Doronie wicekrólu (cóż... wrażenie istotnie wywarło).

– Usiądźmy – powiedział Gotah po garyjsku, bo był to język, którym mogli posługiwać się wszyscy.

Po czym po dartańsku zwrócił się do służki w białej szatce:

– Zadbaj o poczęstunek, wieszczę zjemy później.

Hayna nie skorzystała z zaproszenia; zamiast usiąść, oparła się o ścianę. Kesa też nie usiadła.

Raladan usiadł, ale nie przy stole, tylko na krześle przy drzwiach, tak jakby zaraz chciał wychodzić.

– Nie muszę chyba mówić, co zaszło; jej godność Hayna już na pewno wszystko powiedziała. Potrzebuję pomocy – powtórzył.

– Jakiej pomocy, panie?

– Nie wiem, gdzie jest Ridareta, i nie wiem, co w nią wstąpiło. Czy jest sposób, żeby się dowiedzieć? To na pewno ma jakiś związek z Szernią. Może raczej z Rubinem i Ferenem, ale dla mnie to wszystko jedno. Ridareta miewa kaprysy i stać ją na wybryki, ale nie takie. To musi być wybryk Riolaty. A o tym Przyjęci mogą wiedzieć najwięcej.

– Poczyny księżniczki Riolaty Ridarety już nie interesują Przyjętych, panie – wytłumaczył Gotah. – W tej chwili to są tylko porachunki między awanturnikami, a gdzieś tam w tle mamy wielką politykę. To nie są sprawy Przyjętych.

Raladan patrzył wyczekująco. Gotah pokiwał głową, dał gestem do zrozumienia, że wychodzi tylko na moment, i opuścił pokój. Zaraz wrócił, niosąc plik zapisanych kart. Pierwszą z nich podał Raladanowi. List napisano po armektańsku... ale agarski księżę musiałby stracić pół nocy na zapoznanie się z jego treścią.

– Ja przeczytam. Mogę? – zaofiarowała się Hayna.

Raladan oddał jej list. Zaczęła czytać na głos, po pewnym czasie przerwała i popatrzyła na Przyjętych. Gotah siedział; Kesa wciąż stała, z dłońmi na oparciu krzesła. Hayna wróciła do czytania. Skończyła.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem? – zapytała.

– Zechciej, Perło, zapytać o to swoją panią – odrzekł sucho Gotah.

– Królowa zna treść tego listu?

– Oczywiście.

– Księżniczka już nie może doprowadzić do zniszczenia Ferenu?

– Nie. Ale dla ciebie, Perło, jest to wiadomość bez znaczenia i może właśnie dlatego królowa nie chciała zwracać ci głowy. Feren nie jest zagrożony, ale Ezena, Anessa i Hayna – owszem. Tu nic się nie zmieniło.

– Riolata nadal będzie próbowała nas zabić?

– Oczywiście. To tylko rzecz, mająca określone przeznaczenie, niezdolna do rezygnacji z... Bliskość tego, co zwykła atakować, zawsze wyzwoli jej aktywność. Wiatrak nie musi

przemieniać ziarna w mąkę i zostawiony sam sobie, zawsze będzie się kręcił na wietrze, choćby to nie miało sensu. – Gotah lubił uciekać się do przenośni i porównań. – Tak długo, aż się zepsuje. Rubin też się rozpadnie, bo nie ma już tego, co symbolizował.

– Ale to potrwa nawet kilkaset lat?

– Tak, bo Porzucone Przedmioty, symbole Pasm, są bardzo trwałe. Trwalsze niż same Pasma, które nie muszą być odporne, bo nic im nie zagraża. Wojna z Alerem to fenomen, z którym takie siły sobie nie radzą. Ale zwykle Pasmom nic nie zagraża, nic oprócz różnorodnych napięć występujących w Szerni, te napięcia jednak są zjawiskiem w jej łonie naturalnym i działają mechanizmy, które je regulują. Tu, w Szererze, takich mechanizmów nie ma, zastępuje je statystyczna prawidłowość, która jednak nie odnosi się do działania pojedynczych kapryśnych sił, choćby takich jak świadoma działalność istot rozumnych. Porzucone Przedmioty, symbole Pasm, muszą umieć się temu przeciwstawić. Dlatego są takie trwałe, właściwie niezniszczalne.

– Zaraz... Wojna Szerni z Alerem trwa od niedawna, czy tak? A prawie wszystkie Porzucone Przedmioty potraciły swoje właściwości. Tylko Rubin ma je tracić przez kilkaset lat?

– Szerń jest w stanie wojny, przewartościowały się tam treści wszystkich Pasm, a z nimi właściwości Przedmiotów. Nie rozpadają się, nadal są symbolami, tyle tylko że niezrozumiałymi. Natomiast niezależny układ dwóch Odrzuconych Pasm uległ rozerwaniu, jest zniszczony. Jedno Pasma to nie jest jakaś „połowa” układu dwóch Pasm. One wchodzą ze sobą w skomplikowane relacje, układ Pasm jest konstrukcją nie tyle ilościowo, co jakościowo inną. Teraz, będąc symbolem niczego – mówił Gotah – Rubin niemal natychmiast zaczął się rozpadać i stracił co najmniej połowę swoich właściwości, ale to co zostało, będzie dogorywać bardzo długo. Aż pewnego dnia wszystkie Rubiny rozpląną się, może rozsypią w proch, wyparują... A księżniczka Ridareta umrze, nie inaczej chyba niż każdy inny człowiek. Może będzie jej oszczędzona starość?... Moldorn twierdzi, że ma zbyt mało danych, by opisać proces rozpadu Rubinu od początku do końca. Wypada wierzyć jednemu z największych matematyków Szerni, jacy kiedykolwiek stąpali po ziemi.

– Będę miał zwykłą, długowieczną, ale śmiertelną dziewczynę? – zapytał Raladan.

– O, zwykłą na pewno nie... Ale reszta się zgadza, książę.

– Więc proszę o pomoc w jej odnalezieniu i nie poproszę po raz czwarty. Wasza godność – zwrócił się wprost do Kesy.

– Wyrządziłam mnóstwo zła, mieszając się w sprawy, które mnie przerastają – powiedziała z wysiłkiem. – Nie zrobię tego więcej. Chciałabym, żebyś mi przebaczył, wasza wysokość. Ale jeśli nie możesz, to spróbuj chociaż zrozumieć.

– Co znaczy: mnóstwo zła?

– Mogłam trwale zachwiać równowagą Szerni.

– Teraz też możesz zachwiać?

Zawahała się.

– Nie... Już chyba nie.

Pasma trwały w stanie wojny i aktywność nie zagrażała równowadze Szerni. Została zachwiana wtedy, gdy zawieszona nad światem potęga próbowała przekazać śmiertelnicze niemal wszystkie – albo zgoła wszystkie – swoje treści.

– Za dużo umiem i wiem – powiedziała, nie wdając się w tłumaczenia. – Ale nie żyje jeden z naszych towarzyszy, a drugi jest konający. Bardzo wielu ludzi zginęło. Wyrządziłam mnóstwo zła – powtórzyła niczym zaklęcie. – Niczemu nie zapobiegłam, a rozpętałam...

– Wasza godność.

Zamilkła.

– Ja ci zaraz pokażę mnóstwo zła – obiecał bardzo spokojnie. – Bierność z wyboru to też jest działanie. Zechcesz wziąć na siebie skutki swojej decyzji?

– Cokolwiek zrobisz... to będzie twoja decyzja, nie moja.

– Bardzo tanie usprawiedliwienie. Lubicie ładne opowieści? Jeśli pilot prowadzi okręt na rafy, a ktoś inny to widzi i ma wszystko gdzieś, to zechce potem popatrzeć w oczy rodzinom marynarzy. Nie powstrzymał głupca, a może szaleńca, chociaż łatwo mógł to zrobić. Jest bardziej winny niż szaleniec.

– Jesteś szaleńcem, książę?

– Takim jak kobieta, która w środku nocy zjawia się półnago w czyimś domu, na zmianę prosi i grozi, gotowa potem utonąć w morzu, bo jej na kimś zależy? Tak, jestem takim szaleńcem – powiedział Raladan, wstając i przewracając ciężki stół, który niemal przygniół siedzącego za nim Gotaha. – Zaraz podpalę ten dom, wyrznię służbę, a nawet psy. A na samym końcu gospodarzy, skoro do niczego nie są mi potrzebni. I nie zacznę od gospodyni... Będiesz na to patrzeć albo mnie powstrzymasz. Czy siłą, mądra pani? Jeśli tak, to jaki sens ma teraz twoja bierność?

Mówiąc, nie tracił czasu. W kandelabrze, który spadł ze stołu, utrzymało się kilka świec; dwie płonęły. Raladan podpałił kotarę i obejrzał się w samą porę, by zobaczyć w drzwiach przerażoną niewolnicę, która upuściła paterę z owocami. Cisnął kandelabrem i dziewczyna krzyknęła, chwytając się za przetrąconą, być może złamaną rękę. Rozsypały się połamane świece.

Krzyknęła także Kesa, chyba nawet głośniej niż służka.

Gotah zbierał się z podłogi. Hayna stała, opierając się ramieniem o ścianę; jedwabna zasłonka nie pozwalała dojrzeć wyrazu jej twarzy. Kesa podbiegła do klęczącej w progu, płaczącej z bólu dziewczyny. Nie zdążyła obejrzeć złamanego przedramienia, bo między nią a niewolnicę wsunięto głownię miecza.

– Szkoda czasu – powiedział Raladan, dotykając bronią gardła dziewczyny.

– Przestań!

– Powstrzymujesz mnie, wasza godność? I to nie siłą?

– Tak, powstrzymuję. Natychmiast zabierz tę broń.

– Nie wiń swojej pani, dziewczyno – rzekł Raladan. – Jest tchórzliwa i nie chciała uspokoić pomyleńca, ale teraz nabrała odwagi. Szkoda, że to trwało tak długo.

– Jesteś... podły.

Hayna szybko, ale bez paniki zerwała płonąca kotarę, wybiła krzesłem szybę w oknie i za pomocą miecza wypchnęła płonąca szmatę na zewnątrz. Zadeptała tłący się dywan. W pomieszczeniu było pełno śmierdzącego dymu, który jednak zaczynał się ulatniać przez wybite okno.

W drzwiach, obok Kesy i zapłakanej niewolnicy, pojawił się żołnierz. Majaczyło za nim kilku innych, do tego Sayl i pacholek gospodarzy.

– Już nic się nie dzieje – powiedziała Hayna.

Gotah potwierdził krótkim gestem. Pacholekowi polecił sprzątnąć pokój. Znająca się na ranach i urazach Hayna pomogła Kesie nastawić i opatrzyć rękę niewolnicy. Wkrótce mogli wrócić do rozmowy. Ale było to bardzo trudne. O wiele, wiele łatwiej przychodziło zachować milczenie.

Wstrząśnięte małżeństwo Przyjętych jeszcze raz mogło się przekonać, jaka jest różnica między człowiekiem czynu, a rozmarudzonymi fajtlapami. Stanowczość i brak skrupułów bardzo rzadko łączyły się z... mądrością. Tą szczególną, podobną czasem do głupoty mądrością, która kazała zawsze i we wszystkim widzieć drugie dno, jakąś „inną stronę” problemu. Kesa tylko raz w życiu była gotowa nie zważać na nic, ale... czy za tą gotowością na pewno mogły pójść czyny? Zagroziła Raladanowi, powiedziała: „Pomóż mi, albo zabiję twoją córkę”, ale czy na pewno była zdolna do tego? Czy umiała?

A Raladan tak. Nawet Gotah, gorzej znający pirackiego księcia, nie miał wątpliwości, że ten człowiek wszystkie swoje groźby niezwłocznie wprowadziłby w czyn.

– Myślę, że za zniknięciem Ridarety stoi Moldorn, tak wynika z jego pożegnalnego listu – powiedziała w końcu Kesa.

Była bardzo opanowana. Chłodna i rzeczowa.

– Nie umiem się dowiedzieć, co wymyślił – ciągnęła. – Ale mogę... możemy znaleźć się na pokładzie „Zgniłego Trupa”. Ridareta przecież wróciła na swój okręt? Może ją tam znajdziemy.

– Nie wiem, gdzie jest teraz „Zgniły Trup” – rzekł Raladan. Pamiętał, że Przyjęta musiała chociaż w przybliżeniu znać położenie żaglowca.

– To bez znaczenia – odparła. – Trafiłam tam raz i już zawsze trafię. To przypomina... – Zastanowiła się. – Przypomina nic. Skoro raz ją przeciągnęłam do jakiegoś miejsca, to już zawsze trafię po tej nici. Nawet jeśli „miejsce” się przemieszcza.

- Więc wiesz, gdzie jest okręt?
- Nie wiem. Ale trafię po nici – wytłumaczyła ponownie.
- Kiedy możemy wyruszyć?
- Zaraz. Przebiorę się i wrócę.

Kesa wyszła. Hayna poszła do swoich żołnierzy. Gotah i Raladan zostali sami.

- Masz we mnie wroga, książę – przemówił po chwili Przyjęty.

Raladan odpowiedział uważnym spojrzeniem.

– Nie, wasza godność – rzekł spokojnie, a nawet nieco pobłaźliwie. – Upokorzyłem dzisiaj twoją żonę, ale potrafię odróżnić czyjąś wrogość od gniewu. Naucz się i ty. Gniewacie się na mnie oboje, ale gniew łatwo mija. I często na jego miejscu pojawia się wstyd.

* * *

- Nie śpij, synu – powiedział Raladan. – Kapitana na okręcie?

Ogłupiały majtek niepewnie spozierał to na agarskiego władcę, to na towarzyszącą mu blondynkę w bardzo dobrze skrojonym, dyskretnie zdobionym, ale i wygodnym stroju: miała grubą czarną spódnicę do ziemi, spiętą pasem z dwoma sztyletami, koszulę i kaftan ze świetnie wyprawionej skóry. Starannie uczesana, wyglądała jak... królowa w podróży.

Gdyby znalazł taką śliczność na abordażowanym statku, to udusiłby albo rozbił głowę o ścianę, żeby nie uszkodzić orężem i nie zaplamieć krwią cennych szat. Znał się na wartości przedmiotów.

- Ogłuchłeś? Pytam o coś.
- Kapitana?... Nie, jest tylko Cichy... – wymamrotał majtek.
- Trzymaj wachtę i nie śpij, bo znowu ci ktoś spadnie z nieba.
- Tak, panie.

Ujawszy Przyjętą pod łokieć, Raladan ruszył ku rufie. Ale zatrzymał się po kilku krokach.

Okręt stał na kotwicy. Księżyc i gwiazdy świeciły jasno. Rozejrzawszy się dokoła, Raladan powiedział:

- Popatrz... Ten cypel. A tam... brzeg. Gdyby były ogniska?...
- To tutaj – szepnęła i Raladan poczuł, jak zadrżała.

„Zgniły Trup” kotwiczył niemal w tym samym miejscu, co kiedyś. U wybrzeży Niskiego Grombelardu. Na majaczącym w oddali czarnym brzegu na pewno jeszcze spoczywały, rozwłócone przez zwierzęta, rozdziobane przez ptactwo, szczątki Gotahowych i królewskich żołnierzy, bo ciała poległych marynarzy pozbierano i oddano morzu.

– Czy popłyniemy teraz ratować twojego męża, pani? – zapytał i był to pierwszy prawdziwy, niemaskowany wyrzut, jaki usłyszała z jego ust.

- Nie, bo żyje i jest bezpieczny – powiedziała jeszcze ciszej niż przed chwilą. – Przebacz mi.

Naprawdę mi przebacz.

Pociągnął ją dalej, bo poczuł, że gotowa się zaraz rozplakać. Źle wpływał na tę kobietę; stale przy nim płakała.

Szczęściarz Mevev nie był pijany i łatwo dał się obudzić. Gapił się, gapił, wreszcie westchnął, wstał z wyra i poczłapał do kąta, gdzie stał cebrzyk z wodą. Uniósł go i pił. Przyjęta, lekko zawstydzona, odwróciła spojrzenie, bo Cichy tej ciepłej nocy spał „po armektańsku”.

– Dobra – powiedział, gdy się napił. – Tylko nie mów mi, żeś przyplłynął na „Delarze”.

– Nie – przyznał Raladan. – Szukam Ridarety.

– To się spóźniłeś. Nawet niedużo.

Cichy pogapił się na ścianę. Pokiwał głową.

– Poszła komuś nakopać. Do Grombelardu. Dokładnie, to nie wiem gdzie.

– Tak ci powiedziała?

– Właściwie nie. Nic nie powiedziała. Nie znasz jej? Wzięła pół setki chłopaków, powiedziała „czekaj tu”. I poszła.

– To skąd wiesz, że do Grombelardu?

– Bo zabrała wszystkich, którzy mówią po grombelardzku. Trafiło się dwóch. Nie szukała tych, co umią po dartańsku. Ani po armektańsku.

– Ciebie wziąć nie chciała?

– Pewnie chciała. Ale Sayl chyba w Rollaynie... A może ty wiesz, gdzie? Zostałem na „Zgniłku”, bo kto miał zostać? Nells? Nie odróżnia bezana od grot.

– Coś się stało z Ridaretą? – zapytała Przyjęta. – Była inna niż zwykle? Ty jesteś Mevev Cichy, mówiła mi kiedyś, w Aheli, że jej pomagasz. Z Rubinem. I dużo o tym wiesz.

Cichy popatrzył na kobietę, potem na Raladana, który skinął głową.

– Pamiętam cię, wasza godność – rzekł oficer, wracając do wyra, siadając na nim i wytwornie okrywając się żeglarskim pledem. – I z Aheli, i potem, stąd. Ale nie tak pięknie żeś była ubrana.

– Nie martwisz się o swoją dowódczynię? Posłała do Rollayny wiadomość, że przyjedzie za kilka tygodni albo ktoś tam dostarczy jej głowę. Ale to brzmi... niewiarygodnie. Tak jakby wcale nie wierzyła, że jednak przyjedzie sama, i mówiła o tym tylko dla uspokojenia. A tymczasem ma z kimś umowę: pozwoli się zamordować, a ten ktoś pośle do Rollayny dowód, że zginęła.

Zaskoczony Mevev znowu popatrzył na Raladana. Ten potwierdził.

– Sayl z tym przyjechał. Nie mówiła ci, z czym go posłała?

– Nie.

– A tobie powiedziała, że jedzie komuś dokopać. Przyjętemu? Tak jak wtedy tutaj, na brzegu?

– Ta – powiedział Cichy i po chwili dodał: – Miała dość.

– Dość? Czego?

– Ciebie, Kitara... Siebie, mnie... Nie wiem czego. Wszystkiego.

– I puściłeś ją?

– Raladan... Ty głupi jesteś? Czy co?

Jego wysokość nic nie odpowiedział.

– Mevevie Cichy – powiedziała Przyjęta. – Pomóż nam. Cokolwiek dziwnego... Jakies imię, nazwa? Miasto? A w jej zachowaniu? Nic? Zupełnie nic?

Oficer myślał, po swojemu kiwając głową.

– Powiedziałem co. Miała dość. No to pojechała zatłuc łobuza. Poprawić sobie humor. Uwierzyłem, bo czemu nie?

– Dawno wyruszyła?

– Wczoraj rano.

– Czyli dwa dni.

Raladan popatrzył na Kesę.

– Wracajmy – powiedziała. – Tak naprawdę Grombelard to tylko jedna droga, wiodąca przez góry do kilku zburzonych miast. Do Londu ani do Rahgaru nie poszła, bo zaczęłyby od drugiej strony. Do Romogo-Koor tym bardziej nie, bo tam najłatwiej się dostać drogą morską. Chyba wiem, gdzie zmierza. A ty się nie domyślasz? Dogonimy ją.

– Jadąc z twojego domu, mamy do nadrobienia jakieś sto parę mil. Może lepiej gonić ją stąd?

– Pieszko? Nie umiem maszerować. A przede wszystkim nie wiadomo, jaką drogę wybrała, możemy ją minąć, wyprzedzić i nawet o tym nie wiedzieć... Nie. Marynarze to chyba marni piechurzy? A ty masz pięćdziesięciu świetnych jeźdźców na najlepszych koniach, którzy pokonają dziennie cztery razy tyle mil, co żeglarze. Lepiej dogonić ją już w Grombelardzie, tam za Sępią Przełęczą jest tylko jedna droga i nie można się na niej minąć. Ty decydujesz, książę, ja tylko radzę – zastrzegła. – Jeśli się mylę, to nie chcę, żebyś potem... patrzył na mnie z...

– Nie popatrzę. Wracajmy.

– Na pewno?

– Na pewno. Też coś wiem o Grombelardzie, może więcej, niż ci się wydaje. Dwa lata temu wyruszył tam mój przyjaciel... zresztą wszystko jedno. Jeśli ruszymy stąd i jej nie dogonimy, to we dwoje nie mamy czego szukać w tym kraju. Zatłuką nas jakieś męty za pierwszym zakrętem ścieżki. Zabierajmy się stąd – zakończył i wziął ją za rękę.

Cichy chrząknął.

– Jak tak, to posłę za nią paru. Może znajdą gdzieś jakieś konie. I dogonią. Co jej powiedzieć, jakby co?

– Że jej ojciec jest wolny, że ją goni i niech na niego poczeka przed Sępią Przełęczą – podpowiedziała Kesa. – Że wszystko można naprawić, nikt na nią nie będzie już polował... bo

dwoje Przyjętych to jej sprzymierzeńcy, a trzeci niedługo umrze. Jest śmiertelnie chory. Nie trzeba go zabijać ani się go bać. On nikomu już nic nie robi.

– Dobra – powiedział Cichy i znów zwrócił się do Raladana. – Kitar ją zostawił. Wiesz? Pokazała mu... no. Co robi z nią ta jej „suka”.

– I zostawił ją?

– Ta. No już, pokażcie mi teraz te wasze czary. Jak odlatujecie. Czy znikacie.

Kesa wzięła Raladana za rękę. Zamknęła oczy.

Rozpłynęli się i Cichy został sam.

Gotah i Hayna o nic nie zapytali. Kesa bez słowa puściła rękę Raladana i wyszła. Wróciła po chwili. Miała lekko zaczerwienione oczy.

– Już nic, dobrze – powiedziała. – Czasem trochę zaboli... Nic groźnego! – stanowczo uspokoiła męża.

Opowiedziała o rozmowie z Cichym.

– Jeśli Grombelard to na pewno Gromb – zakończyła. – Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Może Moldorn chce coś sprawdzić, porozmawiać z Wiedzącym...? Nie wiem. Ale myślę... zgaduję... że chce go odszukać. W jakiś sposób sprowadza tam księżniczkę, bo inaczej może nie zdążyć. Nie zrobi wszystkiego po kolei, więc jedźcie do Grombu i od razu ciągnie ją za sobą.

– Ukraść... Nie, nie ukraść. Zabrał wszystkie pieniądze, jakie przyszły do En Anelu. W końcu miał prawo tym rozporządzać tak samo, jak my.

– Przenocuję na zewnątrz z żołnierzami – rzekł Raladan. – Pożegnam się już teraz, bo wyruszymy wcześniej, myślę, że bardzo wcześniej. A ty, Perło?

– Pojadę z tobą, książę – powiedziała krótko. – Uzyskałeś od królowej pomoc jej żołnierzy, ale to nie to samo, co objęcie nad nimi komendy. Żołnierzami dowodzę ja.

– Odpowiada mi to – odparł, po czym zwrócił się do Przyjętej: – Wasza godność, dziękuję. Już mi nie jesteś nic winna.

– To dobrze. Dom nie jest duży, ale jeden z pokoi jest pokojem gościnnym. Łóżka mają zasłonki. Jeśli dwoje wojowników może dzielić jedną sypialnię przeznaczoną dla czterech osób...

– Może – obojętnie powiedziała Czarna Perła. – Nie śpij na dworze, książę, jeszcze zdążysz. Dowódcy muszą oszczędzać siły, bo od ich decyzji zależy los podkomendnych.

– W takim razie obudzę was rano, to już niedługo, bo noce są teraz krótkie. Ja też jadę – powiedziała Przyjęta.

– Keso – rzekł milczący dotąd Gotah. Nie wyglądał jednak na zaskoczonego.

– Jeśli chcesz, to zostań, ale ci nie zazdroszczę. To nic przyjemnego. Ja już raz zostałam – przypomniała. – A teraz mam do załatwienia kilka spraw. Załatwię je i wrócę do tego domu, ogrodu... a przede wszystkim do ciebie, Gotahu. Chodź, Hayno, wskażę ci pokój. I ty też chodź,

wasza wysokość. Nie będzie już wspólnej wieczerzy, każę podać wam coś do pokoju, jakąś lekką „żołnierską” przekąskę przed snem.

Potrafiła dowodzić. Wyszła, a za nią Hayna.

– Książę.

Raladan już ruszył śladem kobiet, ale zatrzymał się w progu.

– Nie wstydzę się – rzekł Gotah. – Ale gniew rzeczywiście już mi minął. Bądź moim gościem tej nocy, nie masz we mnie wroga.

– Też pojedziesz?

– Pojadę.

– Jej godność Kesa na pewno będzie rada.

– Ty nie jesteś?

– Jestem.

– Ta brzydulka, którą dziś skrzywdziłeś, ma na imię Sema. Wczoraj po raz pierwszy zobaczyła mój dom, a dzisiaj po raz pierwszy podawała... próbowała przynieść gościom poczęstunek. Była dumna i przejęta tym zadaniem. Goście pana skrzywdzili ją, pan i pani nie obronili... Zapatrzeni w coś, popełniamy bardzo wiele drobnych... ale drobnych tylko dla nas, podłych czynów.

– Co mi chcesz powiedzieć, wasza godność?

– Że uznałem kiedyś twoje słowa za małoduszne, a tymczasem były po prostu życiowe. Mądre. Słabi nigdzie nie mają żadnych praw, zawsze zostaną skrzywdzeni przez silnych, choćby tylko mimochodem. Jedyna ich nadzieja w silniejszych, i to oni, ci silniejsi od silnych, ponoszą odpowiedzialność.

– Nie wiem, panie, nie jestem myślicielem – rzekł Raladan. – Każdy niech robi to, co powinien, nie szukając wykrętów i usprawiedliwień. Pozwoliłeś skrzywdzić swoją niewolnicę, ja źle opiekuję się córką... Poszukajmy winy w sobie, nie w innych.

– Otóż to, uczciwy piracie. Właśnie to chciałem powiedzieć. I dlatego z tobą pojadę.

Raladan skinął głową i poszedł, bo chciał się dobrze wyspać przed podróżą.

16.

Ślepa Foka Ridi urządziła swoim chłopcom prawdziwy marsz śmierci.

Po morzach pływało się także zimą, więc przed wyruszeniem w podróż majtkowie powyciągali ze swych worków różnorakie obuwie, używane w czasie owej przykrew pory roku. Raczej ciepłe niż mocne kapcie i trzewiki, dobre do chodzenia po pokładzie, zdarły się jednak w niebywałym tempie. Bosonodzy, nie przyzwyczajeni do wędrówek marynarze już w pierwszej z brzegu napotkanej wiosce byli gotowi wymordować wszystkich chłopów, byle tylko pozdejmować im chodaki z nóg. Jednak mordować Ridi nie pozwoliła, bo awantury mogły ściągnąć jej na kark jakiś oddział Królewskiej Straży Krajowej, jako że ta właśnie formacja, z woli i za przyzwoleniem pani Wiecznego Cesarstwa, patrolowała Niski Grombelard. Przerażone najazdem chłopcy na wyścigi oddawały łapcie, drewniaki i co tylko miały na nogach, ale raz, że niewiele miały, a dwa, nieprzywykli do podobnego obuwia marynarze męczyli się w tym bardziej niż boso. Pogwałcono szybciotko dziewczyny i ruszono dalej ku zdumieniu osłupiałych wieśniaków, którzy takiej łaskawej bandy nigdy w życiu nie widzieli na oczy – te, które schodziły czasem z gór, były dużo gorsze, bo gwałciły nawet chłopaków, dzieciaki i stare baby, zabierały zaś wszystko, co nie było dobrze schowane. A ci tutaj – łapcie i już?...

Przeklęto ich z daleka, bo na pewno przywlekli co złego, paskudztwo albo jakieś nieszczęście. Najgorsza sprawa to z takimi ścierwami, które nie wiadomo czego chcą... Patrza ich, łapcie zabrali. Stare baby i chłopaki im śmierdzą. A żeby ich wszystkich choróbsko wydusiło; żeby ich matki przekleły, a dzieci i wnuki pomarły z głodu w mękach.

Uradzono, że za tymi tutaj cudakami ani chybi idzie jakaś druga banda pod znaczniejszym wodzem i to dla niej wszystko zostało. Do wieczora wieś opustoszała – mieszkańcy pozbiali dobytek i uciekli do lasu.

Ridi jechała konno – był to wierzchowiec wielkim staraniem zabrany na pokład „Trupa”, potem zaś tak samo mozolnie przewieziony z powrotem na brzeg. Biedne zwierzę tylko jakimś cudem nie połamało nóg. Najpierw wydawało się oczywiste, że dowódczyni nie będzie się pieszo toczyć środkiem drogi ze swoim wydętym brzuchem, potem zaczęto sarkać, że tak sobie wygodnie jedzie – a przemierzano kraj zaledwie pofałdowany, wcale przyjazny wędrówce, trawiasty, obfitujący w cieniste lasy i strumienie dające ulgę stopom. Góry było widać dość dobrze, ale wznosiły się daleko, wciąż tak samo odległe, stale po prawej ręce. Tak było do chwili, gdy maszerujący marynarze natknęli się na resztki gościńca łączącego kiedyś pograniczną Akalę z nisko położonym, ale już jednak górskim miastem grombelardzkim, Riksem. Ridi nie miała pewności, czy zaniedbana droga jest na pewno tą, której szuka, ale wiodła w dobrym kierunku i pomyłka mogła owocować najwyżej dojściem do stoków Gór Wąskich nie w tym miejscu co

trzeba. Gdyby tak się zdarzyło, należało zasięgnąć języka i dowiedzieć się, w którą stronę do Sępiej Przełęczy. Dobrze myślała czy źle – w każdym razie trafiła gdzie trzeba. Grombelard – nawet Niski – nigdy nie był krajem zadbanym i przyjaznym, więc każdy mądrzejszy od pastucha człowiek zaraz by powiedział pirackiej księżniczce, że idzie dobrym gościńcem, a dobrym na pewno, bo w tych stronach po prostu jedynym.

Droga ta, niegdyś wcale uczęszczana, doprowadziła Ridi do gór – i dopiero wtedy naprawdę się zaczęło. Szlak, jak najbardziej przejezdny dla człowieka na koniu, a nawet ciężkiego kupieckiego wozu, kreślił jednak zygzakowatą, połamaną linię, wił się konwulsyjnie, gdzieś znikał, gdzie indziej się pojawiał... Z pozoru nieodległa Sępia Przełęcz zaczęła się wydawać miejscem nieosiągalnym; przyzwyczajeni do otwartych – i to jak otwartych! – przestrzeni żeglarze nie umieli pojąć, że od wielkiej skały, którą świetnie widzą, dzieli ich pół dnia drogi. Biegający niemal tuż nad głowami, w odległości strzału z łuku, odcinek gościńca można było osiągnąć dopiero po przejściu dwóch mil – chyba że ktoś pragnął posmakować wspinaczki na pionową ścianę.

Na Sępiej Przełęczy istniało coś, co mogło być kiedyś zajazdem – teraz było nie wiadomo czym. Nazywało się to „Pogromca” i musiało być otoczone szczególną opieką Pasm, bo w żaden inny sposób nie dało się wytłumaczyć, że ten zajazd-nie-zajazd przetrwał. Sprzedawano tu właściwie tylko berbeluchę. Widocznie nawet w Grombelardzie ktoś musiał to robić. Być może co parę miesięcy jakaś pijana banda traciła cierpliwość i mordowała szynkarza, ale na jego miejsce zaraz przychodził inny. Ridi i jej chłopcy nie wiedzieli, że widzą na własne oczy może już ostatnią żywą legendę grombelardzką... „Pogromca” przetrwał wszystko, choć czasy świetności miał za sobą. Kiedyś zabudowania zajazdu tworzyły niemal maleńki gródek, otoczony palisadą i rowem. Zatrzymywali się tu zmierzający do górskich miast kupcy, można było kupić wszystko, co potrzebne w podróży, godziwie przenocować w wielkiej wspólnej izbie na sianie, albo i dostać łóżko w jednej z dwóch małych izb. Całkiem ładna drużyna pachołków strzegła bezpieczeństwa mieszkających tu rzemieślników – oprócz kowala był rymarz, siodlarz, kołodziej, nawet szewc, a wszyscy z rodzinami. Ciężko było złupić tę sadybę, bo oprócz trzymanyh przez gospodarza zbrojnych (na co dzień po prostu posługaczy-stajennych) zawsze ktoś tutaj biesiadował albo nocował. A jadący w grombelardzkie góry kupiec i jego pomocnicy to nie byli ludzie krzyczący ze strachu na widok wyjętego z pochwy miecza. Jeśli dodać do tego, że mieszkańcy – owi szewcy i rymarze – też umieli dbać o swoją skórę; jeśli wspomnieć jeszcze, że ich córki i żony nie dały sobie dmuchać w kaszę (bo która prostytutka boi się byle pijaka i nie wie, kiedy warto złapać za nóż?), wychodziło, że „Pogromca” był zamkiem niemal nie do zdobycia. I rzeczywiście, złupiono go ledwie parę razy na przestrzeni kilkudziesięciu lat.

Ale te czasy miały już nie wrócić.

Chłopcy Ridi chcieli być właśnie tymi, którzy złupią „Pogromcę” po raz ostatni – ale nie

bardzo było co łupić. Zresztą, dowódczyni nie pozwoliła. Popili więc tylko wódki; nie za dużo. Ale dobrze, że popili, bo wieczorem spadł deszcz. I wiał wiatr. Można było udusić się w chmurach, skłębionych na górze, na dole... Z przełęczy otwierał się widok na postrzępione i naprawdę już groźne, niedalekie (tylko czy na pewno?...) południowe stoki Ciężkich Gór. Marynarze patrzyli i patrzyli, nie mogąc wprost uwierzyć, że na świecie istnieją tak obrzydliwe rzeczy, tak wstrętne widoki, jakie się przed nimi roztaczają. Tu już nie chodziło o torturę dla zbolałych nóg. Widok. Smutny, ponury. Ktokolwiek był w górach, musiał przyznać, że nic bardziej przykrego dla oczu nie istnieje. Morza, lasy... Pola, pastwiska... Jeziora i armecktańskie równiny... Wszystko to miało swój urok, mogło komuś się podobać albo nie. Jednak – góry? Tu nie było żadnego: „a może?...”. Nikt zdrowy na umyśle nie mógł tutaj przyjść z własnej woli, a co dopiero osiedlić się i żyć. Człowiek nie wszędzie wytrzyma. Są takie miejsca, gdzie zrobi mu się przykro – ale to tak przykro, tak bardzo przykro, że umrze.

Na pół setki ludzi w oddziale Ridi ani jeden nie zobaczył w górach czegokolwiek, co byłoby warte uwagi.

Dowódczyni też nie.

Idąc do Riksu – a był to szlak dziwnie równy, o wiele wygodniejszy niżli ten, którym z Niskiego Grombelardu wdrapywali się na Sępią Przełęcz – napotkali po drodze jakieś zbrojne oddziały, ale szybko zeszyły z drogi, a raczej wręcz uciekły, dojrawszy siłę marynarskiej grupy. Nikt tu chyba nie chciał spotkać kogoś, kto jest odeń silniejszy. Tymczasem wymęczeni do cna żeglarze silni byli co najwyżej liczbą. Wlekli się paskudnym, otoczonym przez góry szlakiem, z nogami poowijanymi czym się dało, podpierali jeden drugiego. Na postojach i nocnych biwakach wybuchały sprzeczki, nawet ostre bójki, których siepacze z Gardy nie umieli szybko zażegnać, bo wyglądali tak samo źle, jak „podopieczni”. Marynarskie mienie, prowiant, nawet broń – wszystko to zawsze dźwigał okręt. Tutaj był prosty wybór: albo targać niemożliwie wielki wór, albo przymierać głodem. Albo stale zdychać pod ciężarem kolczugi, albo w pierwszej walce, jaka się nadarzy, wystawić przeciw ostrzom goły brzuch. Na szczęście nie trzeba było wlec bukłaków; wystarczyło kilka dużych worków dźwiganych przez wierzchowca dowódczyni. Nikt nie cierpiał z pragnienia, bo codzienny wieczorny deszcz, padający z przedziwną regularnością, pozwalał nałapać tyle wody, ile tylko dusza zapragnęła. Najlepiej było rozłożyć koszule i inne szmaty na skałach, a potem już tylko wyżywać z nich wodę.

Zrujnowany Riks, w którym zamiast zwykłych mieszkańców koczowały jakieś bandy, nikomu nie przypadł do gustu. Ale działało tu coś w rodzaju tawern (podobnych trochę do słynnego „Pogromcy”), można było nawet pohandlować zrabowanymi tu i tam dobrami. Kupiono trochę butów. Nie znający języka marynarze cały czas trzymali się w kupie, bo było raźniej. Przede wszystkim bezpieczniej. Z jakichś powodów mało która wataha liczyła tutaj więcej niż dwadzieścia do trzydziestu łbów, a wszystkie spozierały wilkiem jedna na drugą; dwakroć

silniejszy oddział Ridi mógł więc nie obawiać się napaści, przynajmniej do chwili, aż ktoś tam wreszcie z kimś się dogada. Ten moment mógł nadejść szybciej, niż się wydawało. Przede wszystkim z powodu dowódczyni. Niezła broń, noszona przez marynarzy, przyciągała łakome spojrzenia, takim samym wzrokiem żeglarze ogarniali nogi górali, którzy wszystko mogli mieć byle jakie, ale rozumieli, co znaczą niedziurawe kapcie na wertepach, jednak na widok Ślepej Ridi każdy miejscowy łapserdak przystawał i otwierał gębę, gotów przecierać oczy; czasem milkły całe gromady.

Chyba od zarania dziejów nikt tu nie widział takiej baby. Zdobyć podobnego dobra uczyniłoby właściciela bogatym – przecież, nawet gdyby do niej dopuszczał tylko piętnastu chłopów dziennie, to i tak zbiłby majątek. Kobiet tutaj nie było wcale; zużywały się szybciej niż buty. Podobno sto lat temu chodziła po Ciężkich Górach bardzo ładna rozbójniczka Hel-Krehiri, a jeszcze dawniej Łowczyni, olbrzymka wyższa od największego mężczyzny, która strzelała z dwóch kusz naraz i zabijała sępy – rozumne jak człowiek albo kot wielkie ptaki – aż zabiła je wszystkie (właściwie nikt nie wierzył, że w ogóle istniały). Ale Hel-Krehiri i Łowczyni na pewno nie były takie, jak ta tutaj.

Riks, zrujnowane i opuszczone przez mieszkańców miasto, w którym nie było nawet kawałka drewna, bo całe poszło na opał, wydał się marynarzom ze „Zgniętego Trupa” istnym końcem świata. I rzeczywiście – tutaj właśnie się kończył jako tako normalny świat. Riks zawsze był bramą Gór Ciężkich – ze wszystkich miast Grombelardu właśnie Riks leżał najbliżej Armektu i Dartanu. Tutaj jeszcze przychodził ktoś z zewnątrz, handlowano nędznymi łupami, wyrwanymi jakimś wieśniakom, czasem odebranymi podróżnym gdzieś na pograniczu. Za Riksem nie istniało już nic. Ruiny Badoru, Grombu i Rahgaru nie były żadnymi sadybami, co najwyżej kamieniami milowymi dla watah, które przemierzały górski szlak, zmierzając do Londu, a potem z powrotem uciekając w góry przed pościgiem imperialnych żołnierzy. Jednakże portowy Lond, ostatni w łańcuchu grombelardzkich miast, nie miał nic wspólnego z tymi w górach. Miasto-państwo, bardziej armeктаńskie niżli grombelardzkie, ciągnęło życiodajne soki z morza.

Kiedyś w Grombelardzie żyły dwunożne wilki – ale żyły także sarny i jelenie, pozwalające wilkom przetrwać. Watahy drapieżników były trzymane w ryzach przez gajowych – imperialną Legię Grombelardzką. Gdy gajowi odeszli, wiele bojaźliwych roślinożerców podążyło za nimi, a pozostałe niemal w mgnieniu oka zostały pozagryzane przez krwiożercze basiory, które – w odróżnieniu od prawdziwych wilków – zabijały nie tyle z głodu, co dla przyjemności. Teraz w Grombelardzie zostały już tylko wilcze stada, tępiące się nawzajem, wrywające sobie z kłów marne resztki zdobyczy, przywleczonej gdzieś spoza kraju. Dawna Druga Prowincja stała się kloaką Szereru, miejscem do którego sływały najgorsze nieczystości. Czasem szambo nieco podsychało, to znów napełniało się od nowa. Bo też zawsze trafiło się paru takich, którzy nigdzie

już nie mogli znaleźć dla siebie miejsca, więc szli do Grombelardu, licząc... a któż to wiedział, na co?... Na objęcie rządów nad podobnymi sobie. Na rozkosze życia w kraju zupełnego bezprawia, gdzie wystarczył miecz i twarda pięść do zostania przywódcą, choćby tylko parunastu słabo znających ludzką mowę drabów. Zostania KIMS. W jakim zakątku świata mogło zostać KIMS silne bydło, zbyt leniwe, by pracować; zbyt bezczelne, by służyć w wojsku; zbyt głupie, by bezkarnie kraść w mieście, po ulicach którego krążyły patrole żołnierzy albo zbrojnych pachołków?...

Na tle grombelardzkich mętów marynarze ze „Zgniłego Trupa” – legendarni na morzach szubienicznicy, którym nawet mieszkańcy Riksu mogliby pozazdrościć znamienitych czynów – byli wcale karnym oddziałem. Praca na okręcie uczyła jakiej takiej dyscypliny, współdziałania, nikt tam niczego nie mógł zrobić sam. Jeden człowiek mógł może wydostać się z dzikich, lecz znanych sobie gór, ale nikt w pojedynkę nie miał cienia szansy na doprowadzenie okrętu do portu. Dowódców należało słuchać we własnym interesie, bo z tonącego podczas sztormu albo rozbitego na skałach żaglowca nikt nie mógł uciec, by następnie porządzić sobie na miejscu zabitego kapitana. Nikt na morzu, dla byle pijackiego kaprysu, nie wyzwalał dowódcy do walki o przywództwo, bo następnie musiałyby wziąć mapy, pióro, przyrządy nawigacyjne, no i... żeby... mffff... Jeśli sam tego nie rozumiał, to kompani pomogli mu zrozumieć. Zdarzały się bunty na żaglowcach, owszem, ale były najczęściej przejawem rozpacz i desperacji, nie jakiejś tam głupiej zachcianki.

Foka Ridi prowadziła swoich chłopców do Grombu.

Na ostatnim nocnym postoju przed dawną stolicą Grombelardu (nikt w oddziale Ridarety, dowódczyni nie wyłączając, nie wiedział, że jest to postój ostatni) biwaku pilnowały bardzo silne straże, bo podejrzanie często za plecami idących, a nawet gdzieś, na niedostępnych z pozoru stokach gór, pojawiały się obce grupy. Ridi nie miała pojęcia o górach, umiała po prostu maszerować wyznaczonym szlakiem, ale na szczęście zdawała sobie z tego sprawę i wiedziała, że jeśli raz z tego szlaku zejdzie, jeśli tylko raz pozwoli rozproszyć swoich ludzi, to nikt tutaj zabawy z góralami i górami nie przeżyje. Ze swoimi pokrzwawionymi szmatami na nogach, bez odpowiedniego ekwipunku, już czterdzieści kroków od sławetnej ścieżki mogli się wszyscy pozabijać bez udziału wroga, bo nie umieli ocenić nawet tego, który kamień trzyma się mocno, a który wystarczy puknąć; który błyszczy się, bo błyszczy, a który jest mokry i śliski. Miejscowy zbój zerkał na skałę i już wiedział, że najszybciej przybędzie kompanowi z pomocą, pędząc najpierw na prawo i zataczając łuk. Marynarz był gotów pognać przed siebie i stanąć przed całkiem niewinnym uskokiem, który z daleka jakoś... wydawał się taki do kolan, z bliska zaś dwanaście razy wyższy. Wyraźny i w miarę równy szlak, którym do Badoru mogły toczyć się wozy, a dalej swobodnie kroczyć – czasem nawet kłusować – konie, był jedyną ostoją załogi „Zgniłego Trupa”. Matką-drózką, od trzymania się której zależało po prostu życie.

Czuwały na zamianę trzy wachty po piętnastu ludzi. Pozostali kładli się spać z bronią w rękę. Ridi i jej wierzchowiec mieli miejsce w samym środku grupy. Dwa razy wszczęto alarm – obudzeni żeglarze, rozłożeni biwakiem na poboczu szlaku, z przygotowanym orężem oglądali pospieszny przemarsz jakiejś grupy; jedna szła tam gdzie oni, druga w stronę Badoru. Nie zaczepiano ich, ale już się tak bardzo nie bano, jak na samym początku drogi. Widocznie wieści w górach rozchodziły się szybko i wszyscy już widzieli, że wyjątkowo duża banda obcych nie szuka guza i nie kwapi się do utarczek z kim popadnie.

To nie wróżyło dobrze. Tu na pewno nikt nie szanował ludzi za to, że byli spokojni i mili.

Żeglarze Ridarety czuli się naprawdę wykończeni. Szli, bo szli, a zresztą raczej leżli. Ale czy mogli wrócić? Oto było pytanie. Kończyły się zapasy żywności. Niejeden z nich, zerknąwszy do ładowni, mógł w przybliżeniu ocenić i odkrzyknąć oficerowi, na ile dni rejsu wystarczy żarcia, ale w zamian nikt nie wiedział, jaką ilość prowiantu dla siebie powinien zabrać na drogę. Wydawało się, że wielka góra jedzenia, która nie mieściła się w torbie, wystarczy po prostu na zawsze. Ale niezupełnie tak było.

Łucznicy mieli kłopoty z łukami, które – niezabezpieczone przed wilgocią – bardzo słabo się do czegoś nadawały. Gubiono strzały i bełty – na okręcie nikt tego nie nosił i nie umiał dbać o takie rzeczy, przed walką zbrojmistrz otwierał zbrojownię i wydawał potrzebny oręż. Tylko tyle. Ginęły fajki, noże i różne drobiazgi – cokolwiek biedny majtek odłożył na skałę, musiał zaraz zabrać z powrotem, bo jeżeli zapomniał, to przepadło; skała nie była skrzynką na okręcie i nigdzie nie zamierzała płynąć razem z nim. Nie chciał palić się mokry tytoń, nie było z czego rozniecić ognia. Szmaty na grzbiecie w ogóle nie wysychały. Takie – niby drobne – codzienne uciążliwości, po jakimś czasie stawały się nie do wytrzymania. Ridareta miała większe zmartwienia niż zły humor podkomendnych, ale na ostatnim biwaku przed Grombem zdała sobie sprawę, że za dzień albo dwa jej rozdrażnieni chłopcy zaczną się wyrzynać (na trzeźwo!) w dzikiej bójce, rozpętanej z powodu fulara, o zabranii którego ktoś tam komuś miał przypomnieć, ale nie przypominał. Na okręcie w rękach załogi pozostawało stale najwyżej parę sztuk ciężkiej broni, większość marynarzy miała jedynie noże. Ale tutaj było wątpliwe, czy uzbrojonych po zęby wariatów zdołają uspokoić schorowani gwardziści, dowodzeni przez niemłodego Nellsa, któremu bieganie po górach bardziej dało się we znaki niż innym.

Noc jednak minęła spokojnie, w każdym razie bezkrwawo. Ridareta jednak nie odpoczęła, bo powrócił koszmar, z którym stale się ostatnio borykała. Wyraźniejsza nawet od innych, stale wracająca wizja, która, niestety, nie była snem... Podsuwane przez Riolatę objawienia zdarzeń, miejsc... To zawsze było prawdziwe.

Ridareta śniła.

„Chcę cię zabić i szukam sposobu” – mówił człowiek w nijakiej burej szacie, z twarzą skrytą w cieniu kaptura. „Ale mam niewiele czasu, muszę więc zaproponować prosty układ: zmierzmy

się, Rubinie. Przyjdź do mnie, będę czekał. Ty masz swoją odporność na rany i różne ukryte siły, o których nawet nie wiesz, ja jestem matematykiem Szerni. Mądrym i bardzo silnym, to prawda. Dlatego że szukałem i znalazłem, płacąc za poszukiwania bardzo wysoką cenę. Szukaj i ty, zapłać, a może też coś dostaniesz. Zdobędziesz oręż. Staw się w Grombie”.

Pojawiało się zburzone miasto: resztki bramy, zniszczona ulica, trupy domów, dalej pusty plac, chyba będący kiedyś rynkiem... Uliczka, i jeszcze jedna... Wyszczerbiona ściana, dziwnie przypominająca konia: był łeb, szyja i grzbiet. Jeszcze jedna uliczka i ruina jakiegoś bardzo dużego gmachu. Kamienie z resztkami zaprawy, coś w rodzaju posadzki z granitowych płyt...

„Na czym ci zależy? Na życiu uwięzionego przez królową pirata? Jeśli zginiesz, pošlę do Rollayny dowód, że tak się stało, i twój opiekun odzyska wolność. W zamian, jeśli nie wyruszysz na spotkanie ze mną bądź zawrócisz z drogi, dowiem się o tym i przybędę do Rollayny przed tobą – uwierz, że potrafię szybko podróżować... A kim jest ten człowiek, który w Talancie zamordował mojego towarzysza? Nie jestem jasnowiedzem, a tylko matematykiem. Rozum mi mówi, że wyprawę przeciwko dwóm Przyjętym może podjąć ktoś, komu bardzo dobrze zapłacono, albo ktoś, komu na czymś – może na kimś? – zależy. Mylę się, Rubinie, czy nie mylę... Wiedz jednak, że ten żeglarz nosi w żyłach śmierć, bo nie tak całkiem bezkarnie udało mu się pokonać dwóch Przyjętych. Staw się w Grombie, a cofnę wydany już wyrok. Ciągłe jeszcze mogę to zrobić. Nie zależy mi na śmierci tego człowieka, albo raczej: owszem, zależy, ale bardziej na śmierci twojej, bo to ty jesteś sprawczynią wszystkiego”.

Powoli zniknęło martwe miasto, rozmywała się postać człowieka w kapturze. Z tła wyłaniało się pochmurne niebo, pod którym jaśniało tysiącem świateł miasto. Potem pod błękitnym niebem zafalowało morze.

„Wyjaśnienia? Wątpię, czy warto ci je przedstawiać, ale oto one, Rubinie. Pod niebem Szerni trwa wspaniały, bezpieczny świat, w którym wojna zagościła niedawno, a choć wydawała się straszna, w istocie była wojną niewinną. Wcześniej przez dziesięciolecia, a nawet stulecia, trwał pokój nazwany »wiecznym«, w granicach tak samo zwanego Cesarstwa. Ludzie dożywali swoich dni w pięknych dartańskich miastach i spokojnych armektańskich wsiach, między którymi krążyli wędrowni bakałarze, przekazujący prostym chłopskim dzieciom sztukę czytania liter, opowiadający baśnie o świecie, a w istocie jego historię. Było tak i jeszcze będzie. Wojny wkrótce przeminą, bo w Szererze trudno znaleźć powody, dla których miałyby być stale wzniecane; goła polityka nie daje takich powodów. Przyczyny nieustannych lub wciąż wznawianych wojen muszą być głębsze i dotyczyć nieprzezwycięzalnych różnic w pojmowaniu świata, a w Szererze tylko mała, męcząca, ale tak naprawdę będąca gonitwą i ciągiem drobnych utarczek graniczna wojna z Alerami, obcą rasą spod obcego nieba, bierze się z takich przyczyn”.

Gasło niebo nad morzem, znowu wypływała z szarego, rozmazanego tła okryta kapturem pochyłona głowa.

„Może są gdzieś, Rubinie, lepsze światy od naszego, ale na pewno są i gorsze. Może są takie, w których pali się księgi i ścina uczonych, nie wolno głosić prawdy, a nawet jej poszukiwać, bo jest z góry uważana za niesłuszną. Może istoty rozumne nie wiedzą, co je powołało do istnienia, więc wierzą, jak to pokazuje w swych modelach Gotah, w różne niesprawdzone rzeczy i w imię tej gołej wiary są gotowe mordować się nawzajem – oto właśnie jedna z domniemanych i nieusuwalnych przyczyn wiecznych wojen. Ważna dla wyznawcy, niemniej goła wiara, zwana przez Gotaha »religią«, gdy nikt nikogo nie przekona żadnym dowodem, bo takich dowodów brak, pozostaje więc najwyżej siłą postawić na swoim... Czy to tylko zawieszony w próżni model, sporządzony przez chorującego na nadmiar wyobraźni filozofa? Bez wątplenia tak. Ale w zamian może istnieją światy – i to już jest na pewno możliwe – w których szaleją zarazy o sile, jakiej nie znamy, zabijające już nie pojedyncze rodziny, ale pustoszące całe kraje; straszne choroby przenoszone oddechem, dotykiem, może nawet miłosnym aktem – podobne do tych, które u nas powodują brzydkie obrzmienie i dokuczliwe swędzenie, utrzymujące się przez kilka miesięcy... Nawet jeśli takich światów nie ma, to sam domysł, że mogłyby istnieć, jest przerażający i nakazuje kochać łagodny, piękny świat, który mamy. A tymczasem, Rubinie, na obrzeżach tego świata, w Grombelardzie albo na Bezmiarach, osadzają się wstrętne szumowiny, nie szanujące niczego i nikogo. Cuchnące, trujące i brudne. Jesteś symbolem... nie, nie Odrzuconych Pasm. Dla mnie jesteś symbolem wszystkiego, czym gardzę. Brutalnej siły, gotowej zniszczyć wszystko, co słabsze, a zwłaszcza bezbronne. Jesteś zarazą, o jakiej mówiłem. Ruchome przedmioty podobne do ciebie – bo to zawsze są przedmioty, nie ludzie – mogą zabić i zohydzić wszystko. Za tobą, za piratami Bezmiarów, za grombelardzkimi zbójcami, nie stoją żadne racje, nawet takie, jakie mógłby przedstawić alerski wojownik z północy, powszechnie uważany za półzwierzę. Kalacie mój świat, mordując dla rozkoszy mordowania, dla zabawy; przecież chyba nie z konieczności? Chcę cię za to ukarać, bo obojętne, skąd się wzięłaś, obojętne co tobą kieruje – zasługujesz na najstraszniejszą śmierć w męczarniach. Zarazę trzeba tępić i wypalać ogniem, tak jak to czyni się z domami, w których szalał zabijający całą rodzinę mór. Cień pobłażania dla bestialstwa wystarczy, byście się mnożyli w nieskończoność, aż w końcu zatrujecie i zniszczycie wszystko. Oto moje racje, Rubinie – nieogarnione dla ciebie, niech zgadnę. Niemniej przyjdź, a ocalisz dwóch mniejszych szubrawców. Przyjdź, bo pragnę cię zabić, nim umrę, i uczynić dla mojego świata coś dobrego. Ktoś powie, że *lah'agar* powinien być ponad to, ale jestem przecież człowiekiem”.

Ridareta obudziła się. Świtało.

Leżała, patrząc w niskie grombelardzkie niebo. Już знаła ten sen na pamięć.

Ktoś inny na jej miejscu zdałby sobie sprawę, jak śmieszny jest matematyk, próbujący być nad grobem filozofem... Nieszczęśliwy człowiek, który jednym czynem usiłował nadać sens całemu swemu życiu, a w jednym krótkim wywodzie gotów był porównywać, ważyć i oceniać

światy, zestawiając realny z wydumanym. Jednak Ridi nie umiała się zagłębiać w takie sprawy.

Skorzystała z podpowiedzi prześladowcy: szukała, lecz nie znalazła. Wyrwała z Riolaty różnorodną nieprzydatną wiedzę, ale żadnego oręża w kłębowisku czerwonych macek nie było. Szła przeciw Przyjętemu ze swoim półmieczem w ręku oraz całą nienawiścią, jaką miała dla podziwianego przezeń świata.

Bo na pewno nie było bronią wstydliwą, pełne niewiary marzenie, żeby jej srogi sędzia zachciał dotrzymać słowa i darował życie dwóm mężczyznom.

Brama w murze miejskim była dokładnie taka, jaką Ridareta widziała we śnie. Ale dostępu do niej strzegło parudziesięciu zbrojnych. Nie wiadomo, po co tam stali. Nie trzymali broni, nie przejawiali wrogich zamiarów. W ogóle żadnych zamiarów. Nawet nie zagradzali przejścia. Dwie wyczekujące grupy po obu stronach drogi, przy samym miejskim murze. W cieniu jakichś ruin, które chyba były kiedyś domami przedmieścia. To mógł być ten sam oddział, który spokojnie minął ich w nocy i pomaszzerował w stronę Grombu. Liczebność chyba się zgadzała.

– Co robić? – zapytała Nellsa.

Wielki Dartańczyk starał się nie okazywać, ile go kosztowała przeprawa przez Grombelard. Jak wielu niemłodych mężczyzn, zwyczajną koleją rzeczy wciąż miał dawną krzepę w rękach, ale już nie w nogach.

– Będzie dwudziestu paru – powiedział. – Jeśli zaczęli się na nas, to coś chyba... za słabo.

– Może specjalnie tak słabo. Zostawiłbyś za sobą sześćdziesięciu? Nie. Ale tylu tak. Tylko że, jeżeli dwie takie bandy stoją po drugiej stronie bramy... To wtedy właśnie tutaj, w bramie tego miasta, skończy się nasza podróż. Kto się przedrze?

– Ty, kapitana. Dasz ostrogę i... może...

– Dam ostrogę i na oślep pognam w środek jakichś ruin, gdzie siedzi nie wiadomo ilu takich? Tylu, co w Riksie, czy choćby Badorze? Nawet ślepy trafi z kuszy w ten kocioł, który noszę przed sobą zamiast brzucha.

– Ale cię przecież nie zabije.

– Tralala. Zwali z konia. Połamię nogi i ręce. Dorwą mnie. Czy poczekają do jutra, aż Piękna Ridi uwarzy sobie mleczko w cycuszkach i szare błoto w brzuszku? Zresztą nigdy nie zdrowiałam ot, tak! – Pstryknęła palcami. – Parę miesięcy temu, gdyby był dobry dzień, podpaliłabym całe to bractwo. A teraz dwóch takich wystarczy, żeby mnie porąbać na kawałki. I będę do ciebie mrugała, jak podniosą z ziemi za włosy moją głowę.

– Przestań pierdzielić, kapitana.

– No bo pytam, co robić, a ty mi... „Daj ostrogę”, też mi wymyślił.

– Ty mów, co robić.

– Zabić ich – rzekła krótko. – Koniec przechadzki po tym pięknym kraju. Nie będę krzyżeć,

więc pošlij swoich, niech przekażą chłopcom. Spokojnie wchodzimy między nich, a kiedy wrzasnę, to worki na ziemię, topory i miecze w garść. Przycisnąć to wszystko do muru po obu stronach bramy. Jak wyleci ze środka jakaś banda na pomoc, to przynajmniej wszyscy będą przed nami, a nie z obu stron. I ja wtedy rzeczywiście dam ostrogę. Tyle tylko że pognam z powrotem, a wy sobie poradzicie albo nie. Jedna gruba foka nie przechyla szali bitwy tak czy siak.

– Dobry plan – powiedział Nells i chyba naprawdę tak myślał, bo wszystko wydawało mu się dobre w porównaniu z chodzeniem po górach.

Plan zresztą naprawdę nie był zły. Prosty jak... sygnał do abordażu. Czyli w sam raz dla żeglarzy, nie mających serca do manewrów i szyków na modłę imperialnej piechoty. Prędej czy później ktoś tu musiał się za nich wziąć. A wyróżnienie jednej – dużej jak na miejscowe warunki – bandy mogło dać do myślenia innym. Ridi była pewna swoich chłopców. Wzięła całą Gardę; zostawiła Mevevowi wszystkie dziewczuchy, wszystkich prawdziwych znajdujących się na żaglach marynarzy – i wszystkich nieudaczników. Zabrała w góry to co najlepsze. To nie była zgraja nadająca się tylko do bitew z wieśniakami... O, nie.

Podkomendni Nellsa przekazali marynarzom o co chodzi. Spodobało się.

Oddział raczej włókł się, niż szedł – i chociaż raz był z tego pożytek. Nie brakło czasu, nie trzeba było zwalniać, ani się zatrzymywać, żeby uzgodnić plan działania. Do bramy mieli jeszcze całkiem ładny kawałek. Ridi jechała tam gdzie zawsze, w środku grupy, otoczona przez Gardę.

Banda przy bramie chyba naprawdę nie miała wrogich zamiarów. Popatrywano na idących raczej z ciekawością, niż zaczepnie bądź wrogo. Marynarze wkroczyli między dwie grupy.

Foka zapiszczała – a był to ten legendarny pisk, od którego rzekomo odpalały działa okrętowe. Chłopcy z „Trupa” go znali, ale ogłupiała zgraja pod miejskim murem nie. Przerażliwy dźwięk przewiercił uszy na wylot, a nim przebrzmiał, ozdobione Kokardami Ridi draby miały w rękach miecze i topory. Pięćdziesięciu ludzi rzuciło się na prawo i lewo. Ridareta zawróciła konia i opustoszałą drogą pognęła z powrotem, ale tylko kawałek. Stała i patrzyła.

Nie bardzo było na co. Dwudziestu kilku zaskoczonych górali rozniesiono. Ktoś uciekał i zarobił w plecy rzuconym toporem. Tu i tam dobijano powalonych. Bronił się jakiś łapserdak przy samym murze; zaraz zginął. Nells wrzasnął i kilku żeglarzy wbiegło w czeluść bramy, przy której nie było brony ani żadnych wież. Ridi klusem dołączyła do swoich.

– Już nie jesteśmy grzeczni.

– He! – odpowiedział Nells.

Nie bacząc na nic, marynarze ściągali trofea z nóg zabitych. Pospiesznie wymieniano przyciasne obuwie na większe. Należycie wyposażeni wojownicy poczuli się znacznie pewniej.

Biegiem wrócił marynarz z wiadomością, że za bramą nie ma nikogo.

Ridi znała ulicę... trupy domów... Właśnie tą ulicą można było dotrzeć do dużego placu, kiedyś rynku. A dalej... Dalej też wiedziała.

Nadała takie tempo, że majtkowie musieli biec truchtem obok kłusującego konia.

Nie różniło się to miasto od Badoru. Prawie niczym.

W bocznej ulicy – a raczej tym, co z niej zostało – zamajaczyli jacyś ludzie.

Ktoś przebiegał w poprzek następnej.

Żarty się skończyły. Przybyszów oczekiwano. Zaskoczona banda przy bramie stała tam chyba po to, by uniemożliwić z miasta ucieczkę niedobitkom.

Był rynek.

Ridi zobaczyła, że dalej nie pójdzie. Uliczkę, w którą musiała wjechać, zagradzał silny oddział. Tym razem naprawdę silny, co najmniej taki jak jej.

Zrzuciła na ziemię niesione przez wierzchowca wory z resztką wody. Odczepiła od siodła długi i bardzo ciężki pakunek, spowity w tłuste szmaty. Była to broń, wciśnięta jej przez Meveva.

– Bierz to wszystko, Nells – powiedziała. – Bierzcie to! – krzyknęła.

– Kapitana...

– Muszę przejść. Przebijamy się przez skurwysynów. Kto może, niech idzie za mną! – zawołała. – Kto nie może... Niech się bije na śmierć.

– Ridka...

– Nells, ja muszę przejść. Nie mogą mnie tutaj zabić.

– Idziesz na tego Przyjętego?

– Tak, bo wiem gdzie jest.

– Ale... jak nikt się nie przedrze? Tylko ty sama? On cię zabije.

– Jeśli on... to dobrze. Nie może mnie zabić nikt inny.

– Kapitana...

– Nells. Ja muszę przejść. Chłopcy – powiedziała głośniej, rozejrzała się i nagle zrobiło jej się czegoś bardzo żal. Tych zagapionych na nią paskudnych mord... tych głupich zielonych chustek przewiązanych jakimiś strzępami... Pokrwawionych kopyt, na których ledwo już szli. – Chłopcy... Pamiętajcie o mnie, jakby co. Niech ta nasza łajba się nazywa „Ślepa Ridi”, albo... sama nie wiem... Może któryś jakoś tam wróci.

Szarpnęła wędzidłem i wyciągnęła miecz. Ruszyła kłusem.

Pół setki żeglarzy poszło z rykiem do przodu i wyprzedziło ją. Wielka banda z naprzeciwną runęła na spotkanie. Pędzące z obu stron zbrojne draby zderzyły się z impetem, który momentalnie zmieszał obie grupy; przewracali się i nie mogli pozbierać oszołomieni zderzeniem ludzie, trzaskało żelazo gruchoczące i przecinające kości, zgrzytały pod ciosami pancerze. Ryki bólu i wściekłości były nie do odróżnienia. Ridareta oberwała mieczem w biodro i odczuła cios, ale mocna kolczuga nie ustąpiła pod płaskim cięciem; mógłby rozerwać ją sztych. Przedarła się na drugą stronę kłębu i ruszyła galopem w głąb uliczki. Spojrzała do tyłu i zobaczyła biegnącego za nią chłopaka z Gardy – ale ten jedyny sprzymierzeniec właśnie wykonał wyjątkowo

nieporadny, krzywy skok do przodu, popchnięty ciosem włóczni, która łupnęła go w plecy. Upadł i próbował jeszcze wstać, ale nie dźwignął się nawet na kolana.

Była sama.

Wierzchowiec tłukł ziemię kopytami. Skręciła w boczną uliczkę. Mignęła zburzona ściana, której resztki przywodziły na myśl konia: tu łeb, dalej grzbiet... Przygasły ryki i wrzaski za plecami, stłumione przez kwartał ruin. Nikogo nigdzie nie było. Jeszcze jedna ulica; skręcając, koń poślizgnął się w błocie, ale nie upadł. Pędziła dalej, aż do ponurych szczątków bardzo dużego gmachu. Osadziła wierzchowca i niezgrabnie zsunęła się na ziemię.

Chyba nikt jej nie ścigał.

Patrzyła na pozlepiane starą zaprawą kamienie, resztki granitowych płyt, które kiedyś tworzyły posadzkę, a może schody. Zagłębiła się między szczerbate mury. To musiał być naprawdę duży dom, ale nie umiała powiedzieć, ile mógł liczyć pięter. Kupa gruzu, tylko z jednej strony obrzeżona nierównymi rafami ścian.

W jednym miejscu gruz uprzątnięto, tworząc lejowate zagłębienie w ruinach... Nie widziała tego w swoich snach.

Bardzo chciała czekać na swoich. Żeby mieć przy sobie chociaż jednego chłopaka, niechby bez żadnej broni. Ale to zawsze sojusznik, towarzysz... Bała się iść sama. Bardzo bała.

Jednak, nawet jeśli miejscowym nikt nie przyszedł z pomocą i jej załoga wygrała walkę, to nie wiedziała, gdzie jej szukać. Wypatrując sprzymierzeńców, mogła prędzej doczekać się wrogów.

Zaczęło padać. Jak zwykle wieczorem.

W dół wiodły popękane schody, częściowo odgruzowane. Dało się tędy przejść, ale nie miała światła. Bardzo ostrożnie, krok po kroku, wodząc po ścianie dłonią, zeszła po kilkunastu stopniach. Liczyła je odruchowo, ale się pomyliła. Szesnaście? Czy osiemnaście?... Wydało jej się, że gdzieś w mrocznym tunelu, który się otwierał u podnóża schodów, coś słabo migocze. Pochodnia?...

W głębi zimnego korytarza, zalanego częściowo wodą – być może zwykłą deszczówką, która naciekała po stopniach i niechętnie wsiąkała w szczeliny między kamieniami – rzeczywiście migotał płomień. Przy samym wejściu minęła otwarte drzwi wiodące do jakiejś pustej salki. Brodząc po kostki, raczej przesuwając nogi, niż stawiając kroki, wciąż z ręką przy ścianie, szła w stronę ognia. Chodnik nie był długi. Minęła drugie drzwi, potem trzecie. Na końcu korytarza, zaraz za kopczą pochodnią, znalazła jeszcze jedno, solidne, nabijane ćwiekami. Niedomknięte. Weszła – i wszystko było tak, jak we śnie. Człowiek w burej, nijakiej szacie miał głowę ocienioną kapturem. W małym kwadratowym pomieszczeniu stał tylko stół i ławka przy nim. Pod ścianą druga, dłuższa. W rogu znajdowały się kolejne drzwi.

– Symbol w miejscu symbolicznym – rzekł siedzący na ławce Przyjęty. – Znajdujesz się,

Rubinie, w dawnym gmachu Trybunału Imperialnego. Tam, nad nami, sądziło się zbrodniarzy. A tutaj... pytało się ich. – Skąpym gestem pokazał drzwi w kącie. – Odejdź od drzwi.

Odeszła.

Wtedy wstał i ociężale ruszył do wyjścia. Przekręcił w zardzewiałym zamku wielki klucz.

– Wszystko działa – powiedział. – Poza Strażnikiem Praw, który uciął sobie coś w rodzaj u drzemki. Może ciążyła mu samotność, a może wojna potęg zawiesiła jego trwanie? Jeśli tak, to chyba tylko do chwili, aż się skończy. Zresztą, kto *to* wie? Chciałem mieć czyste sumienie, zależało mi. Kusilo spotkanie z Wiedzącym, który może rozwiązać wszystkie wątpliwości dotyczące Szerni, odpowiedzieć na każde pytanie.

– Przyszłam – powiedziała. – Nie mów do mnie „Rubinie”. Nazywam się Ridareta. Jeśli chcesz rozmawiać z Riolatą, to ona ci nie odpowie.

– Ależ odpowie, odpowie... Nie ma Ridarety, jest jej trupie ciało, wypełnione nie życiem, a parszywą jego namiastką. Poruszane siłą, która nie do tego służy, choć, od biedy, może służyć do wszystkiego. Myślę, że tak samo uruchomiłaby wodny młyn, postawiony na środku pustyni. Dusza Ridarety już dawno stopiła się z Szernią.

– Nie wiem, może tak... Ale człowiek, w takim razie, to nie tylko dusza.

– Ciało i dusza. Razem.

– Nie. Coś jeszcze.

– A co?

– Nie wiem.

Wzruszył ramionami.

– Dotrzymasz danego mi słowa? – zapytała, nawet nie próbując ukrywać, że jest to najważniejsze pytanie, jakie zadała kiedykolwiek. – Nie... nie oszukałeś mnie?

– Oszukałem i dlatego nie dotrzymam słowa. Prymitywna intryga, w sam raz na twoją miarę. Nie musiałaś tu przychodzić, bo ci dwaj, na których ci zależy, są bezpieczni i nawet gdybym chciał, to niewiele im mogę zrobić. Nie dotrzymam więc słowa i nie daruję życia, bo żeby darować, trzeba mieć je w ręku. A ja nie mam.

Długo myślała nad tym, co powiedział.

– Nic im nie grozi?... Nie umrą?

– Tego twojego żeglarza... Czy dobrze mówię: twojego? Skoro pytasz o obu, to podejrzewam, że tak. No więc twojego żeglarza, Rubinie, widziałem tylko raz w życiu i nic nie mogłem mu zrobić. Niestety. „Księcia” Raladana mogłem zabić, kiedy byłem w Rollaynie, ale wówczas nie dostałbym ciebie. Jechałaś do Rollayny, więc mogliśmy się tam spotkać, ale... Bałem się, przyznaję. Boję się mieczy i ludzi, którzy je trzymają. Już dwa razy dostałem bardzo surową nauczkę. W tym wypełnionym żołnierzami pałacu, żeby dopiąć swego, musiałbym zabijać niewinnych ludzi, a oni próbowaliby zabić mnie. Wszystko to z powodu kawałka trupiego

mięsa, uruchomionego przez bezmyślną siłę?

– Kitar... nie ma w sobie żadnej choroby czy trucizny, która...?

Chodzenie sprawiało mu trudność.

– Teraz... nie wiem, co robi twój przybrany ojciec – rzekł, nie odpowiadając na pytanie. – Ale zdaje mi się, że królowa nie uczyni mu żadnej krzywdy, nawet jeśli tam nie poślę tego, co z ciebie zostanie. Raczej nie poślę, ale za to spróbuję porozumieć się z jej godnością Kesą, która, jak mówił Gotah, miewała bardzo podobne do twoich... sny? Może wizje. Udało mi się dotrzeć do ciebie, uda się i do Kesy. To właściwie jedno i to samo, ale nie opiszę ci metody prowadzenia poszukiwań. Bo jesteś boleśnie głupia, Rubinie. W każdym razie jej godność Kesa dostanie ode mnie dowody, że zniszczyłem Rubin Córki Błyskawic. I chyba przedstawi je królowej.

– Kitar nie ma w sobie?...

– Nie ma. Płaskie i płytkie kłamstwa, wymyślane w dobrej sprawie. Dobre dla ciebie, Królowo Rubinów. Bo jesteś boleśnie głupia.

Wyraźnie sprawiało mu przyjemność wytykanie słabości jej umysłu.

– Nie, panie. Riolata nie jest mądra ani głupia, dobra ani zła, bo jest rzeczą. Bezmyślną siłą. Tak mnie uczył Tamenath. Też był mędrcelem Szerni, tak jak ty. Ale nie dzielił świata na czarno i białe, bo... mówił, że nikt mądry tego nie robi. W każdym razie, jeśli chcesz mówić „głupia”, to jednak mów „Ridareto”. I zabij mnie już, bo mam dosyć. Nie dostałam od Riolaty żadnej broni, której mogłabym użyć przeciw tobie.

– Bo nie mogłaś dostać. Jeszcze jedno kłamstwo w słusznej sprawie. Byłbym zawstydzony, ale i ty lubisz podstęp, nieprawdę? Przyjechałaś tutaj niezupełnie sama.

– Nie mówiłaś, że mam przyjść sama. I nie mówiłaś, że ty będziesz sam. W jaki sposób miałam przedrzeć się przez góry, nie mając żadnego oddziału?

– Rzeczywiście. W każdym razie wystarczy trochę złota, żeby psy pozagryzały się nawzajem. Jeszcze jeden dobry uczynek.

– Omal mnie nie zabili.

– Zakazałem tego.

– Nie ty, panie. Moja kolczuga.

– Dobrze. Ja też mam już dosyć. Nie wyjmiesz nawet swego oręza?

– Wyjmę. I zabiję cię, bo jesteś... jesteś zły – powiedziała z naiwną bezradnością, wyciągając jedno, a potem drugie ostrze, bo w żaden sposób nie mogła skrzyżować rąk i dosięgnąć obu jednocześnie. – Ja zabijam... chyba z głupoty, ale czasem bardzo chcę kogoś zabić. Kogoś złego.

Moldorn niemal westchnął, spoglądając na groteskową, uzbrojoną postać w kolczudze z trudem opinającej wielki brzuch. Westchnął i grzmotnął nią w narożne drzwi, które otwały się pod ciężarem walącego w nie ciała. Próbowwała się pozbierać, więc poprawił. Wleciała do drugiej sali. Pokuśtykał za nią i pchnął jeszcze raz. Odrzucił kaptur, mignęła przez chwilę oszpecona

twarz, ale zaraz skryła się pod rysami rudawego osiłka, który nie był już nieporadnym starcem. Schylił się szybko, podnosząc upuszczony miecz. Znowu próbowała wstać; przygniótł ją spojrzeniem do posadzki. Nie odwracając wzroku, przyklęknął i rąbnął mieczem: raz, drugi, trzeci... Z wybałuszonym jedynym okiem, sina i nabrzmiała na twarzy, nie wydała z siebie głosu. Próbowała się poruszyć, ale – podejrzewał – każda część jej ciała wydawała się dziesięć razy cięższa niż normalnie, więc wyszło z tego coś, co przywodziło na myśl pełzanie muchy w smole. Jeszcze kilka razy, trochę na oślep, rąbnął mieczem, aż ostrze szczęknęło o kamienie. Puścił ją, bo już na pewno mógł, i spojrział w dół. Rąbnął jeszcze raz. Wystarczyło.

Wydawała z siebie coś pośredniego między smarkaniem a czkawką. Roztrzęsionymi rękami próbowała dosięgnąć podciągniętej do brzucha nogi. W końcu udało się jej i zacisnęła dłonie na krzywo urąbanym kikucie, który kończył się tuż pod kolanem. Sterczała zeń potrzaskana, okrwawiona kość. Odpychając się drugą nogą, w ślimaczym tempie pełzła dokąś po posadzce.

– Wszystko się goi, ale nic nie odrasta; to okropne – rzekł Moldorn, odrzucając na bok miecz, który załśnił w świetle płonących w ściennej niszy kaganków i zaraz zadzwonił o kamienną ścianę. – Odpocznię trochę i powalczymy dalej. Gdy, dajmy na to, jakiś pirat ucina nogę rybakowi w wiosce, to ten rybak czuje właśnie coś takiego. Dokładnie coś takiego. Nie wątpię, Riolato, że nigdy nie skrzywdziłaś rybaka; gdzieżby tam. Ale jeśli już ktoś skrzywdzi rybaka i, na przykład, utnie mu nogę... Co dopiero, gdyby jeszcze uciął rękę. Ale o tym pomówimy za chwilę. Kiedy już się do woli nawalczymy. Bo widzisz, to też jest ważne: otóż moja walka z tobą to coś mniej więcej takiego, jak walka pirata z rybakim. Całkiem uczciwa walka.

Minął pierwszy wstrząs; urąbany kikut zaczął sikać krwią. Cudacznie skręcona na kamiennej posadzce, z podbródkiem wtłoczonym gdzieś w obojczyk, trzymała ten kikut z całej siły i nadal dokąś pełzła. Uciekła już niemal na odległość łokcia. Przegryzła sobie wargę. Wyglądała ohydnie, sinoczerwona na twarzy, z wytrzeszczonym, nabiegłym krwią okiem. Nic nie zostało z urody. Krztusiła się i dławiała oddechem.

– Hhhy... hhhy...

Wydawało się, że już nigdy nic więcej nie powie. A przecież jeszcze przed chwilą tyle miała do powiedzenia. O zabijaniu złych ludzi... o Riolacie i Ridarecie.

17.

Zaledwie minęło południe, ale już zmierzchało. Pod brudnym niebem Grombelardu nieopogoda kładła na ziemi cień głębszy, niż w innych krainach Szereru – tutaj prawie zawsze był dżdżysty wieczór, u schyłku dnia niepostrzeżenie stapiający się z prawdziwym. Może mieli rację żeglarze, przekonani, że nie jest to kraj dla ludzi? A jednak przemierzali go stale. Mniej więcej pół mili przed Grombem, którego rozmazane przez deszcz, wtopione w skały mury były słabo widoczne, zdążył traktem w stronę Badoru nieduży oddział zbrojnych. Szło między nimi kilku rannych, podtrzymywanych przez towarzyszy. Prowadzący przystanęli na chwilę, ruszyli dalej i znowu przystanęli, bo po raz drugi wiatr przyniósł jakieś dziwne odgłosy. Nawoływania?... Nie. Raczej pieśń.

Rozbrzmiewała coraz silniej, z każdą chwilą wyraźniejsza. Dźwięki w górach rozchodziły się bardzo dziwnie, czasem nie było wiadomo, skąd dobiegają... Trakt, dość szeroki w tym miejscu, łagodnym zakosem piął się w górę, przeskakiwał niewysoką grań i spływał na drugą stronę, prowadząc dalej do Badoru.

Nem renea, haya na!

Oura hole, Semena.

Nem renea! aveda!

Seyen oyma asea...

Ogłupiali górale słuchali czegoś, co tutaj, w samym środku Ciężkich Gór, brzmiało zupełnie niedorzecznie. Na dartańskim pograniczu, to owszem... Ale tam, w napadniętej wiosce, nikt niczego nie śpiewał.

Jedna za drugą, dwójki idących drobnym kłusem jeźdźców wylaniały się z za nierówności i spływały zakosem w dół. Jeźdźcy dostrzegli tkwiącą pośrodku szlaku grupkę, ale nie wywarło to na nich żadnego wrażenia – chyba że objawem tego były płynne ruchy, którymi sięgali za siebie, wyciągając z tulei przy kulbakach osadzone w nich drzewca włóczni. Na widok oddziałku na drodze każda para tak samo, w jednakowym rytmie, chwytiała broń i zataczała nią skąpy łuk, przekładając drzewca skośnie nad karkami wierzchowców. Nikt nie przerywał śpiewu.

Wysunięta do przodu dziesiątka straży przedniej była dobrze widoczna na grani i jadąca dwieście kroków z tyłu Hayna widziała, jak żołnierze sięgają po broń. Ale trzymający komendę nad awangardą gwardzista nie posłał nikogo do tyłu, co znaczyło, że nie będzie zawracał Perle głowy tylko dlatego, że właśnie, gubiąc kapcie na bezdrożach, ucieka ze szlaku kolejna banda górali, licząca najwyżej trzydzieści głów. Uganianie się za tym nie miało żadnego sensu. Za

starych czasów Kragdobów – legendarnych władców gór – gdy oddziały wojowników bezdroży były zorganizowane na wojskowy sposób i trzymane żelazną ręką w ryzach, pogardliwy marsz pięćdziesięciu Dartańczyków mógłby się skończyć nie najlepiej. Ale żalonym mętom, które teraz włóczyły się po Grombelardzie, wystarczyło pokazać broń; musiałyby ich stanąć na drodze ze stu, by dziesiątka żołnierzy straży przedniej przestała śpiewać i sięgnęła nie tylko po włócznie, ale i po zawieszane na plecach tarcze. Tutaj, w Grombelardzie, nie było już nikogo – nawet zbójów. Włóczyły się stada sparszywiałych psów. Z trzymającą rytm kłusa, gwardyjską piosenką jeźdźców na ustach halabardnicy królowej mogli jechać tym szlakiem aż do Londu, pilnując się tylko na popasach.

*Hej, ty tam! Wina lej!
Pięknych kobiet coraz mniej.
Ożeń się! Z tamtą, ej!
Zaraz zginąć będzie łzej.*

*Włócznia twoja żona, konik-chwat to brat.
Pusty dom za tobą, a przed tobą świat.
Nie kłam i
Nie mów mi
O tych co na wojnę szli.
Takiś mądry?
Pokaż mi
Tych co z wojny
Tych co z wojny
Z wojny wrócili.*

Świetne zbroje i konie, kosztowna broń – całe pyszne wyposażenie dartańskich jeźdźców było warte więcej niż wszystkie zebrane do kupy dobra tego dziadowskiego kraju. Ruchomy, ciągnący traktem majątek musiał wzbudzać u miejscowych niesłychane pożądanie, a mimo to nikt nie śmiał po niego sięgnąć. Czarna Perła, w złożonym półpancerzu, spod którego wystawała wyłożona na czerwoną spódnicę kolczuga, znalazła się na szczycie nierówności i poszukała wzrokiem dostrzeżonych przez awangardę rozbójników. Mogła się jednak już tylko domyślać, że... gdzieś byli. Bo nic na to nie wskazywało; nigdzie ani widu, ani słyhu.

*Hej, ty tam! Ty tam, hej!
Wojny, wina, kobiet chciej!*

*Nim wyruszysz, babę zlej,
Niech nie będzie tęskno jej!*

Wyłoniły się nawleczone na nitkę bardzo porządnego w tym miejscu (bo w ogóle widocznego) traktu, spowite deszczem mury Grombu.

Na wąskim szlaku było trudno, nie przerywając marszu, odbyć naradę wojenną. Hayna tylko obejrzała się za siebie, po czym gestem pokazała Gotahowi i Raladanowi: „Dalej!”. Przyjęty od razu odwrócił się w siodle, mówiąc coś do żony, która wraz z przyboczną niewolnicą tworzyła następną parę. Dalej wił się, roztrzęsiony w kłusie, najpierw podwójny, a na samym końcu pojedynczy wąż jeźdźców, którzy wkraczali na szerszy odcinek szlaku i niemal mimochodem równali do towarzyszy, tworząc dwójki. Jeszcze dalej majaczyły zwierzęta juczne i zapasowe, prowadzone przez konnych pacholców i ubezpieczone przez kilku jeźdźców ariergardy.

Hayna nie zamierzała przystawać nawet przed bramą Grombu. Przyjęci byli gotowi radzić bez końca o niczym i roztrząsać niezliczone problemy, dzieląc włos na czworo, od początku rozważając każdy problem i od nowa dociekając, czy podjęte decyzje są aby na pewno słuszne. Znacznie rozsądniejszy był jego wysokość Raladan, który, zapytany o coś na początku podróży, powiedział jej: „Gdybyśmy byli na żaglowcu, pokazałbym ci palcem, Perło, gdzie masz stanąć, żeby nie przeszkadzać. Ale tutaj dobrze, jeśli to ja nie będę zawadą, bo nikt, jej godności Kesy nie wyłączając, nie jeździ konno gorzej ode mnie. Więc po drodze spróbuję podciągnąć się w jeździectwie, zamiast radzić ci, co masz robić”. I słowa dotrzymał.

Wszystko było już postanowione, każdy żołnierz od dawna wiedział, jakie jest jego zadanie. Gdyby wynikły nadzwyczajne okoliczności, Hayna zwołałaby krótką naradę. Ale nie wynikły. Wiedziała nawet to, że od bramy Grombu trafi prosto do rynku, bo Przyjęty dobrze znał dawną grombelardzką stolicę i zdążył jej o tym powiedzieć.

Awangarda była już w mieście. Nikt nie wrócił z meldunkiem, czyli nic się nie działo. Nikogo tam nie spotkano.

Pod miejskim murem leżały obdarte do naga trupy – tak na oko wczorajsze. Hayna przejechała pod sklepieniem bramy i dopiero wtedy się zatrzymała. Podjechali Raladan i Gotah. Dołączyła do nich i krótko powiedziała:

– Rozdzielimy się na rynku.

Żołnierze już nie śpiewali.

Na rynku jeźdźcy straży przedniej obsadzili parami wyloty ulic, trzymając w dłoniach zamiast włóczni lekkie samostrzały jazdy. Główne siły oddziału sprawnie zbierały się wokół dowódców. Teraz był czas na naradę.

Niedaleko leżało kilkadziesiąt trupów, obdartych do naga tak samo, jak te przed bramą miasta. Raladan zeskoczył z siodła i udał się na pobojozisko. Popatrzył, przeszedł się tu i tam.

Wkrótce wrócił.

Przyjęta słusznie obawiała się kiedyś trudów grombelardzkiej podróży. Nie była siłaczką ani piętnastoletnią dziewczyną, która kładła się spać chora, a wstawała zdrowa. Potrafiła się zdobyć na wysiłek, ale wielodniowa podróż stępa, klusem i galopem na zmianę, przerywana krótkimi popasami oraz – także jak najkrótszymi – nocnymi postojami, bardzo dała jej się we znaki. Choć mąż stale spieszył z pomocą i nawet żołnierze starali się jakoś ulżyć dzielnej pięknej pani, która nie skarżyła się ani słowem, było widać, że jest u kresu sił. Wydawała się starsza, niż była. Raz i drugi samodzielnie siodłając konia, połamała swoje piękne paznokcie, które kiedyś tak zapadły w pamięć władcy pirackiego księstwa. Straciła apetyt; żołnierski prowiant był dla niej, co tu dużo mówić, po prostu jakimś żarciem, od którego chorował jej żołądek. Nigdy dotąd nie jadała takich rzeczy – ani jako Perła, ani później, u boku troskliwego męża, który nie potrafił zapewnić jej bogactwa, ale dostatek owszem. Mądry człowiek zawsze wiedział, na co go stać, a na co nie. Kesa była mądrym człowiekiem. Wiedziała, co ją czeka, ale pojechała, żeby spłacić zaciągnięty dług. Powiedziano jej wprawdzie, że został spłacony, ale uważała, że zbyt późno. Narosły wysokie odsetki i nie chciała, by zostały umorzone. Skoro raz podjęła decyzję, że jednak znów będzie działać, to nie miało żadnego sensu przystawanie w pół kroku. Tak uważała.

Wracający z pobojuwiska Raladan ogarnął spojrzeniem zmęczoną twarz Przyjętej, której spod kaptura wymknęły się zmoczone deszczem włosy, po czym zwrócił się do Hayny i Gotaha:

– Spóźniliśmy się jeden dzień. To wczorajsze ciała. Wiele z żeglarskimi tatuażami. Wydaje mi się, że poznaję kilku chłopaków. Ale tych marynarskich trupów na pewno nie ma pięćdziesięciu. Dobrze, jeśli połowa tej liczby. Trzeba znaleźć resztę.

– Jeśli żyją, to są tam, gdzie ich dowódczyni – powiedziała Hayna, po czym zwróciła się do Gotaha: – Wasza godność, ty wiesz, gdzie to jest, zresztą w takim miasteczku to nie może być daleko. Ruiny wyglądają na wymarłe, ale... Zatrzymuję piętnastu jeźdźców tutaj, przy bagażach i luzakach. Drugie tyle biorę pod komendę i przejadę się ulicami. Co znajdę, to wytępię. Tobie powierzam pozostałych dwudziestu żołnierzy. Jedźcie, gdzie macie jechać.

– Możemy cię tam bardzo potrzebować, Hayno.

Odczepiła róg swojej zasłonki, jakby nie chciała się za nią kryć. Bo rzeczywiście nie chciała. Lekko przygryzła dolną wargę.

– Wasza godność, i ty, książę – powiedziała. – Dotarliśmy na miejsce.

Nie powiedziała: „przyprowadziłam was”, chociaż nie minęłaby się z prawdą. Znający Grombelard Gotah służył za przewodnika, ale cały przemarsz był niemal wyłącznym dziełem Hayny. Wiedziała, jak zaopatrzyć ponad pół setki ludzi. Dojechali żywi, zdrowi i bez żadnych strat, bo pamiętała o ubezpieczeniach w marszu, wartach na biwakach, wysyłaniu – gdy zaszła taka potrzeba – dalekiego, szybkiego zwiadu. Gospodarowała siłami podkomendnych tak, że nikt się nie oszczędzał i nikt nie przemęczał.

Teraz jednak nie chciała czegoś zrobić.

– Wasza wysokość, współczuję twojej córce i podziwiam ją, bo widziałam to coś, z czym ona walczy od kilkunastu lat. Wierzyłam, że zdążymy, ale jednak chyba się spóźniliśmy. I teraz muszę coś powiedzieć. Mam nadzieję, że księżniczka nie żyje. Kocham tylko jedną osobę na świecie, a jest nią królowa Ezena, bez której moje istnienie nie ma żadnego sensu. Księżniczka Ridareta, choćby nawet mimowolnie, zagraża królowej i będzie zagrażać, dopóki istnieje. Nie przyczynię się do jej zguby, ale złamię rozkaz mojej pani i od tej chwili nie otrzymasz już ode mnie pomocy. Królowa mi przebaczy. Ty nie musisz. Jesteś obcym człowiekiem, którego córka zrobiła mi to, co zrobiła. Myślę, że i tak dużo ci pomogłam.

– Nie masz obowiązku się tłumaczyć. Nigdy nie byłaś mi nic winna i jest tak, jak powiedziałaś: dla obcego człowieka zrobiłaś bardzo dużo. To ja jestem twoim dłużnikiem.

– Nie, panie. Dłużnikiem królowej. Bez jej rozkazu nie kiwnęłabym palcem, a dla jej kaprysu – zabiłabym cię. Chociaż z żalem, bo zyskałeś sobie mój szacunek.

Skinął głową.

– Dobrze, spłacę ten dług królowej.

– Ale ja jeszcze mam prośbę. Możliwe, że gdzieś w tych ruinach znajdziecie człowieka, który... – Uniosła rękę i chyba bezwiednie dotknęła gładkiego policzka. – Nic o nim nie wiem, może jest zły albo błędzi. Ale mnie z jego strony spotkało tylko dobro. Skoro jest śmiertelnie chory, to może nie trzeba go zabijać?... Gdyby się poddał, nie walczył... – urwała. – Może wystarczy, jeśli... Przecież dobrze wiecie, o co proszę.

Odwróciła się nagle i krzyknęła na żołnierzy. Oddział podzielił się sprawnie. Wskoczyła na siodło.

– Tamtych dwudziestu ludzi idzie z wami. Ja już do końca życia – dodała nieco stłumionym głosem – będę sobie musiała tłumaczyć, dlaczego jeździłam ulicami Grombu, zamiast biec komuś z pomocą... Jah! – krzyknęła na swoich jeźdźców.

Piętnastu konnych z miejsca ruszyło galopem w ślad za dowódczynią. Z hukiem kopyt wpadli w boczną ulicę i zniknęli.

Zaraz załomotały kopyta kolejnych dwudziestu czterech koni.

Gotah prowadził pewnie, bo choć trudno było poznać domy, które kiedyś oglądał w Grombie, to przecież Hayna miała rację: to było miasteczko, nieporównywalne z Rollayną, a nawet dartańskimi miastami obwodowymi wielkości En Anelu. Stare orle gniazdo – rozbójnicza twierdza, która obrosła podgrodziami i osadami służebnymi, a z czasem została obwiedziona osobnym murem; wszystko to razem dorobiło się maleńkich przedmieść. Okrzepło dopiero pod rządami imperium, spotężniało nieco, gdy na miejscu niedużych domków posadowiono solidne, po grombelardzku brzydkie kamienice. Teraz żaden budynek nie miał dachu ani nawet skrawka podłogi, bo drewno było w Ciężkich Górach poszukiwanym dobrem.

Wiatr i deszcz, bez żadnych przeszkód hulające pośród martwych kamiennych ścian, w ciągu zaledwie kilku lat dokonały dzieła, krusząc zaprawę, rozdrabniając kamienny budulec.

Ale przejścia – kiedyś ulice – między tymi zimnymi szkieletami domów układały się w znany Gotahowi, naprawdę niezbyt wymyślny wzór. Jedna ulica, druga... a już za chwilę trzecia...

Lekkozbrojni dartańscy jeźdźcy, wszyscy w kolczugach i zielono-granatowych tunikach, w pysznych płaszczach, z przepięknymi kitami na otwartych hełmach, w każdej chwili mogli stać się piechotą. Wszyscy mieli w dłoniach kusze, o wiele słabsze od słynnych kusz grombelardzkich (wytwarzano je już tylko w Londzie), ale za to łatwiejsze w użyciu, dzięki strzemieniu łatwe do napięcia nawet w siodle – wystarczyło zaczepić cięciwę o przytwierdzony do pasa hak. Strzelcza broń wydawała się pośród gruzów znacznie lepsza niż włócznia i tarcza, potrzebne do szarży. Ale łatwość użycia samostrzałów stała się przyczyną pomyłki.

W ruinach wszczął się ruch – uzbrojeni ludzie uciekali między popękane ściany. U wylotu uliczki stał wcale solidny dom, który jakoś oparł się upływowi czasu. Oczywiście nie miał dachu i straszyl dziurami w miejscu okien, ale pysznił się wszystkimi ścianami. W błocie ulicy leżały niepoobdzierane trupy, a przy samym progu deszcz moczył kilka innych. Mignęło coś w jednym z okien; ciężki belt przeleciał niebezpiecznie blisko głowy Gotaha. Prysnał drugi pocisk i ten był, niestety, celny, poważnie ranił gwardzistę. Jeźdźcy niemal w jednej chwili pozeskakiwali z kulbak – wszyscy oprócz pięciu, którzy osłonili tarczami Przyjętą i Przyjętego, tłocząc konie wokół czworga nie będących żołnierzami jeźdźców. Dartańczycy posłali w budynek kilka beltów; ktoś tam wrzasnął trafiony, ale halabardnicy królowej nie mieli już w rękach kusz, tylko miecze. Dartańska lekka jazda strzelcza używała tarcz do szarży albo jako dodatkowej, noszonej na plecach osłony i żołnierze pościgali je teraz z wprawą godną doborowego wojska. Już biegli ulicą. Dotarli do budynku i w szczerbatym portalu drzwi zderzyli się z jego obrońcami, którzy blokowali dostęp do środka. Ale tylko przez krótką chwilę.

Gwardia wtargnęła w głąb kamienicy i trudno powiedzieć, czy trwała tam walka, bo chyba raczej rzeź, masakra. Nikt nie krzyczał po dartańsku, ale za to gardłowo brzmiący język, z pozoru podobny do grombelardzkiego, był niestety językiem garyjskim.

Raladan naparł koniem, rozepchnął niepotrzebnie już osłaniających go jeźdźców i pogalopował ku kamienicy. Zeskoczył na sam próg i wpadł do środka, gdzie w półmroku – bo choć nie było dachu, to wysokie ściany jednak ocieniały gruzowisko – czternastu Dartańczyków mordowało ostatnich marynarzy ze „Zgniłego Trupa”. Obojętnie jak dobrzy w walkach abordażowych, nieszczęśni żeglarze nie mieli tutaj – jak kiedyś na brzegu morza – sześciokrotnej przewagi liczebnej, nie zaskoczyli wroga z zasadzki i nie byli żadnym przeciwnikiem dla elity królewskich wojsk. W kącie izby broniło się wielkie chłopisko, pod drugą ścianą dwaj inni, którzy żyli jeszcze bodaj tylko z powodu pomyłki – kilku granatowo-zielonych rębajłów

jednocześnie skoczyło w ich stronę... i tak samo jednocześnie ustąpiło miejsca kolegom, bo nie było tam miejsca dla sześciu. Zdzierając gardło, Raladan odepchnął żołnierza, który właśnie wyrznął w łeb tarczą zrywającego się z ziemi majtka. Niczemu nie zapobiegł, bo gwardzista za ciosem walącej na odlew tarczy pociągnął płaskie cięcie miecza – ogłuszył i zabił marynarza niemal jednym i tym samym skrętem tułowia.

– Nells! Wrzaśnij im „stój, przyjaciele! Raladan!”.

Zakrwawione chłopisko w kącie poznało agarskiego księcia i wrzasnęło po dartańsku to co mu kazano. Gwardziści stanęli, ale nie opuścili broni. Niemal wszyscy jako tako znali Kinen, o czym rozgniewany Raladan nie pomyślał. Pogubił się. Był Wyspiarzem sprzymierzonym z Dartańczykami, którzy bili się z Garyjczykami w Grombelardzie, a miał się porozumieć w uproszczonym armektańskim, którego w rozmowach z Przyjętymi i Hayną przez całą podróż nie używał, bo wszyscy troje świetnie znali garyjski... W najważniejszej chwili na moment stracił głowę i... nie dogadał się. A wcześniej nie przewidział, że może dojść do katastrofalnej pomyłki; wydawało mu się oczywiste, że chłopcy ze „Zgniętego Trupa” wiedzą o jego pobycie w stolicy Dartanu, więc od razu połączą z tym faktem dartańskie wojsko. Może i wiedzieli o Rollaynie, ale nie połączyli. Bo bardziej oczywiste wydało im się, że zielono-granatowi żołnierze, których jakiś czas temu stratowali nad morzem, wspierają teraz Przyjętego – tak jak wspierali wówczas.

Pomyłkę przeżyło dwóch marynarzy w kącie, ranny Nells i jeszcze czterech rannych, z których dwaj nie mieli prawa dociągnąć do nocy. Pałacowi strażnicy królowej Ezeny, okryci świetnymi kolczymi pancerzami i z tarczami w rękach, postawieni naprzeciw piratów w proporcji niemal jeden na jednego – bo żeglarzy, jak się okazało, stanęło do walki raptem dziewiętnastu – odnieśli kilka ran i kontuzji, ale żadne z tych obrażeń nie było śmiertelne.

– Nells, gdzie Ridareta?

– Poszła na Przyjętego, ale nie wiem gdzie. Szukaliśmy... nie dało rady, bo... – ochryple odrzekł dowódca Gardy, trzymając się za rozplataną mieczem rękę, z której strumieniem ściekała na ziemię krew. – Skąd ty tu...?

– Z odsieczą – gniewnie powiedział Raladan. – Dlaczego do nas strzelaliście?

Mniej więcej od Sępiej Przełęczcy, gdzie zdołali zasięgnąć języka, więc od chwili gdy stało się niemal oczywiste, że nie zdołają dogonić Ridarety, żył na krawędzi obojętności. Był wieziony jak bagaż, przez jakichś ludzi, dokądś. Jechał przeciw komuś, kogo nigdy nie widział. Do miejsca, w którym nie był. By stanąć do walki, której reguł nie znał. Nie był dzieckiem i wiedział już, że jedzie się zemścić, tylko po to. Nells rozwiął ostatnie nadzieje: Ridareta odnalazła wroga, ale była sama i... nie przypuszczał, by przez całą dobę biła się na miecze z Przyjętym. Jeśli wygrała, to nie musiał się spieszyć – kto jak kto, ale wypchana siłami Rubinu księżniczka Ridareta na pewno nie leżała ranna gdzieś w gruzach, wyglądając pomocy, licząc każdy oddech i każdą wypływającą kroplę krwi.

Ale nie wygrała. Gdyby żyła... to by była.

Nells powiedział dlaczego strzelali. Raladan tylko machnął ręką i wyszedł. Skinął na piątkę jeźdźców, którzy wciąż pilnowali Przyjętych. Ruszyli, prowadząc podopiecznych.

– Gdzie jest to przekłete miejsce? – zapytał Gotah. – To są jej chłopaki. – Pokazał za siebie.
– No więc, gdzie?

Gotah po prostu wskazał palcem. Na końcu ulicy widniała jakaś większa od innych ruina. Marynarze Ridarety byli oblężeni w domu odległym o sto pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie ich kapitana spotkała się z Moldornem-Przyjętym. Wygrali walkę na rynku i pobiegli śladem dowódczyni, ale znali tylko sam początek drogi. Potem ich osaczono. Ale i tak próbowaliby się przebić; pobiegliby dalej, gdyby wiedzieli dokąd. Gdyby Ridareta trochę dłużej zwlekała z zejściem do piwnic dawnego gmachu Trybunału, to być może doczekałaby się przyjaciół, nie wrogów. Dwudziestu kilku oddanych jej ludzi, którzy chętnie pogadaliby z mędrcom Szerni Moldornem.

* * *

Deszcz ustał, ale nie rozwidniło się, bo nad Grombelardem nigdy nie było nieba, tylko coś, co przywodziło na myśl zawieszoną nad górami i częściowo na nich opartą gliniankę. Szerokie, ale strome, częściowo odgruzowane stopnie wiodły w dół. Gotah sięgnął po łuczywa, które zabrał ze sobą, bo wiedział, że Strażnik Praw został żywcem zamurowany w podziemiach gmachu Trybunału, gdzie trudno było liczyć na światło. Wkrótce zapłonęły trzy pochodnie. Raladan ruszył pierwszy, zszedł po kilkunastu stopniach w dół i poświecił w głąb korytarza.

– Wasza godność... – rzekł dziwnym głosem i zaraz powtórzył głośniejszym: – Wasza godność!

Gotah zszedł po schodach i zajrzał tam, gdzie Raladan.

Trzy kamienne chodniki rozbiegały się na podobieństwo trzech środkowych, rozcapierzonych palców dłoni. W żelaznych kagańcach na ścianach płonęły pochodnie. Plamy cienia wyznaczały chyba kolejne odgałęzienia korytarza.

– To musi... rozchodzić się pod całym miastem. Jak długi jest ten korytarz? Pięćset kroków? Sześćset?

– Niemożliwe – rzekł Gotah. – Nikt tu nie mógł zbudować czegoś podobnego. Nikt oprócz Moldorna.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. To jest... nieprawdziwe – rzekł Przyjęty. – Ale nie umiem określić, w jaki sposób nieprawdziwe. Może to tylko złudzenie, może tam nie ma korytarza, jest ściana. A może naprawdę jest chodnik, którego jednak... nie ma.

Historyk Szerni dogadałby się może z jakimś innym Przyjętym, ale nie wiedział, jak zrozumiale przedstawić sprawę żeglarzowi.

– W takim razie sprawdźmy – powiedział Raladan.

– Nie!

Przytrzymany za ramię książkę przystanął.

– Tam może NAPRAWDĘ niczego nie być... Niczego, panie. Tylko coś w rodzaju studni bez dna. Zrobisz krok i nie wrócisz już nigdy.

Raladan mierzył Przyjętego spojrzeniem.

– Mam tu stać? – zapytał, po czym poruszył pochodnią, wskazując korytarze. – Gdzieś tam jest moja córka.

Przyjęta ostrożnie zeszła po schodach i stanęła za nimi. Przymknęła na chwilę oczy.

– Mój mąż ma rację, panie – powiedziała. – Ani kroku.

– Wiesz, co tam jest? – zapytał Gotah.

– Mniej więcej to, co powiedziałaś. Czekaj, muszę spojrzeć... Odsuńcie się trochę.

Przesunęła się przed nich. I bez żadnej zapowiedzi postąpiła krok naprzód. Gotah natychmiast ruszył za nią... i uderzył w coś, co mogło być doskonale przejrzystą, wytrzymałą szybą.

– Wybaczcie mi obaj – powiedziała, odwracając się. – Tylko ja.

– Co to znaczy, Keso?

– Że tylko ja tam pójde. Kazałeś mi kiedyś czekać, panie – powiedziała do Raladana, odchylając w bok płomień pochodni i opierając palce dłoni na domniemanej szybie – a dzisiaj ja ci mówię to samo. Zupełnie to samo, bo pamiętam prawie dosłownie, co wtedy powiedziałaś. No więc dzisiaj ja mówię: dostarczyłeś, wasza wysokość, właściwą osobę we właściwe miejsce, a teraz do niczego mi się nie przydasz. Prędzej zaszkożysz, niż pomożesz. Wrócę tu z twoją córką... chyba że jest już za późno.

– Keso! – rzekł ostrzegawczo Gotah.

– Tania sztuczka, przeceniasz Moldorna – powiedziała. – Zwykły Krąg Złudzeń, można to było „wyczarować” nawet za pomocą paru Porzuconych Przedmiotów... daruj, ale nie pamiętam, jak się nazywały te... liczydła matematyków. Tu zaczyna się prosty korytarz, liczący najwyżej kilkadziesiąt kroków – powiedziała, wskazując nie jeden z oświetlonych pochodniami chodników, ale ścianę pomiędzy nimi. – Za to ten pokrywa się z otwartymi drzwiami wiodącymi do jakiejś salki. Zwykłe obrazki, mogące zmylić jakiegoś pirata z toporem, gdyby znalazł to miejsce. Czekajcie na mnie. Wrócę.

– Wasza godność – powiedział Raladan. – Jeśli nie znajdziesz tam Ridarety...

– ...to na pewno znajdę chociaż Moldorna, bo nie sądzę, by bez żadnej potrzeby podtrzymawał Krąg Złudzeń; to kosztuje – przerwała mu z głębokim spokojem. – Wtedy, panie, pomogę mu opuścić to miejsce, jeśli będzie mojej pomocy potrzebował. Żadnej zemsty, żadnych sądów, żadnej kary. Ktoś o wielkim sercu prosił dzisiaj, by pozostawić mu prawo do spokojnej

śmierci, i ta prośba znaczy dla mnie więcej niż małoduszna chęć zemsty. Czekaście na mnie – powtórzyła. – Wróć.

To powiedziawszy, weszła w ścianę.

Raladan ruszył po schodach.

– Zechciej, panie, spełnić rozkaz małżonki. Ja nie będę tu czekał. Bo na co?

* * *

Gotah z połową żołnierzy został w zrujnowanym gmachu Trybunału, pilnując ponurych schodów. Raladan z resztą gwardzistów wrócił po Nellsa i rannych marynarzy. Pilnowało ich kilku Dartańczyków. Stary przyboczny Ridarety zjadł zęby na różnych potyczkach, halabardnicy także niejedno w życiu widzieli... Byli wrogami, za chwilę już nie, ale nie stali się przyjaciółmi, wkrótce znowu mogli stanąć z bronią przeciwko sobie... Zwykły los wojowników. Nikt tu do nikogo nie żywił osobistej urazy. Gwardziści pogardzali rzemiosłem morskich zbójów, ale potrafili uszanować ich odwagę. W odróżnieniu od szczurów w ruinach ci tutaj nie uciekli, stanęli do walki, nie prosili o litość. I służyli komuś, na swój sposób wiernie; szli z odsieczą.

Na widok Raladana Nells pytając zadarł podbródek. Miał już opatrzoną rękę, zaopiekowano się też ciężko rannymi, chociaż właściwie nie wiadomo po co... Dwaj byli nieprzytomni; tylko opatrunki zużyte na ich kolegów mogły zostać uznane za nie wyrzucone w błoto.

– Nic – krótko powiedział Raladan. – Musimy na razie czekać. Przyjęci...

Nie wytłumaczył, co Przyjęci.

– Mów ty – polecił Nellsowi. – Dlaczego tu siedzieliście?

Nells krótko opowiedział o tym, co zdarzyło się w Grombie. Przerwał, gdy gdzieś z zewnątrz, z daleka – ale nie z tej strony, co ruina Trybunału – dobiegły jakieś wrzaski.

– Coś tam...

Prawdopodobnie truchtający ulicami jeźdźcy Hayny dopadli wreszcie jakąś małą bandę, która głupio się zaszwenowała. Albo może po prostu stracili cierpliwość, wleźli pieszo w ruiny, powyciągali grombelardzkie bełty z przestrzelonych tyłków i ramion, po czym zrobili góralom to, co wcześniej ich towarzysze marynarzom.

Raladan wyjaśnił Nellsowi, jak się sprawy mają. Stary pirat uradował się na samą myśl, że śmierdzące górskie patałachy zbierają teraz takie baty, jakie zebrał on i jego chłopcy.

– Dobrzyście – powiedział do gwardzistów.

– Dlaczego tu siedzieliście? – jeszcze raz zapytał Raladan. – Uciekliście z rynku i co tutaj...?

– Dwudziestu paru nas się zostało, do tego pochlastanych. Wyleciała banda, za nią druga. No to wpadli my tutaj i do roboty w tych drzwiach. Położyli nam paru, ale nie przeszli. No, nie byli tacy jak wy – dodał po dartańsku, znowu popatrując na gwardzistów. – Z wami to, skur... Spróbowałibyście się z moją Gardą w abordażu. A teraz, co ja miałem? Paru pokaleczonych

kuternogów. E, co tam będę...

– I już dali wam spokój? – zapytał Raladan.

– Gdzie tam. I już byśmy nie dali rady. Zebrało się tego z pół setki. Ridka klęła Cichego, bo, mówi, i tak jest co dźwigać, a wiesz co? Dupska nam uratował. Szkoda, że na tak krótko. – Z zalem popatrzył na pozabijanych przez straż królewską chłopaków, spokojnych, równo ułożonych pod ścianą.

– Jak was uratował?

Nells sięgnął zdrową ręką i przyciągnął ciężki podłużny przedmiot.

– Jeszcześmy z Aheli zabrali. Sprawdzają się przed abordażem. Prochu, te górskie głupki, to oni tutaj na oczy nie widzieli, bo to trzeba na okręcie popływać, żeby zobaczyć, co to takiego działa. Jak żem wziął pierdolną z hakownicy, a dwa chłopaki jeszcze poprawiły... No, jeden, bo drugiemu nie wyszło. Tamci lecieli tutaj, a zaraz z powrotem, bo nie wiedzieli, co się dzieje! – Nells zarechotał. – Ale starczyło na jeden raz, potem proch nam zamókł, a rozgrzany drut do zapalu utrzymać w tym pier... tfu!... kraju, gdzie bez przerwy pada, też niełatwo. Raz się udało, dobre i to. Tak im w pięty poszło, że nam dali spokój. Oni siedzieli tam, my tu. A potem patrzę, jadą na mnie tacy sami jak ci, którzy z tamtym Przyjętym nad morzem... Mieliliśmy dwie kusze, bo reszta została na rynku. No, tom kazał strzelać. Żebym wiedział...

Nells westchnął.

– Siedzieli jacyś w tamtych ruinach – przyznał Raladan. – Ale pięćdziesięciu chyba ich nie było.

– Tylu było najpierw, a ilu tam zostało? Przecież nie poszedł liczyć. Mnie się widzi, że oni dostali pieniądz, żeby nas poszarpać, i swoje zrobili. Wszystko, co miało ikrę, to myśmy na rynku położyli. A tym tutaj to bardziej chyba zależało, żeby nas przypilnować niż odwalić kité w tych drzwiach. Zobaczyli, że siedzimy... Bo żebym to ja wiedział, gdzie pognała Ridka! A tak, gdzieśmy się mieli szlajać? Popatrzyli, że siedzimy, wtedy jedni zostali, drudzy sobie poszli.

Raladan skinął głową, bo możliwe, że tak właśnie było.

– Szkoda, że odesłałem Sayla Cichemu. Swojego oficera chyba byście poznali...

Gadał z Nellsem i gadał, bo inaczej musiałby... robić coś innego.

– Chodźmy tam wszyscy – powiedział, wstając. – Lepiej połączyć oddziały.

Nadciągał zmierzch – tym razem prawdziwy, wieczorny. Znowu zaczęło padać. Dwie przecznice dalej przemknął wyciągniętym kłusem oddziałek jeźdźców – Hayna wciąż patrolowała ulice, prowokując grombelardzkie szczury, ale było bardzo wątpliwe, by wiele z nich opuściło swoje nory; jeśli tak, to najwyżej w nocy – po to, by dać drapaka z miasta. Miejscowe łapserdaki nie mogły przecież wiedzieć, ile oddziałów jazdy krąży po ulicach. Dla nich cały Gromb był wypchany przybyłym znikąd wojskiem w granatowo-zielonych tunikach, okupującym rynek, przemierzającym ulice, grzebiącym w jakichś ruinach.

Raladan stanął przy Gotahu. Nadciągała garstka marynarzy, wspomaganych w marszu bądź niesionych przez dartańskich gwardzistów. Jednego z ciężko rannych dowleczono już nieżywego.

– Nie wróciła?

Gotah popatrzył na pirata. Ale Raladan nie oczekiwał odpowiedzi. Raczej stwierdził, niż pytał. Przez chwilę milczał.

– Twoja żona, panie, kazała nam czekać – powiedział wreszcie.

– Tak – zgodził się Przyjęty, który także potrzebował trochę czasu na ułożenie mądrej odpowiedzi. – I będziemy czekać?

Pytanie Przyjętego miało sens. Raladan wzruszył ramionami i zagapił się w ciemniejące od bliskiej nocy niebo, na którym nie było nawet śladu gwiazd.

Przepiękny kraj.

– Jeśli nie obrazisz się, panie, to odpowiem ci po żeglarsku. Nie mam już cierpliwości. Kobieta rządzi cesarstwem, a druga królestwem. Kobieta... wspaniała kobieta... rządziła niedawno księstwem. Kobieta rozwała Feren, który składa się z kobiet, i kobieta idzie wszystko naprawiać... Pora wetknąć w to kawałek kutasa. Może wreszcie coś z tego będzie.

– Ja też mam kutasa – rzekł Gotah.

– No to wetkniemy dwa.

18.

W niewielkiej kamiennej komnatce rozkuto jedną ścianę i w odsłoniętej wnęce Kesa znalazła najdziwniejszą istotę Szereru: nieśmiertelnego garbatego starca, zwanego Strażnikiem Praw Całości, a czasem Wiedzącym. Przyjęta знаła historię tej... kary i nie mogła uwierzyć, że wymierzyła ją kobieta. W niszy mającej głębokość jednego kroku, a szerokość najwyżej dwóch, za ręce, nogi i szyję przykuto do ściany siwobrodego kalekę, którego jedyną winą było to, że wypełniał swoje powołanie. Tak wyglądała zemsta kobiety, której odebrano męża.

Kesa też była mężatką. Czy, za podobne przewiny, chciałaby i umiała skazać kogoś na taką torturę? Zapytała siebie o to, ale nie odpowiedziała.

Przerażała ją jednak myśl, że kobieta, która na to pytanie odpowiedziała twierdząco, jest teraz władczynią Wiecznego Cesarstwa.

Okrutnica pławiąca się we władzy.

Chociaż – czy na pewno? Ta rzekoma okrutnica chyba jednak czegoś żałowała, może coś zrozumiała? Popełniła czyn, który uznała za potrzebny i słuszny, lecz po latach cofnęła decyzję, bo doszła do wniosku, że tak trzeba. Zgodziła się, by ktoś ujrzał w niej okrutnicę... To dowodziło odwagi. Może skruchy, poczucia winy, wyrzutów sumienia?...

Albo tego, że cesarzowej nie zależało na opinii maluczkich.

Nieśmiertelny stary grajek miał u swoich stóp zbutwiałe szczątki jakiegoś instrumentu. Nie oddychał, był zimny, wyglądał jak martwy. Ale nie mógł być martwy – bo ciało nie nosiło żadnych znamion rozkładu. Jeśli umarł, to najwyżej tego ranka.

Nie, trwał zamurowany w ściennej niszy od lat. Może w ten sposób, gasząc zmysły i przejawy życia, Pasma Szerni obroniły żywy symbol Przyczyny przed szaleństwem? Czy Wiedzący miał wkrótce zmartwychwstać?

Świecąc pochodnią, Kesa wycofała się z ponurej sali, wracając na zalany wodą korytarz.

Należało myśleć nie o martwych, czy nawet nieśmiertelnych, lecz o żywych.

Była to myśl, która nappełniła ją nagłym lękiem. Uświadomiła sobie, że w tych ciasnych, chyba niezbyt rozległych podziemiach, jest... jedyną naprawdę żywą istotą. Mąż, przyjaciele, sprzymierzeńcy – wszyscy zostali na górze. Kto tutaj oprócz niej?... Nieśmiertelny, ale trupio zimny starzec; martwa kobieta, przywrócona do życia za sprawą sił potężnego Przedmiotu... I żywy trup Moldorn, mający przed sobą najwyżej kilka dni.

Następne drzwi były zamknięte. Ostatnie, na końcu korytarza, też.

– Moldornie, przecież... – powiedziała głośno. – Czy naprawdę mam wrócić po lewar albo topór i rąbać wiekowe drewno? Chyba nie z pragnienia, by to ujrzeć, czekasz tutaj? I tak wejść, więc najlepiej po prostu wpuść mnie.

Czekała, ale drzwi się nie otwały. Nie nadeszła żadna odpowiedź. Przyjęta przywykła stosować zawsze najprostsze środki, bo tak było słusznie – więc rzeczywiście zawróciła po topór. Ale nagle zdała sobie sprawę, że akurat w tej sytuacji śmieszne jest rąbanie nabijanych ćwiekami wierzei, a co innego nie. Odwróciła się z powrotem, wgniotła je w futrynę i wyrwała z zawiasów. Pęknięte na pół, przewróciły się na podłogę małej izby, w której były tylko dwie ławki i zagracony stół. Przeszła po szczątkach drzwi. Zobaczyła jeszcze jedne, tym razem otwarte.

Następna izba, bardzo duża, a mimo to nieźle oświetlona, była salą tortur. Przyjętą przeszył dreszcz zgrozy i obrzydzenia. Oba uczucia wzmożyły się, gdy wyszło na jaw, że wstrętne narzędzia i ohydne sprzęty używane są... zgodnie z przeznaczeniem.

Brzemienna Ridareta leżała na drewnianym stole, którego blat można było przechylić, a nawet postawić pionowo. Przymocowano ją do niego za pomocą żelaznych bransolet, które skuwały jednak tylko lewą nogę i prawą rękę. Drugiej nogi nie miała, a z lewego ramienia nie zostało zupełnie nic, zaś szczątki leżące pod stołem wskazywały, że odejmowano jej to ramię po kawałku, rozdzielając kolejne stawy aż do ostatniego barkowego. Rozgniatając wargi i wyłamując zęby, wtłoczono jej w usta coś, co było chyba drewnianą kulą, niemożliwą do wypchnięcia językiem. Na stole pozostał żywy strzęp człowieka; strzęp bestialsko okaleczony, a jednocześnie... zdrowy. Zabliźnione rany wyglądały na stare. Było coś potwornego w kalekiej, niewiarygodnie cichej i spokojnej kobiecie, w której łonie wzbierało nowe życie. Albo chociaż – istnienie, jeśli nawet nie było prawdziwym życiem.

– Nie mogę uwierzyć, że to zrobił... Nie mogę.

– A jednak mogłem i zrobiłem, Keso.

Moldorn nigdzie się nie schował. Po prostu siedział na szerokim zydlu pod ścianą, nieruchomy w swoim długim burym płaszczu, podobny do jeszcze jednej skrzyni, może kolejnych dybów, których tak wiele tutaj stało i leżało. Nie zobaczyła go od razu, bo nie mogła oderwać wzroku od potworności na stole.

– W imię czego? Powiedz mi, wytłumacz – zażądała, oddychając głęboko, bo nachodziły ją mdłości. – Proszę. Chcę wiedzieć, w imię czego, w imię jakich chorych racji... ktoś, kto ma się za mędrca, popełnia taki czyn?

– W imię sprawiedliwości, wasza godność. Przyznam, zanim to powiesz: tak, jestem sędzią i katem. Przyjąłem te obowiązki, gdy wielu innych się uchyliło.

– Dlaczego je przyjąłeś?

– Bo sędziowie są potrzebni. Kat też. Bo sądenie przynosi ulgę mojemu sumieniu, a wymierzanie słusznej kary sprawia radość.

– Radość?... – Znowu poczuła dreszcz.

– Sprawiłoby mi ból, gdybym poddał męczarniom człowieka prawego. Wolałbym umrzeć, Keso, niż zostać oprawcą niewinnych – oznajmił z powagą. – Uwierz mi, że wolałbym umrzeć.

Nie znam swojej odporności, więc możliwe, że zmuszono by mnie do takiej podłości siłą. Ale dobrowolnie nigdy bym się nie zgodził.

– Sprawia ci to radość.

– Nie zadawanie bólu, lecz wymierzanie kary – sprostował. – Odplacanie pięknym za nadobne. Sprawia mi ulgę i radość świadomość, że zbrodniarz doznaje dokładnie tego, czego doznawały jego ofiary. Tak właśnie powinno być. Jest to najpiękniejsze, co spotkało mnie w życiu. Oglądanie dziejącej się sprawiedliwości.

– Nie różnisz się niczym...

– Wasza godność! – przerwał. – Nie wygaduj głupstw! Zaslaniaj się czym chcesz, oceniaj co chcesz i opowiadaj co chcesz, byle tylko było to zgodne z elementarną logiką! Odwracasz związki przyczynowo-skutkowe, bo zbrodniarze nie dlatego istnieją, że są sędziowie i kaci. Jest dokładnie na odwrót. Powołała mnie, więc jestem! – rzekł, wskazując stół. – To ja jestem jej dziełem, nie ona moim!

– Moldornie... Nie mam siły o tym rozmawiać. Powiedziałam ci kiedyś, a teraz powtórzę: jesteś zadufanym w sobie głupcem. Twój wywód jest nie do podważenia, pod jednym wszakże warunkiem, a mianowicie takim, że istnieją nieomylni sędziowie. A ty właśnie dowiodłeś, że jeżeli nawet rzeczywiście istnieją, to ty do nich, niestety, nie należysz.

– W czym się pomyliłem?

– We wszystkim bez mała. Nigdy nie zgodziłeś się uznać, że masz do czynienia z prawdziwym, czującym i zdolnym do uczuć człowiekiem, skrzywdzonym może bardziej niż ofiary, o których mówisz. Zburzyłoby to twój prosty obraz świata. Logika? A gdzie ona jest? Mówisz, że być może tortury zmusiłyby cię do popełnienia podłości... a tutaj? Czy ona przez pół życia nie doznawała tortur? Ta dziewczyna nosi w żyłach truciznę, której nie zadała sobie sama. Nie, zamilcz!... Teraz ja powiem swoje.

Wzburzona Kesa nie mogła przestać mówić, chociaż czuła, że jest śmieszna. Prawiła morały znacznie starszemu od niej człowiekowi, który niczego już przecież nie mógł się nauczyć; miał na to kilkadziesiąt lat i nie wykorzystał ich.

– Gdybyś mi powiedział coś takiego, co usłyszałam dzisiaj od mądrej, ale jednak zwykłej dziewczyny, nie będącej żadną uczoną... – ciągnęła. – Gdybyś powiedział: „Współczuję Ridarecie, niemniej jest zagrożeniem i dlatego powinna zostać unieszkodliwiona, bo jakoś musimy i mamy prawo się bronić”... Wtedy to co innego. Mogłabym cię zrozumieć, chociaż nie poparłabym czynów. Ale ty właśnie dowiodłeś, że jesteś podobny do swojej ofiary. Nie odróżnia dobra od zła, bo ma w duszy truciznę; ty taką samą truciznę masz w umyśle, ale sam ją sobie zadałeś. Rubin jest tylko rzeczą, ukarałeś więc, głupcze, rzecz, depcząc po drodze człowieka, który jest przynajmniej świadom swoich ułomności i próbuje z nimi walczyć, nienawidzi ich, zamiast wielbić. Wynoś się z moich oczu! Ktoś prosił dzisiaj o twoje życie, więc zachowaj jego

resztki i wynoś się stąd! Natychmiast.

Przyjęty wstał z zydła, pokazując w wycięciu kaptura oszpeconą twarz.

– Więc w ogóle nie mam racji?

– Zbudowałeś sobie idealny układ, który nie ma odniesienia do rzeczywistości. Wszystko, co powiedziałeś, wydaje się słuszne, ale tylko pod warunkiem, że istnieje nieomyślność, a zasługi i winy można dokładnie zważyć. Nie będę już o tym rozmawiać. Opuść to miejsce, matematyku Szerni.

– Nie, Keso.

– Jeśli tego nie zrobisz, mogą zginąć niewinni ludzie, których wezwę. Niektórzy z nich mają powody, by cię nienawidzić, a ty przecież będziesz się bronił.

– Nie wezwiesz ich, bo cię powstrzymam. Ale nie zmuszaj mnie do tego, Przyjęta. Skoro zacząłem, to muszę dokończyć swego dzieła, bo inaczej naprawdę dowiodę, że nie miało żadnego sensu.

– A teraz jeszcze ma?

– Owszem. Jeszcze ma. Nawet jeśli przyjąć twoje rozumowanie jako słuszne, a odmówić słuszności mojemu, to leżące tutaj COŚ jest i pozostanie groźne. Jako takie, winno zostać unicestwione. – Moldorn zwrócił się nagle w stronę łoża tortur, czyniąc drobny ruch dłonią i... nic się nie wydarzyło.

Kesa stała w miejscu z dłońmi uniesionymi tak, jakby chciała oburącz dotknąć skroni.

– Keso – rzekł Moldorn. – Czy będziemy się teraz mocować?

– Nie zabijesz jej.

– Sama o to prosiła.

– Torturowana.

– Przeciwnie. Gdy okazało się, że ból jest nie do uniknięcia, Rubin zaczął go przeobrażać w... coś innego.

– Moldornie, jest mi niedobrze... Odejdź natychmiast, albo cię stąd wyrzucę.

– Ty sama, wasza godność? Już nie zbrojni z zewnątrz?

– Nie mogę stąd wyjść, bo ją zabijesz.

– Spróbuję sto razy tego samego – rzekł Moldorn, znów wykonując drobny gest dłonią. – I umrę przy sto pierwszej próbie. Ty mnie sto razy powstrzymasz, a gdy już będę martwy, zostanie w tym pomieszczeniu jeden Rubin i jedna osiemdziesięcioletnia, siwa i pomarszczona kobieta, z trudem trzymająca się na nogach. Czy jesteś na to gotowa, piękna Keso?

– Sto tanich sztuczek to za mało. Powiedz: tysiąc. Może dziesięć tysięcy.

– Czy to też jest sztuczka? – Tym razem spojrzał prosto na nią.

Obroniła się, choć nie wiedziała jak.

– To już nie... – odrzekła z wysiłkiem. – Ostatni raz mówię... Moldornie...

Gdy znowu ją zaatakował, zrozumiała, że potrafi bardzo, bardzo wiele – ale mało z tego rozumie. Nie odróżniał powierzchownych „sztuczek” od angażowania czystej treści Pasm. Poleciał do tyłu – bo musiał, skoro ona została w miejscu. Akcja i reakcja... Uderzył plecami w mur. Tylko się zasłaniając, omal go nie zabiła.

Z trudem zaczerpnął tchu. Dźwigając się na nogi, chwycił zardzewiały, tkwiący w ścianie hak. Wstał. Żelazo zostało mu w rękach. Chyba nawet o tym nie wiedział.

– Jeszcze raz – rzekł.

Tego nie oczekiwała. Szybkości myślenia, której nie mogła sprostać intuicja... Był genialnym matematykiem... dysponował umysłem, który zwiódł go na manowce, ale mógł być także wykorzystywany z bezlitosnym skutkiem. Nie umiała czuć tak szybko, jako on myślał!... Wybierał i wprzęgał do działania niezliczone siły, które wykradł Pasmom, ona zaś odpowiadała coraz bardziej chaotycznie, zmuszona dodatkowo do czuwania nad bezbronną, okaleczoną kobietą, ku której kierowały się co jakiś czas pojedyncze ataki. Zrozumiała, że zaraz zabije je obie.

Mogła uciec... i zostawić na stole tego bezbronnego dzieciaka, który przyszedł tu dlatego, że bardzo kogoś kochał. Przyszedł ze swoim śmiesznym mieczem w ręku, nie mając nawet cienia szansy na zwycięstwo.

Trzymała w rękach swoje dwa sztylety – oręż hodowlanej Perły. Nie wiedziała, kiedy po nie sięgnęła. Intuicja... To był sposób, najlepszy sposób, a może jedyny, czuła to... Jednak już od dawna nie umiała używać broni, nigdy dobrze nie umiała, a choćby i nawet... to zamierało w niej serce na myśl, że miałyby zabić człowieka... Pchnąć ostrzem żywe ciało, z całej siły... Nie umiała tego zrobić i wiedziała, że nigdy nie zrobi.

Przebił się i uderzył ją! Złagodziła cios, jak zwykle nie rozumiejąc, przed czym właściwie się broni, w jaki sposób i dlaczego tak. Wychodziła spod uderzenia, nie wiedząc, co w ogóle się dzieje... Spiralnie zwijał się w kulę błękitny pas rozsypanych w czerni drobin, pociągając ją ku gęstniejącemu rdzeniowi; czas zwolnił bieg... odsunęła się... wydostała poza ssącą siłę wiru...

Dowiedziała się, że przegra. W przeciwieństwie do niej Moldorn nie działał odruchowo, wiedział co robi i skoro raz przełamał jej obronę, mógł to zrobić znowu. Nauczył się.

Natychmiast wykorzystał swoją przewagę. Nie tyle już walczyła, co była bezlitośnie objiana, mogła tylko łagodzić siłę ciosów. Jak długo? Nie była wodzem ani wojowniczką, ale rozumiała, że nikt, kto tylko się broni, nie rozstrzygnie na swą korzyść walki. Musiała kontratakować albo obrócić impet ataku przeciwnika przeciw niemu. Tej drugiej rzeczy nie potrafiła, a w każdym razie nie umiała zaplanować.

Broniła się wyłącznie intuicyjnie; myślała niezależnie od tego – i znalazła sposób.

– Ridareto... – powiedziała z rozpaczliwą wiarą, że przykuty do stołu strzęp człowieka słyszy ją i rozumie. – Nie zostawię cię... ale on nas zabije. Pomóż mi.

Osłabiła na chwilę siłę ataków. Obojętne jak genialny, Moldorn musiał chociaż drobną część swego umysłu zaangażować w zrozumienie słów. Jednak pogawędek ucinąć sobie nie zamierzał.

– Ridareto... teraz ty – powiedziała. – Rozumiesz?

Zakręciło jej się w głowie; oglądana z innego miejsca, a do tego jednym okiem, sala wyglądała na mniejszą. Kesa nie straciła orientacji, bo bez reszty zaufała intuicji. Nawet nie wiedząc kiedy, przeniosła całą siłę swej obrony na sojuszniczkę, dość łatwo odpierając pojedyncze słabe ataki, bo Moldorn nie odgadł, co zrobiła. Teraz mogła już tylko błagać wszystkie moce świata, by Ridareta odnalazła się w nowym miejscu i... obcym ciele.

Nie zawiodła się, bo piracka księżniczka miała właśnie to, czego brakło jej: instynkt wojowniczeki. I nie wahała się używać broni.

Moldorn nie zdążył zrozumieć. Osłonięta przez Kesę piratka posłała mu sztylet ruchem niemal niedostrzegalnym – i zachłysnął się z bólu, gdy ostrze weszło w brzuch. Rzuciła się nań niczym wilczyca, z powrotem chwyciła rękojeść wbitej w ciało broni, drąc ostrzem wnętrzości, podczas gdy drugie ostrze raz za razem wbijała mu w ramię, plecy, bark... Krzycząc, Przyjęty próbował strząsnąć z siebie zwierzę, które rozdzierało go niemal na strzępy. Nie mógł zasklepić ran w takim tempie, w jakim otrzymywał nowe. Pchnięty od tyłu w szyję, niemal stracił przytomność, następny cios mógł być ostatnim... Zdołał ją odepchnąć; skoczyła znowu... i wpadła na ścianę.

Uciekł.

Rozdygotana, schlapana krwią, patrzyła na czerwone ostrza. Oddychała urywanie. Nagle zwróciła się ku stołowi.

– Nie wracaj! – krzyknęła. – Słyszysz?!

W brzuchu miała żelazny hak, wyrwany przez Moldorna ze ściany. Jeszcze nie czuła bólu.

– Keso, nie wracaj. Umrzesz, jeśli wrócisz... Uporam się z tym, ale... nie od razu... Słyszysz? Rozumiesz mnie?

Teraz ona nie wiedziała, czy Przyjęta pojmuje sens słów. Kesa słyszała i rozumiała, że nie może wrócić. Ale równie dobrze rozumiała, że dusi się z ustami niemal rozerwanymi przez drewnianą kulę. Wyła nieludzko, uwolniwszy siły, które mogły być – i były – trzymane w ryzach przez Rubin, ale w żaden sposób nie podlegały kontroli zwykłej żywej kobiety, której okaleczone ciało musiało być posłuszne odwiecznym siłom natury.

Kesa rodziła, przykuta do łoża tortur. Jeśli nawet drzemały jakieś resztki bólu w wygojonej, ale przecież tak niedawno odrąbanej nodze i odjętej ręce, to nie czuła tego i nie mogła poczuć.

Ridareta odrzuciła wyszarpnięte z brzucha żelazo i podbiegła do glucho zawodzącej Przyjętej. Nie wiedziała, w jaki sposób wyrwać z jej ust drewniany knebel... Próbowała odkręcić śruby, mocujące ocalałą rękę i nogę. Wyła z bólu jeszcze głośniejszą niż tamta, bo Rubin był tylko bezrozumną rzeczą i nie wiedział, co trzeba zrobić. Musiała go zmusić, by w najkrótszym czasie

wyleczył śmiertelną ranę. Przestała się szarpać ze śrubami.

– Dawno jadłaś?! – wrzasnęła histerycznie. – Nie, nie oszalałam!... Pytam: dawno?!

Nie wiedziała, co oznacza dana ruchem głowy odpowiedź. Ale była po prostu głodna. Omal się nie przewróciła, biegnąc do drugiej izby; ciało Przyjętej było dla niej za wiotkie. Obce, zbyt delikatne. A oglądany dwójkiem oczu świat też wyglądał obco. Inaczej.

Dopadła stołu, przy którym niedawno posiłkował się Moldorn. Znalazła resztki jedzenia i rzuciła się na nie tak, jakby postradała zmysły.

Czymkolwiek było szare błoto w żołądku, niestety, nie brało się z niczego.

* * *

– Jest... żywa...

Powiedziała to, a raczej wykrztusiła po raz piąty lub szósty.

Okaleczona, spocona kobieta na stole, uwolniona już z żelaznych okowów, jedyną ręką przygarniała do piersi wyjątkowo drobne, krztuszące się płaczem niemowlę. Ridareta pólleżała pod ścianą, z dłonią przyciśniętą do zamazanej szarą packą rany w brzuchu. Patrzyła na brzydko zawiązaną pępowinę, brudną główkę i umazane plecy dziecka. Wciąż dławiła się płaczem, który miał tak wiele źródeł, że zatamowanie jednego nic nie mogło zmienić. Przeżyła męki bólu, wrywając z Rubinu wstrętne „eliksiry”. Patrzyła na własne dziecko, któremu udzieliła życia inna kobieta... Prawdziwego życia. Nie było w nim ohydnej czerwonej siły, przeniesionej do innego ciała.

I płakała jeszcze dlatego, że oglądała siebie. Strzęp pięknej niegdyś dziewczyny... Kalekiego potwora, którym wkrótce miała stać się znowu. Już zaraz.

Rana w brzuchu miała jeszcze boleć jakiś czas. Ale wewnętrzny krwotok ustał. Nic tam nie mogło się paprać – szare błoto przenikało do krwi, ciążyły pełne piersi. Nie było niebezpieczeństwa.

– Jest żywa... Mam dziecko, prawdziwe. Ja mam dziecko – powiedziała znowu.

Wyczerpana, niemal półżywa Kesa z trudem składała słowa, nie chcąc się wydostać spomiędzy resztek połamanych zębów. Przeszkadzał obrzmiały język.

– Ja... tesz.

Ridareta nie słuchała, bo nie była do tego zdolna. Wciąż nie mogła pohamować płaczu. Kesa dała jej trochę czasu, ale teraz już musiały działać.

– Suchaj... – z trudem powiedziała Przyjęta. – On tu... fruci... Moldorn... Musimy... usiekaś... Ale ja stą... nie oftoszę...

Ridareta zaczęła się uspokajać. Powoli do niej docierało, co powiedziała Kesa.

– Nie... otworzysz?... Jesteśmy tutaj zamknięte?

– Tak.

– To wróć – powiedziała cicho, ocierając łzy. – Zamieńmy się z powrotem. Będzie cię bardzo bolało, ale już nie umrzesz. Weź dziecko... i otwórz nas.

Kesa drżała na stole.

Ridareta krzyknęła.

Miała przy piersi małą płaczącą córeczkę. Żywe dziecko, oczyszczone z czerwonej mocy Riolaty.

Była matką i poczuła to. Wybuchnęła płaczem od nowa.

Kesa już przywykła do bólu, jednak z wielkim trudem przemierzyła cztery kroki dzielące ścianę od stołu.

– Daj... No, daj... Rido.

– Nie... nie mogę... Ja nie mogę jej puścić... rozumiesz?... Chcę, ale... nie mogę. Jeszcze chwilę... tylko chwilę, Keso.

Nie istniała wystarczająco długa chwila. Ridareta bez końca była gotowa żebrać, że jeszcze... jeszcze nie...

Przyjęta odebrała dziecko niemal siłą. I też się rozpląkała.

– Raladan mówił, że umiesz się pszenieść... Gdzieś, nawet bardzo daleko – powiedziała Ridareta. – Zabierz ją gdzieś, gdzie będzie bezpieczna. Nie tutaj... nie do środka Grombelardu... Proszę.

– Dobrze. Ale wezmę i ciebie.

– Moszesz?

– Mogę.

Nie mogła.

Ridareta została sama. Znowu się rozpląkała, ale zaczerpnęła tchu, bo o czymś się przed chwilą dowiedziała. O czymś, czego Przyjęta... nie zauważyła. Bo chyba nawet nie umiała zauważyć.

Wykonała tylko połowę pracy. Na świat musiało przyjść jeszcze jedno...

Nie, nie dziecko. Rubinek.

* * *

Kesy nie było bardzo, bardzo długo. I Ridareta pogodziła się już z tym, że została sama.

Ocalała noga nie zdołała jej utrzymać i Ridi raczej spadła, niż zsunęła się z łoża tortur. Niezdarnie przemieściła się do mniejszego pomieszczenia. Obok resztek jedzenia na stole leżało kilka pokrytych wzorami kart i przybory do pisania – Moldorn do końca został sobą, matematykiem Szerni. Odwróciła kartkę czystą stroną do góry i zaczęła pisać. Rozpląkała się przy tym po raz nie wiadomo który.

Napisała list do Raladana. I do kogoś jeszcze, chociaż nawet nie wiedziała, czy... Ale,

obojętne.

Teraz pozostało już tylko jedno. Najtrudniejsze.

Ridareta nie wiedziała, w jaki sposób się zabić.

Może wystarczyło po prostu poczekać na powrót Moldorna.

Ale Kesa wróciła.

Leżąc na kamiennej posadzce przy stole w dużej sali, Ridareta patrzyła na Przyjętą, która pojawiła się dwa kroki od niej i upadła. Sprawiała wrażenie bliskiej śmierci. Nie mogła wrócić od razu, bo w cichym, uśpionym domu, otoczonym ogrodem z sadzawkami, zdołała tylko obudzić i przywołać krzykiem niewolnicę. Zobaczyła ją – i zemdląca. Upływ krwi, ból... Ale przede wszystkim to, przed czym szyderczo przestrzegał Moldorn. Na pewno nie postarzała się o czterdzieści ani nawet o cztery lata. Ale jednak nie można było sto razy sięgnąć do Szerni i nie odczuć żadnych tego skutków. Podróż do domu wyczerpała ostatnie siły, zwłaszcza że była podróżą najtrudniejszą ze wszystkich. Wyjątkową.

Mogła zabrać ze sobą człowieka – ale nie wyszarpnęła Riolaty. Rubin targnął nią i został w Grombie, owo szarpnięcie jednak sprawiło, że Przyjęta zmyliła drogę i odnalazła ją z najwyższym trudem, okupując to niebywałym wysiłkiem.

Pod troskliwą opieką przerażonej służby Kesa dochodziła do siebie, marząc o tym, by schorowany i ciężko ranny Moldorn potrzebował więcej czasu niż ona.

Niewolnice umierały z przerażenia. Widziały dobrą panią, ruszającą w podróż na świetnym koniu, pod opieką kilkudziesięciu uzbrojonych ludzi. I naraz zjawiła się w domu jako pokrwawiona, półżywa kobieta, roztrzęsiona i rozgorączkowana, trzymająca w ramionach ledwie żywe, słabiutkie niemowlę... Wyglądała, jakby miała zaraz umrzeć; gdy zemdląca, służka przez kilka długich chwil była o tym najzupełniej przekonana. Sądziła, że jej pani nie żyje.

Kesa wróciła do Ridarety i dowiedziała się, że tym razem to już naprawdę wszystko na co ją stać.

Koniec.

Moldorn mógł wrócić i zabić je obie pałką. Zamęczyć na śmierć albo udusić... Były zupełnie bezbronne. Kesa mogłaby jeszcze odeprzeć dwa lub trzy niewyszukane ataki, ale nie więcej. Natomiast na pewno nie mogła odbyć jeszcze jednej podróży. I nie mogła otworzyć wejścia do podziemi, bo zamknęła je bardzo mocno. Naprawdę mocno. Nie przed mężem, ale przed Moldornem. Żeby nie mógł się wydostać na powierzchnię, gdyby...

Teraz już wiedziała, że i tak by się wydostał.

Sto kroków dalej czekali przyjaciele. Kesa bardzo chciała zobaczyć męża, nie umiała jednak wyobrazić sobie, jak pełnie zalany wodą korytarzem, a potem tylko bezsilnie patrzy... On zaś tak samo patrzy z drugiej strony, odgradzony niewidzialną zaporą. I dostrzega być może nadchodzącego Moldorna...

– Miałam kiedyś dziecko – powiedziała. – Haniebnie zaniedbana Perła, oddana później za długi... Nie wiem, do której hodowli je sprzedano, i nigdy się nie dowiem. Dzieci niewolnic... to tylko przedmioty. Dziecko Perły hodowla chętnie kupi. Kocham Gotaha i bardzo chcieliśmy mieć dziecko, ale nie odważyliśmy się. Dziecko dwojga Przyjętych?... O, nie. Szerń jest zazdrosna – powiedziała gorzko. – Twoje małe Rubiny, Ridareto, to nic w porównaniu z tym, co my moglibyśmy powołać na świat.

– Wychofuj ją – odpowiedziała niewyraźnie, ale bardzo spokojnie. – Niech ma na imię... Alida. Dobrze?

Wzruszona Kesa skinęła głową.

– Popatrz na mnie... Popatrz.

Przyjęta spojrzała. I znowu zachciało jej się płakać, choć powinna już przywyknąć do okropieństw.

– Kogo mam unieszczęśliwić? Mam taka jusz zostać? Nie. Keso... Pomóż mi. Jeśli ma zrobić to Moldorn... Ja bym chciała... jak człowiek. Nawet, jeżeli jusz nim nie jestem.

– Jesteś.

Ridareta mówiła powoli, próbując wydobyć z okaleczonych ust zrozumiałe dźwięki.

– Bardzo chciałam znaleźć broń... Mógł, sze znajdę. Szukałam i nie znalazłam, ale bardzo duszo się dofiedziałam. Ja dzisiaj jusz... umiałabym inaczej. Ja bym chyba musiała dalej zabijać, falczyć. Ale jusz chyba mogłabym... fybierać. Nawet falczyć moszna w dobrej sprafie. Takiej, której byś nie potępiła. Prafda?

– Tak.

– Gdybyś mogła... Posfoliłabyś mi?

– Tak. Bo, od tego, co już zrobiliśmy, ważniejsze jest to, co jeszcze zrobimy.

Ridareta milczała.

– To posłuchaj – powiedziała wreszcie.

I Kesa poznała tajemnicę.

Nie od razu była w stanie pojąć, co jej opowiedziano.

– On tu fróci, tak? To teraz... pomóż mi. Jeśli będziesz sama, to mosze on cię nie zabije. Falczył z tobą dlatego, że mnie broniłaś. Ja fiem. A mosze nie fruci?...

Przyjęta nie chciała i nie mogła powiedzieć, że Moldorn na pewno wróci. I zabije ją choćby dlatego, że... nie będzie wiedział, kto przed nim stoi. Kesa czy Ridareta. A najmniejsze wahanie mógł przypłacić życiem, o czym niedawno się przekonał.

– Nie wiem, czy potrafię. Nie potrafię.

– Potrafisz. Pszecziesz to tylko... Ty fiesz.

Coraz głośniej rozbrzmiewały przyspieszone oddechy dwóch kobiet.

– Schofam się, tak? Niech Raladan... niech nikt nie zobaczy tego, czym teraz jestem...

Obiecaj, sze nikomu nie posfolisz oglądać mnie takiej. Proszę cię.

– Nie pozwolę.

Pod ścianą stała wielka skrzynia, częściowo zbutwiała od wilgoci. Kiedyś były w niej chyba różne... narzędzia. Potrzebne w tej sali przyrządy. Przeróżający sarkofag, do którego z własnej woli próbowała się dostać prosząca o śmierć dziewczyna.

Przyjęta patrzyła na odwróconą głowę nieszczęśliwego dzieciaka, którym kiedyś obiecała się zaopiekować. I nie dotrzymała słowa.

Ridareta oddychała z coraz większym trudem.

– Keso, proszę... Pszeciesz... ja się boję.

Rozpląkała się po raz ostatni.

Siedząca na posadzce Przyjęta zakryła uszy dłońmi i krzyknęła. Była w tym krótkim krzyku cała nienawiść, jaką miała w tej chwili dla przekłętego świata.

Dwie krótkie jak paznokieć czerwone igły wystrzeliły w górę, przebiły kamienne ściany i przepadły, wracając do Pasm. Okaleczone ciało osunęło się w głąb skrzyni, uderzając o jej przegniłe dno.

* * *

Nad morzem byłby już świt, ale w sercu Ciężkich Gór nic nie zapowiadało rychłego nadejścia dnia. Pracujący u stóp schodów mężczyźni zmieniali się często: żołnierz ustępował Przyjętemu, Przyjęty następnemu żołnierzowi, ten znów agarskiemu księciu... Topory i miecze nie były dobrymi narzędziami, przysparzał kłopotów niedostatek światła, ciasnota... O świcie dwaj nie będący olbrzymami mężczyźni po kolei precyzyjnie przeszli przez wykuty w kamieniach otwór, którego jednym z brzegów była doskonale przezroczysta, wytrzymała szyba. Podano im pochodnie. Na zewnątrz żołnierze dalej powiększali dziurę. W królewskiej gwardii nie służyli mali mężczyźni; dla nich otwór był wciąż za wąski. Ale wypadł jeszcze jeden kamień i dwóch najszczuplejszych gwardzistów spróbowało szczęścia. Przedostali się i od razu wyjęli miecze.

Raladan i Gotah wymienili spojrzenia, po czym po kolei weszli w mur widoczny między dwoma korytarzami... Gwardziści bez wahania postąpili za nimi.

Po drugiej stronie muru był zalany wodą, niezbyt długi chodnik, zaś na jego końcu otwarte drzwi, spoza których sączyło się bardzo słabe światło.

Pobiegli, rozchlapując zimną wodę.

Drzwi nie były otwarte, lecz wyrwane. Prowadziły do małej salki, gdzie na stole, obok porozgniatanych i porzucanych resztek jedzenia leżała przewrócona butla z inkaustem, zanurzone w czarnym morzu karty i złamane pióro. Światło padało z następnych drzwi, umieszczonych w rogu pomieszczenia.

Przyjęta siedziała przy katowskim stole, oparta o złamany lewar, służący do opuszczania lub

podnoszenia czegoś... Uniosła spojrzenie, ale chyba nie umiała zrozumieć, kogo widzi. Gotah poczuł w nogach taką słabość, że musiał się przytrzymać ramienia towarzysza. Patrzył na żonę, która miała czerwone od krwi rękawy koszuli, wielką zakrzepłą plamę na brzuchu, zresztą ubroczone całe odzienie... Podczas krótkiego pobytu w domu służba obmyła jej ręce, włosy i twarz, ale schlapany krwią strój pozostał niezmienny. Gotah pochylił się, a wtedy nagłym ruchem chwyciła go za ręce. Była rozgorączkowana, półprzytomna.

– Nie... nie – wykrztusiła. – Jeszcze nie! Książę... Książę! – krzyknęła.

– Moja córka, pani. Gdzie jest Ridareta?

Moldorn próbował wrócić. Zatrzymała go już dwa razy. Nie wiedziała jak.

Ale nie mogła powstrzymać go w nieskończoność.

– Ona... nic. Nie ma jej tutaj. On tu zaraz wróci! Szybko... – bełkotała. – On tu może w każdej chwili wrócić. Zabierzcie mnie stąd. Wszystko powiem, ale... Zabierzcie mnie stąd, no zabierzcie! Zabierzcie!

Wpadła w histerię.

Nie zdołała po raz trzeci zatrzymać Przyjętego. Może nawet jakoś by się to powiodło, ale nieoczekiwana pomoc sprawiła, że opuściły ją resztki sił. Skulona na podłodze sali tortur, samotna, słyszała stłumione odgłosy kucia, ale nie domyśliła się, co to znaczy. Myślała, że mąż przywołuje ją, uderzając czymś w mur. Może tylko dodaje otuchy, mówiąc: „Jestem! Keso, czekam!”.

Ale nie czekał. Mężczyźni na ogół nie umieli czekać tak długo i wytrwale, jak kobiety.

Moldorn wrócił. I znalazł się między czterema mężczyznami, z których jeden przeraził się tak, że z miejsca uczynił to, co umiał najlepiej: zabił. Potężny matematyk Szerni wyłonił się znikąd – i z rozrąbaną ciosem gwardyjskiego miecza skronią od razu zaczął się osuwać w dół, bo nogi już nie mogły go słuchać. Halabardnik królowej był wojownikiem, więc nie myślał, tylko poprawił, rozwalając do reszty mózg, który mógł w mgnieniu oka spowodować zasklepienie każdej rany – pod warunkiem wszakże, że działał.

Już nie działał, bo wypływał z czaszki. Kesa zwymiotowała.

Żołnierz popatrzył na zakrwawiony miecz. Nie był pewien, czy zrobił to, co należało... Schylił się i wytarł broń skrajem nijakiej burej szaty.

Nie tyle ponieśli, co powlekli Kesę korytarzem. Nie pozwoliła sobie odebrać brudnego tobołka, oburącz trzymanego przy brzuchu. W świetle trzymanej przez żołnierza pochodni ujrzała poczynione przy swej potężnej zaporze prace i parsknęła obłąkańczym śmiechem.

– Szerń... – wykrztusiła. – Przyjęci... Zwykła dziura w murze...

Skoro przez otwór przepchnęli się Gotah i Raladan, to tym bardziej mogła smukła Kesa. Ale trzeba jej było przetłumaczyć, że musi oddać swój tobołek. Kręciła tylko głową: nie i nie. Raladan nagłym ruchem wyrwał jej zawiniątko i podał na zewnątrz. Przyjęta wyła. Wyrwała się

i rzuciła głową naprzód, ledwie trafiając w nierówną dziurę. Bardziej ją przepchnęli i wywlekli, niżli przeszła. Odzyskała swój skarb i zataczając się, wbiegła na schody. Wzywała Raladana. Oszałała.

– Idź, panie – powiedział roztrzęsiony Przyjęty. – Wie coś o twojej córce... Idź!

Raladan przelazł przez dziurę, przeciągany tak samo jak Kesa.

Czerń nocy ustąpiła miejsca brudnej szarości. Niedaleko szczytu schodów dwaj żołnierze próbowali zaopiekować się rozhisteryzowaną kobietą. Trzeci trzymał pochodnię. Zobaczyła Raladana.

– Weź! Światło! – krzyknęła. – A wy idźcie, idźcie stąd!

Żołnierze wymienili spojrzenia. Raladan wziął pochodnię i odesłał ich gestem. Wetknęła mu do ręki zmiętą, naddartą kartkę.

– Czytaj – powiedziała. – To od niej.

Niezręcznie, jedną ręką, bo w drugiej trzymał łuczywo, Raladan próbował rozprostować list. Poznał pismo Ridarety; zawsze uważał, że potrafi pisać pięknie, jak prawdziwa księżniczka... I była to prawda. Wychowana w znakomitym domu dziewczyna poznała sztukę kaligrafii.

Drżały mu palce.

– Nie przeczytam... Przeczytaj mi, pani.

– Już czytałam – powiedziała zdławionym głosem. – Nie wiem, czy potrafię jeszcze raz...

Naprawdę się rozplakała. Rozmazała łzy na policzkach i zaczęła:

– *Raladanie, Kitarze... Ja śpię. Powiedzcie chłopcom, żeby nie nazywali okrętu „Ślepą Ridi”, bo wrócę i znowu będę pływać... Za cztery lata. Piszę to i nie wiem, czy Kesa wróci po mnie. Bardzo długo jej nie ma...*

Przyjęta uniosła dłoń do ust i zamilkła, przygryzając kostki palców.

– *Jeżeli nie wróci – podjęła po krótkiej przerwie – to nie dostaniecie tego listu. Wtedy wszystko nieważne. Riolata nie jest zła, ona tylko... Ja chciałam z nią tak, jak Wy ze mną: poznać i zrozumieć, tylko nie za blisko, ostrożnie. Niepotrzebnie na Was krzyczałam, bo sama robiłam to samo. Ale teraz bardzo mi na czymś zależało i podeszłam do Riolaty jak najbliżej. Wielu rzeczy się dowiedziałam. I zrozumieliśmy się. Za cztery lata będę już młodą dziewczyną, a ona mnie obudzi i będziecie mieli z powrotem swoją Ridę, a ja Was. Riolata i ja to teraz jedno, ona przechowa moją pamięć, wady, nawet zalety, jeśli jakieś są... Całą mnie. Kiedy się obudzę, będę taka sama jak teraz, tylko trochę mądrzejsza. Kocham Was i nie mogę się doczekać, kiedy... Kocham Was. I kogoś jeszcze, ale... Nie, już nic. Ridareta. Żeby tylko Kesa wróciła.*

Przyjęta skończyła i głęboko zaczerpnęła tchu.

– Masz ją – powiedziała, oddając nieforemny tobolek. – Jest jeszcze bardzo malutka. Będziesz na nią czekał?... Bo ja będę.

Roztrzęsionymi rękami Raladan odwinął róg pokrwawionej szmaty, spod której wyjrzała

mała jak pięść główka noworodka. Dziewczynki, mającej być w przyszłości matką swojej bliźniaczej siostry, małej Alidy, która jednak dostała od kogoś prawdziwe życie zamiast czerwonej mocy.

Ale o tym wiedziała tylko Kesa. I tylko ona potrafiła zrozumieć.

EPILOG

Z drzew powoli spadały ostatnie żółknące liście.

Dwa luźno spętane konie nie tyle pasły się, co przechadzały na skraju przywiedłej łączki pod lasem.

Koniec złotej dartańskiej jesieni był bardzo suchy i ciepły. Na ziemi, z plecami opartymi o pień klonu, siedział brodaty, mocno łysawy mężczyzna. Bawił się w konia: leniwie żuł skraj zwiędłego liścia.

Nieładna dziewczyna w stroju do konnej jazdy, z malutką srebrną łożką na szyi, nie odrywała spojrzenia od twarzy pana.

– Bardzo chciałem to wszystko komuś opowiedzieć – rzekł po długiej chwili milczenia. – Porządnie i po kolei... Chyba trochę nie wyszło.

– Wyszło – powiedziała bardzo poważnie. – Ale...

– Śmiało, Semo. To nie są żadne tajemnice, w każdym razie nie tutaj, bo na Agary chyba nie pojedziesz, żeby zdradzić ich księciu, że ma wnuczkę?... Nie powiedziałem nic, o czym nie mogłaby wiedzieć moja rezolutna przyboczna.

– Pani nie będzie się gniewać?

– Pani urwie mi głowę, jeśli częściej będę się wybierał na przejażdżki z niewolnicą niż z nią... Ale za to, co mówię? Nie, nie będzie się gniewać. Rozmowa jest... zewnętrznym myśleniem. To ona tak powiedziała, ja tylko zapamiętałem.

– Ale ja żem... ja myśla-łam, że nie zabijecie tego Przyjętego.

Gotah z namysłem pokiwał głową. I westchnął.

– Najsmutniejsze jest to, Semo, że ten człowiek... którego jednak nie należy pochopnie osądzać, bo chyba miał tu i ówdzie trochę racji... Najsmutniejsze jest to, że on właściwie zabił się sam. Bo wrócił, i nikt już nigdy nie odpowie na pytanie: po co. Może po to, by dokończyć dzieła; może po swoje zaprzepaszczone w kałuży inkaustu zapiski... A może jeszcze po coś. Wpadł w gniew, walczył z Kesą, ale potem ochłonął... To nie był morderca i nie wierzę, żeby chciał na zimno zamordować mi żonę. Zjawił się z powrotem, a zwykły dartański żołnierz nawet nie wiedział, co robi, bo posłuchał tylko instynktu wojownika. I rozrąbał mu głowę jednym ciosem miecza.

Dziewczyna milczała zamyślona. Spoglądała na niedaleki głąz, ułożony między smutnymi teraz i szarymi krzewami dzikiej róży.

– I ten kamień, to jest...?

– Z boku znajdziesz imię „Ridarethe”. Pani wróciła do domu „na swój sposób” nie tylko dlatego, że powrotna podróż przez Grombelard na pewno by ją zabiła. Przede wszystkim chciała zabrać z wielkiej butwiejącej skrzyni okaleczone ciało, którego ksiązę Raladan nie powinien był widzieć. Obiecała przecież, że nie zobaczy. A ponownie zawalone podziemie, w którym uwolniony z okowów Strażnik Praw obudzi się, gdy dobiegnie końca wojna Szerni... To nie był właściwy grobowiec dla księżniczki Riolaty Ridarety.

– Więc ona umarła? Czy żyje?

– Żyje, Semo. A raczej: istnieje. Straciła tylko swoje pierwsze ciało, ale wszystko, co miała w duszy, sercu i głowie, jest zapamiętane przez Riolatę. Ridareta śpi, bo nie może obudzić się w niemowlęciu, ani nawet dziecku. Obudzi się, gdy będzie... kobietą. Więc chyba rzeczywiście za jakieś cztery lata. Na razie istnieje tylko maleńka dziewczynka, śpiąca nieprzerwanym snem. Ale rośnie trzy razy szybciej niż inne niemowlęta. Myślę, że otoczona opieką księcia Raladana na Agarach, wygląda teraz jakby miała rok.

– Więc po co ten kamień?... Przecież jeśli księż-niczka żyje, to nie jest prawdziwy grób.

– Jest i nie jest. Będzie mogła go kiedyś zobaczyć. Dotykem połączyć się z przeszłością. Przecież przyjedzie tutaj, a wówczas poznasz, Semo, jedną z najbardziej niezwykłych istot Szereru.

Znowu pokiwał głową.

– Kesa wierzy, że Ridareta naprawdę może być... inna. Oby miała rację. Wojownicy, nawet bezwzględni, mają na świecie rację bytu. Zbrodniarze chyba też, ale...

Dziewczyna znowu się zamyśliła.

– Ale ty, panie... Jesteś smutny. Dlaczego?

– Dlatego, Semo, że przez blisko rok mnóstwo ludzi, naprawdę całe mnóstwo, krzywdziło się nawzajem, choć przy każdym były jakieś słuszne racje. Chciałbym wierzyć, że są takie światy, gdzie istoty, które chcą dobrze, nigdy nie skrzywdzą się nawzajem. Po prostu dobre światy. Chciałbym wierzyć, ale nie wierzę.

– Są takie światy, panie – powiedziała bardzo stanowczo.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Nie możemy tego wiedzieć, dziecko. Niestety.

– Możemy.

Uparła się.

– Czy ty jesteś W ŚRODKU, panie?

Nie zrozumiał.

– W środku?...

– Tak. Jesteś ty, a dookoła cały świat.

– Tak... Rzeczywiście, tak. Każdy jest w środku, Semo.

– Ja też jestem w śro-dku, panie. A dookoła mam świat. Taki sam wielki, jak twój.

Wstała, rozłożyła ręce i obróciła się dokoła.

– Nie śmiej się... Stworzyłeś, panie, jeden dobry świat. Ja żem go wcześniej nie miała... A on jest najprawdziwszy z prawdziwych. I cały stworzony przez ciebie. Ja też bym chciała komuś stworzyć taki świat.

Nie śmiał się. Powiedziała coś bardzo ważnego. Wiatr przyniósł odległe poszczekiwanie psów, dobiegające od strony domu. Przekrzywiła głowę; miała świetny słuch.

– Lepiej chodźmy, bo pani będzie się gnie... gniewać. Panienka Alida płacze.